

Ken Kesey

Jaskinie

Słowo wstępne Kena Keseya

Zanim z nastaniem administracji Reagana obcięto wydatki na sztukę i wszystko, co związane z humanistyką, często objeżdżałem elitarne i modne kursy dla początkujących pisarzy organizowane przez uniwersytety. Opłacano mi przelot samolotem, wręczano garść maszynopisów i wciskano grupę studentów. Po kilku seminariach i bankietach dostawałem czek i leciałem do domu.

Pieniądze były duże, pracy niewiele, pławilem się w sławie i chwale. Ale kiedy spoglądałem wstecz i zastanawiam się, czego też właściwie nauczyłem na tych kursach, stwierdzam, że tylko jedno wydarzenie utkwiło mi na dobre w pamięci: pewien weekend w Teksasie z grupą adeptów sztuki pisarskiej. Rada uniwersytecka wybrała trzydzieścioro ludzi do udziału w warsztatach literackich, ale, jak się wkrótce przekonałem, nie kierowała się zdolnościami kandydatów, tylko wysokością kwoty, jaką rodziny kursantów wspierały kasę uniwersytetu.

Wśród wybranej trzydziestki znalazła się też pewna zdenerwowana starsza pani. Miała jakieś sześćdziesiąt pięć lat i siwe włosy podbarwione fioletową płukanką. Zanim nas sobie przedstawiła, jeden z członków rady szepnął mi na ucho, że pani ofiarowała kupę pieniędzy na restaurację historycznego skrzydła biblioteki uniwersyteckiej. Środowisko miejscowych intelektualistów znało ją z listów do redakcji, a cały stan z działalności filantropijnej, społecznej oraz z jej pasji antropologa-amatora. Ale ja od razu wiedziałem, że to literatura jest tym, czym naprawdę chciała się wślawić. Przecież te pałające oczy mówiły wszystko...

Kiedy nadeszła jej kolej, starsza pani podreptała z godnością do katedry, dzierżąc w dłoniach wesoły bukiet zapisanych na różowo kartek, i zaczęła czytać. Czytała nam opowieść o swojej młodości, o tym, jak w sadzie zbierała brzoskwinie i jak w dojrzałym już wieku, w domu opieki społecznej, usiłowała przybliżyć literaturę angielską ludziom, którzy ledwie władali tym językiem. Było tam też o mężu, któremu niewiele zabrakło, by zostać senatorem. Biedaczek. A między jednym, drugim i trzecim znalazło się miejsce na obfity wybór z niczym nie związanych wdowich przemyśleń, które wyciągnęła z lodówki akurat przy tej okazji. Wyszedł z tego jakiś paranoiczny sos, gdzie pływało i to, i tamto, i owo. "Scyzoryk mojego papy nigdy nie był dość ostry, jego zdaniem, ale komuniści skonstruowaliby to lepiej, choć niewątpliwie najwspanialszą książką na świecie jest "Przeminęło z wiatrem", a tatuś wiedział, że zanim dojedziemy na lotnisko, nie zdołamy już trafić do domu."

Słuchałem tego natchnionego potoku zdań przez bite trzy kwadransy. Byłem zdumiony, wstrząśnięty, przerażony, wzruszony i zakłopotany. A przede wszystkim - zdruzgotany. Nikt tego tekstu wcześniej nie czytał! Nie, nie, jeszcze gorzej! Ktoś go na pewno czytał, ale nie odrzucił, bo uznał, że gdyby uświadomiono starszej pani, iż to, co napisała, jest niewiarygodnym bełkotem, oznaczałoby to dla uniwersytetu finansowe samobójstwo.

Po jakiejś półgodzinie czytania nie trzeba jej było już nic mówić. Sama wiedziała. Każdy, kto kiedykolwiek czytał swój tekst przed publicznością, wie... "Chryste, jakie to koszmarne, a jestem dopiero w połowie!" W jej leciwych oczach zaczął przygasać płomień, ale starsza dama bohatercko parła naprzód. Maszynopis drżał jej w dłoniach jak uschnięte liście, studenciaki w tylnych rzędach zaczęły chichotać, by w końcu gruchnąć gromkim śmiechem. Kiedy wreszcie skończyła i opadła na krzesło, w sali teksańskiego uniwersytetu unosił się zapach krwi. Dwadzieścia dziewięć rekinów ostrzyło literackie kły, a nasza czcigodna wdowa dobrze wiedziała, że zasłużyła na straszliwą śmierć.

Na szczęście przypomniałem sobie coś, czego nauczył nas Malcolm Cowley w Stanfordzie - i kto wie, czy nie jest to najważniejsza rzecz, jakiej można nauczyć grupę aspirujących pisarzy (nie, nie chodzi o pisarzy, chodzi właśnie o grupę). Otóż Cowley często nas poskramiał mówiąc: "Obchodźcie się łagodnie z pracą kolegów. Bądźcie wyrozumiali i taktowni. I pamiętajcie, że napisanie złej książki kosztuje tyle samo wysiłku, co napisanie dobrej".

Na szczęście byłem w stanie przekazać tę myśl dalej, przekazać ją grupie na tamtych warsztatach literackich. I udało się. Podziało jak balsam na ranę. Wszyscy byliśmy wdzięczni Cowleyowi.

Każdy znany mi pisarz uczy. W pewnym momencie, nawet jeśli nie musi, to i tak musi. Jeśli w czasach studenckich chodziłeś na zajęcia w akademickim klubie sportowym, to wiesz, że to zupełnie tak samo jak wykrzykiwanie wskazówek w czasie meczu zapaśniczego. Mogłeś nie być żadnym sportowym objawieniem, ale miałeś swoją specjalność, ze dwa, trzy zagrania taktyczne, które wyciągałeś z kieszonki, proste sztuczki w rodzaju: "Uważaj na półnelsona!" albo "Uważaj na dźwignię!" Z niewyjaśnionego powodu po prostu musisz to z siebie wykrzyknąć, musisz innych nauczyć tego, czego uczono ciebie. Zwłaszcza jeśli trafił ci się dobry trener.

Miałem szczęście do kilku świetnych trenerów. Bill Hammer nauczył mnie najrozmaitszych chwytów i kombinacji. Na retoryce Robert C. Clark zdradził mi trzy

sekrety dobrej dykcji: “Wargi, język, zęby! Wargi, język, zęby!” A wspaniały nauczyciel sztuki pisarstwa, James B. Hall, odkrył przede mną jedną z tajemnic literatury.

Byłem studentem na wydziale retoryki i dramatu uniwersytetu stanu Oregon. Jednym z warunków zrobienia dyplomu było zaliczenie semestru zajęć z pisania scenariuszy dla telewizji. Nauczyciel prowadzący owe telewizyjne zajęcia powiedział: “Najpierw musi się pan nauczyć czegoś o konstruowaniu fabuły. Przenoszę pana do grupy literackiej J. B. Halla”.

Doskonale, myślałem. Uwielbiałem beletrystykę, zwłaszcza science-fiction. Moim ukochanym pisarzem był Ray Bradbury. “Nie ma lepszego nad Bradbury'ego”, mawiałem z zadowoleniem. I właśnie wtedy profesor Hall zadał mi do przeczytania opowiadanie Ernesta Hemingway'a, “Powrót żołnierza”, a potem kazał mi je opowiedzieć kolegom.

- Hm... - Wzruszyłem ramionami. - Moim zdaniem, to po prostu historia jakiegoś Krebsa, który siedzi u matki w kuchni i je śniadanie. Ona mu wypomina, że teraz, kiedy wojna się skończyła, powinien ruszyć się z domu, poszukać sobie pracy, znaleźć jakieś zajęcie, ale on chce tylko patrzeć, jak jego siostra gra w baseball...

- Nie! - przerwał profesor Hall. - O, proszę! Tutaj!. To opowiadanie jest właśnie o tym! - Podszedł do mnie w tych swoich białych butach i dźgnął palcem stronę gdzieś w środku książki. - O tu, kiedy matka podaje mu jajka na boczku i opowiada, jak go nosiła na sercu, gdy był malutki... Co Krebs robi? Na co patrzy? Niech pan to jeszcze raz przeczyta. Głośno.

Akapit składał się tylko z jednego zdania. “Krebs patrzył na tłuszcz z boczku krzepnący na talerzu”. [“Powrót żołnierza” z tomiku 49 opowiadań Ernesta Hemingway`a]

- Właśnie o tym jest to opowiadanie! To jest kluczowa linijka. Ona nadaje ton całej historii. Bez tego dźwięku cała kompozycja nie miałaby harmonii. Czy pan to widzi?

Cholera, pewnie, że widziałem! To zdanie stało się dla mnie kluczem otwierającym podwoje do prawdziwej literatury i w końcu wciągnęło mnie do środka. Dzięki kilku opowiadaniom dostałem stypendium Woodrowa Wilsona i trafiłem do Stanfordu, żeby uczestniczyć w kursie pisania prowadzonym przez słynnego Wallace'a Stegnera.

Boję się, że profesor Stegner omyłkowo wziął mnie za antyintelektualistę, podczas gdy tak naprawdę byłem postacią daleko mniej złożoną, zwyczajnym analfabetą, zwłaszcza w porównaniu z resztą jego studentów - śmietanką samych pewniaków. Byli tam: C. J. Koch z Australii “Year of Living Dangerously” (“Rok niebezpiecznego życia”), Ernest Gaines “The Autobiography of Miss Jane Pittman” (“Autobiografia panny Jane Pittman”), Tillie Olsen “Tell Me a Riddle” (“Zgaduj-zgadula”), Peter Beagle “A Fine and Private

Place”, “The Last Unicorn” (“Miłe Odosobnienie”, “Ostatni Jednorożec”), Robert Stone “A Hall of Mirrors”, “Dog Soldiers”, “A Flag for Sunrise”, “Children of Light” (“Komnata luster”, “Najemnicy”, “Wiwat wschód słońca”, “Dzieci światła”), Ken Babbs “Cassady in the Backhouse” (“Cassady w wygodce”), trio zwane Mafią z Kentucky - Wendell Berry, Ed McClanahan i Gurney Norman; już wtedy wszyscy zdążyli wydać liczne ważne powieści i zbiory opowiadań, kolejne zaś mieli w druku, a Larry McMurtry miał dorobek, który, gdyby go rozłożyć strona po stronie, wyścieliłby drogę z Teksasu do Sztokholmu.

Byli też inni, ale wiecie już, o co chodzi: niesamowita drużyna, klub zwycięskiej ekstraklasy i super szkoleniowiec. A jeśli dodać do tego trenerów wspomagających - Richarda Scowcrofta, Malcolma Cowleya i Franka O'Connora - to dopiero wtedy widzimy, co to było za szkolenie! I chociaż być może w tamtych czasach niecałkiem zdawaliśmy sobie z tego sprawę (mówimy o wczesnych latach sześćdziesiątych, kiedy byliśmy bardzo młodzi, a, jak wiecie, był to okres, kiedy naszą uwagę mogło zaprzętać wiele innych rzeczy), to teraz wszyscy spoglądamy na wspólnie spędzony okres z jakąś nabożną czcią.

Zostaje szczególna więź łącząca członków dobrego, zżytego zespołu, taka więź, która nigdy do końca nie wygasa, choć sezon się kończy i każdy idzie w swoją stronę. Większość z nas wciąż pozostaje w kontakcie - a wielu zawarło bliskie i trwałe przyjaźnie. Rodzinne przyjaźnie. Moje dzieciaki, dzieciaki Eda, Wendella i Boba Stone'a znają się od urodzenia. Dzieci Kena Babbsa chodziły z moimi do tej samej szkoły, od przedszkola do matury.

Co więcej, dzięki naukom Cowleya nadal pełniły wobec siebie role łagodnych, wyrozumiałych krytyków. Możemy wzajemnie przesyłać sobie brudnopisy książek bez obawy, że zostaniemy inteligentnie zjedzeni w kaszy przez jakiegoś nienasyconego demona literatury. Kiedy za “Wiwat wschód słońca” Bob Stone dostał National Book Award, a Larry za “Samotną gołębicę” nagrodę Pulitzera, odczułem głęboką radość z ich sukcesu. Wszyscy jesteśmy z nich dumni, bo - jak nas uczył Cowley - “Dobre piarstwo opromienia blaskiem wszystkich autorów. Wy nie jesteście dla siebie konkurencją”.

No i dobra. Wszystko pięknie, ładnie, ale kiedy się już dość najeździłem po tych ekskluzywnych warsztatach literackich, stwierdziłem, że wcale nie jest łatwo wprowadzić te nauki w czyn. Bo gra się już toczyła, ostra gra, a zaproszony trener nie zdążył jeszcze dojechać na miejsce. Jeżeli młody pan Pyszałek zjedzie słodką opowieść panny Melancholii o dramatach panienek w wianeczkach na głowie, możecie założyć się o wasz najlepszy słownik, że panna Melancholia zje go na surowo za jego opis hulaszczego życia na obozie Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy. Po wielu latach sędziowania tym okrutnym i bezcelowym pojedynkom wpadłem wreszcie na pomysł: trzeba wszystkich posadzić do

pracy nad tym samym zadaniem. I zamiast zmuszać ich, żeby zasuwali pod górę w cudzych butach, trzeba wszystko tak dobrze wymieszać, żeby sami nie wiedzieli, które buty są czyje.

Dyskutowaliśmy nad tym z kilkoma ludźmi z uniwersytetu oregońskiego przez parę lat i wreszcie postanowiłem spróbować. Wydział literatury zebrał mi trzynastkę studentów ze specjalności pod tytułem “sztuka twórczego pisania”. Byli to uczestnicy drugiego roku studiów podyplomowych w wieku od lat dwudziestu dwóch do czterdziestu dwóch. Spotykaliśmy się u mnie w domu. Mamy z żoną jednopiętrowy domek niedaleko kampusu, za który płacimy, choć wcale w nim nie mieszkamy. Dom stoi dwie przecznice za biblioteką uniwersytecką. Salon jest na tyle duży, że bez problemu mieści stół, przy którym może zasiąść trzynaście osób. Stół jest bardzo ważny. Stół w sali Jonesa w Stanfordzie był równie ważny, jak książki na półkach: długi, owalny z wycięciem na jednym końcu, gdzie niczym kapitan na mostku siedział nauczyciel. Stół w naszym salonie nie miał aż takiej klasy, ale spełniał swoje zadanie.

W pierwszym dniu zajęć jechałem z farmy do uniwersyteckiego domu zdenerwowany i spóźniony. Ręce mi się pociły, w ustach zaschło. Prowadzę Eldorado z podnoszonym dachem, rocznik 1973, białe z czerwoną lamówką, i mam nadzieję, że swym przyjazdem zrobię na zebranych wrażenie. Na podjeździe wszyscy już czekają i nagle okazuje się, że drzwi są zamknięte, że nie ma Faye i klucza też nie ma! Odzywa się we mnie farmer. Wchodzę przez małe okienko do piwnicy, ale drzwi do domu są zaryglowane na amen. Wypełzam na zewnątrz, znajduję okno od tyłu, które nie jest zamknięte na głucho. Próbuję je otworzyć, ale rama jest tak zasmarowana farbą olejną, że nie daję rady. Wyjmuję z samochodu solidny łom, wpycham go pod okno przy parapecie i dźwignią cholerstwo. Napieram. Puściło. Pcham je do góry. Chwytam się mocno parapetu, podrywam się i walę głową prosto w ramę okna, które przed chwilą otworzyłem. Tracę przytomność i wpadam do środka; nogi sterczą mi na zewnątrz. Kiedy dochodzę do siebie, słyszę, jak ktoś mówi: “No dobra, on już jest... Ciekawe, kiedy ściągną tu Larry i Moe?”

Pierwszym zadaniem moich studentów było napisać krótką charakterystykę, każdy parę zdań o sobie. W trzeciej osobie. Coś takiego nie zajmuje zbyt wiele czasu. Kiedy zbierałem prace, wyjaśniłem cele naszych zajęć i zasady, jakie będą nas obowiązywać. Do celów należało wymyślić, naszkicować, napisać, poprawić i oddać gotową powieść w ciągu trzech semestrów, bo tyle miał trwać nasz kurs. Zasady były jeszcze prostsze i krótsze, bo wydumałem zaledwie dwie. Pierwsza: nikt spoza grupy nie może się dowiedzieć, o czym jest nasza powieść. Druga: ja mam pięćdziesiąt procent decydujących głosów w sprawach książki. Musiałem zapewnić sobie prawo do “wišta!” bądź “heta!” w jakiejś krytycznej

chwili, żeby móc nadal uprawiać to pole. Plon, jaki chcieliśmy zebrać, nie miał niestety czasu dojrzeć w literackiej dyskusji - nasze lato było na to za krótkie.

Po przeczytaniu zebranych szkiców orzekłem: “Świetnie, moi kochani, widzę, że pisać umiecie. Wszyscy umiemy pisać. Pytanie tylko: o czym będziemy pisać?”

Po dobrych kilku spotkaniach nagle dotarła do nich ponura świadomość tego, że ja naprawdę nie miałem najlepszego pojęcia, o czym ta książka będzie. Nie obmyślałem żadnej fabuły, nie wymyślałem żadnych postaci, niczego. Wiedziałem tylko, czego chcę unikać:

“Nie osadzajmy akcji na terenie uniwersytetu. Powieść uniwersytecka to działka Saula Bellowa albo Philipa Rotha. Proponuję też, żebyśmy nie umiejscawiali jej za bardzo współcześnie, dzięki temu ominiemy konieczność rywalizowania w wymyślaniu dialogów a~ la “Policjanci z Miami”. I tak samo jak arbitralnie sugeruję, żeby nie pisać o tym co tu i teraz, chciałbym, żebyśmy nie pisali o tym, co znamy. Jedną z najgłupszych rzeczy, jakiej was już uczono, jest pisanie o tym, co znacie. Bo to, co człowiek zna, na ogół jest strasznie nudne. Pamiętajcie ten moment, kiedy zapragnęliście zostać pisarzami? Mieliście osiem czy dziesięć lat i czytaliście o bohaterach z zaciśniętymi ustami, lecących nad tajemniczo splątanymi dżunglami ku nie opisanym cudom, tak? O tym przecież chcieliście pisać. O tym, czego nie znacie. No więc? Jakiego to tajemniczego okresu i miejsca nie znamy?”

Przeżuwaliliśmy ten problem przez dobry tydzień, kiedy wreszcie dotarło do nas, że trudno jest wymyślić sensowną fabułę bez żadnych postaci. Trzeba zacząć od samych bohaterów. W końcu Medea nie powstała na spotkaniu scenarzystów opery mydlanej: “Mam! Chłopaki, mam! Napiszmy o żonie, którą mąż wystawia do wiatru, a ona z zemsty zabija własne dzieciaki!” Nie. Medea zaczyna się od postaci Medei. To podsunęło mi nowe rozwiązanie. “Jednogłośnie wybieramy okres, kiedy nie było nas jeszcze na świecie. Ja się urodziłem w trzydziestym piątym. Cofamy się do tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego i każdy z nas obmyśla postać pasującą do tamtych czasów. Dopiero potem wykombinujemy, dokąd by naszych bohaterów wysłać.”

Przynieśli mi kolekcję postaci, która ucieszyłaby samego Chaucera. Była to grupa prawych pielgrzymów. Niezależnych ludzi. Jak mawiała moja babka: “samodzielną jak świnia na lodowisku”. Takich, którzy nie dadzą sobą manipulować. Usiłowaliśmy wymyślać romanse między Taką to a Takim, tyle że zaraz okazywało się, iż Taka nie ma na to najmniejszej ochoty; Taki zresztą też nie. Wszystko, na co mogliśmy się ewentualnie zgodzić, to projekt, że całą tę paczkę dokądś razem pošlemy.

“Dokąd? Na drodze do Canterbury od dawna straszny tłok, a Missisipi dławi się od tratw i zbiegłych niewolników. Polowanie na wieloryby na otwartym morzu jest całkiem nie na czasie, zaś Stracone Horyzonty na tybetańskich szczytach już dawno postradały ostrość. Znajdźmy takie miejsce, gdzie ludzie jeszcze nie byli. Może wejdźmy do jakiejś dziury! No i dobra, nareszcie wiemy, dokąd się wybieramy. Uff! Teraz zostaje nam tylko wymyślić, po co oni tam idą, co się im po drodze przytrafia i co to dla każdego z nich znaczy. No i proszę! Powieść jest już gotowa!”

“Właściwie to może nie przesadzajmy z tym co to dla każdego z nich znaczy. Takie coś to zawsze nieco śliski grunt.”

Nie zaglądałem na uniwersytet zbyt często. Nie dlatego, że unikałem uczelnianego życia, nie. Po prostu ta książka zaczęła pochłaniać mnie tak bardzo, że wszystko inne odsunąłem na dalszy plan. Spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu: o wpół do trzeciej w poniedziałki i o tej samej godzinie w piątki. Przed każdym spotkaniem czułem, że wszystko mi w środku wiruje, zupełnie jak w czasach, kiedy stawałem na macie. I to nie grupa była moim przeciwnikiem. Musiałem walczyć z jakimś nieokreślonym bezwładem. Studenci byli moją drużyną.

Po kilku miesiącach pierwszego semestru mieliśmy już rozpisaną fabułę i zacząłem rozdzielać fragmenty książki. Pisali je w domu, potem głośno odczytywali na spotkaniach. Kłopot w tym - co szybko spostrzegłem - że kawałki prozy przynoszone z domu nabierały niezdrowych rumieńców, niczym zaognione rany. Kolejne części książki wikłały się coraz mocniej, omawiało się je bez końca, poprawiało, przepisywało. Były osobiste! Kiedy usiłowaliśmy je razem sfastrygować, wychodził z tego potworek, który zachwyciłby jedynie Mary Shelley. I wtedy właśnie ustanowiliśmy trzecią zasadę: od tego momentu nie piszemy żadnej części książki w oderwaniu od innych. Siadaliśmy więc przy stole, omawialiśmy kolejny fragment powieści, dzieliliśmy go na tyle części, żeby starczyło dla każdego i ciągnęliśmy losy. Spoglądaliśmy na tablicę, żeby zobaczyć, co na kogo wypadło (doktor Jones wstaje, wychodzi na zewnątrz, spogląda w niebo, wspomina, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, przygotowuje się do dalszej drogi), potem schylaliśmy głowy nad kartkami i pisaliśmy. Żadnego gadania. Trzydzieści minut pracy i głośne czytanie. Natychmiastowy popis przed grupą kolegów. Popis umiejętności pisania, nie poprawiania. To zasadnicza różnica.

Kiedy mijało pół godziny, nastawialiśmy świeży dzbanek kawy, otwieraliśmy kolejną butelkę Caberneta, wyjmowaliśmy ten maleńki magnetofon, do którego teraz mówię, przekazywaliśmy go osobie, która pisała pierwszy fragment, i ta osoba czytała

początek nowego rozdziału. Potem przekazywała magnetofon temu, kto pisał część następną. I tak dalej, aż do końca rozdziału i do dna butelczyny. Tym sposobem taśma dla Barbary była gotowa.

Barbara Platz jest mi od dawna podporą w rozmaitych przedsięwzięciach. Barbara brała taśmę, przegrywała na swój dyktafon, który obsługiwała stopą, i przepisywała wszystko na komputer. Puszczaliśmy rozdział na drukarkę i kiedy grupa zbierała się na następne spotkanie, poprzedni rozdział był gotowy do poprawek.

O, tak, gorąco było! Ale zajęć nikt specjalnie nie opuszczał. Nie mogli sobie na to pozwolić. Pewnego popołudnia H. Highwater Powers musiał wyjść wcześniej; wzywały go obowiązki organisty. Przeczytał swój fragment jako pierwszy - poza kolejnością - i poszedł do kościoła. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, kiedy Jim Finley puścił wokół stołu kartkę z propozycją: "Ukatrupmy postać Highwatera".

Choć brzmi to okrutnie, pomysł Fineya rzeczywiście rozwiązywał nam kłopot, na który natknęliśmy się w tym stadium fabuły. Bo wiecie, to tajemnicze jezioro, które odkryliśmy w jaskini, musiało mieć jakieś ujście, bo zasilą ją podziemna rzeka, i właśnie postać Highwatera mogła...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Ken Kesey, 1989

PROLOG

Ameryka na wpół wyszła z wielkiego kryzysu i znów zaczyna odzyskiwać nadzieję. Oznaki przemian są wyraźne. Widać je wszędzie: w kolorach przyszłorocznych modeli samochodów reklamowanych w ogłoszeniach prasowych, w eleganckim kroju najnowszych strojów kobiecych, w samym wyglądzie nowej pory roku. Po raz pierwszy od wielu lat w żółknących jesiennych liściach ludzie odnajdują skrawki chwały, jaka ich niegdyś opromieniała.

Lato przyniosło liczne wieści o mrocznych wydarzeniach w Europie: o ruchach antysemickich i profaszystowskich, o ostatnim zgromadzeniu Ligi Narodów i pierwszym spotkaniu złowieszczonego niebieskookiego Fhrera Niemiec ze swoim końskoszczękim odpowiednikiem z Włoch. Lecz Europa jest daleko, za wielką wodą, Amerykanie zaś mają już dość wody. Wciąż cieszą się ze zniesienia prohibicji. Wciąż świętują. Co widać w gazetach. Na górze pierwszej strony "The San Francisco Chronicle" pyszni się dumny nagłówek: "Wre robota - otworzymy złote wrota". Nieco niżej widać inne: "Dolar idzie w górę" oraz "Bezrobocie spada" i "Policyjne pały wpędzają komunistów w opały".

W dziale filmowym królują Gary Cooper, Cary Grant, James Cagney i Shirley Temple, którzy zwabiają do kin nieprzebrane tłumy ludzi. Komik Joe Palooka okłada pięściami Bully Billy'ego Bolognę, Dick Tracy ściga Creampuffa, a kapitan z inspektorem uganiają się do upadłego za gangiem Katzenjammerów.

Dział sportowy przykuwa uwagę czytelników wiadomością o wielkim meczu na Leland Stanford Junior Farm, o meczu sezonu. Dziennikarze jak zwykle przewidują, że mecz będzie decydującym starciem między dwoma groźnymi przeciwnikami, między "Wspaniałymi Rogaczami" ze Stanford i "Dzielnymi Niedźwiedziami" z Kalifornii, i że pierwsza połowa spotkania należeć będzie do "Wspaniałych Rogaczy", a ci z Kalifornii będą musieli zadowolić się drugą.

Eleganckie hotele w San Francisco są znowu w połowie zajęte lub też - jak głoszą mniej optymistycznie nastawieni znawcy hotelarstwa - w połowie puste.

Październikowa mgła na wpół przesłania ulice, ludzkie domostwa są na wpół rozbudzone.

Jeden z wiktoriańskich domów na przedmieściach chińskiej dzielnicy, półtorej przecznicy od Stockton, wygląda tak, jakby go też podzielono na pół. Piętro jest pomalowane na typowy dla San Francisco jasnoniebieski pastelowy kolor, z białym szlaczkiem na górze. Parter jest natomiast zupełnie czarny, czarny aż do samych fundamentów. Podwórze jest ogrodzone czarnym żelaznym płotem ze szpikulcami. Na

czarnym łańcuchu w poprzek podjazdu wisi czarna metalowa tabliczka. Na tabliczce widnieje czerwony tłoczony napis: "Wstęp wzbroniony zarządzeniem policji San Francisco".

Za bramą widać ścieżkę wykładaną kamiennymi płytami. Jest porośnięta chwastami i prowadzi do kamiennych schodów. Frontowe drzwi, które czekały niegdyś na ich szczycie, są zamurowane, a cegły pomalowane na czarno, jak cały parter. Ale tuż przy schodach ścieżka skręca w prawo, biegnie przed wielką werandą wychodzącą na podjazd, potem wzdłuż żelaznego płotu, wreszcie skręca w lewo, przebija dawno nie strzyżony żywopłot i kończy się przed progiem bocznych drzwi. Drzwi, zrobione z ciężkich metalowych płyt spojonych nitami, osadzono na solidnych zawiasach. Spoiny pozieleniały ze starości, klamkę usunięto i zastąpiono potężną kłódką.

W stalowych drzwiach jest witrażowe okienko, nie większe niż duży judasz. Fasety witrażu przedstawiają anch - egipski krzyż z pętlą na szczycie. Przez wiszącą nad miastem mgłę przebija się promień porannego słońca. Promień trafia w sam środek egipskiego symbolu, wpada do wnętrza domu i biegnie zygzakiem po wykładanych dywanem schodkach, by oświetlić pomieszczenie zbudowane poniżej fundamentów - przestronną podziemną salę. Panuje w niej zastygły bezruch.

Sala ma kształt elipsy. Jej długości nie sposób ocenić, ponieważ łukowate, ozdobione sztukaterią ściany giną w mroku. Powietrze stoi, jest duszno. Wszędzie osiadła warstwa kurzu, niczym pokrowiec ochronny. Na stołach i na klepkach podłogi kurz jest upstrzony licznymi śladami maleńkich łapek.

Na blacie jednego z okrągłych stołów wymalowano alfabet. Blat jest inkrustowany mahoniem, a inkrustacje układają się w słowa: "Tak, nie i spytaj jeszcze raz". Pośrodku kręgu ułożonego z liter alfabetu widnieje złociste słońce z wyciągniętymi ramionami zamiast promieni. Symbol ten powtarza się na mozaice podłogowej.

W ściany wbudowano półki z książkami. Przy półkach i na orzechowych stołach do czytania stoją lampy w stylu Tiffany'ego. Na niektórych stołach wciąż walają się druki i szkice. Jedne są zrobione ołówkiem, inne atramentem, ale wszystkie przedstawiają tę samą scenę. Scena ta powtarza się również na licznych wycinkach z gazet i na okładkach czasopism, które oprawiono w ramki i rozwieszono w sali. Jest to czarno-biała fotografia przedstawiająca wysokiego mężczyznę oświetlonego płomieniem ogniska. Mężczyzna ubrany w bryczesy i w buty do safari stoi przed wapienną ścianą. Ściana ozdobiona jest prehistorycznymi malowidłami, prymitywnymi sylwetkami zwierząt i ludzi, poprzeplatany symbolami i znakami. Obrazy te wirują nad rozdętym cieniem

mężczyzny, łopocą niczym wielkie skrzydła i rozmywają się w mroku, poza ramkami zdjęcia. Na górze fotografii zastygły dwa dziwne cienie. Tkwią naprzeciwko siebie i są niewyraźne, bo uwieczniono je w ruchu. Wyglądają jak nietoperze. A może to tylko paproch na soczewce obiektywu? Ze szkiców i druków ten rozpraszaający uwagę szczegół usunięto.

Nagle z ulicy dochodzi stłumiony odgłos uderzenia. Odgłos burzy ciszę i bezruch sali. Z dziury w zdobionej sztukaterią ścianie wybiega mysz. Przemyka wzdłuż cokołu, skręca i zmierza w stronę przeciwległej ściany. Ale zatrzymuje się pośrodku sali, zdezorientowana dziwną smugą światła wpadającą przez okrągłe okienko w drzwiach. Zatrzymuje się i zmieszana mruga. Bo do jej królestwa światło dochodzi rzadko, bawi tu tylko kilka dni w roku, kiedy promienie październikowego słońca zaglądają przez witrażowe okienko w drzwiach.

Kiedy oczy przywykają do nowych warunków, zwierzę dostrzega drugi koniec sali. Mysz stoi jak zahipnotyzowana i wylupiastymi, okrągłymi niczym kamyczki ślepkami podziwia to, co przed sobą widzi. Na wklęsłej ścianie, niczym malowidło na wewnętrznej stronie skorupki jajka, dominuje zawiły fresk. Jest niemal lustrzanym odbiciem fresku z fotografii, z tym że usunięto z niego owe niewyraźne, rozmazane ruchem kształty, a mężczyznę w bryczesach zastąpiono egipskim anchem.

Z ulicy dochodzi inny dźwięk. To pierwszy tego ranka tramwaj, synkopujący śpiewnym dzwonkiem. Przestraszona mysz rusza naprzód, przecina salę i znika w jakiejś dziurze.

Dzwonek dzwoni jeszcze raz i przed domem, pod żywopłotem, wybrzusza się sterta koców. Wybrzusza się i pęka wypływając z siebie głowę pokrytą zmierzwionymi włosami i pomarszczoną twarz. Włosy są siwe, twarz sinawoniebieska. Mężczyzna klęka, wspiera się wolno na rękach i boleśnie kręci głową. Trzeszczy mu w barkach, strzyka w szyi. Zaczyna drżeć i pokasływać. Kaszle długo, po czym spluwa przez bramę w stronę ulicy.

Czeka na czworakach, aż dreszcze ustaną, wtedy sięga ostrożnie za żywopłot i wydostaje stamtąd wiekowy, zniszczony futerał ze skóry. Rozpina ściskający go pasek, otwiera wieko i zerka do środka.

- Dzień dobry - szepcze.

Jego głos przypomina szum wiatru wiejącego w suchych chwastach, lecz udręczona twarz się wypogadza. Mężczyzna przemawia do swego kornetu.

- Dzień dobry - powtarza pocierając srebrzysty kielich instrumentu. Obok kornetu odkrywa do połowy opróżnioną paczkę papierosów, co sprawia, że czuje się jeszcze lepiej. Zamyka futerał i przypala pogiętego papierosa.

Zaciąga się ostrożnie, próbując otrzeźwieć po śnie. Dręczy go jakaś mglista, wystrzępiona myśl. Wczoraj ktoś mu chyba coś powiedział. Tak, powiedział mu o czymś, co powinien zrobić dzisiaj... Męczyzna myśli, ale wysiłek grozi nowym atakiem kaszlu, więc myśleć przestaje. Umysł stopniowo wypełniają mu przyjemne fragmenty wspomnień z wczorajszego wieczoru, co ukaja go jeszcze bardziej. The Sugarfoot Stomp, Benny Goodman, Gene Krupa - w sali balowej Colonial. To było wczoraj? Co za różnica. Bez względu na to kiedy grali, kapelę mają jak się patrzy. Kto by pomyślał, że biali mogą tak dawać czadu. Czadu, czadu, czadu! A ten Krupa, ten Krupa rznął na bębnach jak szalony, walił w nie jak dzikus w tam-tamy! Oczywiście Goodmana nikt nie pobije, na kornecie jest wciąż najlepszy, i wśród białych, i wśród czarnych. No i te puzony. Bardzo dyskretne. Tak, dyskretne i płynne. Potrzebują tylko jednej ostrej trąbki. Albo jeszcze lepiej kornetu. Gdyby stary Juke poćwiczył z miesiąc czy dwa, na pewno by im dorównał i zagrał w Palomar. Ale najpierw... Otwiera futerał, przesuwa palcami po instrumencie i z jego kielicha wyciąga brudną torebkę z chińskiego jedwabiu, związaną złotą tasiemką. Torebka sprawia wrażenie sflaczałej i pustej. Tak, najpierw trzeba pójść do starego Mao Tsu po świeży zapas domieszki do astmatoru. A potem do Palomar. W Los Angeles też są niezłe kapele. No i jeszcze w chińskiej dzielnicy. Dasz radę, Juke, załapiesz się, powtarza sobie z nadzieją. Tak, dasz radę, stary..

Gdyby tylko mógł przypomnieć sobie to coś, co miał zrobić przedtem...

1. Zwolnienie i pierwsze spotkanie...

Wiele przecnie dalej, w kiszkowatej zakrystii, ojciec Paul D'Angelo żywił nadzieję, że uda mu się naprawić zniszczony kielich. Naczynie było mocno pogięte; kiedy ksiądz umieszczał je w mszalnym przyborniku, pasek ledwo objął asymetryczną krzywiznę kielicha.

- Powyginany na dziesiątą stronę... - mruknął pod nosem ojciec Paul.

Rano nowy ministrant zamknął Biblię i nie zauważywszy, że między jej kartki dostał się róg obrusa wyściełającego ołtarz, odwrócił się, żeby odejść. I ściągnął na ziemię cały kram. Kielich grzotnął o podłogę.

Ojciec Paul westchnął, dotknął kielicha i namacał jeden ze zdobiących go kamieni. Był poluzowany. Ksiądz nie miał czasu, żeby naprawić to od ręki. Przez kilka dni będzie zbyt zajęty, bo jeszcze przed niedzielą wszyscy wyruszą do jaskini. Spoglądał ze smutkiem na okaleczony kielich. Dostał go od matki w dniu przyjęcia święceń. Musiała wydać na to nieliczną fortunę, bo kielich był z litego osiemnastokaratowego florentyńskiego złota. Dlatego tak łatwo się giął - był miękki i czysty, jak ludzka dusza. Ojciec Paul uśmiechnął się myśląc o woli bożej i o teorii, że nic nie jest kwestią przypadku. Może ten poranny wypadek był znakiem, wystrzałem pistoletu startowego oznajmiającym, że podróż już się rozpoczęła? Kiedy kielich upadł na podłogę, księdzu przeszły po grzbiecie ciarki. Miał nadzieję, że święte naczynie będzie jedyną ofiarą całego przedsięwzięcia.

Zaczął zdejmować ciężki pozłacany ornat. Robił to wolno, niespiesznie. Powiesił go starannie w szafie. Później zdjął albę i humerał, a na końcu stułę, wąską białą szarfę ozdobioną na końcach haftowanymi krzyżami. To jedyny element stroju, jaki ksiądz musi nosić podczas nabożeństwa. W przeciwieństwie do reszty szat, stuła nie była własnością kościoła. To jeszcze jeden podarunek od matki; dała mu ją w dniu przyjęcia święceń kapłańskich. Uniósł do ust ciężki krzyż z damasceńskiej stali i pocałował go szepcząc słowa modlitwy:

- Panie, włóż na mą głowę szyszak zbawienia, bom odpierał ataki złego. Amen.

Złożył stułę i umieścił ją w małej walizeczce. Potem stanął przy umywalce, sięgnął przez wiszącą pod nią zasłonkę i wydobyl jutowy woreczek z nie błogosławioną hostią oraz butelkę przedniego benedyktyna - zakonni bracia zawsze twierdzili, że ichniejszy trunek jest najlepszym zabezpieczeniem przed trudami podróży. Umocował ją w walizeczce, obok kielicha, po czym między dwoma naczyniami ostrożnie umieścił hostię i całun do kielicha. Złożył go starannie, zasłaniając butelkę, a na wierzch dorzucił mszał. Zamknął walizkę, zatrzasnął trzy małe zapięcia, wyprostował się i jeszcze raz powiódł wzrokiem po zakrystii.

Odczuwał jakieś grzeszne podniecenie, jak dziecko idące na wagary. Oczywiście wróci tu zaraz po wyprawie z Loachem, a kiedy wróci, zapłaci za wino. A potem naprawi kielich. Tak, tej sprawy nie można tak zostawić. Zanieś go do jubilera zaraz po powrocie. Tak jest, natychmiast, nie zwlekając.

Wiedział, że tak zrobi, mimo to czuł się... dziwnie. Może gnębiło go poczucie winy? Może widział w tym jakiś grzech? Wiedział też, że jego samopoczucie ma coś wspólnego z doktorem Loachem. Czyżby wypierał się słowa bożego? Czyżby przedkładał nad nie słowo Loacha? Nie. Loach był barankiem bożym w niedoli. Siedział w więzieniu, a ojciec Paul przynosił mu tylko książki, opowiadał o tym, co działo się za murami i w towarzystwie strażników grywał z nim w pokera, nic więcej. W dodatku grywał nie na pieniądze, a na papierosy, chociaż ani on, ani Loach nie palą. Lecz mimo to owo dziwne samopoczucie wciąż go nie opuszczało. Narastało w nim w miarę upływu dni, jakie pozostały Loachowi do końca kary, a dziś rano, kiedy kielich spadł z ołtarza, kiedy przez katedrę przetoczyło się echo jego upadku, sięgnęło dramatycznego zenitu, niczym pełna napięcia scena w filmie.

Znów potoczył wzrokiem po zakrystii i postanowił wziąć jeszcze jedną butelkę. Dla dyrektora Duffy'ego, na znak pokoju. Wreszcie odwrócił się zdecydowanie i ruszył w stronę małego portalu prowadzącego do ołtarza. Otworzył masywne spiżowe drzwi katedry i z uśmiechem na ustach wyszedł na świeże powietrze. W złotych oprawkach okularów zagrały świetliste promienie, a gładka twarz ojca Paula błyszczała w słońcu niczym oblicze aniołka na świętym obrazie.

Jego stary Plymouth był już zapakowany, gotowy do drogi. Ojciec Paul sięgnął do kieszeni i zanim odnalazł kluczyki, namacał palcami kamień z uszkodzonego kielicha. Siadł za kierownicą, uruchomił samochód, wyregulował ssanie. Czekał, aż silnik się rozgrzeje, zajrzał do teczki leżącej na siedzeniu pasażera. Były w niej wszystkie niezbędne dokumenty. Nienagannie ułożone, wymagały tylko podpisu dyrektora Duffy'ego. Wyjechał z parkingu bez oglądania się na katedrę. Za nim, na wzgórzu, zabrzmiały dzwony zwołujące wiernych na nieszpory.

- Mam nadzieję, że w więzieniu nie będzie żadnych niespodziewanych trudności - powiedział skręcając w Guerrero, w stronę przystani promowej. - Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku...

Dyrektor Duffy chodził nerwowo po gabinecie na trzecim piętrze więzienia San Quentin i żywił nadzieje wprost przeciwne. Lecz na próżno. Telegram z Sacramento wyraźnie to potwierdzał. Przeczytał wiadomość dwa razy, ciężko westchnął, po czym przycisnął kciukiem guzik interkomu.

- Obudź Loacha. Powiedz mu, że przyszło potwierdzenie zwolnienia warunkowego. Od samego gubernatora, niech go szlag. Wydadź mu ciuchy i zadzwoń do depozytów. Niech mi tu przyślą jego pudełko. Jak tylko przyjedzie ksiądz, będę musiał sukinsyna wypuścić.

Dyrektor zdjął koszulę i wszedł za rząd szafek z kartotekami, gdzie w rogu stała umywalka. Już się dzisiaj golił - rano, o świcie, w swoim domu w Larkspur - ale coś mu kazało ogolić się jeszcze raz. A może wziąć świeżą koszulę z pralni? I jeszcze nałożyć ten cholerny krawat? - pomyślał z kwaśną miną, ostrząc na pasku brzytwę.

Mimo sławy, jaką przyniosła mu jego kampania na rzecz reformy systemu więziennictwa, dyrektor Duffy nie uważał się za człowieka próżnego. Choć tkwił w centrum zainteresowania publicznego, choć obsypywano go pochwałami, choć prasa obdarzała go niezliczonymi przydomkami - nazywano go między innymi "świętym z San Quentin", "egomaniakalnym geniuszem" oraz "półbogiem" - wciąż uważał się za szarego człowieka, który wbrew wszelkim trudnościom zdołał wejść na sam szczyt. Żeby choć wymyślił jakąś nową teorię dotyczącą reformy systemu więziennictwa. Ale nie, owe teorie nie były jego autorstwa, były logicznym efektem pracy całej rzeszy wnikliwych penologów rozsianych po kraju, którzy wymyślali je nie w przebłysku genialnego olśnienia, lecz pod presją zmieniających się czasów. Prohibicja napełniła więzienia penitencjariuszami nowego rodzaju, miękkimi, wygadnymi i podatnymi na zło amatorami, których wrzucono do cel razem z twardymi, doświadczonymi weteranami. I bez przebłysku genialnego olśnienia każdy widział, że ofiary "ryczących lat dwudziestych" potrzebują znacznie troskliwszej opieki. Ale szczerze mówiąc, w całej swojej wieloletniej karierze penitencjarnej Duffy spotkał tylko jednego, jedyne go człowieka, który był na tyle próżny, żeby się za taką ofiarę uważać - i za kilka minut ten właśnie więzień wyjdzie stąd jako wolny człowiek.

Dyrektor wytarł twarz i w podkoszulku, z szelkami dyndającymi wzdłuż chudych ud, podszedł do biurka. Na zawalonym papierami blacie leżała otwarta żółta koperta. Duffy pochylał się nad głośniczką interkomu i mokrym palcem wcisnął guzik.

- Pralnia? Mówi dyrektor. Przyślijcie mi czystą koszulę i krawat, granatowy. I wydajcie Loachowi ubranie, jeśli zechce. Nie pamiętam, w czym do nas przyszedł...

Dwadzieścia minut później, umyty, ogolony, w świeżej białej koszuli, Duffy czuł się znacznie lepiej. Może ubranie nie całkiem czyni człowieka, ale zważywszy wszystkie "za" i "przeciw", miał wiele dowodów na to, że brak odpowiedniego ubrania może człowieka skutecznie odczłowieczyć. Dziesięć dolców na tanie ciuchy to dla rządu mniejsza strata niż stówa wydana później - nie licząc kosztów związanych z ponownym zamknięciem nieszczęsnego sukinsyna. Podobnie jak darmowe wydawanie tytoniu penitencjariuszom

doprowadziło do znacznego złagodzenia starego zwyczaju dzielenia więźniów na “ludzi” i “dupków”, akcja wydawania darmowych ubrań przy opuszczaniu zakładu karnego spowodowała istotny spadek liczby recydywistów. Większość dużych więzień w kraju szła teraz za przykładem San Quentin. I nawet jeśli do Duffy'ego przyłgnęło miano dyrektora miękkiego i zbyt liberalnego, była to reputacja, z której szef San Quentin czuł się coraz dumniejszy.

Zarządzenie gubernatora wciąż czekało na samym wierzchu sterty papierów, ale Duffy nie mógł go jakoś podpisać. Ale właściwie dlaczego? Co miał przeciwko temu Loachowi? Ni cholery, naprawdę ni cholery. Jednak dokumentu podpisać nie chciał. Nie, jeszcze nie.

Jęknął, odsunął na bok formularz i otworzył żółtą kopertę. Jak na sześć lat pobytu Loacha w San Quentin jej zawartość była nader szczupła. Żadnych skarg, żadnych zażaleń, żadnych pisemnych próśb o specjalne przywileje, o jakie zwracała się większość więźniów po odsiedzeniu ledwie kilku miesięcy - a to o inną dietę, a to o lekarstwa, a to o zmianę celi. W papierach Loacha nie było nawet prośby o zmianę celi. A przecież, nie licząc oczywiście “dołka”, Loach siedział w najgorszej celi w całym San Quentin, w celi, którą i strażnicy, i penitencjariusze nazywali “pochyłką”.

Była tak mała dlatego, że pierwotnie zamierzano tam urządzić coś w rodzaju pakamery. Zbudowano ją pod schodami, przez co sufit szedł skosem i w najniższym miejscu człowiek normalnego wzrostu nie mógł się wyprostować bez pochylania głowy. Była wystarczająco niewygodna, żeby lokować w niej więźniów za drobne wykroczenia przeciwko regulaminowi - za gromadzenie i przechowywanie żywności, za nielegalną grę w karty - żeby umieszczać w niej za karę tych, którzy nie zasłużyli na “dołek”. I po mniej więcej miesiącu w “pochyłce” przyrzekali zwykle, że więcej nie zblądzą, byleby tylko pozwolono im znowu rozprostować plecy.

Natomiast Loach - prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu w skarpetkach - nie biadolił i nie pochlipywał. Duffy wsadził go do “pochyłki” już pierwszego dnia. Nie żeby więzień popełnił jakieś wykroczenie, ale i nie bez pewnej złośliwości. Otóż dyrektorowi nie podobało się to, co o Loachu czytał, zanim skazany popełnił morderstwo, jak również i to, co czytał o nim po procesie: rozdzierające serce listy od staruszek zamieszczane w gazetach, listy do redakcji, listy do samego diabła. Po prostu faceta nie lubił, i tyle! Nie podobał mu się sposób, w jaki Loach stał, wyszukany sposób, w jaki mówił. Nie cierpiał tego słynnego przeszywającego spojrzenia jego oczu i nie mógł patrzeć na zdjęcia tego sukinsyna ukazujące się przed procesem w działach plotkarskich niemal

wszystkich gazet w kraju. Nie cierpiał tego, i już. Loach był mordercą, mordercą, który wyszedł na wolność za kaucją i czekał na proces, do ciężkiej cholery! Żaden z niego gwiazdor wracający do miasta po skandalizującym weekendzie! Gość skręcił kumplowi kark gołymi rękami, a pismaki i gryzpiórki wynoszą go na ołtarze i traktują jak jakiegoś bohaterskiego mściciela. A te wszystkie artykuły na temat szlachetności jego postępu? Tanie gówno!

Tak więc Loach był przyszczem na tyłku dyrektora na długo przed pierwszym spotkaniem twarzą w twarz. A kiedy się wreszcie spotkali, szarlatan Charlie i on, Duffy - do spotkania doszło tu, w dyrektorskim gabinecie, sześć lat temu - Duffy z rozczarowaniem stwierdził, że człowiek, którego przez te wszystkie gazety tak znienawidził, wcale nie wygląda na szarlatana. Wprost przeciwnie. Owszem, promieniowała z niego swego rodzaju duma, ale nie był człowiekiem afektowanym czy aroganckim. Był przystojny, wysoki, szeroki w barach, ale bynajmniej nie wyniosły i butny. Kiedy Duffy oznajmił, że Loach będzie musiał rozpocząć odsiadkę w pomieszczeniu, hmm, no cóż, raczej ciasnym - do czasu, aż zwolni się koja w normalnej celi - szarlatan Charlie uśmiechnął się przyjemnie, wzruszył ramionami i powiedział:

- Cokolwiek pan rozkaże. Jestem pewien, że będzie mi wygodnie.

Ta gładka, zdawkowa odpowiedź rozwścieczyła Duffy'ego. "Będzie mi wygodnie." A to sukinsyn, no. Jakby wiedział o czymś, o czym nie wiedział nikt inny, jakby przydawało mu to hardości! No dobra, panie hardy - powiedział sobie Duffy czerwieniąc się jak burak, zobaczymy, jak długo będzie ci wygodnie. Posiedzisz sobie zgięty w scyzoryk dziesięć godzin dziennie i zobaczymy, jak będziesz śpiewał za miesiąc czy dwa.

Ale Loach się nie skarżył, a poczucie wstydu i rozdrażnienia już Duffy'ego nie opuściło. Ba, kiedy parę tygodni później dostarczono mu wojskowe akta Loacha, pogłębiło się jeszcze bardziej. Facet był bohaterem wojennym, cholera! Dostał trzy medale, w tym jeden od samego Pershinga! Tylko ostatni głupiec nie wykorzystałby tego podczas procesu. No tak, facet przyznał się natychmiast i wszyscy myśleli, że dostanie tylko po łapach, jak za zabójstwo w afekcie, więc może pomyślał, po cholere od razu wymachiwać tymi medalami. Nawet prokurator okręgowy nie spodziewał się, że sędzia uzna to za morderstwo drugiego stopnia i wlepi mu dwadzieścia lat odsiadki. Dwadzieścia lat! Pewnie dlatego, że nie ufał Loachowi tak samo jak ja, pomyślał Duffy.

Znów jęknął, opadł na fotel za biurkiem i sięgnął po stary wycinek prasowy. Chociaż znał go prawie na pamięć, przeczytał jeszcze raz:

Zdjęcia - Chick Ferrell. 24. 10. 1928. Sąd okręgu San Mateo.

Po zaledwie dwudziestominutowym namyśle sędzia Winston B. Loy wydał zaskakująco surowy wyrok na oskarżonego doktora teozofii Charlesa O. Loacha - dwadzieścia lat w stanowym więzieniu San Quentin.

Ludzie tłumnie zgromadzeni w sali sądowej byli boleśnie zaszokowani. Członkowie Stowarzyszenia Doktora Loacha głośno protestowali, niektórzy z nich płakali. Siostry Mona i Ramona Makai, znane spirytystki, wpadły w trans i mówiły językami.

Doktor Loach, który na początku procesu prosił, by sąd potraktował go zgodnie z zasadą *nolo contendere*, był nieporuszony. 3 września ten uznany okultysta zgłosił się dobrowolnie na policję w San Francisco i wyznał, że zabił niejakiego P. L. Beamanna, swego kolegę i członka Stowarzyszenia.

Dwa lata temu Beamann, znany impresario i fotograf z Las Vegas, towarzyszył Loachowi podczas słynnej “wyprawy jaskiniowej” jako dokumentalista. Jego zdjęcia przedstawiające wysokiego badacza stojącego przed ozdobioną malunkami ścianą w “tajemniczej grocie” spowodowały, że cała światowa prasa i ludzie nauki zwrócili oczy na doktora Loacha.

Loach nie zdradził lokalizacji swego znaleziska ani też nie wrócił do jaskini. Mieszkał w domu sióstr Makai, gdzie miało miejsce zabójstwo.

Doktor Loach twierdzi, że “wiązała go święta przysięga milczenia” złożona w jaskini, przysięga, która miała zapobiec ujawnieniu jej lokalizacji. Zeznał, że do zabójstwa doszło w “napadzie szału”, kiedy Beamann oświadczył, że opublikuje w gazetach mapy wskazujące drogę do jaskini.

Koroner okręgu San Mateo zeznał, że Beamann miał skręcony kark, że wyglądało to tak, jakby jego szyja została zmiażdżona “w paszczy jakiegoś olbrzymiego psa”. Kiedy spytano o to oskarżonego, Loach, mężczyzna bardzo postawny, odparł: “To było tak, jakbym przemienił się nagle w Cerbera, w psa-strażnika podziemnego świata starożytnych Greków”.

W ognistej przemowie motywującej wyrok sędzia Loy pozwolił sobie na pełną złości aluzję do tej metafory twierdząc, że: “Ludzie nie są psami. Człowiek nie zabija drugiego człowieka z powodu starych kości zagrzebanych w ziemi”.

Doktor Loach nie odpowiedział. Uśmiechnął się, pomachał ręką swoim płaczącym zwolennikom, po czym wyprowadzono go z sali. Rozważa się możliwość wniesienia apelacji.

W wypadku skazanych za morderstwo drugiego stopnia prośby o zwolnienie warunkowe, motywowane nienagannym zachowaniem podczas odbywania kary, rozważa się po upływie ośmiu lat od chwili wydania wyroku.

Duffy roześmiał się. Nienaganne zachowanie to za mało powiedziane. Przez sześć lat ten sukinsyn zachowywał się tak, że można go było uznać za świętego! To mu przypomniało, że za chwilę przyjedzie ojciec Paul, a on wciąż siedzi bez krawata. Znów zadzwonił do pralni, a potem zaczął porządkować papiery.

Nie dlatego, że księdza obchodziło, jak wygląda jego biurko czy ubranie, nie. Znali się z ojcem D'Angelo od wielu lat i Duffy doskonale wiedział, że pod wieloma względami Paul jest człowiekiem jeszcze bardziej nieporządnym i mniej konwencjonalnym niż on. Kiedyś, dawno temu, u świętego Franciszka, nieraz tego pili i od tego czasu spotykali się, kiedy to tylko było możliwe. Jak by na to nie patrzeć, koledzy z nich po fachu, bo obaj zajmowali się zbawianiem zbłąkanych owieczek. Tu, w dyrektorskim gabinecie Duffy'ego, często rozprawiali o marnym losie wielu nieszczęśliwych przebywających na zwolnieniu warunkowym. Przez te wszystkie lata Duffy oddał Paulowi pod opiekę sporą gromadkę więźniów, tych na warunkowym. Z niektórymi się udało, z innymi nie, ale nie wiadomo dlaczego ten dzisiejszy, ten Loach, od początku był dla nich kością niezgody. Duffy to podświadomie czuł i wbrew sobie często ogarniała go z tego powodu gorycz. Paul był zawsze czysty i niewinny, naiwny niczym złotowłosy ministrant, którego wciąż przypominał, i zawsze wierzył, że w każdym człowieku tkwi dobro. Taki już był ten Paul. Ale dać się tak omamić temu jasnookiemu szarlatanowi? Duffy aż kipiał z wściekłości! A Paul wypisywał dziesiątki listów, odwołań, wnosił petycje, spędzał z Loachem niezliczone godziny, siedząc na skrzynce i grając z nim w pokera przez kraty celi. Niegdyś spędziliby te godziny razem, tu, w dyrektorskim gabinecie, sącząc benedyktyna i roztrząsając ważne problemy wynikające z doktryn kościoła katolickiego. O IRA, o Mussolinim - o tym by rozmawiali. Albo o dzielnych chłopcach z tegorocznej drużyny piłkarskiej z katedry Notre Dame.

Tak, szlag by to... - westchnął. To zazdrość. A najbardziej doskwierało mu to, że był zazdrosny o więźnia, o jakiegoś cholernego Irlandczyka, o tego pieprzonego przystojniaczka łamiącego ludziom karki, o tego postawnego jasnookiego artychę, niech go wszyscy diabli. Na biurku zaskrzeczał głośniczek interkomu.

- Przyszedł ojciec Paul. I jeszcze jedno, panie dyrektorze. Chodzi o tego Loacha. Wie pan co? On nie chce swoich ciuchów. Mówi, że już na niego nie pasują. Darmowych wyjściówek też nie chce.

- Ach tak? - Duffy poczuł, że twarz mu płonie. - A to dlaczego? - Mówi, że wyszły z mody. - Tak powiedział? - Słowo w słowo. Zostawić mu niebieski mundurek?

- Jak chce, niech sobie wychodzi nawet na golasa, mam to w dupie. Przygotujcie sukinsyna do wyjścia, i tyle. I dawaj tu ojca Paula.

- Już poszedł na dół, panie dyrektorze.

- Już poszedł... A dokąd?

- Do "pochyłki", jak zwykle. Powiedział, że Loach może go potrzebować przy wynoszeniu książek i różnych takich...

Duffy wcisnął guzik, wyłączył interkom i opadł na skrzypiący fotel. Zza krat okna dochodziło melancholijne wycie syreny holownika ciągnącego barkę ze śmieciami i krzyk mew lecących na spotkanie kutra wypływającego na otwarte morze. - Wyszły z mody - mruknął. - Chryste Panie...

2. Gaby i smok, Rodney i Chick... Loach otwiera świątynię i odnajduje broszkę...

Gabriela wyszła z dworca i ruszyła spieszenie aleją Mission. Dopiero wtedy obudziła się na dobre i zdała sobie sprawę, dokąd przyjechała.

Jednego była pewna: odczuwała cholerną ulgę, że wreszcie wysiadła z tego parszywego Greyhonda. Jak tylko wielki autobus się zatrzymał, przelazła przez śpiwór leżący na sąsiednim fotelu i przepchnęła się do wyjścia, dysząc jak niedoszła topielica. Po całej nocy, kiedy autobus buczał monotonnie, połykając ciemność i przestrzeń, zamknięte w kabinie powietrze było nieświeże, zużyte, jak tych dwóch biednych pijaczków, którzy wdychali je od Los Angeles. Gdyby mieli do pokonania jeszcze sto kilometrów, kierowca odkryłby, że zamiast pasażerów wiezie bandę zmumifikowanych wywłoków.

Kiedy szła, miała lekkie majaki. I trochę ją mdliło. Przez drugą część podróży nie tyle spała, co dusiła się, wydzielając sobie racje krótkich płytkich oddechów, dopóki nie opuściła jej świadomość. Teraz szła szybko, pompując w siebie świeże, mgliste powietrze. Kiedy przejaśniło się jej w głowie, zdała sobie sprawę, że wróciła do San Francisco.

Zwolniła kroku i na najbliższym rogu skrzyła w lewo. Szła teraz w stronę Market Street, wciąż nie wiedząc, dokąd idzie, ale każda ulica była lepsza niż Mission. Do alei Mission nadzieja jeszcze nie dotarła - należała do jednego z tych miejsc, których kryzys gospodarczy nie opuści już chyba nigdy. A Gaby wiedziała, że kryzys rodzi kryzys. Tak, można go złapać jak grypę. Śpiwory na progach domów wyglądały jak ofiary tej samej plagi, od której uciekła wysiadając z wielkiego Greyhonda. I śmierdziały tak samo. Stacja końcowa ludzkości. Była jedyną kobietą w autobusie i jej ubranie i włosy przesiąknęły panującym tam smrodem. Niczym perfumami dla ubogich, dla żebraków, dla ludzi z dna nędzy. - Gaby - powiedziała do siebie głośno, przywołując na twarz swój najbardziej zacięty uśmiech - zawsze mówiłaś, że chcesz być chłopakiem. Śmierdzisz teraz jak majtki zapaśników po meczu, śmierdzisz tak, że już nigdy tego smrodu z siebie nie zmyjesz. Nie mówiąc już o tym, jak śmierdzisz tam, no wiesz, gdzie oko nie sięga, dodała w myśli, nie przestając się uśmiechać.

Skręciła w Market Street. Kiedy przechodziła obok ładnego, czystego sklepu z obuwem, zatrzymała się i zapaliła papierosa. Udawała, że ogląda najnowsze modele damskich butów. W sklepie nie dostrzegła żadnego klienta. Było za wcześnie - przed południem kobiety rzadko kupują buty. Sprzedawca zerknął na nią podejrzliwie przez szybę wystawową, ale Gaby nie odeszła. Palila i marszcząc brwi przypatrywała się szkarłatnym pantofelkom wieczorowym i sandałom bez palców. Nie wiedziała, co robić, nic

jej nie przychodziło do głowy. Iść do świątyni? O tej porze? Bez sensu. Nawet jeśli starzy członkowie Stowarzyszenia już tam są, nikt nie otworzy drzwi, dopóki nie zjawi się doktor i do nich nie przemówi. Taką zawarli umowę. A w gazetach pisali, że oficjalnie wypuszczą go dokładnie minutę po dwunastej w południe. Poza tym już na samą myśl o tej koszmarnej podziemnej sali przechodziły ją ciarki. Nawet teraz, nawet po sześciu latach.

Mogła pójść do sióstr, na Montgomery - w telegramie nalegały, żeby się u nich zatrzymała - ale nie chciała gadać z tymi dwiema czarownicami. Nie o tej porze, nie teraz, kiedy jest tak skołowana i osłabiona, nie z tą gulą mrocznej niepewności w żołądku. Pamiętała, że potrafią dać człowiekowi do wiwatu nawet wtedy, gdy jest wypoczęty, gdy tryska humorem.

I nagle, kiedy marszcząc czoło udawała, że ogląda parę upiornych żółtawych szpilek, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Tak, już wiedziała, co robić. Zdała sobie sprawę, że planowała to od chwili, kiedy kupowała bilet z nadrukiem "San Fran". Nie myślała o tym tylko dlatego, że denerwowało ją to jeszcze bardziej niż perspektywa spotkania z siostrami i narada w świątyni.

Wzruszyła ramionami. Do diabła, przecież trzeba jakoś zabić czas, więc dlaczego nie pójść na całość?

Od niedopałka przypaliła następnego papierosa i postukując obcasami, z szerokim uśmiechem na twarzy, ruszyła przed siebie. Kiedy dotarła do ulicy Grant, przeszła pod szkarłatnymi arkadami i znalazła się w chińskiej dzielnicy. Nie była pewna, gdzie to jest, ale wiedziała, że nie będzie musiała szukać. Szła dalej, dopóki nie zagroził jej drogi maleńki człowieczek, który wyslizgnął się zza zdobionych ornamentami drzwi.

- Tssst! - zasyczał jej do ucha jak żółty wąż. - Chcieć niebieska czapla na ramię? Trzy dolar?

- Spadaj! - odsyknęła i człowieczek zniknął w swoim sklepiku wypełnionym kolorowymi rysunkami, niczym bohater niedzielnego komiksu wessany do gazety.

To on, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Minęło już prawie osiem lat, ale to na pewno tu. Można pomyśleć, że ten mały diabełek cały czas czekał, czekał właśnie na nią. Szła dalej, teraz już nieco wolniej, z nadzieją, że wygląda jak zwyczajna turystka rozglądająca się na wszystkie strony, badająca mroczne szczeliny tajemniczego orientu. Tak naprawdę to nigdy tej dzielnicy nie lubiła, bo zdawało się, że im słońce wędruje wyżej, tym większy panuje tu mrok. Upiorne zjawisko. Tak samo jak na wysadzanych palmami uliczkach Beverly Hills albo na tarasach tych koszmarnych akademików w Pasadenie. Szła przed siebie, dopóki nie przebiegł jej drogi wielki kocur o wyglądzie starego lubieżnika.

Czarny. To przesądziło sprawę. Nie było sensu uciekać. Skoro miała zagrać w pokera z przeznaczeniem, równie dobrze mogła rozdawać karty. Nie dochodząc do miejsca, którądy przebiegł kot, zawróciła i postukując obcasami ruszyła z powrotem do sklepiku wypełnionego kolorowymi wzorami tatuaży. Nie żeby tam wejść, nie, chciała tylko popatrzeć. Kto tu mówił o wchodzeniu do środka? W oknie wisiała wyblakła chińska lampa. Po szybie ozdobionej czerwonymi i złotawymi deseniami wił się wielki zielony smok. Pamiętała, że czarne piktogramy wymalowane nad smokiem oznaczają słowo "Tatuaże". Charles jej to powiedział. Powiedział jej też, że nie będzie bolało, i mu uwierzyła. Ostatecznie był doktorem, nie? Zajrzała do środka przez smocze okno. Maleńki pokoik wypełniały niezliczone wzory i tablice, wszystkie dwuwymiarowe. W głębi zobaczyła czarną zasłonę ozdobioną chińskimi symbolami. Wiedziała, co za nią czyha: ten mały gad z igłowatymi szponami, które potrafią wkłuć w skórę każdy obrazek. Smok we własnej osobie. To właśnie skojarzenie z gadami przyciągnęło jej uwagę. Wtedy, prawie osiem lat temu. Kiedy mijali z Charlesem ten sklepik, zatrzymała się, żeby obejrzeć malowidło na szybie.

- Widzę, że podobają ci się takie rzeczy - powiedział.

- Miałam nadzieję, że to zauważysz - odrzekła. - Od lat nie mogę się o to doprosić. Wszyscy mężczyźni w ich trupie - niektóre kobiety też - mieli przynajmniej po jednym tatuażu. Ale nie mama. Mama uważała się za kobietę zbyt filigranową, żeby pozwolić sobie na tak męską ozdobę. Nie miała nawet przekłutych uszu. - Który byś wybrała? - Ten zielono-złoty. - A gdzie byś chciała go mieć?

W szybie ujrzała jego odbicie. Uśmiechał się do niej. Chciała mu powiedzieć, ale wtedy nie miała jeszcze czternastu lat i żaden tatuaż by się tam nie zmieścił.

- Chciałabym mieć to cholerstwo tutaj - odparła. Uniosła lewą nogę i dotknęła stopy tuż nad kostką.

- W takim razie, cóż... - rzekł sięgając nad jej ramieniem do klamki. - Chodźmy. Zapowiedział ich złoty dzwoneczek u drzwi. Zza zasłony wyszedł artysta. Uśmiechał się i głośno posapywał. Sprawiał wrażenie szczęśliwego, że ktoś wreszcie do niego zawitał i że może na kogoś posykiwać. Gaby stała i zadziwiona przysłuchiwała się, jak Charles rozmawia z maleńkim człowieczkiem... chyba po chińsku. Człowieczek słuchał i z szacunkiem kiwał głową. Po chwili Charles wziął Gaby za ramię.

- Jesteś pewna, dziecinko?

Wciąż jej nie wierzył, wciąż oczekiwał, że się z tego wycofa; poznała to po jego uśmiechu.

- No jasne, że jestem pewna! Ale chcę takiego maleńkiego. Nie takie szkaradztwo, jakie masz na piersi.

Jak liczni żołnierze piechoty, wuj Charles kazał sobie wytatuować amerykańską flagę. Owszem, Gaby chciała być jedną z nich, należeć do zespołu, ale wyglądać jak weteranka jakiejś zamorskiej wojny? Nigdy. Charles wzruszył ramionami.

- No dobra, to idź. Nie masz jeszcze osiemnastu lat, ale powiedziałem mu, że jestem twoim prawnym opiekunem.

I tak zaczęła nazywać go wujem Charlesem. Zaciskając zęby i pięści, położyła się na długim stole. On stał w jej nogach i obserwował cały proces z uwagą i wnikliwością lekarza. Ani razu nie dodał jej otuchy. Tylko patrzył, patrzył bez słowa, tymi swoimi oczami palącymi jak suchy lód. Był cichy i spokojny, jak na niego. Zdała sobie sprawę, że jest taki już od wielu dni, od chwili, kiedy wyjechali z Bakersfield, żeby przygotować się do występów w San Francisco. Stale o czymś myślał, więcej niż zwykle. Jego twarz coraz bardziej upodobniała się do malowidła na plakacie - "Moje przeznaczenie przenika mury i czas".

I ten jego wzrok, to palące spojrzenie. Zastanawiała się, czy matka też czuje ukłucia igły...

Kiedy tatuaż był gotowy, Charles porozmawiał po chińsku z artystą. Potem wytłumaczył jej, że Chińczyk zaleca, żeby przez cały tydzień nie nosiła skarpetki. Na ranie pojawią się maleńkie strupki, ale później odpadną, a skrzydlaty smok pozostanie nienaruszony. Strupki się pojawiły i odpadły. Smok pozostał. I wyglądał świetnie. Wciąż tak wygląda, pomyślała. Delikatne, złote i szmaragdowe niteczki wkłute w skórę są tak samo widoczne jak wtedy, z tym że wtedy były zaczerwienione.

Pamiętała, że kiedy kulejąc i popłakując wyszła za nim ze sklepu, natychmiast spytała:

- Jesteś pewien, że to cholerstwo nie zejdzie? - Skoro nie mogła się już wycofać, dlaczego chociaż nie ponarzekać? - Bo nie chcę przez to przechodzić drugi raz.

- Nie, chyba że go usuniesz. A to boli jeszcze bardziej. - Bomba.

- Przecież sama tego chciałaś, tak mówiłaś - przypomniał jej, kiedy szli chodnikiem. Nie odwrócił głowy, ale czuła, że się lekko uśmiecha. - Tak naprawdę, gadałaś o tym od lat.

- Martwię się. Lydia przyjedzie i zrobi mi piekielną awanturę.

Lydia to jej matka. Lydia, "Kobieta-Błyskawica". Wykonywała również taniec brzucha i czasami pomagała doktorowi, kiedy odstawiał numer z czytaniem w myślach.

Niejednokrotnie podróżowali razem pulmanem, kiedy trupa ruszała w drogę. - Nie tym razem - odrzekł. - Lydia nie przyjedzie.

- Przecież w weekend gramy w Funland, sam mówiłeś.

- Gramy, ale bez twojej matki. Ona znalazła sobie inne miejsce.

Tyle. I już nigdy więcej się na ten temat nie mówiło. Gaby myślała, że Lydia dobieje do nich w Sacramento albo w Redding. Nieraz bywało, że wypadała z programu na kilka dni, nawet miesięcy. Ale kiedy dotarli do Portland, brat doktora zdjął z lin namiotu plakat reklamujący Kobietę-Błyskawicę. I Gaby już wiedziała, że matka nie wróci, nigdy. Jej zniknięcie było tak samo realne jak istnienie wytatuowanego smoka. Do następnego sezonu Gaby przećwiczyła numer matki i wujek Szakal zawiesił na linach nowy plakat: "Gabriela, elektryczny anioł". Plakat eksponował smoka wytatuowanego na jej kostce, wysoko uniesioną rękę i błyskawice wychodzące z niej niczym pręty z anteny na szczycie ziemskiego globu - jak w czołówce filmowej wytwórni RKO.

Chińska muzyka płynąca z mieszkania na piętrze wróciła ją rzeczywistości. Tuż obok przejechała riksza, omal jej nie potrąciła.

- Bardzo przepraszam, panienko - zakrzyknął rikszarz. - Bardzo przepraszam.

Gaby otworzyła torebkę i zapaliła papierosa. Potem wyjęła telegram i spojrzała na adres, który przesłały jej siostry. Miała nadzieję, że zaparzą choć trochę gorącej kawy.

Kawy nie miały, za to była jaśminowa herbata w srebrnym dzbanuszkach i filiżanki z chińskiej porcelany. Na stoliku stały trzy, jakby siostry wiedziały, że gość przybędzie lada chwila.

Uśmiechnięta Mona stała w progu drzwi do kuchni. Jej siostra, Ramona, siedziała przy stole i w jasnym świetle październikowego poranka czytała na głos poezję z książki oprawionej w skórę. Wzięła srebrny dzbanuszek i nalala sobie herbaty. Wraz z delikatnym kłębuszkiem pary po pokoju rozszedł się zapach jaśminu. - Safona!

- Nie, nie Safona - poprawiła cierpliwie siostra. - To Coleridge. Samuel Taylor Coleridge. Mona, dlaczego właściwie nie usiądziesz? Denerwujesz Kronosa.

Mona, w chińskim szlafroku, którego poły powiewały o krok za nią, usiadła; jedwab oplótł fałdami jej nogi. - Safona! - powtórzył z uporem ptak.

Mona rozłożyła na kolanach serwetkę.

Ramona pochyliła się w stronę papugi i zaczęła wolno recytować:

W Xanadu kazał Kubla Chan wznieść cud,

Pałac Rozkoszy, gdzie przepych bez końca;

Płynęła święta rzeka Alf, jej chłód
Wśród niezmiernych pieczar trwał, aż wód
szum zlał się w morze mroczne bez krzty słońca.
[Samuel Taylor Coleridge - Kubla Khan, czyli widzenie we śnie;]

Ramona podniosła rozpromieniony wzrok.

- Bardzo odpowiednie, nie uważasz?

Ani siostra, ani papuga nie odpowiedziały.

Ramona przesunęła dłonią po otwartej książce i zaczęła czytać tę samą zwrotkę. Wciąż miała nadzieję, że ptak nauczy się choć linijki, choć kilku poprawnie ułożonych słów. Łudziła się tak od chwili, kiedy przywiozła go z Meksyku, ponad trzydzieści lat temu, ale papuga nie rozróżniała nawet autorów. Lekcję przerwała jej Mona.

- Siostrzyczko - powiedziała - będziemy potrzebowały pomocy przy załadunku kufra do bagażnika samochodu. On na pewno zechce do niego zajrzeć. Wszyscy członkowie Stowarzyszenia zebrani w świątyni będą chcieli być świadkami otwarcia.

- Pomoc nadciągnie - odrzekła Ramona z irytującą pewnością siebie. - Ach tak? A niby skąd?

- Tego nie wiem. Może przyjdzie Rodney. Może przyjedzie tu prosto z lotniska.

- Rodney nam nie pomoże - skonstatowała jej siostra równie pewnym głosem.

- Może i nie. Ale musisz przyznać, że to cudownie z jego strony, że po tylu latach chce w tym wziąć udział.

- Do podnoszenia kufrow Rodney się nigdy nie nadawał. - W takim razie może pan Juke... - Jeszcze go nie znalazłyśmy - przypomniała Mona.

- Ostatnimi laty kwaterował przed drzwiami naszej świątyni i na pewno daleko nie odszedł. - Myślisz, że on wie o doktorze?

- Jestem pewna, że pan Juke czytuje gazety. Ostatecznie co noc pod nimi sypia.

- Loach! - wykrzyknęła papuga, unosząc się i opuszczając na żółtawych nóżkach, niczym tłok maszyny parowej. - Loach doktor Kubla!

Mona przeniosła wzrok na drzwi, spodziewając się ujrzeć w nich doktora Loacha, ale zamiast niego zobaczyła w progu młodą kobietę z policzkami zaczerwienionymi od upału na ulicy. - To ja, Gabriela.

- Gabriela? Czy to ty, moje dziecko? Zupełnie cię nie poznałam!

- To dlatego, że nie jestem już dzieckiem - odrzekła Gaby. Wyrzuciła niedopałek papierosa i weszła do małego pachnącego saloniku. - I proszę nie nazywać mnie Gabriellą.

- A nie mówiłam? - chełpiła się Ramona odkładając tomik poezji. - Czyż nie przepowiedziałam, że nadejdzie pomoc? I popatrz tylko, jaka z niej dojrzała kobieta. Pomoże nam bardziej niż Rodney.

Słyszając to, Mona podeszła szybko do okna i popatrzyła w niebo.

- Mam nadzieję, że Rodneyowi nic się nie stało. Mam nadzieję, że miał dobry lot, że spędził miłe chwile...

To były najkoszmarniejsze chwile w życiu Rodneya Makai. Dwie godziny lotu ciągnęły się dłużej niż cztery, które spędził w gruchocie Chicka Ferrella, czekając i sącząc bourbona. W żołądku wciąż czuł gulę wielkości golfowej piłeczki.

- Jak wsiądę do samolotu następnym razem, będę śmierdzieć, cholera - mruknął do Ferrella. Fotoreporter nie odpowiedział. - Tak trzeba latać, właśnie tak. Milczeli. Upłynęła minuta.

- Niech ten cholerny Loach już lepiej przyjedzie. I to szybko. - Spojrzał na Chicka, tak jakby winił go za to, że muszą tak długo czekać. - Inaczej czyjaś koścista dupa wyląduje w błocie.

Koścista dupa Chicka Ferrella już dawno tkwiła w błocie, podobnie jak cała reszta fotoreportera. I to od lat. Czuł to błoto w głowie, w żyłach, wszędzie. Tak naprawdę to jedynym organem ciała, którego błoto mu nie zatkało, był żołądek. Ostatnimi czasy był zawsze pusty. Kiedy Chick szykując się do wielkiego polowania odbierał dziś rano przepustkę prasową, stwierdził, że forsy wystarczy mu tylko na benzynę i olej do tego gruchota. Na porządną strawę już nie starczyło, bo talerz jajek z kielbaskami zniknął w bezdennych czeluściach brzucha, nie wywołując najmniejszego echa. Tak, Chick był wciąż głodny, głodny jak nigdy. Miał tylko nadzieję, że za tę nową sprawę, którą zajmował się ze swoim starym szefem, zapłacą mu lepiej, niż płacili kiedyś, że forsy starczy mu przynajmniej na trzy pełne posiłki.

Swego gruchota zaparkował przy końcu przecznicy. Tutaj wóz nie rzucał się w oczy. Na wąskiej uliczce stała ciężarówka i kilka samochodów należących do innych dziennikarzy i fotoreporterów. Rodney Makai i Chick Ferrell pólleżeli na przednich siedzeniach. Z kapeluszami nasuniętymi na czoło - ronda znieruchomiały na wysokości deski rozdzielczej - z oczami wbitymi w wejście do świątyni - czekali. Ferrel bębnił paznokciami po kierownicy, a Rodney wyobrażał sobie, co to by było, gdyby policja zorganizowała tu jakiś kocioł. Jest znakomicie, myślał, po prostu znakomicie. Relacja będzie miała wszystkie elementy niezbędne do tego, żeby zamieścić ją na pierwszej stronie pierwszego numeru

jego nowej ilustrowanej gazety poświęconej morderstwom, magii i przygodzie. Może uda się nawet skompletować wkładkę do wydania niedzielnego, taką z mnóstwem dramatycznych zdjęć. Tak, potencjalnie to sensacja na pierwszą stronę i - jak wszystko w życiu Rodneya Makai - sama wpadła mu w ręce.

Owszem, praca z tym półgłówkiem Ferrellem to nie rozkosz, ale z drugiej strony Ferrell był kiedyś jednym z najlepszych. Poza tym nikt inny nie znał tła całej sagi tak dobrze jak on. Sześć lat temu dostał na tym punkcie prawdziwej obsesji i właśnie przez tę obsesję popadł w tarapaty. Ba, wpadł w prawdziwe gówna, to lepsze określenie. Wyglądało na to, że przejął się upadkiem Loacha bardziej niż sam Loach, że skończył tak samo jak on, a pod pewnym względem jeszcze gorzej. Najpierw stracił fuchę w "Chronicle", potem pracę, a jeszcze potem reputację. Dzisiaj Chick Ferrell cieszył się w światku dziennikarskim takim samym szacunkiem, jak Aimee McPherson w światku religijnym. Dupek Ferrell. Tak powinien się teraz nazywać. Wymizerowany, z zapadniętymi oczyma - duch niegdysiejszego Ferrella Wielkiego.

Właściwie to Rodney chciał, żeby Chick robił u niego za murzyna, ale dobrze wiedział, że w tej chwili nie może mu tego powiedzieć. No bo przecież tekst Chicka Ferrella w jego gazecie to jak śmiertelny pocałunek! Czytelnicy umarliby ze śmiechu! A tekst Rodneya Makai doda reportażom smaczku. I jeśli tylko ten chudzielec o bocianiej szyi zdoła wytrzymać w pracy przez kilka dni, jeśli zdoła wykrzesać z siebie choćby kilka linijek względnie porządnego tekstu, redaktorzy w Los Angeles zajmą się resztą. A później? Co tam, niech sobie Ferrell wpada w jeszcze większe gówna. Wszystko pójdzie jak po maśle.

Rodney mógł puścić sagę Charlesa Loacha razem z innymi tekstami, które już napisał; hmm, prawie napisał, a przynajmniej zlecił ich napisanie nieudacznikom podobnym do Ferrella, którzy też wylecieli z pracy. Były to teksty o przerażających i tajemniczych wyczynach Johna Dillingera, "Dzidziusia" Nelsona i "Pięknisia" Floyda, których zastrzelono w tym roku. A wkrótce jego dziennikarski kapelusz ozdobią nowe pióra. "Ostatnie słowo". Napisał R. L. Makai, wszędobyłski reporter! W zeszłym tygodniu wyszła na jaw sprawa okupu Lindbergha, sprawa Bruna Hauptmanna i czytelnicy żądali więcej krwi, więcej sensacji. Sprawa tajemniczej jaskini odkrytej przez tego mordercę będzie murowanym przebojem, zwłaszcza że Rodney weźmie udział w wyprawie, że będzie na zdjęciach. Ha, jak Stanley w Afryce. Mógłby nawet napisać o tym książkę albo zrobić film. W czerwcu jeden z takich filmów - "Melodramat manhattański", z Clarkiem Gable w roli gangstera Blackie Gallaghery - zwabił do kina Johna Dillingera. Kiedy po seansie wychodził na ulicę, zabili go. Zastrzelił go Melvin Purvis.

Tak, znakomicie, skonstatował Rodney. Wejść, zrobić reportaż, wyjść i wreszcie zbić jakiś szmal. Dość trwonienia rodzinnego majątku. To ważne. Jeśli znajdzie taka potrzeba, mógłby nawet naruszyć oszczędności, jakie ciułał od lat, pieniądze potrzebne do wszczęcia procesu o uznanie tych cholernych ciotek za kobiety chore umysłowo, dzięki czemu nie musiałby się już chandryczyć z tymi szajbuskami za każdym razem, kiedy potrzebował kapitału operacyjnego.

Rodney wiedział, że musi być zarówno ostrożny, jak i przebiegły. Ale przede wszystkim liczył się czas. Tak, czas był elementem najważniejszym. Już raz zawalili. Przyjechali tu o dwie godziny później, niż planowali, bo Ferrell nie dojechał w porę na lotnisko, a potem, kiedy wracali przez miasto, ten głupol najnormalniej w świecie zablądził. Kiedy w końcu dotarli na miejsce, przed świątynią czekało tak mało ludzi, że Rodney pomyślał: już po herbacie. Gdzie te tłumy, które miały tu czekać na pojawienie się wielkiego odkrywcy? Gdzie te wszystkie panusie, gdzie ci szacowni dżentelmeni, którzy sześć lat temu tak Loachowi kadzili, tak go uwielbiali? I Loach, i jego Stowarzyszenie najwyraźniej im zbrzydło, tak samo jak czytelnikom "Chronicle" zbrzydły historyjki Ferrella. Tak, trzeba tę sprawę dokładnie rozplanować w czasie, to niezwykle ważne, bez dwóch zdań. Wiadomość o zwolnieniu tego szarlatana będzie interesowała ludzi przez dziesięć dni, najwyżej przez dwa tygodnie, a potem gazeta z artykułami na jego temat spocznie na dnie ptasiej klatki. Dziesięć dni. Wejść, zrobić reportaż i wyjść.

Po drugiej stronie ulicy widział swoje ciotki stojące na schodach wiodących do świątyni oraz grupkę dziennikarzy i fotoreporterów łąjących bez celu tu i tam. Poza nimi nie dostrzegł nikogo godnego uwagi. Ot, jakaś młoda kobieta z podniesionym kołnierzem i kilku pijaczków w alejce naprzeciwko. Tłum to nie jest, pomyślał Rodney. Ale tytuł zawsze można zmienić. Co ten Ferrell wydumał? "Irracjonalny szturm tłumu zwolenników doktora Loacha." Dać tym ochlajmordom po kilka centów i będzie szturm.

Rodney pociągnął łyk z piersiówki i sięgnął do torebki po imbirowe ciasteczka Ferrella. Kiedy Chick pochylił głowę patrząc, jak znikają, Rodney stwierdził, że fotoreporter jest jeszcze bardziej wymizerowany, niż mu się wydawało na lotnisku. Nosił luźny letni garnitur, który już dawno należałoby oddać do pralni i odprasować. Otok kapelusza miał przeпоcony, palce żółte od papierosów. Jezu, tak się na tę robotę napalił, że kiszki marsza mu grają! Na samą myśl o tym, że znów pisze reportaż o Loachu, ślini się jak te pijaczki, cholera! Już raz dostał nauczkę i aż się prosi, żeby dostać ją po raz drugi.

Słońce zaszło już za horyzont dachów pokrytych papą i wąska uliczka pogrążyła się nagle w zimnym cieniu. Z budki telefonicznej wyszedł młody dziennikarz i krzyknął do innych, że właśnie rozmawiał z dyrektorem więzienia.

- Duffy mówi, że Loach wyszedł dokładnie o dwunastej, z jakimś księdzem.

- Przecież to ładnych parę godzin temu! - zawołał inny. - Co jest grane?

- Zwiął, cholera - wymamrotał Rodney sięgając po ostatnie ciasteczko - mógł zwiąć. Znakomicie. Pisz, Ferrell. "Loach ucieka!" Chick pokręcił głową. - Charlie Loach nie ucieknie. To nie w jego stylu - powiedział.

Rodney zamierzał właśnie warknąć "stylu-szmyłu", kiedy na rogu następnej przecznicy dostrzegł niewyraźną sylwetkę mężczyzny. Sunął przy murze po drugiej stronie ulicy niczym wielka zdenerwowana jaszczurka. W jednej ręce trzymał coś, co przypominało futerał, a w drugiej jakieś zakrzywione narzędzie. Rodney myślał, że to łom, ale w tej samej chwili mężczyzna włożył koniec tego czegoś do ust i wypuścił wielki kłęb dymu. To była fajka, olbrzymia, długa fajka z wielkim jak pięść cybuchem, taka, jaką w niemieckich bajkach palą sklepikarze. Za każdym pyknięciem spod rzeszotowanej pokrywy cybucha wydobywała się chmura sinawego dymu, a kiedy się rozmywała, Rodney widział, że twarz mężczyzny jest równie sina jak dym. Niesamowity stwór odbił się od ściany domu, dopadł krawężnika, żeby nie stracić równowagi, przytrzymał się słupa lampy i splunął do rynsztoka. Wstrząsnęło nim, zgięło go w pół, niczym węża plującego jadem.

- Chryste, spójrz tylko na to szkaradztwo - mruknął Rodney z obrzydzeniem. - Co za ohydny pijaczyna...

- On? - spytał Ferrell podnosząc aparat. - To nie pijaczyna. To Emmett Juke, przyjaciel Loacha. Był z nim w jaskini. - Wysunął aparat przez okno i pochylił się, żeby spojrzeć na maleńki odwrócony obraz w wizjerze. - On i Loach to starzy kumple, jeszcze z czasów wojny - wymamrotał. - Przeszli cały szlak bojowy aż do rozstrzygającej ofensywy nad Mozą. Ta fajka to nagroda. Wręczył mu ją osobiście burmistrz miasta Aragon.

- A ten futerał? - spytał Rodney. - Nosi w nim to paskudztwo?

- Nie. Nosi w nim kornet. Powiadają, że był kiedyś niezłym muzykiem. Zanim nie nałykał się gazu musztardowego.

- Chryste... - powtórzył Rodney kręcąc głową. - Nie, nie, nie przerywaj, cykaj dalej! Właśnie takich kolorów nam potrzeba. I pstryknij zdjęcie tym dwóm zwariowanym babom. Ferrell spojrzał na niego tępym wzrokiem.

- Myślałem, że te dwie zwariowane baby to twoje ciotki - powiedział.

- Zgadza się. Ale jak widać, niewiele im to pomogło.

Stojąca na schodach Ramona Makai również zauważyła mężczyznę zygzakującego wzdłuż krawężnika w stronę świątyni. Jej stare oczy nie dostrzegały rysów jego twarzy, ale uszy rozpoznały charakterystyczny kaszel. Patrzyła, jak mężczyzna halsuje coraz bliżej, niczym żaglówka szukająca znajomej przystani w zatoce.

- To on! - wykrzyknęła Ramona. I minąwszy siostrę wybiegła na ulicę.

- To on! - powtórzyła jak echo Mona. I puściła się biegiem za Ramoną.

Młody reporter usłyszał ich krzyk i ruszył za nimi wrzeszcząc: "To on! To on!" Usłyszeli to inni i czym prędzej podążyli za nim.

Kiedy Juke wychynął zza chmury dymu, usłyszał krzyki i zobaczył biegnących ku niemu ludzi. Wymachiwali rękami, notatnikami, aparatami fotograficznymi i walili na niego podekscytowaną hordą. Obejrzał się za siebie, ale nikogo tam nie dostrzegł. Tak, wykrzykiwali chyba jego nazwisko. Nawet pijaczkowie stacjonujący w bocznej alejce ruszyli się z miejsca i zmierzali w jego stronę.

- Idzie im o starego Juke'a? - Nie mógł tego zrozumieć. Włożył palącą się fajkę do kieszeni i wyprostował plecy. Żałował, że nie ma kapelusza.

Rodneya i Chicka też to wciągnęło. Wyszli z samochodu i zadziwieni ruszyli za tłumkiem dziennikarzy napierających na bezbronnego Juke'a. Rozgorączkowana banda omal go nie stratowała. Jednak zdążyli się w porę zatrzymać i jeden z nich stwierdził: - Nie, to nie on.

- To Juke - rzucił niedbale Rodney - kumpel Loacha. Był z nim w jaskini. To znaczy, że wielki czarownik jest blisko. Najwyższy czas, cholera.

- Ale ona powiedziała, że to on - odparował jeden z młodych dziennikarzy wskazując staruszkę. Podniósł aparat i na wszelki wypadek pstryknął Juke'owi zdjęcie.

Błysnął flesz, Juke wybałuszył oczy, na chwilę go oślepiło. Kiedy odzyskał wzrok, zobaczył, że tłum reporterów wraca do świątyni. Ruszył za nimi, ale futerał przycisnął do piersi, żeby go przypadkiem nie uszkodzili. Towarzyszyło mu dwóch dziennikarzy. Jeden z lewej, drugi z prawej strony.

- Loach wyszedł. Jakie ma plany? - spytał ten z prawej.

- Myśli pan, że znajdzie drogę do jaskini? - pytał ten z lewej, trzymając w pogotowiu notatnik. - Zamierza pan z nim jechać?

Juke spojrział na jednego, potem na drugiego i zamrugał. Zadawali trudne pytania.

- Czy uważa pan, że warunkowe zwolnienie pańskiego szefa jest usprawiedliwione?

Przez rozproszoną gromadkę dziennikarzy przebiła się Ramona. Dźgnęła młodego reportera w zębra, chwyciła Juke'a za drżące ramiona i łagodnie nim potrząsnęła. - Pan Juke?

Juke zatrzepotał powiekami, zakaszłał. Jego skóra połyskiwała, mieniła się różnymi odcieniami cielistości, niczym rybia łuska. - Pan Juke? To ja, Ramona Makai.

Ozdobioną pierścieniami dłonią uniosła mu podbródek, aż wreszcie na nią spojrział. Otrzepała mu ubranie z tytoniowego popiołu i przyglądała zmierzwione włosy.

- Panie Juke, czy przyniósł pan klucz, mój drogi? - spytała.

- Będzie potrzebny doktorowi Loachowi. Juke coś sobie w końcu przypomniał. - Przepadł - mruknął.

- Czy to on? Czy to doktor Loach? - wysapał jakiś spóźniony dziennikarz.

- Skąd ten szalony pomysł, młody człowieku? - odparła Ramona. - To jest pan Juke.

- Właśnie, młody człowieku - szydził inny. - Skąd u pana te szalone pomysły?

- Pan Juke pilnuje naszej świątyni - wyjaśniła Ramona.

- No, ale gdzie do diabła jest ten wasz Loach? - burknął kolega spóźnialskiego. Zamknął notatnik i wetknął ołówek za ucho. - Zaczyna mnie to męczyć.

W tym momencie obok nich przejechał cichutko czarny Plymouth ojca Paula, błyszczący i zużyty niczym różaniec starej dewotki. Przejechał i zatrzymał się dostojnie przed świątynią. Za oknem ujrzeli szarą, poważną twarz mężczyzny siedzącego obok kierowcy. - No, teraz to on - oznajmił Ferrell.

Tym razem poruszenie było nieco mniejsze, częściowo dlatego, że mieli za sobą ten fałszywy alarm. Lecz chyba w jeszcze większym stopniu przyczynił się do tego sam obiekt zainteresowania rozkrzyczanej bandy. Tak, bo twarz za oknem samochodu nie należała do tych, które zachęcają do zadawania trudnych pytań. W zarysie ust, w linii policzków i w gorejących oczach było coś, co sugerowało, że odpowiedzi też nie będą łatwe. Dziennikarze cofnęli się. Nikt nie chciał być pierwszy.

- Czekaj, otworzę ci drzwi - powiedział ojciec Paul sięgając do klamki.

- Nie, dziękuję ci - odparł jego pasażer. - Muszę przywyknąć do otwierania drzwi.

Charles Loach wysiadł. Tłumek reporterów rozstąpił się pod jego przenikliwym spojrzeniem, niczym trawa przed pełznącym wężem. Loach wszedł w bramę. Dziennikarze za nim.

- Ferrell, zapisz to, koniecznie to zapisz - szepnęła Rodney kącikami ust. - Wprowadził ich w jakiś trans.

Fizyczna obecność Loacha przygniatała ich. O głowę wyższy niż większość z nich, szedł z wyprostowanymi ramionami, z dumnie uniesionym czołem. Szedł, a niebieski materiał więziennego uniformu opinał mu ręce i uda. Zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, zamkniętymi na solidną kłódkę.

- Co z kluczem? - spytał dźwięcznym głosem z głębi piersi, wzmocnionym silnym skurczem przepony. - Pan Juke mówi, że klucza nie ma - odrzekła Mona. - Przepadł.

- Przepadł, przepadł, przepadł - zawtórował jej szeptem mały człowieczek.

Loach stał z opuszczonymi rękami i patrzył na zardzewiałą kłódkę.

- Wyglądasz jak facet, który nie wie, czy przyszedł do cyrku za wcześnie czy za późno - powiedział ktoś z boku.

Loach obrócił się i zobaczył przed sobą młodą kobietę z przechyloną głową. Trudno było stwierdzić, czy jej uśmiech oznacza szyderstwo czy tylko chłodną rezerwę. - Gabriela? To ty?

- Gaby. Gabriela była małą dziewczynką, którą znałeś bardzo dawno temu. Jak się masz, wujku.

Loach uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona. Przywarła do jego piersi okrytej wypłowiałą koszulą, zaskoczona, że jest tak twarda i muskularna. Jego z kolei zdziwiła miękkość i jędrność jej ciała. Dziewczyna uniosła głowę i pocałowała go w policzek.

Dziennikarze milczeli. Rodney Makai doszedł do wniosku, że najwyższy czas zdjąć ten pełen czułości czar i przejść do interesów.

- Panie Loach, nazywam się Rodney Makai. Być może ojciec Paul opowiadał panu o mnie. "The Hollywood Herald". Mówi to panu coś? Jestem tym facetem, który zamierza wycisnąć trochę szmalu z tej pańskiej wyprawy. R. L. Makai z wydawnictwa Makai, a wkrótce z wydawnictwa i wytwórni filmowej Makai.

Wyglądało na to, że Loach go nie słyszy. Wciąż patrzył na Gaby, jakby porównywał twarz dziewczynki, którą niegdyś zostawił, z twarzą kobiety, która kiedyś zostawiła jego.

- Ojciec Paul musiał panu o mnie opowiadać. Zresztą do diabła z tym, nie musimy być tacy oficjalni, nie? Te dwie kobieciny, twoje stare towarzyszyki, Mona i Ramona, to moje ciotki. Jesteśmy jak w rodzinie. No to jak? Przybij pięczę.

Loach uwolnił się z objęć Gaby i spojrzał na okrągłą twarz ozdobioną cieniutkim wąsikiem. Przykrył dłonią wyciągniętą rękę Rodneya, jakby przykrywał różowawą monetę.

- No i co pan na to, Loach, he? - spytał reporter z A. P. wskazując zamknięte na kłódkę drzwi. - Chyba nieprędko ujrzymy wewnątrz tej sławnej świątyni, co?

- Właśnie, Loach. Musi pan być nielicho rozczarowany. Wyjść, żeby nie móc wejść.

- Wiesz, co powiedział Konfucjusz, Loach? - drwił trzeci gryziپیórek. - Chyba wiesz. Powiedział: "Mężczyzna, który gubi klucz do mieszkania dziewczyny, drugiego klucza nie dostanie".

Reporterzy wybuchnęli śmiechem, ale Loach roześmiał się dobrodusznie z nimi. Potem stanął twarzą do drzwi, bez sekundy wahania ujął ręką kłódkę i przekreślił. Zdawało się, że metal jest zmęczony, wyczerpany tak długim trwaniem i samotnymi zmaganiem z czasem, i słonym powietrzem - kłódka ustąpiła, rozpadła się z zardzewiałym, pełnym ulgi zgrzytem. Zaskrzyphiały drzwi. Loach otworzył je na oścież dramatycznym gestem.

Kiedy Rodney zauważył, że Ferrell, podobnie jak reszta zgromadzonych fotoreporterów, przegapił tak wspaniałe ujęcie, z całej siły kopnął go w kostkę.

- Obudź się, idioto! To nie kino, do ciężkiej cholery! Nie gap się jak wół na malowane wrota, tylko rób zdjęcia! Chcę zdjęć, kapujesz?!

Chick otworzył wizjer swego Hasselbalda i przesunął aparat, żeby uchwycić Loacha. Ukazał mu się odwrócony do góry nogami obraz, na którym Loach unosił rękę, żeby uspokoić podekscytowanych dziennikarzy. Wyglądało to tak, jakby się z nimi żegnał.

- A teraz zechciejcie nam panowie wybaczyć... - Stanął przy drzwiach i z napierającego tłumu wybierał tych, którzy mieli z nim wejść do środka. - Proszę, moje panie, wejdźcie. Ty też, Gabrielo... - Z szeroko rozstawionymi nogami, z ręką wspartą na stalowych drzwiach, wyglądał jak strażnik i kontroler biletów w jednej osobie. - Chodź, Paul... Juke... Przepraszam panów, ale teraz proszę nas zostawić samych.

- Zaraz! Chwila! - wrzasnął tłum. - Czekaliśmy na pana od tyłu godzin!

Loach uciszył ich unosząc rękę. Na paznokciach miał jeszcze płatki rdzy, a po wewnętrznej stronie dłoni płynęła cieniutka strużka krwi.

- Przepraszam, że przyjechałem tak późno. Dzisiaj niedziela i duży ruch, promy są zatłoczone. Ale możecie być pewni, że wkrótce wydam stosowne oświadczenie. Oficjalna konferencja prasowa odbędzie się w terminie późniejszym, w poniedziałek albo we wtorek. Naprawdę mi przykro, ale przed nastaniem nocy obecny tu ojciec Paul chciałby odprawić nabożeństwo dziękczynne. - Spojrzał na ostatnie promienie słońca omywające dachy domów. - Dlatego musimy się teraz pożegnać.

Mimo protestów wysoki teozof pochylił się, żeby wejść za księdzem do świątyni. Rodney chwycił go za poły więziennej koszuli.

- Zaczekaj, Loach, zaczekaj, do ciężkiej cholery! - zawołał z rozognionymi policzkami. - A ja to co?

- Pan? - Loach uśmiechnął się. - O co panu właściwie chodzi?

- Jeśli oczekuje pan, że połknę haczyk na sucho, że przystąpię do was ot tak, prosto z ulicy, to się pan grubo myli. Zamknij mi pan przed nosem te cholerne drzwi i guzik z tego będzie. O to mi chodzi.

- Tak, panie doktorze - zawołała jedna z sióstr z mrocznego wnętrza świątyni. - Rodney chce zostać jednym z nas.

- Ach tak? - spytał Loach. - Czy to prawda, panie Makai? Chce pan do nas przystać, czy tylko się tak panu wydaje?

Niespodziewany błysk humoru ukryty za pytaniem spowodował, że policzki Rodneya poczerwieniały jeszcze bardziej. Lecz zanim zdołał odpowiedzieć, Loach roześmiał się i poklepał go serdecznie po wátowanym ramieniu drogiej marynarki.

- Niech pan wejdzie, Makai, zapraszam do środka. W świątyni znajdzie się miejsce nawet dla niezdecydowanego członka tymczasowego. - On też - mrunął Rodney ciągnąc za sobą Chicka. - To Ferrell, mój fotoreporter, on musi wejść ze mną. Bez zdjęć ta cała historia, o ile w ogóle będzie o czym pisać, byłaby warta tyle co te więzienne łańcuchy. Chodź, Ferrell.

To że musiał Chicka za sobą wlec, dodało mu nieco brawury. Zgiął Ferrella w pół jak szmacianą kukłę i pchnął go w stronę drzwi. Chick wyhamował w progu, żeby uścisnąć Loachowi rękę.

- Jestem Chick Ferrell, panie doktorze. Robiłem reportaże z pańskiego procesu, dla "Chronicle". Loach ujął jego dłoń.

- Pamiętam. I o ile sobie przypominam, za sympatyzowanie ze mną popadł pan w nieliczne tarapaty. Proszę wejść. Ale muszę panu o czymś przypomnieć. Moja jaskinia i ja nie jesteśmy zbyt mili dla fotoreporterów.

Chick wszedł do świątyni z nerwowym uśmiechem na twarzy, Rodney za nim.

Loach po raz ostatni pomachał sfrustrowanym dziennikarzom przed drzwiami - "Do mańana, panowie?" - i zniknął w półmroku za Rodneyem. Drzwi zamknęły się dźwięcznie jak gong.

W środku było przestronnie i mroczno. Chick Ferrell uświadomił sobie, że nie wziął flesza. Co prawda promienie słońca wpadające przez małe okienko w drzwiach oświetlały schody, ale w samej świątyni było ciemno jak w grobie. Nie, tutaj nie wystarczą najczulsze błony, skwitował. Ale chyba lepiej będzie, jak odstawię przedstawienie z pstrykaniem i przewijaniem taśmy, żeby mieć tego durnia z głowy. On się nie pozna, gdzie tam. Jest tak głupi, że nie odróżnia przesłony od migawki. Przecież muszę się w tej robocie jakoś utrzymać. Muszę, choćby po trupach! Bo to mój, to mój reportaż. Wiem, że Makai coś

knuje, że chce, bym robił u niego za murzyna. Niech sobie knuje. Kiedy przyjdzie pora, wydam to jako wolny strzelec. Ale nie pozwolę, żeby podpisał się pod moim tekstem! Nie, nie tym razem. Tym razem muszę to napisać. Napisać, dopracować, dopieścić. Sam. Muszę im pokazać, że Chick Ferrell jeszcze się nie skończył. Zagłodził mnie i myślą, że wycyckali klienta z obiegu, ale nie spodziewali się, że ta historia będzie miała ciąg dalszy. I wreszcie się odegram, wreszcie będziemy kwita. Muszę tylko zachować spokój, trzymać nerwy na wodzy i trzaskać zdjęcia. Wystarczy. Zgłodniałem trochę, wychudłem, zmizerniałem, ale robić za murzyna nie będę. Jeszcze nie. Nie, jeszcze nie.

Opuścił aparat, wyjął z kieszeni notes i trzymając go blisko piersi, napisał tylko jedno słowo: "Windykacja".

W kruchcie ukazał się Juke. Niósł dwie świece osadzone w świecznikach.

- Jeszcze nie podłączyli elektryki - oznajmił wręczając jeden Loachowi.

Doktor wziął świecznik i poprowadził zebranych schodami do głównej sali. Szli w milczeniu. Teozof wspinał się na palce, żeby zapalić dwunastoramienny kandelabr wiszący pod zasnutym pajęczynami sufitem. Juke zapalał kikuty gromnic na ścianach.

- Spójrzcie tylko na to - powiedziała Gaby śledząc oczyma ślady małych łapek na podłodze. Zgarnęła rękami pajęczyny niewidoczne w nikłym świetle świec. Każdy jej ruch wznosił tumany kurzu. - Kurz i ślady szczurów.

- No cóż, mały tu nieporządek, to naturalne - powiedziała jedna z sióstr. - Czy to możliwe, że to dlatego nie stawili się dzisiaj starzy członkowie Stowarzyszenia? Ciekawe...

Nikt jej nie odpowiedział, wszyscy starali się przywyknąć do otoczenia. Świątynia sprawiała wrażenie wielkiej i pustej. Mona Makai przesunęła palcem po pulpicie, przy którym niegdyś czytało się lekcje. - Ludzie są dzisiaj tacy zajęci... - szepnęła w zadumie.

- Wszystko w porządku, Mono - powiedział Loach. Trzymając przed sobą świecznik, obchodził pomieszczenie. - Chyba nie dałbym rady stanąć przed niespodziewanym tłumem.

Rodney znalazł świecę. Zapalił ją i podszedł wolno do stołu, gdzie ojciec Paul przerzucał stos starych gazet.

- Nazywam się Rodney Makai, ojcie - powiedział wyciągając do niego rękę przez blat stołu. - Z "Hollywood Herald". Pisałem księdzu, że rozważamy możliwość wsparcia tej wyprawy? Ojciec Paul podał mu zakurzoną dłoń. - Paul D'Angelo.

- Wciąż ją tylko rozważacie? - spytał z rozbawieniem Loach.

Rodney go zignorował. Podszedł do młodej kobiety i wyciągnął do niej rękę. - Gaby - rzuciła oschle. - Gabriela? Siostrzenica Loacha? - spytał.

Nie odpowiedziała.

Rodney sięgnął do kieszeni po plik zdjęć, który dostał od Ferrella na lotnisku. Rozłożył je na stole obok świecznika. - Gabriela Elektryczny Anioł to pani?

Wciąż milczała i w sali zapadła głęboka cisza. W końcu odezwał się ksiądz: - W imieniu Gabriela jest coś cudownie anielskiego.

- Nie jestem żadnym aniołem, do cholery - zaprotestowała dziewczyna.

Ferrell ustawiał na podłodze świece. W nadziei, że światło będzie dostatecznie silne - chciał nastawić maksymalny czas ekspozycji - gromadził je w pobliżu miejsca, gdzie stał Loach; teozof spoglądał na malowidła zdobiące ścianę świątyni.

- To mi przypomina alegorię o jaskini Platona, panie doktorze - powiedział. - Pański cień...

Loach przyglądał mu się chwilę z uniesionymi brwiami, a potem znów odwrócił się do ściany. Jego cień sunął wolno po malowidłach prehistorycznych zwierząt i starożytnych symboli.

- Ma pan nie tylko wykształcenie, ale i oko do metafor, panie Ferrell. To niezwykle jak na człowieka uprawiającego tę profesję.

- Przydaje się, zwłaszcza z kociakami - wtrącił Rodney przywołując na twarz swój najbardziej zawadiacki uśmiech starego dziennikarskiego wygi. - U nas każdy to wie. Zaszpanować im trochę Tennysonem czy Longfellowem i myślą, że z ciebie filozof albo poeta. - A kim pan jest, panie Makai?

- Ani jednym, ani drugim. Jestem przypadkowym biznesmenem, który bada teren, ocenia szanse.

- Czasami zazdroszczę ludziom takim jak pan, panie Makai. Takim, którzy umieją zaangażować się w sprawę dopiero wówczas, kiedy skłania ich do tego czysta logika.

- Potrafię trzymać karty przy orderach, jeśli do tego pan pije. Weźmy na przykład tę pańską wyprawę. R. L. Makai nie wyłoży na nią złamanego centa, dopóki nie będzie wiedział, w co właściwie gramy, jakie jest ryzyko i o jaką stawkę toczy się gra. No i - dodał składając ręce jak Loach - musi jeszcze wiedzieć, z jakim karciarzem przyjdzie mu zasiąść do stolika. Nie, R. L. Makai nie da się nikomu wykiwać.

- Rodney! Wstyd mi za ciebie! - powiedziała pulchniejsza z sióstr. - Mówisz tak, jakby pan Loach był jakimś szulerem!

- Szulerem? Czy wiecie, gdzie wasz pan doktor uczył się zawodu? Niech pan im powie, gdzie pan robił dyplom, Loach.

- Wiemy, Rodney, wiemy - do rozmowy włączyła się ta szczuplejsza. - W Akademii Teozofii okręgu Orange. Gdybyś nie wiedział, to tak się przypadkiem złożyło, że byliśmy jego sponsorkami. Wstyd mi za ciebie. Jak możesz myśleć, że doktor Loach mógłby nas oszukiwać?

- Właśnie, Rodney Choć raz zgadzam się z moją siostrą - dodała Ramona. - Mnie też jest wstyd, że traktujesz doktora Loacha jak jakiegoś...

- Garownika? - dokończył za nią Loach mrużąc z rozbawieniem oczy.

- Otóż to, Loach! - zawołał Rodney - Trafiłeś w dziesiątkę. Przyznaję, że umiesz walić prosto z mostu. No bo czyż nie tak was nazywają? Tych, co wyszli z pierdła? - Rodney! - wykrzyknęły chórem obie siostry.

- Wszystko w porządku, moje panie - uspokoił je Loach. - Wasz siostrzeniec ma wszelkie prawo wystrzegać się naciągaczy i kanciarzy. To wnikliwe, isticie pokerowe podejście do sprawy, i bardzo je szanuję.

- Właśnie! - powtórzył Rodney. - Pokerowe podejście do sprawy! A ja w dalszym ciągu nie wiem, w co będziemy grać i co jest w banku.

- Raz tę jaskinię znalazłem - powiedział Loach. Stał teraz twarzą do Rodneya. Zgromadzeni w świątyni podeszli bliżej, żeby przysłuchiwać się dyskusji. Po ścianie wędrowały ich cienie.

- Idąc za duchem, który ukazał się panu w postaci ptaka, tak? Słyszałem. Ale wygląda na to, że ten mały ptaszek już pana opuścił, że już nigdzie pana nie zaprowadzi, prawda, Loach? Przecież nie mógł pan nawet znaleźć klucza do swego przybytku. Jest takie powiedzenie: "Jeśli twój pies nie potrafi znaleźć szopa, znajdź innego psa". Pokaż, co potrafisz, Loach.

W migotliwym półmroku zawisło jawne wyzwanie. Otaczali Loacha ciasnym kręgiem, wbijali w niego wzrok. Oczy teozofa rozjarzyły się jeszcze bardziej. W końcu powiedział:

- Niewykluczone, że ma pan rację, panie Makai. Moja moc mogła osłabnąć. Może powinniśmy trochę poeksperymentować? - Spojrzał na siostry. - Co wy na to, moje panie?

- Nie musi pan nam niczego udowadniać, panie doktorze - odpowiedziały. - Ojczy?

- I powiedział głośno do Mojżesza: nie kuś pana, Boga twojego.

- Nie szkodzi - odezwała się Gaby. - Pokaż nam, co potrafisz, wujku Charlie.

Loach powiódł wzrokiem po oświetlonych świecami twarzach, uśmiechnął się i odwrócił do Rodneya.

- W takim razie cóż mam dla pana wyczarować, panie Makai? Latające tamburyny i trąby? Dobre wróżki tańczące na główce szpilki?

- Oszczędzaj siły, Loach, wystarczy coś prostego. Ot, może byś tak odczytał moje myśli?

- Myśli? - powtórzyła pogardliwie Mona, spoglądając na siostrzeńca. - Sama mogę to zrobić, to żaden sprawdzian. Nawet Ramona, nawet ona to potrafi...

- Coś prostego? Bardzo dobrze. Moje panie, czy któraś z was ma coś, czym można zawiązać oczy? Coś grubego i wystarczająco długiego, żebym nic a nic nie widział. Pan Makai to oczywiście sprawdzi.

Mona natychmiast ściągnęła z szyi bogato zdobioną apaszkę, a Ramona zaproponowała długi lniany szal. Głowę Loacha obwiązano i jednym, i drugim, a on stał i cierpliwie czekał.

- Proszę - powiedziały siostry, jakby już udowodniły swoje racje. - Nawet ty, Rodney, musisz przyznać, że doktor nic przez to nie widzi.

- No i co z tego? - spytał dziennikarz ze znudzonym uśmiechem na twarzy. - Nadal nie widzę tu tych jego małych ptaszków. - Ale pochylił się szybko i syknął Chickowi do ucha: - Ferrell, jak tego nie złapiesz, poszukam sobie innego fotografa.

- A teraz - mówił dalej Loach - czy ktoś zechciałby wyprowadzić mnie z sali? Panie Makai, kiedy mnie nie będzie, proszę wybrać jakiś przedmiot i gdzieś go ukryć, dobrze? Niech pan wybierze, co pan chce, jakikolwiek przedmiot, i niech go pan ukryje w absolutnie dowolnym miejscu. Potem przyprowadźcie mnie z powrotem. Kiedy tu wrócę, bardzo proszę, żebyście nic nie mówili, żebyście nie wydawali z siebie żadnego dźwięku. Proszę was tylko, byście wyobrazili sobie ten przedmiot i powtarzali w myślach jego nazwę. Powtarzajcie tę nazwę nieustannie i miejcie przed oczyma miejsce, w którym pan Makai go ukrył, tak żeby wasze myśli oświetlały je niczym reflektor, silny, jaskrawy reflektor. Nazwa przedmiotu, miejsce, gdzie spoczywa, i jasne, brylantowe światło. Nie proszę o nic więcej. Postarajcie się nie myśleć o niczym innym, postarajcie się zachować absolutną ciszę. A teraz, czy ktoś zechciałby mi pomóc?

Rodney miał ochotę sprawdzić, czy przepaska na oczach Loacha jest szczelna. Zrobił to zachowując pozory człowieka praktycznego i trzeźwo myślącego, po czym mrugnął do zgromadzonych i nagle wyprowadził potężny cios prosto w twarz doktora. Jego różowawa pięść zawisała o centymetry od zakutanego w apaszkę nosa. Loach ani drgnął.

- Obleci - stwierdził Rodney. - Padre? Czy możemy księdzu zaufać, że wyprowadzi go ksiądz bez dawania żadnych tajemnych znaków?

Ojciec Paul skinął głową. Bez słowa wziął Loacha za łokieć, przeprowadził go przez salę, powiodł schodami na górę i pomógł wyjść ze świątyni. Kiedy doktor wyszedł, ojciec Paul zamknął za nim ciężkie metalowe drzwi.

- Może będzie lepiej, jeśli zasłoni ojciec okno? - zawołał Rodney. - Trzeba upewnić się, czy nie ma tam jakichś podglądaczy...

- Rodney! - oburzyła się Ramona. - Oświadczam, że... Rodney przyłożył palec do ust. Zachowując całkowite milczenie wyciągnął rękę do Gabrieli. Kiedy dotknął jej broszki w kształcie skarabeusza, dziewczyna zmrużyła gniewnie oczy. Ze sztucznym uśmiechem na twarzy chwilę mocował się z zapięciem, wreszcie zdjął broszkę. Wciąż z palcem na ustach zaczął cichutko chodzić po sali, w końcu położył broszkę na stertę gazet, które przeglądał ojciec Paul. Potem wrócił do zgromadzonych, stanął między nimi i ręką dał znak księdzu, żeby przyprowadził Loacha do świątyni.

Loach uwolnił łokieć z uścisku przyjaciela i bez jego pomocy ruszył po schodach w stronę wykładanego klepkami kręgu pośrodku sali. Tu się zatrzymał. Z wyciągniętymi przed siebie rękami zaczął obracać się wolno dookoła. Wszyscy obserwowali go, wstrzymując oddech. Nawet Ferrell przestał trzaskać migawką aparatu. Loach obracał się, aż stanął twarzą do stołu, na którym leżały gazety. Wtedy znieruchomiał. Jedna ręka opadła mu wzdłuż boku, ale druga powędrowała jeszcze wyżej. Wtedy ruszył przed siebie, jakby za drogowskazem, szurając nogami po zakurzonej podłodze. Kiedy dotknął udem stołu, znieruchomiał. Jego ręka zawisła nad rozrzuconymi na blacie przedmiotami. Minęła długa chwila. W sali panowała martwa cisza. I nagle ręka Loacha opadła na broszkę, chwyciła ją i uniosła do góry. Zgromadzeni wydali z siebie westchnienie ulgi.

- Minęło sześć lat - powiedział przepraszająco wysoki teozof, zdejmując z głowy apaszkę i szalik. - Obawiam się, że mój mały ptaszek wyszedł trochę z wprawy. Uśmiechnął się do zgromadzonych.

- No dobra, Loach, w porządku - powiedział Rodney kręcąc z podziwem głową. - Kupiłeś mnie, przyznaję, kupiłeś mnie, przynajmniej na razie. Co dalej? - Jedziemy. - Dokąd? - Do Moab.

- Do Moab? Do Moab w Utah? To tam jest ta jaskinia? - Nie, ale tam mieszka mój brat. - Bomba - rzuciła Gaby. - Wujek Szakal.

3. Przez granicę... Płonący transporter... Doktor Jo dostaje telegram...

Niecałe pół godziny wcześniej minęli blokadę na granicy stanu i właśnie wtedy dogonił ich odkryty kabriolet. Kierowca zaczął trąbić klaksonem i wrzeszczeć:

- Palicie się! Palicie się!

Opuścili Kalifornię ledwie trzydzieści minut temu. Sądząc po widokach, jakie podziwiali od wyjazdu z Placerville, Nevada niewiele się od niej różniła: taka sama pustynna równina, takie same jałowce, szałwia, takie same zrujnowane i opuszczone farmy. Jednak Charles Loach miał po raz pierwszy uczucie, że w końcu, że wreszcie mu się uda. Wyjechał, uciekł, jest w drodze. Wątpliwości, jakie dręczyły go w San Francisco, odkąd zwolniono go warunkowo z więzienia pięć dni temu, wreszcie go opuściły, tak samo jak zgraja tych wścibskich, krwiożerczych pismaków. Tak, koniec z tym.

Może to dzięki temu, że wyjechali już z Kalifornii? A może to ta bezkresna preria i droga wijąca się przed nimi zmieniły jego odczucia, rozwiały wątpliwości i przekonały go ostatecznie, że jest wolny? Tak miało być. Wiedział, że tak już zostanie. Starzy garownicy zawsze powiadali: "Im dłużej siedzisz, tym dłużej przyzwyczajasz się do wolności".

Ale tak naprawdę, myślał, chodziło o tych przeklętych policjantów na granicy. Stało ich tam co najmniej z dwunastu, jak pluton. Nalane, wygolone policzki, wypolerowane na błysk buciory, rewolwery w pochwach wysoko na biodrze. I te ich notatniki (nie rewolwery, ale właśnie te notatniki były ich prawdziwą bronią, Loach o tym wiedział), te niezliczone karteluszkę szeleszczące na wietrze przepisami, postanowieniami i spisami tablic rejestracyjnych wszystkich przejeżdżających przez granicę samochodów z Oklahomy. Tak, kontrolowali wszystkich jadących do Kalifornii z Reno, wszystkich uciekinierów z Indiany i z Arkansas. Następne takie blokady spotkają na południe stąd, w Needles albo w Yumie, bo i tamtędy ciągnęły migrujące rzesze. Dla kalifornijskiej policji wszyscy byli oklahomeczykami. Bez względu na to, skąd szli, co mieli w dokumentach, uznawano ich za mieszkańców stanu Oklahoma.

Tak samo jak wszystkich więźniów nazywano kryminalistami czy garownikami.

Kierowali się na wschód, więc na granicy nie mieli kłopotów. Ale ten nieprzyjemny spektakl wszystkich otrzeźwił i w transporterze zapadła cisza. Rodney Makai przestał opowiadać Gaby o swoich licznych przedsięwzięciach. Siostry-staruszki przestały się przekomarzać. Zamilkła nawet papuga. Wetknęła głowę w pióra i zadumała się nad nieludzkością człowieka wobec ludzi.

Jechali tak w milczeniu do chwili, kiedy usłyszeli krzyk kierowcy kabrioletu. Krzyk wyrwał ich z zadumy i wrócił rzeczywistości. Przez okno w wielkich podwójnych drzwiach transportera zobaczyli, że drogę za nimi zasnuwają kłęby dymu. Ned Blue, ich wynajęty kierowca, natychmiast skręcił i w fontannach żwiru tryskającego spod kół wyhamował na poboczu.

- Uwaga! Na stanowiska! - krzyknął. Chwycił gaśnicę, wyskoczył z transportera i wrzasnął: - Wszyscy na brzeg! Wszyscy wychodzić na brzeg!

Loach wyskoczył za nim. Zobaczył, jak muskularne plecy Neda giną w chmurze dymu, i usłyszał głośny syk gaśnicy.

- Ogień na rufie! - meldował Ned. - Ogień na rufie! - I znów syk gaśnicy.

Kiedy kierowca wychynął z czarnych kłębow, miał na ustach triumfalny uśmiech.

- Już po wszystkim, kapitanie - oznajmił. - Jesteśmy bezpieczni. To ta z prawej strony, ta wewnętrzna. Zeszła z felgi, zaczęła ocierać, no i się zapaliła. Moja wina. Tam, na tych zakrętach na granicy, maszyna reagowała jakby za miękko. Zauważyłem to, ale pomyślałem sobie, że do Reno wytrzyma. W Reno chciałem wyciągnąć ją na dok. Tak, to moja wina... Loach podał mu chusteczkę.

- Widzę, że byłeś marynarzem, Ned. - Ten mały, zwinny i skoczny kierowca spodobał mu się od pierwszej chwili, kiedy zauważył go w kolejce bezrobotnych do urzędu pracy. Cieszył się, że Makai go przyjął.

- Tak jest, panie kapitanie. Byłem starszym marynarzem na USS Des Planes. - Otarł oczy. - ściagałem łodzie podwodne po całym Atlantyku. Nic mi nie jest, przywykłem do dymu. - I żeby to udowodnić, znów pogrążył się w ciemnej chmurze, skąd dobiegł Loacha syk strumienia C\$O; pod ciśnieniem. - A pan? - zawołał wesoło zza skłębionej kurtyny. - Co pan wtedy robił?

- Byłem we Francji - odrzekł Loach. - Ściagałem nieprzyjacielskie czołgi.

- Od razu wiedziałem, że z pana wojskowy - Ned podszedł do wielkich drzwi transportera, otworzył je na oścież i pomachał ręką pasażerom. - Wszystko w porządku. To tylko kawał spalonej gumy, nic więcej. - Sięgnął po starą drewnianą skrzynkę, której używał jako schodków, i pomógł im wysiąść. - Proszę rozgościć się pod tym pięknym cienistym drzewem. Ned Blue będzie musiał zmienić koło. To parszystwo się tli.

- Tli się? - mruknął Rodney wzgardziwszy ręką Neda, przez co omal nie skręcił sobie karku. - Raczej się pali, cholera.

Wychodzili, rozpędzając rękami dym. Drzewo było karłowatym drzewkiem Jozuego i dawało tyle cienia ile szkielet wychudzonego wołu, ale październikowe słońce nie grzało

zbyt mocno, a ponieważ mieli stół z nie heblowanych desek, mogli usiąść i zaczekać, aż Ned zmieni oponę. Wyładowali koszyk z jabłkami i serami zgromadzonymi przez zapobiegliwe siostry, po czym zamiast obrusa rozesłali na stole jedną z ich kolorowych szarf.

Ned tymczasem szalał. Zanim Rodney zdążył odkorkować pierwszą butelkę wina, podniósł tylną oś na podnośniku i zdjął zewnętrzną oponę. Wewnętrzna, kompletnie zwęglona, nie ustąpiła tak szybko. Żeby ją ostudzić, Ned musiał zlać koło wodą. Wciąż skwierczała i dymiała. Podróżni siedzieli przy stole, obserwowali, jak kierowca pracuje, i sączyli burgunda z papierowych kubeczków.

Rodney poczuwał się do obowiązku prowadzenia rozmowy. Miał dużo do powiedzenia na temat doboru win, które z sobą zabrał, i chciał, żeby wszyscy delektowali się znakomitymi rocznikami. Loach lubił wino, ale stwierdził, że rozmowa coraz bardziej go denerwuje. Przeprosił siedzących przy stole, odszedł nieco dalej, znalazł duży płaski kamień i usiadł.

Kamień był ciepły, Loach odetchnął kilka razy, wciągając głęboko powietrze. Niezliczone godziny spędzone nad opasłymi tomami filozofii Wschodu, w które zaopatrywał go ojciec Paul, przynajmniej jednego go nauczyły - jak siedzieć prosto i jak spokojnie oddychać. To znakomity sposób na dobre samopoczucie, kiedy los wepchnie człowieka do ciasnej nory albo rzuci go na dzikie otwarte pustkowię. Oddychał i czekał, aż puls mu się uspokoi, ręce przestaną drżeć, a horyzont kołysać.

Potem się rozejrzył. Zobaczył kostropatą ropuchę, która czmychnąwszy spod kamienia, przystanęła na chwilę, żeby na niego popatrzeć. Później ruszyła spieszenie w stronę drogi, jakby chciała pomóc Nedowi ukrytemu pod brzuchem transportera. Z gniazda na dachu maszyny wychynęła głowa Juke'a. Mały człowieczek zamrugał nieprzytomnie, jakby dopiero co się obudził.

Właściwie to transporter przypominał trochę tę kostropatą ropuchę; do pewnego stopnia oczywiście, bo był od niej znacznie większy. Zszedł z taśmy montażowej w 1930 i od tamtej pory nikt nim nie jeździł. Rodney wytargował go w Vallejo i kiedy trzy dni temu zajechał tym monstrem przed świątynię, oznajmił dumnie:

- Jest sprawdzony i pewny. I ma tylko sto kilometrów przebiegu. Kupiłem go z zapasów wojennych. Zbudowano go cztery lata temu. Wspaniała maszyna.

Członkowie Stowarzyszenia Doktora Loacha wylegli na ulicę, żeby ją sobie obejrzeć.

- Z zapasów wojennych? Przecież przez ostatnie cztery lata nie braliśmy udziału w żadnej wojnie, mój drogi - zauważyła przytomnie jedna z sióstr.

- No pewnie, że nie braliśmy. Bo mieliśmy wielki kryzys gospodarczy, depresję. Ale wojsko musi być zawsze na bieżąco, prawda? Musi dbać o rozwój nowoczesnego sprzętu bojowego, tak? Projekt tego transportera powstał zaraz po tym, jak zaangażowaliśmy się w działania wojenne w Europie. Generałowie doszli do wniosku, że jeśli znowu przyjdzie nam działać na jakiejś ziemi niczyjej, to będziemy potrzebowali większego transportera do przewożenia rannych. Kwatermistrz powiedział, że to maszyna typu T\$S. Gaby zaśmiała się szyderczo.

- Sądząc po tych maleńkich okienkach, powinni go raczej nazwać transporterem typu N\$N\$W. Nic Nie Widać!

- Nie zrozumiałaś mnie, moja panno - odparł Rodney. - T\$S znaczy transporter sanitarny. Jedyna w swoim rodzaju maszyna, prawdziwy unikat. I jest opancerzona. Tak jest, o-pan-ce-rzo-na. Stąd te maleńkie okienka. Zaprojektowano ją tak, żeby mogła działać w strefie walk, pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Przez tylne drzwi można do niej załadować czterdziestu czterech rannych i bezpiecznie opuścić teren walki. - Uderzył pięścią w burtę transportera. - Przebije to tylko pocisk z działa!

- Sama nie wiem, Rodney... - powiedziała jedna z ciotek. - I tym mielibyśmy jechać na wyprawę? To chyba niezbyt... zdrowe, prawda?

- Niezdrowe? Ten transporter jest bardzo pakowny i wygodny. Proszę, chodźcie za mną. - Poprowadził grupkę na tył maszyny. Stanęli przed wielkimi, ciężkimi drzwiami. - Podwójne drzwi. W podłodze jest ukryta wysuwana rampa. Do wciągania... do wciągania różnych rzeczy. Da się po niej załadować leżanki i w ogóle cały ten kram. Choćby wasz kufer, którego nie możecie otworzyć. To jeden z powodów, dla których to cacko kupiłem. Wygoda i pakowność.

- Nigdy nie umiałeś kłamać, Rodney. Kupiłeś to szkaradztwo tylko dlatego, że miałeś w tym jakiś interes, prawda?

- Chwila, moi drodzy. Owszem, powiedziałem, że sfinansuję ten wasz wędrowny cyrk, ale od kiedy to kłowni podróżują pierwszą klasą?

Rodney był tak dumny ze swego poczucia humoru, tak wniebowzięty, że chichocząc jak panienka, powtarzał żart wszystkim naokoło. Ramona uciszyła go kopnięciem w but.

- Nie powtarzaj się, mój drogi - rzuciła z naganą w głosie. - To oznaka degeneracji.

- Wcale nie! - poprawiła ją Mona. - To cecha typowa dla urodzonych pod znakiem Bliźniąt, dla tych małych kłamliwych gnomów. A propos, Rodney. To nie leżanki. To są tapczany.

Patrząc na tę isticie niezemską maszynę, wciąż jeszcze plującą dymem ze spalonej opony, Loach nie umiał powstrzymać uśmiechu. Fakt, była jedyna w swoim rodzaju, naprawdę unikalna. Głowę dawał, że po drogach tego kraju nie jeździ nic podobnego. No i rzeczywiście miała solidny pancierz, tak jak mówił Rodney - prawie centymetrowej grubości, z nitowanej stali. Mogli wyładować ją uciekinierami z Oklahomy, rozwalić tę blokadę na granicy i spokojnie jechać dalej, bo rewolwerowe pociski odbijałyby się od transporterów jak groch od ściany.

Gaby zrezygnowała z wina i towarzystwa przy stole i z papierosem w długiej bursztynowej cygarniczce, którą wsunęła w kącik ust, ruszyła w stronę Loacha. Zatrzymała się kilka metrów od niego, wyjęła z ust cygarniczkę, oparła rękę o biodro i zaczęła mu się uważnie przyglądać: doktor wciąż miał na sobie więzienny strój.

- Eleganck z ciebie, nie ma co - stwierdziła. - Dlaczego się nie przebrałeś?

Wzruszył ramionami. Odkąd go wypuścili, nie miał okazji z nią porozmawiać.

- Nie było czasu, byłem bardzo zajęty. Załatwiałem ekwipunek dla naszej wyprawy.

Roześmiała się.

- No to dlaczego nie wzięłeś tego błękitnego garnituru w jodełkę, w którym cię przymknęli? Nie zwrócili ci go? Zawsze było ci w nim do twarzy.

- Nawet go nie przymierzyłem. Wiedziałem, że nie będzie pasował. Po co tracić czas?

- Fakt, schudłeś, wyglądasz jak strach na wróble. Taki byłeś rozrabiaka, że trzymali cię o chlebie i wodzie? Loach uśmiechnął się.

- Nie, można się było najeść... jeśli ktoś lubi mieloną szynkę i tłuczone ziemniaki.

- Chryste - mruknęła i splunęła na ziemię. Udając zdziwienie, uniosła brwi.

- Co cię napawa taką odrazą? Przecież to nie ty musiałaś to jeść.

- Co mnie napawa odrazą? Dlaczego mam tego wszystkiego dosyć? Mnie o to pytasz? Boże, patrzysz i nie grzmisz! Sześć lat temu wybieraliśmy się do Nob Hill, pamiętasz? Był szampan, kawior, pisali o nas w gazetach, byliśmy kimś. I nagle koniec. Zamykają cię w więzieniu praktycznie na całe życie, a mała Gaby haruje jak dziki wół, żeby zarobić na hamburgera i szklankę piwa! Może o tym nie wiesz, mój drogi wuju, ale oczekiwałam od życia czegoś więcej niż hamburgera i szklanki piwa.

- Ja oczekiwałem czegoś więcej niż mielonej szynki i tłuczonych ziemniaków - odparł. Chciał, żeby zabrzmiało to zabawnie, ale spostrzegł, że twarz dziewczyny poczerwieniała, a oczy są pełne żalu.

Gaby odwróciła się i dmuchnęła w cygarniczkę. Niedopałek papierosa poszybował w stronę transportera jak strzałka wyrzucona z dmuchawki. Potem wepchnęła cygarniczkę do kieszeni bluzy, podeszła bliżej, usiadła na kamieniu obok Loacha i skrzyżowała nogi. Po chwili milczenia wytarła oczy wierzchem dłoni i podciągnawszy różową spódnicę powyżej kolan, wystawiła nogi do słońca.

- Słońce. Tego nam potrzeba. I tobie, i mnie. Mnie tak samo jak tobie. Popatrz, jaka jestem biała.

- Myślałem, że przez jakiś czas mieszkałaś w Hollywood. Nie było tam słońca?

- Może, ale rzadko je widywałam - odparła. - Zawsze lubiłam nocne życie.

Loach milczał. Od stołu pod karłowatym drzewkiem dobiegł ich odgłos korka wyciąganego z butelki. Rodney otworzył następne wino.

- Ale jeśli chcesz wiedzieć, to najbardziej lubiłam wędrowne życie. Tak, zawsze lubiłam, kiedy nasz cyrk ruszał w drogę. To całe zamieszanie, ten rozgardiasz, te wieczne kłótnie. Bardzo lubiłam naszą paczkę. To były czasy, he?

Nie odpowiedział. Gaby zrzuciła buty i poruszała stopą, żeby ściągnąć uwagę Loacha na jej wytatuowaną kostkę, ale on wciąż milczał.

- Tak, dobre stare czasy. I może nie miałam przyzwoitego wykształcenia, jak powiadają ci z Nob Hill, ale zawsze byłam pięknie opalona. Loach zachichotał.

- Powiadają też - szepnął - że blondynkom zbyt wiele słońca szkodzi. Dostają od tego zmarszczek.

- A żesz ty! - prychnęła. Szybko złączyła uda i naciągnęła spódnicę na kolana. - Ty stary cyrkowy błaznie! Język masłem ci ocieka! Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Po chwili wyjęła paczkę Chesterfieldów i podsunęła mu ją pod nos. - Chcesz? - Nie, dziękuję. Rzuciłem palenie. - Żeby odpokutować za grzechy? - Nie, żeby odzyskać spokój ducha.

- Zachowujesz się tak, jakbyś zrezygnował w tym pudle z wielu rzeczy.

- Można się tego nauczyć. Kiedy siedzisz pod celą, bardzo szybko odkrywasz, że wykorzystują przeciwko tobie twoje nawyki i przyzwyczajenia. I jeśli nie masz forsy, przepadłeś, zniszczą cię. Zniszczy cię brak papierosów, alkoholu, brak hazardu. Nawet brak kawy. Jak zauważą w tobie jakąś słabość, natychmiast to wykorzystają. Łapią człowieka na przynętę i skaczesz jak marionetka na sznurku.

- No, ale ty oczywiście im pokazałeś, ty ten sznurek przeciąłeś...

- Próbowałem, jak mogłem - odparł czując na policzku jej wzrok, palący jak pustynne słońce. - Ciężko mi było zrezygnować z batoników.

- Tak, zawsze lubiłeś słodycze. A czego brakowało ci najbardziej?

- Tam? W więzieniu? Chyba czytania. Lubię czytać. Odkryłem w sobie mola książkowego. I tak naprawdę to nigdy czytania nie zarzuciłem. Na szczęście ojciec Paul zaopatrywał mnie w literaturę. - Skinął głową. - Tak, myślę, że z książek nie umiałbym do końca zrezygnować.

Poczuł, że jej spojrzenie pali go jeszcze mocniej. Obrócił się na kamieniu, przysłonił ręką oczy i spojrzał na drogę. Ned opuszczał transporter na podnośniku.

- Wygląda na to, że jesteśmy gotowi do dalszej podróży. - Wstał i spojrzał na swoją przetartą koszulę i spodnie. - Przepraszam za ten paskudny strój - dodał. - Te wszystkie przygotowania, te konferencje prasowe w San Francisco tak nas pochłonęły, że... Roześmiała się kręcąc głową.

- Przecież uwielbiasz te łachy, ty arlekinie. Kto raz wystąpił na arenie, nigdy już cyrku nie opuści. Jak dojedziemy do Reno, spróbuję ci wytrzasnąć koronę cierniową. Będzie ci do twarzy.

Zawtórował jej chropowatym śmiechem. Tak chropowatym, że aż bolesnym. Wyciągnął do niej rękę. Gaby przyjęła ją, wstała i wygładziła spódnicę. Ramię w ramię ruszyli przez trawę w stronę drogi.

- W Reno przenocujemy - oznajmił. - Dojedziemy tam przed zmrokiem.

- Mam nadzieję, do diabła! Na ostatnim drogowskazie stało, że do Reno jest dwadzieścia kilometrów, a to było co najmniej piętnaście kilometrów stąd. W drogę! - krzyknęła do siedzących przy stole. - Czas ruszać! Chcę jeszcze uścisnąć rękę jednorękiemu bandycie! Jak się nie pospieszymy, to zanim dojedziemy do nory naszego Szakala, zemrzemy ze starości. Zwijając obóz, harcerze. Pora ruszać.

Na drugim końcu tego samego stanu Jocelyn Kain też zwijała obóz i przygotowywała się do drogi. Z tym że jeśli nie liczyć konia, była sama. Tak, jeśli nie liczyć konia i ludzików wymalowanych na skalnej ścianie. Przez ostatnie trzy miesiące wielki wałach i te małe patykowate ludziki były jej jedynymi kompanami. Gdyby mogła wybierać, zabrałaby ze sobą ludziki i zostawiła konia.

Do olstra przy siodle wsunęła Winchester, dopięła popręg i po raz ostatni rozejrzała się po obozowisku. Przyjeżdżała tu od niemal dwóch lat. Kiedy doszła do wniosku, że nie zostawiła za sobą prawie żadnych śladów, że nie zniszczyła niczego, co stworzyła natura, poprowadziła konia w górę zbocza, do skalnej krawędzi z czerwonego piaskowca. Stąd widziała swoich wszystkich przyjaciół: dwadzieścia trzy małe postacie o kwadratowych ramionach namalowane na skale. Każdą z nich znała na pamięć. Były różne i

niepowtarzalne i tak znajome jak postacie z rodzinnego albumu fotograficznego wyłobionego w skale. Bardzo nie chciała ich opuszczać. Chociaż nowa wyprawa zapowiadała się naprawdę fascynująco, było mało prawdopodobne, że znajdzie sobie lepsze towarzystwo.

Doktor Jocelyn Kain prowadziła badania archeologiczne w tej części kraju już od ponad dziesięciu lat. Nawet podczas kryzysu gospodarczego, kiedy brakowało rządowych funduszy, ciągle tu wracała. Głęboko wierzyła, że jej marzenie się spełni, że znajdzie tu podwaliny pod swoją teorię o migracjach starożytnych ludów Ameryki. Tutaj, w kanionie Moki, znalazła szczątkowe dowody na to, że Anasazi, przodkowie Indian, których członkowie plemienia Navaho nazywali "ojcami ojców", ulegali wysoko rozwiniętym kulturom ludów Ameryki Południowej: Inków, Majów i Azteków. W jednej ze zniszczonych pieczar odkryła szkielet Indianina z plemienia Macaw, który najwyraźniej utrzymywał kontakty handlowe z Aztekami z południowego Meksyku. Pracowała w tej pieczarze przez dwa ciężkie lata, żeby znaleźć argumenty na podważenie teorii o migracjach plemion przez pas łądu łączący niegdyś Cieśninę Beringa. Lecz badania archeologiczne są żmudne i długotrwałe.

No i zależą od polityki. Przez ostatnie pół roku musiała korzystać z własnych oszczędności, bo stypendium przyznane przez Krajowe Towarzystwo Geograficzne nie wystarczyło. A teraz ten telegram. Zawiadomili ją, że strumyk wysechł całkowicie. Koniec. Kropka. Badania mieli kontynuować inni archeologowie. Nowa grupa, sami mężczyźni, wszyscy znani z tego, że myślą trzeźwo i nie ulegają emocjom. Ostatnie naciski spowodowały, że Krajowe Towarzystwo Geograficzne przestało finansować jej romantyczne wizje prehistorycznych oper mydlanych. Mieli dla niej inne zadanie.

Jocelyn wsunęła but w strzemię, chwyciła się kabłąka i wsiadła na konia. Kiedy wzięła lejce, wałach pochylił łeb i potrząsnął grzywą.

Jej głowa znalazła się teraz na wysokości jednej z postaci na skale.

- Hasta luego - powiedziała Jocelyn. - Pewnego dnia dokończymy, co zaczęliśmy.

Chociaż od chwili, kiedy po raz pierwszy przedstawiła tę hipotezę uczonym kolegom, jej teorie coraz namiętniej wyszydzano, doktor Kain uparcie dotrzymywała wierności swoim przekonaniom. Wiedziała, że pierwotne ludy Ameryki migrowały i pewnego dnia zamierzała tego dowieść. To, co wymyśliła, uważano za archeologiczną herezję, ale niczego innego się nie spodziewała. A wkrótce stwierdziła, że za jeszcze większą herezję uchodzą jej wysiłki badawcze. Była kobietą uprawiającą zawód zarezerwowany

wyłącznie dla mężczyzn - oto, co archeologiczny establishment traktował jak świętokradztwo. Dlatego schodziła im z drogi, ot co.

I wtedy, pewnego ranka, kiedy niebo zasnuwały burzowe chmury szykujące się do zwykłej o tej porze roku popołudniowej ulewy, nadjechał dziobaty Hopi, który zaopatrywał ją w wodę i jedzenie. Indianin milczał i długo wpatrywał się w niebo. W końcu zeskoczył z kucyka i wręczył jej żółtą kopertę. Nie otworzyła jej od razu. Nie musiała tego robić. Cokolwiek było w środku - wiadomość o tymczasowym zawieszeniu prac? o braku pieniędzy? - wszystko sprowadzało się do jednego: wylali ją. Indianin też o tym wiedział. Kiedy pili kawę, unikał jej wzroku i nie odpowiedział, gdy dziękowała za dostarczenie przesyłki. Wsiadł na sennego kucyka, siedział chwilę wpatrując się w starożytne malowidła, potem ścisnął boki zwierzęcia kolanami i odjechał tam, skąd przybył.

Telegram był od Bucknera Harrisa, starego kumpla, z którym pracowała w kanionie Moki. Przynajmniej wykazali jakąś klasę i katowski topór wręczyli staremu przyjacielowi. Ale tak lapidarnie sformułowaną wiadomość mógł wypichcić każdy biurokrata i rzecz sprowadziłaby się do tego samego: wywalamy cię z roboty. Dokładnie tego się spodziewała. Ale druga część telegramu całkowicie ją zaskoczyła. Bo druga część zawierała instrukcje od tych z kwatery głównej. Tak, zwalniano ją z obowiązków związanych z badaniami nad kulturą starożytnego plemienia Anasazi, ale bynajmniej nie pozwalano jej odejść. Ani też nie kierowano jej do pracy dydaktycznej w jakiejś zatechłej uczelni dla pustogłowych dupków. Jeśli ją to interesuje, mają dla niej nowe zadanie, w innym stanie. Okazało się, że Charles Loach, odkrywca tak zwanej tajemnej groty, został zwolniony z więzienia, pod warunkiem że poprowadzi wyprawę, która miała zbadać ową podziemną galerię starożytnych malowideł. Spece od więziennictwa chcieli, żeby spece od nauki wytypowali jakiegoś archeologa, który by tę jaskinię obejrzał i orzekł, czy malowidła są naprawdę autentyczne. A ci z biura uważali, że dla doktor Jocelyn Kain to pestka.

Tak, kaszka z mleczkiem. Te zasuszone staruchy z Nowego Jorku musiały rechotać przy tym jak gromada żab. Wyprawa do jaskini Loacha. W sam raz dla kobiety. Co za idiotyzm. Ale w głębi ducha była pomysłem zafascynowana i przez cały ranek, kiedy zwijała obozowisko, czuła, że jej podniecenie rośnie z minuty na minutę. Znała skąpe szczegóły z poprzedniej wyprawy Loacha - głównie z gazet, które trąbiły o tym równie głośno, jak o odkryciu grobu Tutenchamona - i zrobiła nawet powiększenia kilku fotografii owej tajemniczej ściany. Cóż za miszmasz symboli! Jakby ktoś zebrał do kupy starożytne freski z całego świata i wymieszał je na jednej skalnej ścianie, malując olbrzymiego paleolitycznego leniwca z Ohio ze skrzydłami pterodaktyla z Iraku i z dziobem ptaka dodo. śmieszne. To

prawie na pewno oszustwo, ale... Gdyby symbole były prawdziwe, gdyby umiała to udowodnić, to kto by się wtedy śmiał?

Buckner Harris podkreślał, że nie ma czasu do stracenia. Był już październik, babie lato nie potrwa zbyt długo. Jeśli mieli tam dotrzeć, zanim śnieg zasypie drogi do miejsca, gdzie w skale zięje owa tajemnicza jama prowadząca do podziemnej jaskini, muszą się spieszyć. O ile telegram zawierał dokładne i sprawdzone wiadomości, członkowie ekspedycji wyjechali z San Francisco już dwa dni temu. Jutro, w sobotę wieczorem, zamierzali dotrzeć do Salt Lake City, przenocować, a w niedzielę ruszyć w dalszą drogę. Żeby się z nimi tam spotkać, będzie musiała spędzić na koniu cały dzień, dojechać do Searchlight, złapać jakiś samochód, który zawiezie ją do Kingman, na wschód od Searchlight, a tam, przy odrobinie szczęścia, zabierze ją cysterna z mlekiem udająca się do Flagstaff. Jeśli szczęście dopisze jej po raz wtóry, we Flagstaff, w biurze podróży Acheson Topeka & Santa Fe, kupi bilet kolejowy na pulmana i rano będzie już w Salt Lake City.

Tylko jak ich tam odnajdzie? Będzie musiała zastanowić się nad tym w drodze. Mogłaby wysłać telegram uprzedzający o swoim przybyciu. Dziennikarze z miejscowych gazet na pewno wiedzą, gdzie Loach wynajął kwatery. Archeologiczna wyprawa badająca skaliste pustkowia Ameryki to nie sensacja, ale morderca na warunkowym zwolnieniu z więzienia na pewno przykuje uwagę prasy, zwłaszcza mormońskiej. Tak, znajdzie ich.

Po raz ostatni spojrzała na skalne malowidła i poprzez kamienne ruiny ruszyła kanionem w kierunku drogi, zastanawiając się po raz tysięczny, dlaczego Indianie Navaho nigdy nie wykorzystali budowli plemienia Anasazi. Minęło tyle czasu, niezliczone stulecia, a one wciąż znakomicie nadawały się na schronienie. Były z kamienia i z twardego jak kamień drewna, mimo to nigdy nikt tu nie zamieszkał. Nie rozumiała dlaczego. Ślęczała nad książkami, przeprowadzała wywiady i badania, ale rozwiązanie zagadki pozostawało dla niej tajemnicą. Niezłębioną tajemnicą.

Kiedy wyjeżdżała z kanionu kierując się na południe, zza chmur wychyły nieśmiało miedziane promienie jesienno, pustynnego słońca.

4. Wizyta u mormonów... Spotkanie z Boylem... Ucieczka...

Ruszyli spod hotelu przy ulicy Świątynnej. Transporter warczał, zgrzytał i klekotał. Przed nimi, w skalistych ramionach kanionu Cotton Wood, leżał świątynny Plac. Na północ i trochę na zachód od nich wznosiła się granitowa kopuła Kapitolu. Gaby tkwiła przy okienku i przyglądała się życiu bogatej ulicy.

- To miasto przypomina mi Reno - powiedziała do ojca Paula. - Tylko że Reno zbudowano z większym sensem.

- Reno? Dlaczego?

- Niech ojciec spojrzy - odrzekła. - Zbudowali te bogate domy pośrodku pustkowia, na końcu świata. Dlaczego akurat tutaj? Z jakich powodów? Normalny człowiek nie znalazłby tu nic, co zachęciłoby go do budowy miasta. Ten szaleniec zawiódł ludzi na pustynię i kazał im wznosić domy. I oni go posłuchali. Gdyby chociaż sprzedawali tu wodę, gdyby kwitł tu hazard, mieliby jakieś wytłumaczenie. Ale nie, nic z tych rzeczy. - Mają tu wolność religijną - odrzekł ojciec Paul. - Tym się przede wszystkim kierowali.

- Akurat - wtrącił się Rodney Makai, wlewając do kubeczka z kawą solidną porcję bourbona. - Kierowali się przede wszystkim tym, że zwęszyli tu miliony dolców. Kolej, miedź i srebro, ojcie. Oto ich prawdziwa motywacja. Nie wspominając już o samej śmietance, o bogatych dziesięcinach, które płaci się co tydzień kościołowi. Mormoni, ci współcześni święci, to dzisiaj trzecia pod względem bogactwa grupa religijna w Ameryce.

- Druga - poprawił go ze smutkiem ojciec Paul. A wkrótce będzie pierwsza. - No proszę. Ci mormoni to nie głupcy.

- Nie zamieszkałabym tu, nawet gdyby ktoś mi za to zapłacił - oświadczyła Gaby. - Wiecie, że wczoraj w hotelu nie mogłam dostać drinka? Kto słyszał o hotelu, w którym nie sprzedają wody?

- Mogłabyś go dostać w moim buduarze, kochanie - powiedział Rodney.

- Dziewczyna musi uważać, kogo w buduarach odwiedza, złotko - odparowała Gaby spoglądając w okienko. - Po co właściwie jedziemy na tę wycieczkę? Jak uczniaki z niedzielnej szkółki, cholera.

- Mamy spotkanie z naszym naukowcem - mruknął Rodney znad kubeczka z kawą. - Wczoraj wieczorem dostałem wiadomość od wydawcy miejscowej gazety. Powiedział, że do ratusza przyszedł telegram od archeologa przydzielonego do naszej ekspedycji. Ten stary pustynny pierdoła nie czyta normalnych gazet. Nie wiedział nawet, w którym hotelu stanęliśmy na noc. Tak czy inaczej, ten facet, ten archeolog, przesłał nam wiadomość, że będzie na nas czekał w Tabernakulum. - Opadł na poduszki wyściełające tapczan. - Pewnie

doszedł do wniosku, że zechcemy to mormońskie чудо obejrzeć. Poza tym to chyba jedyne miejsce, dokąd nie sposób nie trafić.

Ojciec Paul przysunął się do okienka. Ten Rzym mormonów bardzo go interesował. Za miastem widział Wielkie Słone Jezioro, rozmazane na dnie doliny. Z wyspy położonej na środku wyrastały szczyty skalistych wzgórz. Przypominały ludzkie zęby, siekacze, a słone bagna na brzegach otaczały je niczym zepsute dziąsła. Nie było tu ani drzew, ani trawy, ani kwiatów. Nie było tu nic poza wirującymi chmurami pustynnego pyłu, unoszonymi w niebo porannymi prądami ciepłymi. A nad tym wszystkim górował słynny złoty anioł dmący w złotą trąbę. Ojciec Paul był pod wrażeniem.

Ulica stała się mniej wyboista. Dojeżdżali do świątynnego Placu. Siedzący za kierownicą Ned wrzucił niższy bieg i zwolnił. Ostrożnie minęli ruchliwe skrzyżowanie i objechali plac w poszukiwaniu miejsca do parkowania. Koło południowego rogu - na wielkim placu zmieściłoby się co najmniej dziesięć przecznic normalnego miasta - znaleźli dwa wolne miejsca i Ned zaparkował. Przedni zderzak transportera wystawał na chodnik. Pod pojazdem rozciągał się mur z płaskiego kamienia otaczający świątynię.

Juke zaczął schodzić z gniazda na dachu, zanim jeszcze zgasł silnik. Kiedy się zsuwał koło okienka, uśmiechnął się do ojca Paula, rozłożył ręce jak ptak i... puścił drabinkę. I nie spadł. Zdawało się, że zawisł w powietrzu, metr od burty transportera. Wyglądający przez okienka odnieśli wrażenie, że mały człowieczek pływa w przestworzach. Juke opuścił ręce i sięgnął za pazuchę. Wyjął fajkę i zaczął ją nonszalancko nabijać czymś, co przechowywał w torebce zawieszanej na szyi.

- Co ten szajbus wyczynia, do diabła?! - spytał Rodney przepychając się do iluminatora. - Wygląda na to, że nabija fajkę - odrzekł ojciec Paul.

- Widzę, że nabija fajkę. Ale na czym on do cholery stoi? Mona przytknęła nos do szybki. - Jak to na czym. Stoi na jakimś słupie. - Na słupie?

- Na słupie, Rodney - potwierdziła ciotka. - Juke stoi na kamiennym słupie. A ten słup wyrasta z chodnika. To bardzo dziwne.

- Nie podoba mi się to. Jakby wisiał w powietrzu, cholera. Jak jakiś duch...

- Rodney, kochanie, duchy nie wiszą w powietrzu. Mówisz o nich tak, jakby były krwiożerczymi sępami. Owszem, duchy czasami schodzą na ziemię, materializują się, ale chociaż mam wieloletnie doświadczenie w kontaktach z ich światem, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby duch zawisł w powietrzu jak ptak.

- No nie wiem - wtrąciła się Ramona. - Pamiętasz, jak kontaktowaliśmy się z żoną pana Donnelina? Była naprawdę słodka. I zawisła nad stolikiem. Tak, przez chwilę nad

nim wisiała. Nic nie powiedziała, ale wisieć wisiała. O ile pamiętam, pan Donnelin bardzo się wtedy zdenerwował.

- No i bardzo dobrze. Pan Donnelin to kawał chama! Jednak wcale nie uważam, że duch jego żony zawisł nad stolikiem. Nie, już raczej pływał... Silnik transportera zgasł, maszyna znieruchomiała. - Moje panie i panowie - powiedział Loach wstając. - Sądzę, że powinniśmy zapakować wszystko, co uważamy za niezbędne w trakcie tej małej wycieczki, i wyzbyć się niepotrzebnej reszty. Jak tylko znajdziemy naszego archeologa, natychmiast odjeżdżamy. Żałuję, że czas nie pozwala nam na bogatszy program turystyczny, ale sądzą, że to zrozumiecie. - Uśmiechnął się. - Darowano mi tylko dwadzieścia dni. - Otworzył boczne drzwi i wysiadł.

Mona zaczęła się gorączkowo pakować. Plansza do wróżenia z gwiazd, talia kart Tarota, królicza łapka prawie pozbawiona sierści od wycierania - to i cała masa innych rekwizytów spirytystycznych zniknęło w jej torbie z pozszywanych kawałków materiału w kwiaty.

- Wystarczy, Mono - strofowała ją siostra. - Chyba że sama będziesz to dźwigać. - Owszem, zamierzam to dźwigać sama!

- Już ja cię znam. Na początku niesiesz, a później potykasz się o jakiś maleńki kamyczek, twoja tłuściutka nóżka zaczyna...

- Ramono, potrzebuję wszystkich rzeczy, które tu włożyłam. Wszystkich i każdej z osobna. Poza tym te rzeczy są małe, w przeciwieństwie do twego koszmarnego drewnianego krzyża, który dostałaś od tego pseudo-Indianina.

- Jibway nie był Indianinem. Był mongolskim szamanem, w dodatku na pewno prawdziwym. A krzyż uchroni nas przed wrogimi emanacjami. A nad tą świątynią czyha ich wiele, czuję to. O właśnie. Emanacje tak, one potrafią zawisnąć w powietrzu niczym...

Dobiegł ich donośny szcęk, tylne drzwi rozwarły się na oścież, Ned ustawił na ziemi skrzynkę. Podczas gdy członkowie Stowarzyszenia Doktora Loacha wysiadali z transportera, Rodney pospieszył do baniaczka z bourbonem, który dla bezpieczeństwa ukrył za stertą kartonowych pudeł. Napełnił srebrną piersiówkę, spił nadmiar alkoholu i wsunął buteleczkę do kieszeni marynarki.

- Ochrona przed wrogimi emanacjami - mruknął półgłosem. Pokręcił głową, ruszył za wysiadającymi i wpadł na ojca Paula, który gramolił się z powrotem do kabiny. Książd nerwowo odpinał koloratkę. - I bez tego będziemy rzucać się w oczy - wyjaśnił. - Po co drażnić ludzi? - Włożył sztywny kołnierzyk do torby, torbę wepchnął nogą pod leżankę. - Niech pan zaczeka, panie Makai.

Ned stał z tyłu grupy krążącej bezładnie wokół niewielkiego kamiennego słupa z Juke'em na szczycie; kierowca udawał, że czyta napis na brązowej tablicy. Kiedy Makai i ojciec Paul podeszli bliżej, Rodney poczuł na nogach jakiś dziwny podmuch powietrza. Zadrżał i czym prędzej postawił kołnierz marynarki. Fakt, ciotka miała rację: nad świątynią wisiało coś niewytłumaczalnie zimnego. Rozejrzał się na wszystkie strony, sięgnął do kieszeni po piersiówkę i szybko pociągnął łyce. Wokół było mnóstwo turystów, ale dawał głowę, że jego nie zauważą. Nie, nie w chwili, kiedy na słupie stoi sinoniebieskawy człowieczek, a przy słupie czarnuch. Rodney otarł usta.

- Zimniej tu, niż się spodziewałem - powiedział do ojca Paula.

- Tak, zauważyłem - odrzekł ksiądz. - Przed religijnymi gmachami zawsze jest trochę zimno.

- Też to zauważyłem - wtrącił wesoło Ned; był chyba zadowolony, że wreszcie nie idzie na końcu grupy sam. - Pamiętam, jak zwiedzałem katedrę Notre Dame. Było sierpniowe popołudnie. Na ulicach skwar jak w piekle, a w katedrze? Koszmarnie zimno. Zimniej niż w kostnicy, jak pragnę zdrowia. Panie Juke, niech pan stamtąd zejdzie.

- Zimno - odpowiedział Juke ze szczytu słupa. - Zimno, zimno, zimno.

- Właśnie, panie Juke - nalegał ojciec Paul. - Proszę, niech pan zeskoczy.

Juke posłuchał prośby i ze zdumiewającą lekkością wyładował u podnóża kamiennego piedestału. Postukał w cybuch, wytrząsnął z niego fontannę iskier i zaczął gorączkowo szukać miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie ukryć fajkę. Ustnik był zbyt długi i zakrzywiony, a cybuch zbyt gorący, żeby mógł ją schować do kieszeni, jak zwykle. Powstrzymał go czyjś miły, łagodny głos.

- Tutaj nie musi pan ukrywać swoich nałogów, mały przyjacielu. - Ze szczytu kamiennych, ozdobionych kwiatami schodków uśmiechał się do nich potężnie zbudowany mężczyzna, ubrany w garnitur w paski. Owszem, w świątyni prosimy zwiedzających, żeby powstrzymali się od palenia tytoniu, ale robimy to tylko przez wzgląd na ludzi chorych i starych, którzy często nas odwiedzają. Ale tutaj nie ma takiej potrzeby. Nikt nie zwróci panu uwagi, że chodzi pan z fajką. Czy nawet z piersiówką. To wprawdzie święta ziemia, ale przecież wciąż należy do Stanów Zjednoczonych Ameryki, prawda? Oczywiście my, mormoni, nie palimy i nie pijemy alkoholu.

Uśmiechał się tak mięsistym i tak szerokim uśmiechem, że musiał go chyba długo i uporczywie trenować. Mięśnie policzków wyglądały jak twarde bicepsy. Zęby miał równie spektakularne, wielkie jak dziesięciocentówki, a jeden z trzonowców był ze złota. Błyszczał jak anioł dmący w trąbę na kopule świątyni.

- Przepraszam pana - wtrącił się Rodney z uśmiechem - zastanawialiśmy się właśnie, w jakim celu ustawiono tutaj ten słup. - Tak naprawdę to zastanawiał się, czy facet widział go dudłającego z piersiówki czy nie. Nie dbał o to, że wielkolud potraktował go na równi z Juke'em.

- Ten stary wypolerowany gład? Według przekazów, w tym właśnie miejscu zatrzymał się Brigham Young. To kamień węgielny Obiecanego Miasta. Wszystkie ulice w Salt Lake City planuje się względem tego kamienia. Czy to waszą grupę przed chwilą widziałem? Niedawno tędy przechodzili. Tak myślałem. Pozwolicie panowie, że się przedstawię. Nazywam się Boyle.

Zszedł ze schodków i wyciągnął rękę o tak wielkiej dłoni, że Rodney zastanawiał się, jak, na Boga, przepchnął ją przez rękaw marynarki.

- R. L. Makai - odrzekł. Zobaczył, jak jego drobna dłoń ginie w mięsistej łapie Boyle'a, i poczuł się przy nim jak bezbronny karzełek.

- R. L. Makai?! - wykrzyknął olbrzym potrząsając entuzjastycznie ręką dziennikarza. - Z "The Hollywood Herald"? Naprawdę? Ten sławny R. L. Makai?

- Ten sam - odrzekł rozpromieniony Rodney. I jakby trochę urósł. - Dla przyjaciół Rodney.

- Rodney, to dla mnie nielichy zaszczyt, jak mi Bóg miły. - Uwolnił jego rękę i machnął w stronę idących przodem pasażerów transportera. - Więc jesteście tą słynną ekspedycją doktora Charlesa Loacha, tak?

- Zgadza się. Nazwaliśmy ją wyprawą do tajemniczej jaskini. Całe przedsięwzięcie finansuje moja gazeta.

- Ależ wiem o tym! Jakże mógłbym nie wiedzieć. Śledziłem wszystko w prasie. W niedzielnym wydaniu znalazłem pańskie zdjęcie. Bardzo ładne. Siedzicie w parku w Reno i jecie kurczaka. Nawet ty, Jim. - Spojrzał z uśmiechem na Neda, ale ręce trzymał w kieszeni.

- Tak jest, proszę pana - odrzekł Ned. - Jadłem kurczaka jak inni.

- No pewnie. A więc, panie Makai, tak jak pisali w gazetach, zamierzacie dzisiaj zwiedzić naszą świątynię. No i jesteście. Cóż za honor! Cóż za zaszczyt! Słynna wyprawa do tajemniczej jaskini doktora Loacha! Pozwólcie, że w imieniu Świętych powitam was oficjalnie w Salt Lake City. - W imieniu "świętych"? - nie zrozumiał ojciec Paul.

- Kościoła Świętych Ostatnich Dni, rzecz jasna, tak się nazywamy. Często tę nazwę skracamy i mówimy o sobie święci.

- I naprawdę wszyscy tu są tacy święci? - spytał Rodney. - To chyba cholernie nudne miasto. Nikt nie grzeszy... Roześmiali się.

- Równiacha z pana, Makai - skostatował Boyle. Widzę, że rozumiemy się jak dwa łyse konie. Chodźcie, chciałbym poznać resztę waszego dzielnego oddziału.

Boyle objął Rodneya potężnym ramieniem i poprowadził go chodnikiem w stronę grupki pozostałych członków ekspedycji. Juke, Ned i ojciec Paul - bez koloratki - zostali przy kamiennym słupie.

- Przede wszystkim chciałbym poznać tego odważnego hombre, doktora Loacha. Chwila, a może zorganizuję wam coś ekstra? Może oprowadzić was po świątyni, co? Niech pan tylko spojrzy na tę kolejkę. W niedzielę zawsze jest tłum zwiedzających. Nie będziecie musieli czekać, bo trochę się tu ze mną liczą. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Jasne, zgoda - powiedział Rodney. - Jednego nie cierpię: stania w kolejkach. Czas jest zbyt cenny, żeby marnować go stojąc w rzędku jak owieczki.

- Amen, bracie Makai, amen - potwierdził Boyle pocierając ręce. - No to chodźmy!

Ruszyli w stronę pozostałych członków wyprawy, którzy stali na końcu długiej kolejki turystów, czekając na wejście do Tabernakulum.

- Chick, do diabła! - zawołał Rodney, kiedy podeszli bliżej. - Ferrell! Chodź tutaj!

Chick usłyszał swoje nazwisko i szybko obrócił głowę. Na jego szyi zadyndały girlandy sprzętu fotograficznego.

- Panie Boyle, chciałbym przedstawić panu mojego pracownika, pana Ferrella. Pan Ferrell odpowiada za dokumentację fotograficzną i tekstową naszej przygody. Miejmy nadzieję, że sobie poradzi. Chick, uściśnij dłoń pana Boyle'a. Pan Boyle widział twoje zdjęcie z lunchu w Reno.

- Wspaniałe ujęcie, synu, naprawdę wspaniałe - powiedział Boyle potrząsając rękę Chicka tak mocno, że aparaty na szyi Ferrella grzmotnęły o siebie. - Uwydatnił pan na nim cechy osobowe wszystkich uczestników ekspedycji. I to jak dokładnie! Aż po cebulki włosów!

Chick nie odpowiedział, kiwnął tylko głową. Nie wiedział, o co mu z tymi cebulkami chodzi, i był pewien, że ten wielki czerwony grubas nie ma zielonego pojęcia, czy jego zdjęcie uwydatniło cechy osobowe uczestników ekspedycji czy nie.

- Ferrell - powiedział Rodney - chcę, żebyś pstryknął nam zdjęcie. Z mojego spotkania z panem Boyle'em. Zdjęcie, Ferrell, zrób nam zdjęcie, kapujesz? Myślisz, że dasz sobie radę? Może lepiej weź trójnóg.

Chick zaczął zmagać się nerwowo z opornym sprzętem. Kiedy ustawiali się do zdjęcia, nadszedł ojciec Paul.

- Wie pan co, panie Boyle? To miejsce trochę przypomina mi Watykan.

- Owszem, przypuszczam, że pewne fizyczne podobieństwa istnieją - przyznał mormon. Wyciągnął rękę i połaskotał księdza po odsłoniętym gardle. - Co się stało z pańską koloratką, padre? - spytał z szerokim, lubieżnym uśmiechem. - Czyżby podróżował ksiądz incognito?

- Musiałem zostawić ją w transporterze - odrzekł Paul z rumieńcem na twarzy.

- Niepotrzebnie. Nasze Tabernakulum jest otwarte dla wszystkich zwiedzających. Dla fajczarzy, dla miłośników pieczonych kurczaków i dla zjadaczy makreli. - Roześmiał się i objął księdza ramieniem. - Panie Makai, niech pański człowiek zrobi zdjęcie nam trzem. Dla zachowania równowagi, jak powiadają.

Podczas gdy Chick rozstawiał trójnog, ojciec Paul usiłował zatuszować swoje zmieszanie prowadzeniem rozmowy. - A więc był pan w Rzymie, panie Boyle...

- Naturalnie. W Rzymie, w Jerozolimie, w katedrze w Chartres, w Thule w Luksemburgu. We wszystkich ośrodkach życia duchowego. To najpewniej przez ten wysoki mur nasza świątynia kojarzy się księdzu z Watykanem. - Możliwe. Potężna jest...

- W tamtych latach nasz kościół był młody i musiał zbudować ten potężny mur. Dla obrony. I nie tylko przed Indianami. Czy zauważyliście po drodze tę skalną grotę? Świątynia i kapitol są z nią połączone. Grota służyła nam jako doskonały punkt obserwacyjny i jako swego rodzaju droga ewakuacyjna w razie niebezpieczeństwa. Jak nora świstaków, he?

Trzasnęła migawka aparatu. Chick wyciągnął płytkę i odwrócił ją przygotowując do następnego zdjęcia. - Nadal tę grotę wykorzystujemy - mówił dalej Boyle. - Jako podziemne archiwum dla naszych zapisów genealogicznych, jako magazyn żywności i skład medykamentów. Ostrożności nigdy nie za wiele, co, Makai?

Zanim Rodney zdążył odpowiedzieć, za pozującą do zdjęcia trójką odezwał się głęboki głos:

- Ludzie żyjący za tak wysokim murem czują się na pewno bardzo bezpiecznie.

- Aaaa! - wykrzyknął Rodney. - Loach! Oto człowiek, którego chciał pan poznać, panie Boyle. Oto odkrywca tajemniczej jaskini, pan Loach. Doktorze Loach, to jest pan Boyle. Pan Boyle chce nam zorganizować wycieczkę do świątyni, żebyśmy nie musieli czekać w kolejce.

Boyle natychmiast zapomniał o Chicku i o pozowaniu do zdjęcia. Odwrócił się i wyciągnął do Loacha wielką rękę.

- To dla mnie zaszczyt, panie doktorze, Bóg mi świadkiem. Dużo o panu słyszałem, bardzo dużo. Prawdziwy hombre z pana. Ale nie wiedziałem, że oprócz tego, czym się pan aktualnie zajmuje, jest pan również lekarzem.

- Nie jestem doktorem medycyny, panie Boyle - odrzekł Loach. - Mój tytuł naukowy jest tytułem znacznie mniejszego kalibru. Otrzymałem go na akademii teozoficznej, która zresztą chyba już nie istnieje.

Uściskał Boyle'owi rękę. Dłoń mormona była szeroka, jego - szczupła i długa.

- Jest pan zbyt skromny, panie doktorze - powiedział Boyle. - Teozofia jest bardzo wnikliwą i szeroką dziedziną nauki. Ta stara Ukrainka nie była taka głupia. Loach uniósł brew. - Słyszał pan o niej?

- O madame Bławatskiej? No jasne. Kiedyś, będąc w Londynie, wpadłem do niej, tak dla kawału. Walnąłem kielicha z tym biedaczną Ouspenskim, z jej starym kumplem. Nie, nie, to tylko żarty. Tak naprawdę to mam w Niemczech kilku bliskich współpracowników, którzy wciąż pływają w spirytualistycznej zupie tej wiekowej damy. - Wzruszył ramionami. - "Wszystkiego trzeba w życiu spróbować", jak powiedział jeź wchodząc na szczotkę.

Rodney wybuchnął gromkim, hałaśliwym śmiechem. Loach uśmiechnął się tylko i uwolnił rękę z uścisku Boyle'a. Pozostali członkowie wyprawy zbliżali się do nich, zaintrygowani spotkaniem. Pierwsza podeszła Gaby.

- Panie Boyle, chciałbym przedstawić panu moją siostrzenicę, Gaby.

- Miło mi. - Gaby skinęła głową mormonowi i spojrzała na Loacha. - Nie nazywaj mnie siostrzenicą.

- Przecież nazywasz mnie wujkiem - zauważył z uśmiechem doktor. - Pan Boyle był łaskaw zorganizować nam specjalną wycieczkę do świątyni. Mormon skłonił się lekko. - Cała przyjemność po mojej stronie, panienko.

- Więc powiada pan, że macie w tej jaskini archiwum? - spytał ojciec Paul, zanim Gaby zdążyła zaprotestować. - To bardzo interesujące...

- Zgadza się, proszę księdza. Takie samo archiwum, jakiego Watykan jakoby nie ma. Z tym, że nasze jest bardziej aktualne. Wie ojciec, z ostatniego tysiąclecia. Idą nowe czasy. Zanim nadejdą, mormoni, tak samo jak Kościół katolicki w średniowieczu, zajmują się gromadzeniem wszystkiego, co prawdziwe i święte. Obecnie gromadzimy olbrzymią bibliotekę wszystkich dzieł religijnych, starożytnych i współczesnych. To jeden z powodów, dla których pojechałem do Europy. Zbierałem tam książki z najnowszymi naukami. Nie wiem, czy ksiądz słyszał, ale w Niemczech nastał świt nowego wieku, ojcze. To początek

nowego ładu, którego celem jest wskrzeszenie pradawnych mocy. Nowa żarówka w starej oprawce, tak to mniej więcej wygląda. A potem pstryk! Przewodami popłynie silny prąd i nastanie złoty świt. Uśmiechnął się do nich pochylając głowę.

- Ale na razie musi wystarczyć złoty ząb - zauważyła Gaby. - Otóż to, siostrzyczko. - Nie jestem pańską siostrzyczką - odrzekła Gaby.

Boyle udał, że tego nie słyszał, i przeniósł wzrok na Loacha.

- Tak czy inaczej, jesteście bardzo zaszczytni, że zechcieliście wstąpić po drodze do naszej skromnej świątyni. Uważam, że to krok nader stosowny i godny szacunku.

- Właściwie to nie mieliśmy wyboru - powiedział Rodney przysuwając się do wielkoluda w jawnej demonstracji zażyłego zaufania. - Mamy tu się spotkać z bardzo ważnym członkiem naszej wyprawy, z archeologiem. Wie pan, to ekspert od jaskiń, jajogłowy, który ma ponoć stwierdzić, czy te malowidła są autentyczne, czy to kolejna chała, jak ten Wielkolud z Cardiff.

- Tak, czytałem o tym waszym jajogłowym - odrzekł Boyle. - Nazywa się Kain. To nawet pasuje. Kain poprowadzi was na wschód od Edenu, żeby sprawdzić, czy trafiliście gdzie trzeba.

- Doktor Joseph Kain - wtrącił się Loach - to prawdopodobnie największy w kraju autorytet od starożytnych petroglifów.

- Tylko żartowałem, doktorze Loach. Wie pan, żartowniś ze mnie, i tyle. Niech mi pan wierzy, waszemu przedsięwzięciu i wam wszystkim życzę dużo szczęścia, naprawdę. Szczerze was podziwiam, was i tę wyprawę, ale... mam niewielki problem. - Jaki?

- Nie wiem, czy pan zauważył - odrzekł Boyle nachylając się do Loacha i naśladując konspiracyjny szept Rodneya - ale skóra jednego z członków pańskiej wyprawy odbiega kolorem od reszty...

Uściskawszy ręce pozostałym uczestnikom ekspedycji, mormon poprosił ich, by zechcieli chwilę zaczekać, po czym przebił się przez falujący tłum turystów i minął strażnika, któremu szybko zasalutował. Przez szklaną ścianę widzieli, jak wchodzi do wybijanego pluszem hallu i staje przy automacie telefonicznym. Kiedy wrócił, twarz mu promieniała.

- Wszystko załatwione. "Za mną!", jak powiada treser do konia w cyrku.

Obeszli skłębioną kolejkę turystów i Boyle zastukał do drzwi oznaczonych tabliczką z napisem "Wejście Służbowe". Otworzył im młody mężczyzna w czarnym garniturze i w krawacie.

Ned zatrzymał się. Twarz zastygła mu jak woskowa maska.

- Zaczekam na zewnątrz, kapitanie - powiedział do Loacha. - Chyba nie sprawi to panu różnicy. - Jesteś pewny, Ned? Kiwnął głową.

- Tak. Widać stąd transporter. Przypilnuję, żeby nikt do niego nie wlaź.

- Dobrze, Ned. Przy okazji może wypatrzysz gdzieś naszego archeologa. Pisał w telegramie, że poznamy go po wielkim wojskowym plecaku. Ned rozpromienił się.

- Nie ma sprawy. Co jak co, ale wojskowy plecak Ned wszędzie rozpozna.

Podczas gdy pozostali członkowie wyprawy wchodzili do środka, Loach został jeszcze chwilę, żeby porozmawiać z Nedem. Kierowca kiwnął głową, sięgnął do kieszeni, wyjął coś i podał doktorowi. Loach szybko przekroczył próg i dogonił współtowarzyszy podróży. Boyle był już w swoim żywiole.

- Przyjaciele, nasze Tabernakulum zbudowano w roku 1862. Ten mniejszy gmach, tuż obok, służy nam jako miejsce spotkań, a kiedy nabożeństwo cieszy się wielką frekwencją, jako przedłużenie świątyni. Jak choćby na Wielkanoc. Ta wspaniała budowla, którą widać przez okno, to właśnie świątynia, najświętsze miejsce mormonów. Zaczęto ją wznosić w 1853, ukończono w 1893. Jak łatwo obliczyć, budowa trwała czterdzieści lat. Proszę za mną.

Loach szedł za wielkoludem o szerokich plecach, lekko marszcząc czoło. Boyle miał w sobie coś, co powodowało, że mu nie ufał. Może to tylko więzienna paranoja? Loach przypomniał sobie jeszcze jedną radę, jakiej starzy więźniowie udzielali wychodzącym na wolność po odsiedzeniu długiego wyroku: "Na pewno ogarnie cię paranoja. Cała sztuka polega na tym, żeby to umiejętnie wykorzystać". Tak, w tym grubym wężu odzianym w biały garnitur było coś podejrzanego... Mimo to mógł się im jeszcze przydać. Poza tym, nie mieli nic innego do roboty, bo przecież i tak musieli czekać na przyjazd archeologa.

Boyle okazał się przewodnikiem jowialnym i wszystkowiedzącym. Objął, jak budowano świątynię, jak wznoszono ją tylko i wyłącznie z materiałów zebranych na bezlitosnej pustyni stanu Utah. Opowiadał im o drewnianych kołkach, jakich używano zamiast gwoździ, o pierwszych miesiącach pobytu pielgrzymów na pustkowiu, kiedy chmary szarańczy zaatakowały ich nowe miasto i otaczające je pola uprawne, zagrażając dalszemu rozwojowi społeczności religijnej.

- Lecz Moroni, w swej nieskończonej mądrości i łasce, zesłał nam stada mew. Mewy zjadły szarańczę i nasze zbiory ocalały. Ptaki pozostały, niech Bóg błogosławi ich skrzydła. A propos. Niechlujniejszych stworzeń w życiu nie spotkałem. Teraz cicho. Prześlizgniemy się tędy, z boku...

Wprowadził ich do sali, gdzie grzmiały organy, i poprosił, żeby zaczekali w grupie z tyłu. Szepnął słowo szwajcarowi, szwajcar szepnął słowo przewodnikowi grupy baptystów z Kentucky i kiedy przewodnik wstał, podnieśli się jego podopieczni. Kiedy zmieszani wyszli, Boyle skinął na grupę doktora Loacha i wskazał im pustą ławę.

Olbrzymia sala była wypełniona niemal po brzegi. Zajęte były wszystkie ławy, ludzie stali w bocznych nawach. Z gigantycznego bukietu organowych piszczałek z orzechowego drewna grzmiała muzyka, dostojna i hipnotyzująca. Toccata i fuga d-mol. Loach usiadł w wypolerowanej ławie. Ile to lat upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni słuchał Bacha? Ojciec Paul przynosił kilka razy fonograf, ale to nie to samo. Bacha należy grać w kościele albo chociaż na fisharmonii. Potrzebne są tęgie piszczałki, prawdziwa para, tak trzeba słuchać Bacha.

Muzyka pieściła go niczym ręką matki. Czas przestał istnieć, rozmył się w niebycie. Boyle też. Kiedy przebrzmiały ostatnie akordy, Loach ocknął się, rozejrzał i spostrzegł, że gruby mormon gdzieś zniknął, że nie stoi już w przejściu przy ławie. Tłumnie zgromadzeni turyści, stonowani i natchnieni po inspirującym koncercie, wstali i zaczęli wychodzić ze świątyni. Doktor ruszył za siostrami do zatłoczonego przejścia. Siostry zachwyciły się organami. Loach kiwał potakująco głową i cały czas szukał wzrokiem Boyle'a. Kiedy dotarli do kruchty, usłyszał jego głos niosący się nad niecierpliwym pomrukiem tłumu. I nad wieloma innymi głosami dochodzącymi z szerokich schodów na zewnątrz gmachu. Musiało tam powstać jakieś zbiegowisko... Loach wyciągnął szyję, żeby spojrzeć ponad morzem głów i sprawdzić, co się dzieje. I zobaczył. Przypominało to scenę z życia ryb w akwarium. Stado agresywnych, białobrzuchych płastug dopadło małej bezbronnej płotki i przyparło ją do szklanej ściany. Ławicy przewodził Boyle. Płotką był Ned.

- Wiedziałem, że ten sukinsyn coś knuje! Juke! Juke, chodź tutaj! Jeden z naszych chłopaków ma kłopoty. Jesteś gotowy do szybkiej akcji bojowej? Mówię do ciebie, żołnierzu! Czy dasz radę wypełnić rozkaz? Dobrze. W takim razie weź to i uważnie posłuchaj...

Juke bierze kluczyki, uważnie słucha. Słyszy gwar głosów i już wie, w czym kłopot. To ludzie. Widzi, jak napastliwy tłum kłębi się i napiera na Neda, na ich kierowcę. Tłum przypomina mu gorącą zupę zalewającą kartofel na talerzu. Uch, jak gorąco! Gorąco, gorąco, gorąco.

- Poradzisz sobie? - pyta Loach. - Pytam, czy sobie poradzisz.

Jasne, odpowiada Juke. Pewnie, Juke sobie poradzi. OK. Po dwakroć OK. Tylko wszystko po kolei. Trzeba znaleźć kluczyk, wpaść w rytm i wmieszać się w tłum. Tak, niech

porwie go ta rzeka białych koszul, strażników świątyni i rozeźlonych turystów, niech w niej zawiruje niczym zeschnięty liść, niech ten wir go zwyobraca i rzuci tam, dokąd Juke zmierza - prosto do celu. Nie wolno zwracać na siebie uwagi. Tak jest, nie zwracać na siebie uwagi. Juke da radę. Niech go tłum porwie, niech go wypluje koło transportera. Pamiętaj o rozkazach, Juke, bądź gotowy. Tak jest, nie ma sprawy. Tylko wszystko po kolei. Zbyt wiele uników? Nie, bo oto już i transporter. I nikogo przy nim nie ma. Nie, nie na dach, do szoferki. Teraz kilka dymów. "Spóźniłam się, Lewis Carroll!" To stara papuga Ramony. Nigdy nie mógł zapamiętać jej imienia. Salt Lake City. Tak jest. Piękna muzyka, choć nie jazz. Jan Sebastian Bach. Do dzieła. Wszystko po kolei. Rozkaz to rozkaz. Okrążyli Neda. Jeszcze jedno pyknięcie z fajki, jeszcze jedna chmura niebieskiego dymu. Teraz białe koszule. Białe koszule. Białe koszule. Zapalić silnik i wrzucić bieg. Jakikolwiek, pierwszy lepszy. I dać czadu. Czadu, czadu, czadu!

Zanim Juke znalazł wsteczny bieg, transporter trzy razy stuknął w samochód parkujący przed nim. W końcu maszyna wytoczyła się na ulicę. Juke pchnął dźwignię. Silnik zajęczał jak w agonii. Juke dodał gazu, transporter nabrał szybkości, potężny motor zawył na pełnych obrotach.

Przysadzisty i ciężki, obleczony w stal i kuloodporne szkło, transporter wjechał ze zgrzytem w zatłoczoną alejkę i ruszył z hurkotem prosto na skłębiony tłum. Ludzie pierzchali na boki, brama i szlaban zniknęły pod kołami maszyny. Pancierz zadźwięczał jak ciśnięty na ziemię cynel. Wył klakson. Juke wygrywał na nim coś, co rytmem przypominało ragtime i parł naprzód, wciąż na jedyńce, ale naprzód, aż dojechał do samego szczytu schodów. Banda białych koszul, stado turystów i członkowie ekspedycji doktora Loacha rozpierzchli się na wszystkie strony niczym mrówki w naruszonym mrowisku. Kiedy przedni zderzak zatrzymał się przed szklanymi drzwiami, silnik zgasł. Loach dopadł już tylnych drzwi transportera, już je otworzył, już coś wykrzykiwał. Ostatni dotarł na pokład Ned. Bo musiał po kogoś wrócić. Tym kimś była wysoka opalona kobieta, na twarzy której rysowało się wyraźne rozbawienie. Targała z sobą wielki plecak.

- Oto pański naukowiec, kapitanie! - wrzasnął Ned ponad gwarem skonsternowanego tłumu. - Coś jeszcze?

- Nie, Ned, dziękuję. Wskakuj do środka. Poprowadzę. Ale Juke już uruchomił silnik. Pasażerowie transportera i przerażeni turyści podnieśli krzyk - wyglądało na to, że maszyna staranuje ścianę i wjedzie prosto do Tabernakulum! Ale Juke cudem wrzucił wsteczny i transporter ruszył w dół schodów, kłapiąc otwartymi drzwiami niczym

monstrualny owad rozwartą szczęką. Papuga zdążyła jeszcze wrzasnąć: “Wyprawa do doliny, Kipling!” i razem z klatką spadła na podłogę.

Ned tymczasem zamienił się miejscami z Juke'em i kiedy dotarli na plac, szybko zawrócił i pobrzękując walającymi się w opancerzonej kabinie kłopotami, popędzili wysadzaną drzewami ulicą.

- Ona nazywa się Kain, panie kapitanie, doktor Jo Kain - zawołał Ned nie odwracając głowy. - To nie mężczyzna, ale umie przygrzać jak facet. Oj, umie! Niech mnie kule biją, przyłożyła temu grubasowi w nos jak się patrzy! Jezu, ale mu przyłożyła!

5. Muzeum ciekawostek przyrodniczych w Moab... Otwarcie kufra i seans...

Szakal przeciął chrząszczący żwirem parking, mijając po drodze długi mur ciągnący się przed budynkiem. Mur był wystarczająco wysoki, żeby nawet rosły mężczyzna musiał dobrze wyciągnąć szyję, chcąc zajrzeć na podwórze. No i zdobiły go różnokolorowe malunki ostrzegające przed niebezpieczeństwem: czerwone pasy, pomarańczowe zęby, wielkie zacieki czarnej farby oraz rytualne portrety ociekających śliną zwierząt. Wyglądało to bardzo imponująco, chociaż Szakal zdołał wznieść mur tylko od frontu; z pozostałych trzech stron muzeum ogrodzone było starym drutem kolczastym. Jak dotąd, Szakal zrealizował ledwie niewielką część swoich marzeń. No ale jeśli ktoś będzie tędy przejeżdżał - proszę, muzeum jest otwarte dla zwiedzających, a jakże. Pod szkarłatno-zielonym psim łbem widniał napis: "Jeśli nie możesz się zatrzymać, zamknij okna i trąb!".

W jednym miejscu mur był naprawdę rozwalony, dokładnie tak, jak zapowiadały to zdobiące go kanciaste, stylizowane kształty. Jakiś zalany w trupa Kalifornijczyk w Studebakerze z uszkodzonymi hamulcami zamknął okna, zatrąbił, a potem wjechał prosto w mur. I prawie go przebił. Wrak samochodu wciąż tkwił w dziurze, a ponieważ wyglądał naprawdę szkaradnie i żenująco, z czasem Szakal zaliczył go do elementów dekoracyjnych.

Szakal przecisnął się między Studebakerem a rozbitymi cegłami, stanął przed murem i z szerokim uśmiechem na ustach rozejrzał się po okolicy. To było najładniejsze miejsce w całej posiadłości. Kopnął nogą chwasty i zaczął rozgarniać trawę w poszukiwaniu pułapek z drutu. Wreszcie znalazł pełną. Pochylił się i chwycił żywego szczura za ogon. Zwierzę szamotało się i popiskiwało, pedałując nogami w powietrzu. Szakal też zapiszczał.

Trzymając szczura dwoma palcami, spojrzął na niebieskoróżowy neon migający na dachu budynku głównego. Szakal był z niego bardzo dumny. Neon układał się w napis "Lód". I chociaż żadnego lodu tu nie było, Szakal nigdy neonu nie wyłączał. Napis mrugał dniem i nocą pieszcząc niebo, tak samo jak niebo pieściło chwasty rosnące koło roztrzaskanego Studebakera. A chwasty rosły tu naprawdę bujnie, bez wątplenia zachęcane tym, że mają do towarzystwa sterty śmieci i zardzewiałych puszek po konserwach, połamane meble, pęknięte futryny i temu podobne rzeczy. To dla chwastów znakomita pożywka. I najlepsze światło: neon, który będzie mrugał dopóty, dopóki starczy ropy w zbiorniku generatora, który będzie rozświetlał najjaskrawsze, najczystsze i najśnieczniejsze pustkowia na północ od Antarktydy. Któregoś dnia pewnie nie wytrzyma, przegrzeje się i eksploduje.

Mrugający napis przypomniawszy Szakalowi stare dawne czasy, Karnawał. Cóż za cudowna galaktyka światła! Wirujące żarówki, niebieskie i zielone, namiot obramowany girlandami kolorowych lampek, alejki zasnuwane pomarańczowymi i niebieskimi pajęczynami, czerwona poświata majająca na linach - iluminacja i plakaty, które zapierały dech w piersiach, które zadziwiałały: Clarissa Illuminatrix! Lydia, Kobieta-Błyskawica! Salon luster! Ach, te powyginane na kształt różowych skrzydeł rurki! To upojenie, ta ekstaza z nich bijąca! Ach!

Szczura jakby sparaliżowała. Znieruchomiał, czekał. Szakal podrzucił go, zręcznie chwycił za kark i zwierzę zdechło. Zdechłe powędrowało do kieszeni koszuli. Szakal miał właśnie wrócić przez dziurę w murze, gdy nagle coś go powstrzymało.

Gdzieś w oddali usłyszał cichy, monotony pomruk, jakby zbliżał się tłum rozwścieczonych ludzi. Zmrużył oczy. Przez fale rozgrzanego, falującego nad pustynią powietrza dostrzegł czarny kształt sunący przez Równinę Ostańców, nazwaną tak od milionów ton krzemienia uwolnionego przez zaburzenia uskokowe. Po chwili kształt był już większy; wlokł za sobą ogon pyłu, niczym koń uciekający od gzów. Na pewno jest tam pełno ludzi. Głośnych, hałaśliwych. Jacyś pielgrzymi? Turyści? Klienci? Miastowe urzędnicy na dwutygodniowym urlopie? I co, i wybrali się na wycieczkę do muzeum? Mało prawdopodobne. Taki urlop mają tylko raz w roku. Szakal westchnął i przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. Wiedział, że to nie zwiedzający.

Ta ziemia nie nadawała się na spędzenie dwutygodniowego urlopu. Ta ziemia splukała go do czysta. Na tej ziemi ginęły wszelkie systemy i struktury, plany dnia i agendy. Ta ziemia zabijała w człowieku chęć poszukiwania i dążenia, bo zabijała również ludzi, którzy chcieli tu czegoś szukać. Szakal wiedział, że warczący kształt minął już rząd chat i pudełkowatych lepierek, ogrodzonych drutem kolczastym, na którym dyndały kawały zwierzęcych skór, że wjechał już na obszar, gdzie nie było schronienia dla zdziwaczałych hobbystów. Gdzie kilometry pustkowiec, gdzie wzgórza i niebo. A dalej - już tylko niebo. Nieba tu było najwięcej. Cała reszta to tylko nieznaczne wybrzuszenia ziemi, idące niebu na spotkanie. I bez znaczenia, czy to turyści czy pielgrzymi, bo jedyną rzeczą, jaką to miejsce oferowało ludziom, było coś, czego nie mogli pragnąć, zanim tu dotarli. A żeby sprawdzić, co to takiego, trzeba było utkwąć tu jak w pułapce, pozwolić, żeby to coś w człowieku narosło, powoli, stopniowo. Trzeba było to nawozić i podlewać, zapewnić odpowiednie światło. Dopiero wtedy wyrastało.

Wielki warczący kształt - Szakal wiedział już, że takiego pojazdu nigdy w życiu nie widział - rósł w oczach. Szakal wyprostował się i przyjął odpowiednią postawę: pierś do

przodu, głowa do góry - szpan. Tak, przecież to w końcu Charlie, na pewno. Telegram go zaskoczył, nie dał mu zbyt wiele czasu, ale z drugiej strony rozkazy braciszka zawsze go zaskakiwały.

Sprawdził ubranie. Przesunął dłońmi po piersi, po spodniach, odwrócił się szybko i zapiął rozporek. Kiedy się obejrzał, byli tuż tuż. Olbrzymia przysadzista maszyna wpadła w najbardziej przerażający poślizg, jaki Szakał kiedykolwiek w życiu widział. Z jękiem w trzewiach, niczym jakiś opasły potwór, wykonała wprost apokaliptyczny manewr, po którym powinna albo przesunąć o kilka metrów cały mur, albo przynajmniej poharatać sobie opony na wszystkich sześciu kołach. Ale nic takiego się nie stało.

Kiedy opadła wielka chmura pyłu, przez grubą szybę szoferki Szakał dostrzegł człowieka, który uśmiechał się do niego uśmiechem tak jasnym, tak promiennym, że zdawało się, iż nad pustynią wschodzi nowy księżyc. Silnik czarnego, pokrytego strupami spawów monstrum ucichł, potwór rozwarł zad i coś z siebie wypluł.

Coś długiego, dziwacznie kanciastego, coś, co trzepotało gwałtownie powiekami i mrużyło oczy chroniąc je przed jaskrawym blaskiem, w którym Szakał żył od lat, nie zdając sobie z tego sprawy. To był jego brat.

- Jesteś chudy jak żyłka na ryby, Charles - powiedział.

Ubrany w przetarty więzienny strój Loach uśmiechnął się. Szakał dostrzegł w nim coś, co go nie wiadomo dlaczego zaniepokoiło. Początkowo nie wiedział, co to jest, ale po chwili przyszło olśnienie: kolor jego skóry. Nie to, że był tak chudy i nie jego ubranie. Wciąż miał na sobie więzienny uniform, ale to nie miało znaczenia. Charles stał w jaskrawym słońcu, którego Szakał nie zauważał, mrużył oczy, a jego skóra była biała jak brzuch ryby. Ale nie, brat nie sprawiał wrażenia chorego. Choć chudy jak szczapa, wydawało się, że jest większy, potężniejszy niż przedtem, jakby przez te wszystkie lata nieustannie rosły mu kości. Lecz cóż z tego, że zyskał nową posturę, skoro był niemal przezroczysty. Tak, przed Szakalem stał cień Charlesa sprzed sześciu lat.

Mimo to powiedział:

- Ale poza tym wyglądasz nieźle, braciszku.

- Pieprzysz - odrzekł Loach. - Wyglądam jak stara chabeta po sześciu latach postu. - Powiódł wzrokiem wzdłuż muru. - Dostałeś telegram? Nie zaskoczyliśmy cię?

- No pewnie, że dostałem. Ale i tak trochę mnie zaskoczyliście.

- I tak mnie witasz? Wychodzę z pudła po sześciu latach, a ty nie padasz w moje ramiona? - Charlie, bracie, cóż ci mam, do diabła, powiedzieć... - Wyciągnął do niego rękę.

Loach ścisnął ją przez chwilę. Nagle z trzewi transportera dobiegł ich dźwięk przypominający odgłos, jaki wydaje z siebie człowiek zwracający nie strawiony pokarm.

- Mam to gdzieś! Gówno mnie obchodzi, co powiedział i co za szkaradztwo widać przez to parszywe okno! Chcę rozprostować nogi! A ty, chłopcze, masz cholerne szczęście, że jestem zalany, bo zbiłbym cię na kwaśne jabłko za ten numer z kierownicą. Loach zerknął przez ramię.

- To Rodney Makai - powiedział półgębkiem.

Jakby na zawołanie z transportera wytoczył się mały człowieczek w garniturku i różowym krawacie. Grzmotnął twarzą w piach i znieruchomiał na słońcu.

- Wylewam cię, chłopcze - mruknął do ziemi i z trudem wstał na czworaki. - Wcale mnie nie bolalo. A mogłem złamać kręgosłup.

Szakał patrzył na transporter z rosnącym zainteresowaniem. Ciekawiło go, kto będzie następny.

Następną była młoda kobieta w spódniczce i bluzce koloru burzowego nieba rozcinanego błyskawicami. Rozglądała się chwilę po okolicy, opuściła na schodek długą nogę w pończosze i zeskoczyła na ziemię. Podeszła niespiesznie do miejsca, gdzie stał na czworakach Makai, wydmuchała z cygarniczki niedopałek papierosa, a potem, co Szakała bardzo zadziwiło, chwyciła Rodneya za kołnierz i jedną ręką dźwignęła go z ziemi.

- Niech pan wstanie, panie Makai - powiedziała. Tak wygląda pan o wiele przystojniej.

Szakał rozpoznał jej głos, choć w tej szesnastoletniej dziewczynie nie dostrzegł niczego, z czym kojarzył mu się ów głos. Córka Lydii. Jeszcze bardziej zadziwiająca, jeszcze bardziej czarodziejska przemiana niż ta, jakiej uległ Charles. I jeszcze jeden duch wskrzeszony z ciała małej szczupłej dziewczynki, która żyła z nimi lata temu, która im wszędzie towarzyszyła.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknął Szakał ze szczerym uniesieniem. - Przecież to Gaby! Gaby, czy wiesz, że wyrosła z ciebie najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem? Gaby patrzyła na niego bez słowa.

- No wiesz, czy nie? - powtórzył Szakał.

- Szakał... - Nagle się roześmiała. - Szakał, czy na tym zaszczurzonym pustkowiu można dostać choć kroplę gorzały?

Trochę się zatacza, pomyślał Szakał, ale jej uroda nic przez to nie traci.

Transporter wypluł z siebie dwa stare nietoperze, siostry Makai. Szły popychając się i kłócąc. Jak zawsze, pomyślał z radością Szakal. A jednak jest na tym świecie coś, co się nie zmienia. Przynajmniej one się nie zalały...

Ale następny pasażer pobił ich wszystkich na łeb. Jezu, z transportera wyskoczył ksiądz! Piękny jak z obrazka, nerwowy jak wróbel, zaczął czyścić okulary. Podeszedł prosto do Szakala i wkładając okulary na nos, chciał mu uścisnąć dłoń. Nagle zamarł z ręką sterczącą w powietrzu niczym gwóźdź ze słupa - zauważył ozdobiony malowidłami mur. Zaczął mówić bardzo wolno, głosem równie pięknym, jak jego twarz:

- Fascynujące. Doprawdy fascynujące - wykrztusił z jakąś taką ckliwą aprobatą. - To... dzieło sztuki, prawda?

- Może pewnego dnia tak to ludzie nazwą - odrzekł nieco urażony Szakal.

Loach dokonał prezentacji.

- To jest ojciec Paul. Ojciec, to mój brat. Panie Makai, to mój starszy brat Szakal. A to jest nasz dziennikarz, pan Chick Ferrell.

Loach wskazał wygłodniałego chudzielca z zaczerwienionymi nozdrzami, który majstrując przy aparacie, oddalał się od grupy.

- Miło mi - powiedział nie odrywając oka od wizjera. - Przyrowadźcie tu naszą panią doktor, to zrobimy ładne zdjęcie. Niech pan się wyprostuje, panie Makai. A pan niech zapnie rozporek.

Szakal odwrócił się tyłem do aparatu, żeby doprowadzić do ładu swoje spodnie. Zasadniczo problem polegał na tym, że kiedy naszył łatę na dziurę wygryzioną na tyłku przez kojota, za mocno ściągnął materiał, skutkiem czego z przodu spodnie się trochę rozchodziły. Poza tym zgubił gdzieś guzik, a dwa pozostałe przyszył naprędce, byle jak: jeden był za mały, a drugi miał za krótką nić, przez co z trudem go zapinał. Dlatego zawsze puszczały. Podniósł wzrok. Jezu, na szczęście coś go dzisiaj tknęło i założył gatki. Tak, narobiłby sobie wstydu, bo oto w drzwiach transportera, dokładnie naprzeciwko niego, stanęła kobieta. Nie zaczerwieniła się, zeskoczyła na ziemię, śmiało podeszła do Szakala i wyciągnęła do niego rękę. Szakal uścisnął ją nie mogąc wykrztusić ani słowa.

Zastygli w bezruchu, pozując do zdjęcia. Obecność kobiety - stała z prawej strony, ledwie dziesięć centymetrów od niego - sprawiła, że Szakal czuł się bardzo niewyraźnie. Jakby ktoś zawiesił go w powietrzu. Wiele razy obserwował jastrzębie. Obserwował je godzinami, kiedy krążyły hen, wysoko na niebie, bliżej słońca niż ziemi, a potem spadały, jakby przecięto podtrzymującą je nić. Takie uczucie ogarnia pasażera samochodu zjeżdżającego zbyt szybko ze stromej góry - żołądek podchodzi człowiekowi do gardła.

Kiedy Ferrell skończył, Szakal odchrząknął i sięgnął do kieszeni po pęk kluczy.

- No dobra - zaczął. - Pewnie chcielibyście się trochę odświeżyć. Nie mamy tu tyle pojedynczych kwater. Oto jak się podzielimy.

Wręczył klucz Ramonie czy Monie - co do tego zawsze miał wątpliwości. Spojrzała na klucz wzrokiem błędniejszym niż kiedyś, pomyślał.

- Będzie pani mieszkała z siostrą, pani Makai.

Zacząła coś szeptać, ale on już podchodził do małego zawianego dziennikarza. - Pan z panem Ferrellem - oznajmił.

- Ferrell może spać w tym cholernym autobusie - odrzekł poirytowany Rodney.

- Przykro mi, ale nie może - powiedział Loach. Transporter trzeba trochę oporządzić. - Pani doktor - zwrócił się do Jocelyn Kain - czy ma pani coś przeciwko temu, żeby zamieszkać z Gabriellą?

- Koniecznie - wtrąciła Gaby. - Będzie znakomity ubaw. Zwłaszcza jak wydebimy od Szakala trochę tego soczku z kaktusa. Rozluźni nas i rozwiąże języki.

Szakal łypnął na nią okiem.

- Zaraz przełożę tu kogoś przez kolano i zleję mu pupę.

Loach uśmiechnął się.

- Ojciec - powiedział do księdza Paula - chciałbym, żeby nawrócił ksiądz tego grzesznika. Przenocujcie razem.

Ojciec D'Angelo prawie nie zwrócił na Loacha uwagi. Owszem, ktoś przykuwał jego uwagę, ale bynajmniej nie stary grzesznik Makai. Jego wzrok przyciągnęła zataczająca się Gaby. Patrzył na dziewczynę z bezbronnym uśmiechem, nie mogąc od niej oderwać oczu. Kilka razy ofiarował jej ramię, chciał ją podtrzymać, ale Gaby go ignorowała. Zresztą jeszcze się nie przewraca, myślał. Od tego dzieli ją dobrych kilka łyków...

- Cieszę się, że ojciec do mnie zawitał, Bóg mi świadkiem. - Szakal klepnął go w plecy tak mocno, że okulary zjechały po spoconym nosie księdza i zawisły mu na uchu. - Minęły lata, odkąd przyłapałem tu faceta w sutannie.

- Jestem pewien, że wszystko się dobrze ułoży - odrzekł ojciec Paul.

- Moi państwo - zagaił głośno Szakal. - Jestem zaszczycony mogąc was gościć. Odnajdźcie teraz swoje kwatery. Wszystkie drzwi są otwarte. Wnieście bagaż i odświeżcie się trochę. Prysznic działa. Wody jest pełno. Mam tu zbiornik tak wielki, jak to szkaradztwo, którym przyjechaliście. - Klepnął burtę transportera. - Mam też termę własnej konstrukcji i od rana pod nią palę, więc lepiej niech ktoś się wykąpie. Ale zróbcie to szybko, bo wyżerka przejdzie wam koło nosa. Kolacja będzie za jakieś...

Spojrzał na zachodzące słońce, wyciągnął przed siebie rękę i policzył palce dzielące rozpaloną kulę od horyzontu.

- ... Za jakieś cztery i pół palca. Znaczący za czterdzieści pięć minut - dokończył.

Cztery przysadziste domki stały w kupce, w kręgu, z gankami zwróconymi do środka, niczym wozy osadników z westernu, broniące się przed atakiem Indian. Gdyby ustawiono je inaczej, wzdłuż drogi, myślała doktor Kain, gdyby nie ten pierwszy, ten największy budynek z neonem mrugającym na dachu, można by to wziąć za motel. Żadne indiańskie plemię, ani Anasazi, ani Apacze, by tu nie zamieszkało, nie na tej otwartej przestrzeni, no ale brat Loacha na Indianina nie wygląda. Zaprowadziła Gaby do domku numer 2, do którego dostały klucz.

Drzwi nie były co prawda zamknięte, ale na pewno zakleszczone. - Muszą ustąpić - stwierdziła Jocelyn.

Odsunęła się i oparła o ścianę, ustępując miejsca Gaby. Gaby grzmotnęła w drzwi swoim krągłym biodrem. Rozwarły się z trzaskiem na oścież, na podłogę spadł deszcz płatków zeschniętej farby.

- Wygląda na to, że nikt tu nie wchodził od czasów, kiedy Matuzalem nosił krótkie majtki - mruknęła Gaby idąc chwiejnie przez ciemny, rozgrzany słońcem pokój. Rzuciła torbę koło łóżka i powiedziała: - Ale niech skonam, jeśli to nie świeże prześcieradła.

Jocelyn ustawiła plecak w progu, podeszła do okna i podciągnęła żaluzje. Słońce zaczynało przypiekać szczyty odległego łańcucha gór. Było rozdęte niczym wielki czerwony balon i stygło, jakby coś się w nim zepsuło. Jocelyn wiedziała, że na zewnątrz, na spieczonej równinie, musi być o co najmniej kilkanaście stopni chłodniej niż w domku. Rozluźniła kołnierzyk i kantami dłoni spróbowała otworzyć okno.

- Też się zacięło - stwierdziła. - Zakłajstrowane farbą na amen.

Obróciła głowę, żeby sprawdzić, czy Gaby przypadkiem nie wyszła. Miała dziwne uczucie, że jest sama, ale nie, dziewczyna siedziała na łóżku i nalewała bourbona do słoika po dżemie, który skądś wytrzasnęła. Jo myślała, że jej nie ma, bo Gaby robiła to w ciszy i z wielkim skupieniem.

Jocelyn wyjęła z kieszeni scyzoryk, otworzyła mniejsze ostrze i zaczęła wydłubywać farbę z framugi okna.

- Jak się w to wciągnęłaś? - spytała nie przerywając zajęcia.

Zanim dziewczyna odpowiedziała, dobiegł ją głośny odgłos: Gaby przełknęła kilka solidnych łyków.

- Po prostu. Tak samo jak inni.

- Nie, chodzi mi o Loacha. I jego brata. No i o te siostry. Wygląda na to, że ich wszystkich znasz.

- Występowaliśmy razem w cyrku. Siostry nie. One dołączyły później, kiedy wyszła sprawa tej jaskini.

- Byłaś z nimi w jaskini? - spytała Jocelyn zabierając się do dolnej części framugi.

- Dzieeee tam, nie potrzebowali mnie. Za to miałam pełne kwalifikacje cyrkowe.

- Ale jak zaczęłaś?

Gaby wzruszyła ramionami.

- Wrosłam w to. Na początku byłam za mała, chuda jak szczapa. Brakowało mi i ciała, i pary. Matka mnie zostawiła. Była akrobatką i robiła taki numer z błyskawicami. Kobieta-Błyskawica. Kiedy mnie zostawiła, próbowałam załapać się na trapez, ale nie miałam dość siły. Za to dawałam sobie radę z generatorem Van de Graffa, więc przejęłam jej numer. Ale zawsze chciałam ćwiczyć na trapezie. To był największy zawód w moim życiu. No wiesz, kiedy matka uciekła, nie nauczywszy mnie latać. Koniec mojej akrobatycznej kariery. Uwielbiałam te kostiumy.

Jocelyn nie chciała wiedzieć nic więcej, to jej wystarczyło. Skoncentrowała się na oknie. Ale Gaby mówiła dalej, co i raz dolewając sobie bourbona.

- A jak się zostaje panią doktor? - spytała.

- Chyba chodzi się do szkoły - odparła Jo odwracając się do niej twarzą.

- A pacjenci? Masz jakichś facetów, czy same kobiety? - pytała Gaby.

Zapadła krótka chwila dziwnej ciszy. Jocelyn znów zabrała się do pracy i rozdłubała scyzorykiem ostatni zaciek w dolnej części framugi. Wtedy zaczęła oskrobywać drewno z lewej strony. Od dołu do góry, ku zachodzącemu słońcu. Skoncentrowana, pracowała z nowym wigorem i energią. Jednym pociągnięciem ostrza zdzierała całe pasy farby.

- Zaczynacie jako pielęgniarce? - spytała Gaby - Pielęgniarki-archeolożki?

Jocelyn położyła scyzoryk na parapecie i odwróciła się od słońca. Gaby leżała na plecach. Ze słoikiem na brzuchu, liczyła coś na palcach.

- Brat Loacha powiedział, że są tu prysznic - powiedziała Jocelyn. - Idź pierwsza.

Gaby chyba jej nie słuchała. Zgięła ostatni palec i znieruchomiła.

- Prawie sześć tygodni - mruknęła. - Co za pieprzone szczęście. - Usiadła i spojrzała na Jocelyn. - Jeszcze tego cholerstwa nie otworzyłaś? - Niepewnie wstała, rozejrzała się po pokoju i zanim Jocelyn zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, chwyciła ze stolika popielniczkę i cisnęła nią w okno.

Do pokoju wpadł podmuch świeżego powietrza.

Rodney stał przed swoim domkiem i usiłował rozgryźć znaczenie dziwacznych ozdób dyndających na płocie, przez który siusiał. Bo choć trudno w to uwierzyć, płot był jeszcze dziwniejszy niż ten koszmarny mur. Wisiały na nim przeróżne... nazwijmy to rzeczy. Poskręcane królicze skóry, które przypominały wyglądem rozdrapane strupy, zardzewiałe sierpy pomalowane na różowo, wały korbowe z ogonami z czarnych jedwabnych tasiemek, grzybek do cerowania skarpet, oprawiony portret mężczyzny w mundurze admirała z ubiegłego stulecia, kawał ołowianej rury z napisem SKRZELA, jak u ryby, i mnóstwo kości oraz korzeni drzew. Jak wytwór umysłu szaleńca z siekierą, pomyślał Rodney. Trzeba będzie pstryknąć kilka zdjęć, na wszelki wypadek.

Zza rogu wyszedł Chick; wracał z drugiej wyprawy do transportera, taszcząc za sobą ciężkie torby. Oczy miał zaczerwienione, z nosa mu ciekło.

- Szałwia - siąknął.

Rodney podciągnął nogi, żeby go przepuścić.

- Czym ty myślisz? - spytał. - Dlaczego nie poprosisz tego czarnucha, żeby ci pomógł?

Chick wzruszył ramionami i ciężko sapiąc kopnął w drzwi. Makai wstał, zachwiał się, wszedł za nim do środka i zatrzasnął drzwi.

- No dobra - powiedział. - Wygląda na to, że mamy chwilę czasu. Bierz się do roboty. Zrób kilka zdjęć płotu tego maniaka.

Chick rzucił torby na łóżko pod oknem i usiadł. Torby Rodneya wciąż były na ganku.

- Posłuchaj - odrzekł. - Do kolacji zostało tylko kilka minut i chcę się trochę odświeżyć. Poza tym światło jest kiepskie, wyjdą marne zdjęcia.

- Boże wszechmogący! Nic dziwnego, że cię wywalili z roboty. Gdyby słyszał to Hearst, dałby ci w tyłek takiego kopa, że spadłbyś na ziemię dopiero za tydzień. I od razu musiałbyś szukać sobie nowego zajęcia. Skoro nie umiesz zrobić zdjęcia, wyduś z siebie choć kilka słów. Ułóż je w zdania, zdania w akapity i wszystko to zapisz. Po to cię zatrudniłem, nie? Chcę mieć opis tego koszmarnego dziwoląga, kapujesz?

Mierzyli się chwilę spojrzeniem, potem Ferrell otworzył jedną z toreb. Wyjął z niej notes, wziął ołówek i poślinił go, jakby czekając, że Makai zacznie mu coś dyktować.

- No, tak już lepiej - pochwalił go Rodney. - Idę wziąć prysznic. Jak wrócę, zdążę jeszcze poprawić twoją gramatykę.

Rodney musiał przyznać, że prysznic był wyjątkowy. Co prawda w kabinie trochę cuchnęło i sitko było zardzewiałe, ale lały się z niego strumienie cudownie odświeżającej

gorącej wody. Rodney stał oparty o ścianę z desek i rozluźniony odpoczywał. Wszystko szło dobrze. W końcu poczuł, że ma ochotę na jeszcze jednego kielicha. Wyszedł z kabiny, natarł ręcznikiem skórę, aż się zaróżowiła, i przez cały czas myślał, czy zdąży wpaść do tej wspaniałej Gaby na małego drinka. Może coś wykombinuje i będą sami? Może zdążą odstawić szybki numer? Bo miała na to wyraźną ochotę, tak, była napalona jak diabli. Przez cały dzień chodziła w tych przepoconych ciuszkach, pulchniutka i lubieżna jak kotka, a przy każdym ruchu jej cycuszki napierały na wilgotny materiał bluzki. Co za katusze przeżywał! Nie, nie zamierzał tak spędzić kolejnego dnia, nie zamierzał dłużej zaciskać zębów. Dopadnie jej, nawet jeśli będzie musiał utopić dziewczynę w gorzale i wpaść w tęgie kłopoty.

Wyszedł z łazienki czesząc się i pogwizdując.

- Gotowe - zawołał Chick przez otwarte drzwi domku. W uniesionej ręce trzymał notes.

- Teraz nie mam na to czasu - powiedział Rodney. - Śpieszy mi się. Chcę wpaść na chwilę do naszych młodych kobitek i zająć się czymś przyjemniejszym. Na przykład krągłymi bioderkami pewnego dziewczątka. Tylko nie próbuj mnie zniechęcać, ona sama się o to prosi. Gdzie ta butelczyna bourbona?

- Podarowałeś ją komuś - odrzekł Chick z rozdrażnieniem. Zamknął notes. - Dwadzieścia minut temu też ci się spieszyło. Poganiałeś mnie jak muła.

Makai pokiwał palcem.

- Spokojnie, chłopcze, tylko spokojnie i powoli. Cierpliwości. Brak cierpliwości i bezsensowne rozgorączkowanie do niczego dobrego nie doprowadzi. Przepisz to. Popraw. Dodaj kilka agresywnych czasowników i parę delikatnych przymiotników. Zerknę na to, jak tylko skończę. Pa pa.

Chick pociągnął nosem i zawrócił do drzwi. W tym samym momencie usłyszał głośne dzwonięcie, przeraźliwe jak syrena pożarowa w fabryce zapalek.

- Co to jest, do diabła? - mruknął Rodney.

- Miejmy nadzieję, że kolacja. Zgłodniałem jak wilk.

- Głodny, niecierpliwy i zasmakany - podsumował z obrzydzeniem Rodney. - Boże, co za facet...

Ojciec Paul dotarł do głównego budynku pierwszy. Nie wziął prysznic. Rzadko to robił, bo rzadko bywał brudny. Zdjął koszulę bez koloratki i włożył cienki błękitny pulower. Jego twarz lśniła w promieniach zachodzącego słońca, a na czole podskakiwały brązowe kędziory. Wyglądał jak model w drodze na zdjęcia do reklamy wody kolońskiej.

Główny budynek był duży i przysadzisty. Na dachu mrugał neon. Na dużych podwójnych drzwiach wryto napis "Muzeum". "Mu" na jednym skrzydle, "Zeum" na drugim. Ojciec Paul pchnął skrzydło z napisem "Zeum" i wszedł do środka. Eksplozja ekscentryczności, która zaskoczyła go wewnątrz, nie wiadomo dlaczego skojarzyła mu się z wystrojem biednych meksykańskich katedr. Bo wewnątrz sali było ozdobione krzykliwie, bez żadnego zamysłu, jednocześnie panowała w nim atmosfera pełna nabożności.

Jednak nie ulegało wątpliwości, że jest to prawdziwe muzeum. Widniały tam starannie podpisane dioramy i przeszklone szafki z eksponatami. Wysokie drewniane ściany były niemal całkowicie wytapetowane czymś, co przypominało resztki płóciennych flag i plakatów reklamujących niezwykłości cyrkowego przedstawienia: żywy szkielet wypełzający z mroku niczym łazarz z wyimaginowanej trumny; Chłopiec-Foka stojący nosem na wielkiej piłce i klaszczący ohydnyimi płetwami; Lydia, Kobieta-Błyskawica, z palącymi się żarówkami w rękach (trzymała je nad piersiami opiętymi wybijanym cekinami gorsetem, a z jej ciała tryskały błyskawice); Człowiek-Pianino z ramionami na zawiasach i ustami lalki - ze staromodnym wąsikiem wymalowanym na twarzy (na głowę naciśnięto mu czarny cylinder i usadzono z rękami na klawiaturze maleńkiego pianina-zabawki), wyglądał jak kukła z salonu śmiechu.

Eksponaty przysunięto do ścian, żeby zrobić miejsce dla długiego stołu z desek; pojemniki, terraria i klatki stały jedna za drugą, po dwie, po trzy w rzędzie. Żywe i martwe zwierzęta były dosłownie wszędzie, niektóre widoczne, inne poza zasięgiem wzroku. Ojciec Paul zobaczył pancernika z uchwytem na grzbiecie i bezokiego kojota z czerwonymi oczodołami; sądząc po warkocie i skomleniu, kilka uwięzionych zwierząt nawiązało z sobą bliższy kontakt niż zwykle. Do podkładek wiszących na ścianach przyklejono najprzeróżniejsze rzeczy, od motyli po groty strzał oraz zawile mapy krajów, których ksiądz nie umiał rozpoznać - były to starożytny, ręcznie rysowane mapy ze strzałkami łączącymi kolumny liczb i symboli. Wisiały tam również czaszki, szkielety i skóry dziwacznych, nie znanych księdzu zwierząt, łącznie z cienkim kawałkiem bezwłosej skóry, która sprawiała wrażenie niepokojąco ludzkiej. Widniał na niej tatuaż: "Pamiętaj o Maine".

Długi stół był przykryty zabytkowymi hiszpańskimi koronkami, tak starymi, że mogły się lada chwila rozejść; przynajmniej tak wyglądały. Po jego obu stronach stała ekstrawagancka kościana zastawa, co prawda z różnych kompletów, ale nader elegancka. Błyszczały kryształowe kielichy i srebrne sztuce, które Szakał musiał na tę specjalną okazję wypolerować. Choć na stole panował kompletny miszmasz, ojciec Paul nie miał wątpliwości, że brat Loacha włożył w przygotowania wiele starań i serca.

Za plecami księdza otworzyły się drzwi.

- Śmierdzi tu jak w stodole.

To Makai. Wszedł do sali, tuż za nim Ferrell. Brutalna uwaga Rodneya bardzo księdza zabolą. Zszedł mu z drogi i udawał, że ogląda mieszkańca niezwykle ciemnej klatki.

- Śmierdzą jak wszystkie inne.

To z kolei Szakal. Uwijał się jak w ukropie przy olbrzymiej płycie kuchennej na drugim końcu sali. Nie przerywając pracy dodał:

- Na tym polega cały kłopot. Żywe czy martwe, wszystkie wydzielają takie zapachy, że proszę siadać.

Nadeszły siostry. Powoli sala wypełniała się ruchem i gwarem podekscytowanych głosów. Nagle coś głośno zaskrzeczało, coś z klatki. Ojciec Paul podskoczył i krzyknął. Wszyscy ucichli nasłuchując. Szakal dopadł ciemnej klatki, nachylił się, zerknął do środka, a potem ją podniósł. Wewnątrz tarzała się z kąta w kąt kula z pierza i sierści. Zwierzę musiało precyzyjnie przesuwać łapę przez gęstą siatkę, chwycić mieszkańca sąsiedniej klatki i wciągnąć go do swego domu. Sąsiadką była kawka, teraz niemal całkowicie oskubana z piór. Szakal potrząsał klatką dopóty, dopóki drapieznik nie puścił ofiary, potem umieścił poharatanego ptaka w klatce obok, kopnął kraty więzienia, w którym siedział niesforny przestępca, i spojrzał na ojca Paula.

- To ten przeklęty ryś - powiedział przeprasząco. - To samica, ma cieczkę. Sama nie wie, na co ma chrapkę. A propos...

Szakal przeszedł na drugi koniec sali i podniósł wieko szklanego pudła. Włożył do środka rękę i wyjął długiego, zielonożółtego węża, grubego jak szyja ojca Paula. Trzymał go tuż za łbem, a wąż zwijał się leniwie, aż oplótł mu cielskim ramiona. I jakby czekał. Kiedy Szakal wygrzebał coś z kieszeni, wąż otworzył wydłużoną paszczę i przyjął poczęstunek. Wtedy Szakal zaczął masować mu gardło. Wyglądało to tak, jakby przepychał jajko przez ogrodowy wąż do podlewania. Gdy gula przesunęła się wystarczająco daleko, zwinął wielkiego płaza, umieścił go w terrarium i zamknął wieko. - Jezu... - wyszeptał Makai. W sali znów rozległ się gwar głosów. - Zwykle nie chcą żreć padliny - tłumaczył Szakal. - A ten tam musi mieć parę.

- Jezu Chryste... - powtórzył Rodney zauważając z niejaką ulgą, że w drodze do kuchni Szakal zatrzymuje się przy umywalce.

Otworzyły się drzwi i teraz z kolei ksiądz odczuł ulgę. Przyszła Gaby. Za nią - doktor Kain. Dziewczyna rozejrzała się po sali przewracając oczyma. Ale doktor Kain sprawiała

wrażenie zachwyconej. Natychmiast podeszła do długiego płaszcza z opalizujących piór, który wisiał na drucianym wieszaku.

Szakal rozpromienił się.

- To jeden z moich najwspanialszych eksponatów - powiedział. - Należał do rodziny królewskiej z Hawajów.

- Wiem - odrzekła z nabożnym podziwem Jocelyn. - Jest zrobiony z piór ptaka oi-oi, należącego do już wymarłego gatunku.

- Ja tam ich nie wytlukłem. Po prostu wygrałem to cudo od pewnego Polinezyjczyka, który myślał, że da mi popalić w pokera.

- Widziałam to tylko na zdjęciach.

- No a teraz widzi pani prawdziwy. Śmiało, niech go pani przymierzy.

Jocelyn zdjęła z wieszaka przepiękny pierzasty płaszcz. Był niezwykle ciężki. Otuliła nim ramiona. Chociaż stała na palcach, kraj szaty dotykał podłogi. Pióra dosłownie żyły, połyskiwały żółcią, opalizowały czerwienią, mieniły się i drżały przy najmniejszym ruchu.

- Wygląda pani jak prawdziwa królowa - skonstatował Szakal bez odrobiny sarkazmu.

Ale doktor Kain ściągnęła płaszcz z ramion, jakby usłyszała coś obleśnego. Odwiesiła go na miejsce.

- Jest piękny - orzekła. - I bardzo dobrze zachowany. Musi mieć co najmniej sto lat.

- Proszę go sobie wziąć, jeśli pani chce. Na pani wygląda lepiej niż na tym wieszaku.

Propozycja Szakala zupełnie ją zaskoczyła i wprawiła w spore zakłopotanie. Roześmiała się.

- Nie przyjmuję podarków, które są warte więcej niż moja roczna pensja.

- Jak pani chce - rzekł Szakal. - Ale jeśli zmieni pani zdanie, płaszcz należy do pani. Nigdy w życiu nie widziałem kobiety, która miałaby jaja, żeby... To znaczy, kobiety... Chciałem powiedzieć...

Zacukał się i nie mógł dokończyć. W sali zapanowało dziwne napięcie.

- Spójrz tylko na wujka Szakala - szepnęła Gaby do Jocelyn, udając rozbawienie. - Podrywa cię na strusie piórka. Chyba powaliłaś go na kolana.

Jocelyn nie odpowiedziała, a Szakal wrócił do swoich zajęć przy kuchni.

- A niech mnie! - zawołała Mona, żeby zmienić temat; miała już dość rozmów o piórach i węzowych łuskach. Obchodząc stół, mówiła: - Spójrzcie tylko na tę zastawę. Nie spodziewałam się, że zobaczę tu kryształ.

- Jest naprawdę bardzo elegancko, Szakalu - potwierdziła Ramona, zerkając to tu, to tam. - I wiesz, uważam, że malujesz coraz lepiej. Twoje obrazy przypominają mi prace kubistów z Paryża. Prawda, ojczec?

Obrazy biednego Szakala przypominały mu bazgroły faceta nie umiejącego namalować prostej linii, ale podzielił opinię Ramony.

Kiwnął głową i odrzekł:

- Nawet surrealistów. Niektóre mają coś wspólnego z malarstwem Hieronima Boscha, holenderskiego mistrza.

Usłyszeli głos Loacha:

- To oblicza naszej podświadomości, ojczec. Występy cyrkowe zawsze były dla mnie zwierciadłem ukrytych masek człowieka.

Gdyby spytać księdza, którymi drzwiami Loach wszedł albo jak długo tu był, ojciec Paul nie umiałby odpowiedzieć.

- Zauważyłem to podobieństwo już przedtem. Tak, niektóre wytwory wyobraźni Szakala mają coś wspólnego z postaciami na płótnie "Ogródu ziemskich rozkoszy" Boscha.

- Jeśli to ogród ziemskich rozkoszy - powiedziała Gaby - to mam szczerą nadzieję, że trafię gdzie indziej.

Wszyscy się roześmiali, napięcie spadło.

- Mój brat musi być chyba geniuszem - żartował Loach. - Bo za każdym razem, kiedy próbuje coś zrobić, prowadzić motel, cyrk czy uprawiać ziemię, zawsze wychodzi z tego jedna wielka klapa.

- Ale umiem gotować! Musisz przyznać, że co jak co, ale gotować umiem. - Odwrócił się twarzą do nich i machnął parującą drewnianą łyżką. - Siadajcie do stołu i sami sprawdźcie. Pora na wyzerkę.

Zanim zdążyli usiąść, Szakal już krążył wokół stołu z parującymi talerzami w obu rękach. Ojciec Paul nigdy nie widział takiej obfitości i różnorodności potraw. Aż wytrzeszczył oczy. Była tam fasola i zielony groszek, steki i kukurydziane ciasteczka, były kamienne garnki ociekające roztopionym serem, a w nich coś, co Szakal nazywał góorskimi ostrygami. Nawet Rodney był pod wrażeniem, i to nie lichym, bo wysłał Neda do transportera po skrzynkę wina - uzupełnił zapasy, kiedy przejeżdżali przez Sonomę.

Kolacja była cudowna. Szakal donosił jedzenie, Rodney otwierał kolejne butelki. Na deser zjedli knedle z jabłkami i popili słodkim winem, które Szakal robił z jakiegoś kaktusa zwanego "kolczastą gruszką". Ojciec Paul nigdy nie słyszał o "kolczastej gruszcze" ani o tym, że z jakiegokolwiek części kaktusa można robić wino, lecz im więcej pił, tym bardziej mu

wierzył. Kiedy zapadła ciemność, wszystkie zwierzęta się pospały, a ludzi ogarnął równie przyjemny i spokojny nastrój.

Chick skończył jeść ostatni, bo jadł wszystko, nawet resztki. Brzęk kieliszków i sztucców stopniowo zamilkł i wkrótce sytą i pełną zadowolenia ciszę zakłócał tylko stłumiony warkot generatora.

Mona siedząca naprzeciwko ojca Paula poruszała nerwowo nadgarstkiem, mieszając wino w do połowy opróżnionym kieliszku. W końcu zdecydowała się odezwać.

- Mam przeczucie, że nadeszła chwila, na którą czekaliśmy, panie doktorze.

- Muszę się z nią zgodzić - zawtórowała jej Ramona. - Ja też mam takie przeczucie.

- To ja miałam przeczucie, Ramono! Tylko nie próbuj przywłaszczać sobie moich przeczuc!

- Na jaką chwilę czekaliśmy? - spytał Makai. - Jakie przeczucie?

- Żeby otworzyć przeszłość, panie Makai - odrzekł Loach. - Pójdę po niego z Nedem. Szakal, ty przynieś klucz. - Ale po co chcecie iść? - pytał z uporem Rodney.

- Po kufer! - wykrzyknęły siostry. - Po kufer ze świątyni! Juke zgubił klucz!

Jocelyn nie zadawała żadnych pytań. Zajęła się sprzątaniami ze stołu. Zanim Loach i krępy kierowca wtaszczyli ciężki kufer i ustawili go w rogu sali, większość statków piętrzyła się już w zlewie. Szakal czekał z topornym spiżowym kluczem w ręku. Jocelyn powiodła wzrokiem po wpatrzonych w kufer twarzach i usiadła. Zrozumiała, że to nie poobiednia zabawa. Tamci sprawiali wrażenie zupełnie poważnych.

Kufer był tak wielki, że pomieściłby zgiętego wpół człowieka. Kiedy wszyscy otoczyli go kręgiem, Szakal wręczył klucz bratu, Loach ukląkł, wsunął klucz w dziurkę ozdobioną przynitowanym pierścieniem i przekręcił go z odpowiednim do okoliczności zgrzytem. Siostry westchnęły zgranym chórem.

Doktor podniósł wieko. Z wnętrza buchnął zapach kamfory wymieszany z zapachem lanego żelaza. Cieniutkie jak delikatna bibułka szarfy z jedwabiu zaczęły piąć się do góry niczym tęcza biorąca pierwszy swobodny oddech po sześciu latach oczekiwania na pogodę po burzy. Szarfy przelewały się przez brzegi kufra i spływały na podłogę, gdzie przy najbliższym ruchu powietrza zwijały się i skręcały, tak były leciutkie i niematerialne. Wypływały, tryskały z kufra jak gejzer szkarłatu, zieleni, cynobru... aż jedna z sióstr załkała ze szczęścia i zanurzyła w nich zdobne pierścieniami dłonie. Z rozbuchanego kolorami jedwabiu wyciągnęła małą kryształową kulę, nie większą niż ta używana do krykieta, lecz połyskującą tak intensywnie, że aż dech w piersi zapierało. Kobieta uniosła ją wysoko, a wtedy w kuli rozbłysły i zakołysały się miriady kolorowych szarf.

Jocelyn nigdy przedtem nie widziała prawdziwej kryształowej kuli. Stwierdziła, że musi odwrócić wzrok. Z trudem znosiła widok jedwabnych szarf pływających wokół jak wielobarwne pstrągi, a kula po tysiącokroć je rozmnażała, rzeźbiła i wyginała w koszmarnie zwielokrotnione i powiększone kształty.

Po chwili okrzyk wydała druga siostra, bo i ona zdobyła swój łup: coś w rodzaju maszyny, same kółka zębate i zamocowane na pręcikach kule. Początkowo Jocelyn myślała, że to astrolabium, ale zauważyła, że rysunki konstelacji i gwiazd wryto tylko na skorupie zewnętrznej. Na kręgach wewnętrznych widniały rzymskie cyfry i jakieś strzałki, a całość przypominała sekstans. Jo spostrzegła, że oczy kobiety zwilgotniały. Wiekowa dama przytuliła urządzenie do piersi, jak matka tuli do piersi dziecko, a potem zaczęła obracać niewielką korbką i głośno powtarzać modlitwę siostry. Brzmiało to jak gdakanie kury nad jajkiem.

- To model wszechświata - szepnęła Gaby do ucha Jocelyn. - Nie współczesnego, jakiegoś innego, z Ziemią w centrum. - Ptolomejski - odszepnęła Jo. - Właśnie - potwierdziła Gaby.

Teraz już wszyscy grzebali w kufrze, jakby nagle każde z nich chciało dostać swoją część ekshumowanego ciała. Szakal znalazł czaszkę. Bardzo starą, prehistoryczną, niewykluczone, że należała do australopiteka, ale tego Jocelyn stwierdzić nie mogła, gdyż czaszkę pomalowano złotym lakierem. Loach rozwiązał ze śmiechem tobolek starych ubrań; były w nim koszule koloru khaki, wysokie buty i bryczesy. Gaby znalazła butelkę z ciętego szkła; otworzyła ją i z zamkniętymi oczami powąchała zawartość. Nawet biedny Juke zdobył łup. Było to coś, co przypominało kształtem mały melonik odlany z twardego czarnego materiału syntetycznego, chyba tłumik do trąbki. Stał i patrzył w jego czarne wnętrze, jakby miał nadzieję, że wciąż tkwią tam dźwięki schwymane w pułapkę lata temu.

Loach zanurzył się w opalizującym, płynnym jedwabiu aż po ramiona i zaczął macać dłońmi po dnie kufra. W końcu znalazł to, czego szukał: starą, oprawioną w płótno księgę, z zamykanymi na zatrask okładkami.

- Doktor Los i jego słynna księga - wyjaśniła Gaby głośnym szeptem, zamykając korkiem buteleczkę z perfumami. - Zapisuje w niej swoje słynne sekretne tajemnice.

Loach zignorował szyderstwo i podszedł z księgą do stołu. Jego oczy błyszczały jak oczy obu siostr. Odpiął zatrask i zaczął przerzucać kartki wypełnione notatkami sporządzonymi ozdobnym szyfrem. Przez chwilę w sali słychać było tylko cichy szelest odwracanych stron i daleki pomruk prądnicy.

Kufer wypluwał z siebie kolejne przedmioty: jeszcze jeden tobolek ubrań, pęki korzeni, kości wysadzane kryształami górskimi i szkłem, zamknięte słoje z przykrywkami uszczelnionymi woskiem, książki. Wreszcie z samego dna wydobyli owalny kawał ciemnego drewna, prawie tak wielki jak sam kufer.

- Nasz ołtarz... - wysapała jedna z siostr; Jocelyn nie umiała powiedzieć która.

Stolik wspierał się na trzech krótkich nóżkach. Nóżki były rzeźbione i miały kształt gryfich łap ze szponami z kości słoniowej. Owalny kawał drewna wpasował się idealnie w trzy otwory wycięte w podstawie, tworząc kompletny stół. Jego blat pokrywała gmatwanina zawitych symboli i piktogramów. Wyglądało to tak, jakby ktoś wziął do ręki "Opowieści z tysiąca i jednej nocy", wytrząsnął z książki wszystkie ilustracje i powlókł je szelakiem tam, gdzie spadły.

- Och, panie doktorze - szepnęła siostra z kryształową kulą w ręku, polerując w ekstazie stół szarfą. - Czy nie powinniśmy urządzić małego seansu?

- Dokładnie o tym samym pomyślałam - wtrąciła jej siostra. - Sprawdźmy, czy duchy wspierają nasze przedsięwzięcie.

- Nie widzę przeszkód - odrzekł Loach z łagodnym uśmiechem. Zamknął księgę. - Ale mam nadzieję, że duchy będą bardziej wyrozumiałe niż dyrektor mojego więzienia, bo inaczej nigdy stąd nie wyruszymy.

Ojciec Paul parsknął śmiechem, Rodney syknął do Ferrella i kazał mu przynieść aparat. Fotoreporter ani drgnął.

W milczeniu, na oczach wszystkich zebranych, siostry zaczęły owijać się szarfami. Po chwili coraz bardziej skonsternowana Jocelyn spostrzegła, że obie panie zdejmują z siebie bieliznę: halki, gorsety i długie majtki. Kiedy owinęły się całkowicie jedwabnymi splotami, na stos bielizny u ich stóp spadły nawet bluzki i spódnice.

Szakal na moment wyszedł i wrócił z kutym lichtarzem w ręku. Wetknął weń pięć grubych świec, trzy czarne i dwie czerwone, po czym je zapalił. Siostry podeszły do lichtarza i klócąc się zaczęły zmieniać ich ustawienie, dopóki nie ustaliły ostatecznego porządku, który je wreszcie zadowolił. Wtedy zapaliły kadzidła, całe mnóstwo trociczek, i powtykały je w siatkę klatek ze zwierzętami. Zasnuwający salę dym podrażnił Jocelyn nos. Jakiś nowy gatunek, pomyślała. Członkowie kościoła episkopalnego jeszcze go nie znają...

Siostry przysunęły w milczeniu krzesła i usiadły po obu stronach owalnego stołu. Ich guzowate palce u nóg wystawały ze zwojów kolorowej tkaniny i drażniły paszcze rzeźbionych gryfów. Oczy Mony i Ramony zaszyły mgłą, siostry uniosły dłonie i zwróciły je w stronę płomieni pięciu świec. Zdobione pierścieniami palce chwilę drżały, potem

znieruchomiały rozczapierzone, jakby spirytystki podtrzymywały niewidzialną kulę, wielką jak plażowa piłka.

Nikt się nie poruszył. Dym z trociczek dawał się Jocelyn we znaki: łzawiły jej oczy, musiała bez przerwy mrugać. Nienawidziła takich rytualnych przedstawień, zwłaszcza jeśli w ich trakcie coś cuchnęło. Jeśli istniały dogmaty werbalne, jeśli dogmat można było wyrazić obrazem, bez wątpienia istniał też dogmat zapachowy. Czowała go. Był słodki, sycący i świętoszkowaty.

Prądnica Szakala zakrztusiła się, prychnęła, żarówki świeciły coraz słabiej. Ludzie prawie tego nie zauważyli, bo z siostrami coś się działo. Przymknęły pociągnięte ołówkiem powieki, wywróciły oczami, z ich gardeł dobywały się jakieś dziwne odgłosy. Brzmiało to jak chóralny pomruk, jak warkotliwe bzyczenie roju elektrycznych pszczół, i przypominało Jocelyn odgłos, jaki wydają grzechotki australijskich aborygenów z mrocznego interioru. Przeszły ją ciarki.

Musiała przyznać, że nie tego się spodziewała. To było coś więcej niż tylko kadzidła i zwoje starego jedwabiu. Była świadkiem rzeczy naprawdę szokujących. Te stare kobiety dostawały drgawek, powarkiwały, wstrząsały nimi dreszcze, wywróciły oczy tak bardzo, że Jocelyn widziała tylko ich pokryte żyłkami białka. Zbudziły się zwierzęta, rozdrażnione gardłowym buczeniem. A buczenie nabierało intensywności, przeszło w przeraźliwe, kakofoniczne murmurando, a jego głośność i natężenie mówiły, że lada chwila nastąpi punkt kulminacyjny. W tym momencie coś za nimi zawyło.

Na pewno ten ślepy kojot. Ale nawet gdyby zawył wilkołak, efekt byłby bez wątpienia mniejszy, bo mniej przerażający. Siostry nagle ucichły. Ich źrenice wróciły na miejsce. Mona i Ramona patrzyły na siebie z szeroko otwartymi ustami, jakby coś się im objawiło, jakby miały wizję, którą sposobiły się za chwilę wykorzystać.

Wtedy odezwał się Loach. Mówił głosem niskim, głosem, który nie należał do królestwa sióstr Makai.

- Zamknijmy krąg - powiedział. - Żeby zjednoczyć energię.

Wszyscy uczestnicy seansu podali sobie ręce, zaciskając krąg wokół sióstr. Jak na gust Jocelyn, zacisnęli go zbyt mocno, siedzieli zbyt blisko siebie, ale nie protestowała. Nie mogła się temu oprzeć. A sprawiały wrażenie takich miłych starszych pań. Może trochę zwariowanych, ale jeśli pominąć ich bezsensowną paplaninę, ich błyskotki, były kobietami zupełnie przeciętnymi, takimi, jakie Jocelyn spotykała wśród przyjaciółek matki w Philly. Były hobbystkami. Dyletantkami. Starszymi paniami, które w chwilach wolnych od

podlewania hortensji obracają się w świetle duchów. Które zabijają czas trwoniąc przy okazji odziedziczony majątek.

Ale żadna z przyjaciółek matki tak nie warczała i nie zawodziła. Choć siostry milczały, echo tych dziwacznych odgłosów wciąż wibrowało w ciemnych kątach sali, w gęstym dymie z wonnych trociczek. Jocelyn była przekonana, że Mona i Ramona przestały oddychać. Może nawet zdołały spowolnić pracę serca. Jedynymi oznakami życia, jakie u nich zauważyła, były oczy. - Myślę, że już nawiązały kontakt - powiedział Loach. - Nie mają sił na dłuższy seans. - Zamknął oczy - Duchu... czy jesteś tu? Nie stało się nic. Absolutnie nic. - Jeśli tu jesteś, duchu, proszę, pomóż nam.

Nawet zwierzęta czekały w ciszy.

- Jeśli tu jesteś, zechciej proszę odpowiedzieć na nasze pytanie. Czy wesprzesz naszą wyprawę?

Wciąż nic. Ktoś poruszył się niespokojnie w ciemności. Nadszedł moment, kiedy ten mały szachraj finansujący całe przedsięwzięcie powinien palnąć coś szyderczego i dowcipnego, ale kiedy Jocelyn podniosła wzrok, ze zdumieniem spostrzegła, że oczy Rodneya są tak samo szkliste jak oczy jego ciotek, że usta ma równie szeroko otwarte. Odchrząknęła najciszej, jak umiała. No cóż, jeśli ten gaduła w różowym krawacie ma cierpliwość do wysłuchiwania tych czarów-marów, ona też nie okaże zniecierpliwienia.

- Jak pan myśli, panie doktorze, z kim nawiązaliśmy kontakt?

Książd! Chryste Panie, to książd! A od chwili, kiedy zawył kojot, w sali panowało grobowe milczenie.

- Czy możemy zgasić trociczki, panie doktorze? - spytała.

Zdawało się, że Loach jej nie słyszy. Oczy miał wciąż zamknięte i zaczynało ją to coraz bardziej denerwować. Od samego początku wiedziała, że wiążąc się z Loachem i bandą jego zwariowanych wielbicieli naraża na szwank swoją karierę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeśli to wyprawa archeologiczna, to sam Barnum, a nawet Barnum & Bailey, najlepsi spece od cyrkowych sztuczek, nie mogli jej bardziej urozmaicić. Siedzieli tu trzymając się za ręce i prosili ducha o radę i pomoc. Fakt, jeśli dym zgęstnieje, jeśli nie zaprzestaną wygadywać tych oklepanych ptolomejskich głupot, z pewnością będą jej potrzebowali. Nie, prawdziwy naukowiec zapisuje się w archeologii inaczej. Zapisuje się w niej dokonując pomiarów dziesiątków tysięcy ptasich skamielin, uważnie badając warstwy osadowe minionych stuleci - nie zyska w niej poczesnego miejsca, pędząc przez pustynię ze skazanym mordercą i dwiema starymi babami, przyodzianymi w jedwabne szatki. A jeśli ten archeolog jest w dodatku kobietą, musi uważać jeszcze bardziej.

Chyba że coś odkryje, chyba że znajdzie coś absolutnie niepodważalnego. Dla światka naukowego wstrząs to za mało. Żeby coś z tego wyszło, trzeba ten światek całkowicie zburzyć.

I lepiej by było, żeby to coś odkryła. Bo inaczej nie pomogą jej żadne wycia i zawodzenia, żadne kadzidła i fałszywe wskazówki ze świata duchów.

Jeden z profesorów powiedział kiedyś Jocelyn, że dla prawdziwego naukowca nie istnieje droga inna niż droga pełna mozołu i ciężkiej harówki. Tak pracowali Newton, Galileusz czy Darwin. Intuicję należy zostawić w kuchni, zwłaszcza w przypadku naukowca-kobiety. Wszystkie te sufrażystki, jak choćby madame Curie, to tylko nieliczne wyjątki, które miały fart. Jocelyn zastanawiała się, co by jej profesor powiedział na tego rodzaju badania, co by powiedział na widok tego zwariowanego laboratorium człowieczego libido.

- Jeśli obecność tej grupy - zaintonował monotennie Loach - czy któregoś z członków tejże grupy nie będzie tolerowana w jaskini, nie ruszymy w dalszą drogę. Czy będzie?

Jocelyn miała właśnie znów odchrząknąć, kiedy nagle w sali rozległ się jakiś dźwięk - głośny i wyraźny, niczym wystrzał ze strzelby. Huk wstrząsnął całym pomieszczeniem. Nikt ani nic się nie poruszył. Źródłem dźwięku musiała być kobieta siedząca najbliżej, lecz o ile Jocelyn dobrze widziała, ani jedna, ani druga nie drgnęła z miejsca. Doktor Kain pochyliła się, żeby obserwować je uważniej.

- Dziękuję, duchu - powiedział Loach. - Następne pytanie. Jeśli skład naszej wyprawy jest nieodpowiedni, jeśli wyruszamy w nieodpowiednim czasie i w nieodpowiedniej porze roku lub jeśli obecność w grocie któregoś z członków naszej ekspedycji będzie niemile widziana, nie wyruszamy w dalszą drogę. Czy duch uważa, że nasza wyprawa jest pod jakimkolwiek względem nieodpowiednia?

Natychmiast rozległy się dwa stuknięcia. Bardziej stłumione niż poprzednie, wyraźnie dochodzące od strony drugiej siostry. I dobitne, stanowcze, jakby ktoś uderzył o siebie dwoma kamieniami wielkości ludzkiej głowy. Tak samo jak poprzednio, siostry ani drgnęły. Ten huk, ten trzask, dochodził po prostu znikąd! Dosłownie znikąd!

- Jeśli okoliczności towarzyszące początkowi naszej wyprawy nie są bez skazy, jeśli fundusze, z których ją finansujemy, pochodzą z nieczystych źródeł, jeśli ja sam jestem skażony przebywaniem wśród nieczystych duchów, nie wyruszamy w dalszą drogę. Czy takie przeszkody istnieją?

I znów dwa stłumione uderzenia. Jocelyn poczuła, że dostaje gęziej skórki.

- A więc, czy sądzisz, duchu, że jesteśmy na tyle czyści, by wyprawę kontynuować?

Tym razem jedno stuknięcie, głośne i wyraźne jak to pierwsze. Niczym odgłos, jaki wydaje pękający pod wpływem mrozu glaz. A potem martwa cisza. Jocelyn zeszywniała, rozdarła między wiarą a pełną szyderstwa niewiarą. Nie, to niemożliwe! To chyba sen! Ale nie, to działo się naprawdę, ledwie metr od niej! Zawirowało jej w głowie i przez chwilę myślała, że obfita kolacja, jaką niedawno zjadła, wyjedzie z powrotem na stół. Sparaliżowało jej płuca. Inni też chyba nie oddychali. Nawet zwierzęta za migotliwymi płomykami świec pogrążyły się w pełnej oszołomienia ciszy. Wtedy usłyszała szept Loacha:
- Dziękuję ci, duchu.

I nagle wszystko i wszyscy ożyli. Siostry opadły na krzesła niczym zwiędłe kwiaty, szarfy, które je otulały, też zwiędły, zaskomlał kojot. Szakal puścił rękę Jocelyn, wstał i ziewnął.

- Powiedziałbym, że to definitywnie twierdząca odpowiedź - mruknął.

Reszta wieczoru, szarfy spływające na podłogę, siostry uwalniające się z objęć jedwabiu, donośny głos Loacha - wszystko to było dla Jocelyn jak gobelin ze splątanych węzłów, jak kobierzec, który nie chciał w jej umyśle zawisnąć. Bo jego sploty układały się we wzór, którego nie potrafiła zrozumieć. Zresztą, słabo znała się na gobelinach.

Wyszła stamtąd jako pierwsza, zostawiając ich przy stole, kiedy opowiadali siostrze, co się działo podczas transu. Zostawiła ludzi i zlew pełen nie zmytych naczyń.

Kiedy z sali zaczęli wychodzić pozostali uczestnicy seansu, Szakal i Loach skorzystali z okazji i stanęli na werandzie, żeby popatrzeć na gwiazdy. Szakal kopał nogą w drewniany słup. Wiedział, że obrabiają go korniki.

- Jak je poganasz, to prawie nie robią szkody - wyjaśnił nie przerywając zajęcia. - Nie mogą wtedy dobrze przeżuwać. - Jak to dobrze, że można wreszcie przewietrzyć płuca - odrzekł Loach. - Palą te trociczki, jak podczas ataku gazowego.

- Trzeba je namówić do podpisania jakiegoś traktatu. Niech walczą środkami konwencjonalnymi.

- Nie zgodzą się - odrzekł Loach. - Przywykły do dymu. - Zatkaną mi nos.

Szakal pochylił się i długimi paznokciami zaczął dłubać w miejscu, gdzie wspornik łączył się z barierką werandy. Słup trzymał. Ale puści, jak będzie tak dalej kopał.

Z wolna odykały mu się zatoki i nos zaczął rejestrować otaczające ich zapachy. Pachnie jak w namiocie, pomyślał. Niezbyt przyjemnie, ale można wytrzymać. Stał koło brata i wdychał aromat szaławii. Jak przez mgłę pamiętał, że kiedyś, kiedy stawali ramie w

ramię, byli jednakowego wzrostu. Teraz Szakal był o głowę niższy, jakby się na tym pustkowiu skurczył. Tak, ostrzegano go, że zamieni się w pustynnego szczura.

Odgłosy rozmów w domkach zamilkły, światła pogasły. Szakal usłyszał, jak trzydzieści metrów dalej Rodney zapala papierosa; ganek jego domku rozbłysnął pomarańczową poświatą. W ciszy i w znieruchomiałym powietrzu słyszał, jak Makai się zaciąga, jak potrzaskuje żar na czubku jego papierosa.

- Czy miałeś kiedyś wrażenie, że w tych trociczkach jest jakieś świństwo? - spytał Loach.

Szakal nie odpowiedział. Pochłaniały go własne myśli i zadziwiający bezruch pustynnej nocy. Po chwili westchnął.

- Zabij, ale nie mam pojęcia, jak one to robią - wyznał. - Że to coś stuka. Naprawdę myślisz, że dodają czegoś do kadzidel? Fakt, po seansie zawsze czuję się tak jakoś dziwnie. Loach przestąpił z nogi na nogę, zaskrzypiały deski.

- Nie, tylko żartowałem - odrzekł. - Nie wiem, jak to robią. Można nad tym długo myśleć, nawet przez sześć lat.

- Chcesz usłyszeć, co mam przeciwko naszej wyprawie, Charlie?

- Nie. Szakal znów westchnął.

- No to co my tu właściwie robimy? Wdychamy świeże powietrze? Loach wyprostował się.

- Nie. Dzisiejszej nocy czeka nas sporo roboty. Właściwie to moglibyśmy już zacząć. Ramię w ramię bracia zeszli z werandy.

Do księżycy wyl tylko jeden kojot. Tej nocy pozostałe miały wolne. Sny podróżnych były okraszone rykiem motoru i gumowo-asfaltowymi rytмами. Na tym właśnie polega mechanizm snu. Ale ojca Paula obudziło coś, co do snu nie należało. Obudził go szcęk prawdziwego metalu.

Zmrużył oczy i przez ciemny pokój spojrzął na drugie łóżko. Było puste. Wstał, zapalił latarnię i nago podszedł do tylnych drzwi. W domku numer dwa, po drugiej stronie wysypanej żwirem ścieżki, zapaliło się światło i ojciec Paul dostrzegł w oknie sylwetki Gaby i doktor Kain. One też nasłuchiwały w ciemności tego, czego oczy nie mogły dostrzec. Dudniący dźwięk powtórzył się, ale ksiądz nie mógł oderwać wzroku od okna, od niższej sylwetki. Za cieniutką zazdrostką, która otulała ją rozmytym światłem, Gaby była naga. Jak on. Poza jej ciałem na tle jasnego okna, nie widział nic więcej. Metaliczne dudnienie nie ustawało i brzmiało teraz jak odgłos dalekiej burzy. Ojciec Paul był prawie przekonany, że ktoś tam stoi i tłucze czymś w transporter tylko po to, żeby usłyszeć, jak dudni. Ale odniósł

też wrażenie, że to dobywające się z maszyny błyskawice są źródłem hałasu. Musiał natychmiast odwrócić wzrok, bo serce wyskoczyłoby mu z piersi.

Teraz nie widział nic poza podskakującymi lampami. Dudnienie ustało i rozległ się monotony zgrzyt piły. Usłyszał śmiech Szakala i głos którejs z sióstr, Mony albo Ramony. Próbowwała go uciszyć, ale się nie dał i chichotał dalej. Robili tam coś, co wyraźnie Szakala bawiło.

Światło w domku naprzeciwko zgasło. Paul stał chwilę w drzwiach, a potem wrócił do łóżka. Uważał, że to najbezpieczniejsze schronienie. Leżał i myślał o tym, co widział w oknie za zazdrostką. Kobieta. Róg obfitości. Spiralny tunel bez dna. Obrócił się twarzą do materaca i zakrył głowę poduszką. Miał nadzieję, że obroni się przed hałasem z zewnątrz i obrazami, jakie podsuwała mu wyobraźnia.

Kiedy skończyli, Szakal przeszedł przez dziurę w murze i wrócił prosto do muzeum. Przykucnął pośrodku sali. Wypuszczenie zwierząt na wolność było rzeczą poważną. Większość z nich nie przeżyje, a kilka z tych, które przeżyć nie powinny, świetnie da sobie radę: to tak, jak puścić kierownicę podczas szybkiej jazdy samochodem. Istniał tylko jeden sposób, żeby to zrobić - trzeba otworzyć zaciśnięte dłonie.

Obrócił się na obcasach, zapamiętując cechy charakterystyczne swoich zwierząt na wypadek, gdyby kiedyś któreś spotkał, w tym życiu czy w następnym. I delektował się zastygłą ciszą. Ten cały remont to wprawdzie klawa, ale piekielnie hałaśliwa rzecz. I trochę rozstroił mu nerwy. Zapach zwierzęcego bezruchu koił go i uspokajał, jak zawsze. Sala cuchnęła łagodnością i spokojem. Duchy wywołane przez siostry Makai uciekły w noc, wypędzone zapachem natury.

Najpierw odszukał koguta. Jego gładko zaokrąglony żółty dziób nie wyróżniał się niczym szczególnym z wyjątkiem tego, że w kąciku, tam, gdzie ptaka zraniono w pierwszych dniach życia, miał białawe rozcięcie. No i z wyjątkiem tego, że wyrosły mu cztery skrzydła. Taki to by latał. Jak żywa trzepaczka do piany. Szakal otworzył wieko klatki, wyjął koguta, wziął go pod pachę, podszedł do drzwi i rzucił ptaka na ziemię.

Potem przyszła kolej na rysia. Napalona samica kręciła tyłkiem - u rysiów to chyba kondycja absolutnie endemiczna. Ta miała na ogonie wybrzuszenie, na końcu, prawie na samym koniuszku; wyglądało to tak, jakby chirurg wszczepił tam piłeczkę golfową. Szakal rozpoznałby to zwierzę i za godzinę, i za sześćdziesiąt lat. Otworzył zaszczepkę. Wielki kocur dopadł drzwi, powęszył chwilę i wybiegł w noc.

Szakal szedł wzdłuż rzędów klatek i otwierał drzwiczki. Wyjął z terrarium pytona i potarł jego zimny łeb. Zastanawiał się, czy wąż będzie na tyle sprytny, żeby samemu

wytropić szczura. Albo czy jakiś szczur będzie na tyle głupi, żeby wytropić węża. Ciekawe, co pożre koguta, myślał. I jakiego partnera znajdzie sobie rysica. Wystarczy tylko rozewrzeć dłonie.

Otworzył drzwiczki ostatniej klatki. Siedział w niej pancernik. Szakal podniósł go z uśmiechem. Zwierzę tak bardzo przypominało mu transporter, że postanowił je zatrzymać jako maskotkę. Zadowolony ze swego dzieła, poniósł pancernika w stronę ciemnego kształtu za murem.

Do świtu było cicho, panował spokój. O świcie obudził Rodneya jakiś hałas. Początkowo myślał, że to Chick, że połknął swój własny język albo coś takiego. Ale kiedy usiadł na łóżku, zobaczył, że Ferrell śpi jak suseł, wydychając w chłód poranka delikatne obłoczki pary. Wtedy znów usłyszał ten odgłos i podskoczył jak ryba na haczyku. Tego dźwięku na pewno nie wydał człowiek. Wydało go coś, co trwało w agonii wywołanej niezwykle trudnym położeniem, jakąś straszliwą transfiguracją. Dlatego na wpół wyło, na wpół ikało, niczym istota, która - choć przeklęta - do piekła wejść nie może.

Otulił się koldrą w biodrach i podkradł do okna. Było zbyt brudne, żeby mógł coś w tym świetle zobaczyć, ale wyraźnie słyszał, jak to coś sapało i jęczało. Ostrożnie przytknął oko do trójkątnej dziurki w szybie i wyjrzał na dwór. Zobaczył dwugłowy garb sierści, który podnosił się rytmicznie i opadał. To jednooki kojot dosiadł napaloną samicę rysia. Zwierzęta stały zlepione ohydną, nienaturalną chucią.

Rodneyowi aż dech w piersi zaparło. Z obrzydzenia i zazdrości.

Samica rysia wyginała się, próbowała gryźć obejmujące ją łapy kojota, gardłowo pojękiwała. Z pyska kojota zwisał jęzor, mokry i sflaczały.

- Szczęściarz, cholera... - mruknął Rodney i wrócił do łóżka.

6. Doktor Jo śni i budzi się...

Dzwoni. Sekretarka z różowego wapienia czeka, aż zadzwoni ponownie, i stoi tam wryta w nagiej chwale. Ale co to za ryk dochodzi z głębi korytarza? To ma być prehistoryczna Francja, a nie jakiś festiwal we współczesnej Hiszpanii. Ale one już nadciągają, już wpadają z hukiem do pokoju. Z rozszerzonymi nozdrzami, z opuszczonymi łbami - proteinowy popłoch! Stoi spocona i nie może wykonać najmniejszego ruchu. Nie może upuścić telefonu, żeby uciec i gdzieś się schować - jej pozycja, jej duma jest większa niż strach - a nie może go z sobą zabrać.

Przewód jest zbyt krótki.

Na szczęście, zanim pałające chucią stado ją osacza, telefon dzwoni po raz drugi. To ten krzywonogi brat Loacha. Siedzi na wozie z prowiantem i wydzwania dźwięcznym trójkątem. I wrzeszczy. Hałas sprawia, że z łóżka po drugiej stronie pokoju dobiega przeciągły jęk.

- Powiedz im, żeby przestali, dobra? - To Jane. Pali papierosy i pachnie tanimi perfumami. - Rzygać mi się chce od tych całonocnych hałasów.

- Tym razem to chyba na śniadanie, Gabrielo.

- Jest środek nocy.

- Już świta. Słońce wschodzi.

- Ale jest zimno! Przez całą noc marzłam! I nie nazywaj mnie Gabrielą. Nie jestem aniołkiem, do cholery, możesz być tego pewna.

Jocelyn podparła się łokciem, żeby popatrzeć na zwinięty kształt na łóżku. Rzeczywiście. Dziewczyna wyraźnie drżała, choć leżała pod stertą koców naciągniętych aż na głowę. Ze szczeliny w przykryciu wystawał jej tylko podbródek i usta; wydychając obłoczki pary, głośno szczękała zębami. Przypominała Jocelyn małą foczkę z zamarznętej zatoki Bafifin. One też tak oddychały - przez niewielkie dziurki w lodzie. Temperatura w pokoju musiała spaść poniżej zera.

W takim razie dlaczego zbudziła się zrana potem?

Bolała ją głowa spoczywająca na cuchnącej stęchlizną poduszce, w ustach czuła gorzki smak. Nie tylko z powodu kaca po wypiciu sporej ilości wina. Jak przez mgłę pamiętała, że było coś jeszcze. Coś znacznie gorszego niż burgundowaty sikacz Rodneya. Podeszli ją. Boże, ten idiotyczny seans! Że też musiała oglądać te stuknięte siostry, te ich beznadziejne sztuczki. Już samo wspomnienie sprawiało jej ból. Duch stukający w stolik. Chryste, przecież to jedna z najstarszych, najbardziej oklepanych sztuczek! Widziała, jak to

robią szamani, znała kilkanaście sposobów na to, żeby “duch” zastukał. Ba, kilkadziesiąt sposobów!

Poza tym, wcale nie była aż tak pijana. Nie, jedynym wytłumaczeniem na to, że w tym wszystkim uczestniczyła, było stare, zużyte alibi: obowiązkiem wnikliwego naukowca jest bezstronna obserwacja wszelkich zjawisk. Dlatego należy obserwować te dziwaczne istoty oraz ich obrządku tak, jak obserwowałoby się obrządku każdego niezwykłego kultu - grzecznie, bez uprzedzeń, ale też uważnie i z wielką dawką sceptycyzmu. Co się stało z jej sceptycyzmem? Kto go czymś przytruł? No tak, przecież otepiło ją nie tylko wino. Dała się wprowadzić w taki trans, że nawet uległa Loachowi, kiedy kazał wszystkim złożyć tę idiotyczną przysięgę milczenia.

Co za poniżające wspomnienie. Zacisnęła powieki. Gdyby mogła wybierać, wołałaby już raczej sen o nagiej sekretarce i napalonych bykach. Bo przynajmniej wiedziała, co ten sen oznacza. Naga postać kobiety to słynna płaskorzeźba z jaskini pod Dordogne, nazwana przez antropologów Wenus z Lausell. Pięć lat temu wzięła urlop z uczelni, żeby przeprowadzić prace badawcze w Europie, i wtedy ją widziała. W plecaku miała kilka zdjęć. Zdjęć wielkości naturalnej, ponieważ surowa płaskorzeźba miała tylko czterdzieści dwa centymetry wysokości i wystawała z ziemistego kamienia ledwie na grubość kciuka. Jakby ją z tego kamienia ulepiono. Małeńka jest. Ale w znaczeniu historycznym i mocy mistycznych to prawdziwy gigant, a raczej gigantka. Izyda, bogini płodności, symbol Wielkiej Macierzy - jednego z najstarszych kultów w paleolitycznej Europie. A jeśli fotografie z tej jaskini są prawdziwe i dokładne, również i w Ameryce.

Jej myśli rozproszył drżący jęk z łóżka. Jocelyn usiadła. Przez brudne okna przebijały się promienie słońca. Wierzchem dłoni przetarła bolące oczy Co tam. Cały ten wieczorny seans był wprawdzie poniżający, ale przecież nie to się liczyło. Liczyła się sama wyprawa, tylko to. Wkrótce ruszą w dalszą podróż do groty i Jocelyn miała nadzieję odkryć tam coś naprawdę nowego i ważnego. Jeśli zdjęcia Loacha były choć w połowie uczciwe, stare i przeżute na papkę teorie o migracjach kulturowych można będzie wyrzucić do kosza na śmieci! Ba, trzeba będzie spisać ponownie historię całego świata! W grze o tak wysoką stawkę naukowiec musi podejmować ryzyko, musi cierpieć i znosić poniżenie. Dla takiego skarbu warto jest pić niedojrzałe wino i wysłuchiwać bajeczek dla grzecznych dzieci. Znów usłyszała wołanie Szakala:

- Albo zjecie teraz, albo pojedziecie głodni! - Trójkątny gong wydzwonił nieodwołalny rozkaz i zamilkł.

Jocelyn odetchnęła głęboko, spuściła szczupłe nogi na podłogę i położyła rękę na ramieniu Gaby.

- Chodź, kochanie, musimy wstawać. Po filiżance gorącej kawy poczujemy się o wiele lepiej.

- Nie nazywaj mnie kochaniem. I gdzie dostaniemy filiżankę dobrej kawy? Na tym zadupiu? Wujek Szakał nie odróżnia ziarenek kawy od bobków świstaka.

Jocelyn nie odpowiedziała. Ubierała się pospiesznie, było zimno. Gaby ani drgnęła. Nie zamierzała wychodzić ze swego gniazdka. Kiedy Jocelyn naciągała buty, dziewczyna przekręciła się na bok i popatrzyła na nią. - Właściwie to która godzina? Jej głos zirytował Jocelyn.

- Już ranek - odrzekła. Nie wiedziała, która jest godzina, chociaż gdyby chciała, mogłaby to bardzo naukowo wydedukować. - Ranek - powtórzyła wbijając stopy w sztywną skórę.

Kiedy była gotowa do wyjścia, Gaby dopiero zwlokła się z łóżka. Stała w majtkach przy umywalce, drżała jak galereta i perfumowała się pod pachami. Jocelyn poczuła sztuczny, drażniący nozdrza zapach i zmarszczyła nos. Lawenda! No tak, małolata z takim głosem musi używać lawendy. Powiedziała, że zaczeka na dworze, i wyszła.

Na zewnątrz wstał październikowy poranek. Wciągnęła w płuca haust chłodnego, pachnącego szalwią powietrza. Indiańskie słupy totemiczne Szakala rzucały długie cienie na nagie podwórze. Nie było tu nikogo, ani zwierząt, ani ludzi. Prądnica znów pracowała, znów świecił neon reklamując lód, którego Szakał nie miał. Po drugiej stronie podwórze stał wielki transporter, tak samo brudny i zakurzony, jak poprzedniego dnia. Ale gdy przyjrzała mu się uważniej, dostrzegła pewne zmiany. I aż zamrugła ze zdumienia, bo przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Wszystkie iluminatory w burcie maszyny były zamalowane czarną farbą. Te w tylnych drzwiach również. Oszczędzono tylko boczne okienka w szoferce i przednią szybę. A przez przednią szybę widziała, że za fotelami kierowcy i pasażera dobudowano przepierzenie. Do tylnej części transportera prowadziły teraz niewielkie drzwi. Loach kazał zaciemnić całą kabinę pasażerską! Jak miasto podczas bombardowania.

- Chyba nie za bardzo wierzy w tę przysięgę - mruknęła. - Tak samo jak ja.

Nagle stalowy dach opancerzonej maszyny zadudnił i przebiegł po nim maleńki człowieczek, którego nazywali Juke'em. Przebiegł, dopadł drabinki na burcie i zszedł na ziemię. Stał na piasku obok przednich drzwi i zaczął przekrzywiać głowę. W tę i we w tę. Miał na sobie kilka warstw ciemnego ubrania. Szyję zdobiła mu nie pasująca do reszty

apaszka z jedwabiu - niegdyś czerwona - z końcami wetkniętymi za pazuchę. Jego centkowana, sinawa twarz zwracała się raz w lewo, raz w prawo. Nagle zgiął się w pół, sparaliżowany atakiem straszliwego kaszlu. W chwili przerwy sięgnął do kieszeni i wyjął ozdobną fajkę z sepiolitu. Trochę wiało, więc osłonił dłonią zapalną i zapalił fajkę, uspokajając kaszel. Jedwabna apaszka furkotała przez chwilę na wietrze. Wydmuchał kłęb dymu wymieszanego z parą. Jego zapach doszedł aż na ganek domku i Jocelyn natychmiast go rozpoznała: wilcza jagoda i zioła na astmę. Niektórzy Indianie z plemienia Navaho, weterani wojenni, też to palili. Była pewna, że Juke pali specjalny tytoń zwany astmadorem, mieszankę pochodnych belladonny i kilku innych ziół. Słyszała, że organizacje zrzeszające weteranów wojennych wydawały ją za darmo tym nieszczęśnikom, których płuca uszkodził gaz musztardowy. Dym wysuszał śluz i ułatwiał ofierze oddychanie.

Juke stanął przy burcie transportera, oparł się o nią krzyżując kostki u nóg i kiwał głową, zgodnie z jakimś wewnętrznym rytmem. Nagle spostrzegł, że Jocelyn go obserwuje, i zastygł w absolutnym bezruchu, gapiąc się na stertę narzędzi, puszek farby i pędzli na ziemi. W końcu uniósł lekko brodę, co mogło uchodzić za powitalny gest. Jocelyn mu odkiwnęła. Skonsternowany obecnością nieoczekiwanego obserwatora, Juke stał jeszcze chwilę, potem obrócił się na pięcie, wszedł szybko po drabinie na dach transportera i zniknął za stertą pudeł, niczym szczur w śmieciach.

Zanim Jocelyn zdążyła pomyśleć i rozwiązać zagadkę tego ciekawego spotkania, jej uwagę przykuło coś innego i równie dziwaczного. Z tym że to dziwactwo stało znacznie bliżej, ocierało się o jej nogę. Ryś. Samica pocierała zadem o but. - Zjeżdżaj stąd! - warknęła odtrącając rysia nogą. - Uciekaj! Wielki kocur miauknął z rozczarowaniem i odszedł.

- Nie lubi pani dzikich kotów, pani doktor? - spytał ktoś chrapliwym głosem.

Jocelyn obróciła głowę. Gaby. Palila pierwszego tego dnia papierosa, Chesterfielda w bursztynowej cygarnicze. Dym sączył się przez brudną siatkę drzwi, za którymi stała.

- Uwielbiam je - odrzekła Jocelyn. - Ale na wolności. Z tym jest coś nie tak.

- Amok poklatkowy - orzekła Gaby. Pchnęła drzwi i wyszła na mroźne słońce. Przeciągnęła się i ziewnęła. Z jej gardła szedł dym. - To się zdarza.

Jocelyn zauważyła, że dziewczyna nie jest już tak odęta. Jej pociągnięta miodem snu twarz była doprawdy słodziutka, nawet piękna. Z drugiej strony, o tej porze dnia pustynne słońce mogło płatać różne figle, Jocelyn doskonale o tym wiedziała. W tym

bladym świetle, w tych podcieniach zdobionych klejnotami ze szronu, wszystko mogło wydawać się piękne.

Gaby puściła drzwi, które zamknęły się z trzaskiem, i stanęła za Jocelyn. Chyba nie zwróciła uwagi na transporter, a Jocelyn nie wspomniała o zamalowanych iluminatorach. Ramię w ramię ruszyły w stronę głównego budynku. Idąc milczały. Z topornego kamiennego komina na dachu wydobywała się łukowata smuga dymu. Jocelyn poczuła zapach kawy dolatujący przez frontowe drzwi.

- A jednak - zaryzykowała. - Wygląda na to, że twój wujek znalazł trochę dobrej kawy. Gaby mruknęła gderliwie w odpowiedzi.

- Zanim jej spróbuję, muszę chyba zrobić małą wycieczkę do gazowni dobrego wujaszka. - Zeszła z wysypanej żużlem ścieżki i ruszyła w stronę wychodków za domkami.

Jocelyn szła przez poranek sama. Nie spieszyła się. Przystanąła, żeby obejrzeć dziwaczne rzeźby wysadzane szlifowanymi szkiełkami, stojące przed muzeum. W każdy ich szczegół włożono wprost niesamowitą ilość pracy. W centralnym punkcie podwórza stała rzeźba amerykańskiego orła, będącego emblematem Krajowej Administracji Odbudowy, a pod nią widniało hasło nowego ładu: "Spełniamy swój obowiązek". Orzeł rozpościł skrzydła na ponad dwa metry i był zrobiony z maleńkich niebieskawych kamyczków, chyba z akwamaryn.

Stała przed drzwiami, z ręką na klamce wykonanej z rzepki kolanowej jakiegoś dużego zwierzęcia. Zapach smażonego boczku uderzył ją w nos jak pięścią. Był sycący, zaprawiony dymem. Ślina napłynęła jej do ust. Ale wciąż się wahała, wciąż nasłuchiwała. Dźwięki dochodzące zza drzwi miały w sobie miękkość wczesnego poranka: ktoś zaskrzypiał krzesłem, ktoś postawił na stole kubek, ktoś się roześmiał przytłumionym śmiechem. Ludzie, pomyślała. Żywi ludzie w upstrzonej brodawkami chwale. Przypomniały jej się słowa Cervantesa, jego ocena człowieka: "Każdy człowiek jest taki, jakim stworzył go Bóg. To prawda, czasami nawet gorszy". Usłyszała przeraźliwe skrzypienie drzwiczek do pieca i głos Szakala:

- Ogień gaśnie. Muszę nałożyć buty i przynieść więcej drewna. Zaraz wracam.

- Zaczekaj, spokojnie - powstrzymał go Loach. - Ja przyniosę.

Jocelyn natychmiast ruszyła do sterty polan i kiedy wysoki teozof wyszedł na werandę, nabrała już całą naręcz.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedział. - Widzę, że mnie pani uprzedziła.

- Dzień dobry... - Nie chciała go nazywać Charlesem, Chuckiem czy Charliem, jak jego brat, więc dodała: -... panie doktorze.

- Spójrz tylko, Szakal - rzucił w stronę otwartych drzwi. - Doktor Jocelyn nigdy nie zawiedzie. Szakal odwrócił się od kuchennej płyty i łypnął oczami.

- Witam panią doktor - Jego twarz rozjaśnił poządlivy, wilczy uśmiech. - Wiesz co, Charlie? Muszę przyznać, że kiedy już wyruszasz na poszukiwanie przygód, to wiesz, jak dobierać poszukiwaczy.

- To nie pański brat mnie wybrał. - Chciała, żeby zabrzmiało to pogodnie i wesoło. - Wybrało mnie Krajowe Towarzystwo Geograficzne. Gdzie to położyć? - Ojej, przepraszam - odrzekł. - Tutaj.

Jocelyn wrzuciła polana do drewnianej skrzynki, wyprostowała się otrzepując ubranie z płatków sosnowej kory i powiodła wzrokiem po sali. Na jednym końcu długiego stołu, przed talerzem grzanek z dżemem, siedziały siostry-spiirytystki. Do kościstego łokcia jednej z nich tulił się czajnik z herbatą, przykryty watowanym ogrzewaczem. Kryształowa kula spoczywała obok tej pulchniejszej, na okrągłej, wypolerowanej podstawce do serwetek, i wyglądała jak błazeńskie berło z kościaną rączką. Rodney i Chick siedzieli na drugim końcu stołu. Sączyli kawę, jedli i rozmawiali półgębkiem. Kierowca Ned siedział w bujaku koło kuchennej płyty. W jednej ręce trzymał kubek, w drugiej skręta. Jego czujną twarz zasnuwał dym. A Loach zrzucił wreszcie więzienne ła chy. Miał na sobie ubranie z kufra, strój typowego angielskiego badacza z dawnych czasów: wysokie sznurowane buty, rozłożyste bryczesy i wojskową koszulę z zapinanymi na guziki epoletami, w które wsuwało się kiedyś futerały z ważnymi mapami. Dać mu jeszcze biały korkowy hełm, bat i mógłby występować z Frankiem Buckiem jako poskramiacz dzikich zwierząt. Obrócił się na wysokim obcasie, odbił od podłogi, usiadł na kontuarze i zwiesił niedbale nogi. Przytruchtał Szakal z filiżanką kawy. - Chce pani śmietanki albo cukru? - spytał Jocelyn.

- Nie, wolę czarną, nie słodzoną, dzięki. - Spojrzała na uśmiechniętego dziwaka. Wokół oczu miał czerwone obwódki. - Chyba w ogóle dzisiaj nie spaliście. Gaby mówi, że słyszała was przez całą noc.

- Przepraszamy. Pewnie nie daliśmy wam spać, ale przed następnym etapem naszej przygody Charlie postanowił zmodyfikować transporter.

- Och, na pewno ci się spodoba, kochanie - zaszcebiotała pulchniejsza z sióstr. - Tak tam teraz przytulnie. Mamy nawet draperie. Półki na książki, stojak pod umywalkę i...

- Nie pod umywalkę, tylko pod stolik do wróżenia - poprawiła ją Mona. - W trakcie podróży będziemy mogli skontaktować się z Ouija. Żeby... żeby wysłuchać jego duchowych interpretacji. Ich siostrzeniec nie mógł przepuścić takiej gratki.

- Interpretacji? - huknął przerywając naradę z fotoreporterem. - Interpretacji czego? Tej ekscytującej scenerii, która nas otacza w drodze? Do tego nie potrzeba żadnych duchów. Wystarczy wyjrzeć przez okno i zinterpretować szalwzię. Każdy to potrafi.

Jocelyn pomyślała z rozbawieniem, że najwyraźniej nie tylko Gaby nie zauważyła zamalowanych iluminatorów transportera.

- No i zainstalowaliśmy w kabinie światło - poinformował ją Szakal. - Inaczej byłoby tam ciemno jak w trumnie.

Teraz z kolei dłuższy fotoreporter podniósł wzrok znad talerza.

- Gdzie zainstalowaliście? - spytał przeżuwając jedzenie. - Jak to ciemno? Nikt mu nie odpowiedział.

- Lokalizację tego miejsca trzeba zachować w tajemnicy - mówił poważnie Szakal zwracając się do Jocelyn. - Nie zniósłbym, gdyby dotarli tam postronni ludzie. Tak samo jak Charlie. No cóż, pewnego dnia pójdzie tam, kto tylko zechce, wiem. Ale chcemy ją chronić, jak długo się da. Pani to rozumie, prawda?

- Tak, rozumiem konieczność zachowania niezbędnych środków ostrożności. Jestem pewna, że zrobiliście to, co uważaliście za rozsądne. - Konieczność zachowania czego? - spytał Rodney. Fotoreporter przełknął jedzenie i zawtórował Rodneyowi. - Właśnie. Jakich środków ostrożności?

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Szakal zostawił robotę przy kuchni i potruchtał do lady, gdzie na gazecie stygł wielki połączony boczek. Wyciągnął nóż z pochwy i zaczął odkrawać długie plastry. Wkładał do patelni z litego żelaza, wyposażonej w rączkę co najmniej metrowej długości. - Można panu w czymś pomóc? - spytała Jocelyn.

- Jasne, pani doktor, jasne. Chciałem upiec trochę oładków. Gdyby się tym pani zajęła, mielibyśmy prawdziwą ucztę. Własnej kuchni mam już dość. Pichcę to samo od lat.

Poszperała w szafce i znalazła dużą glinianą misę. Na brzegach była ozdobiona piktogramami boga słońca Indian z plemienia Navaho, ale wiedziała, że to nie autentyk - deseń błyszczał tak samo zdradliwie jak znaki i wzory, jakie widywała w wielu motelach. Zrobiła trochę miejsca, ustawiła misę i zaczęła od szczypty proszku do pieczenia i soli. Potem wsypała do makutry całą mąkę, jaką znalazła w puszcze od kawy na ladzie. Nad ladą wisiała półka. Zdjęła z niej płatki owsiane, rodzynki i przelewający się pojemnik z melasą. Kiedy zmieszała to wszystko, zaczęła otwierać szafki i szuflady. - Czego pani szuka, pani doktor? - Proszę mi mówić Jo.

- W porządku, Jo, możesz mi mówić Szakal. Czego ci potrzeba? - Kilku jajek.

- Aaaa, to musimy po nie pójść. - Szakal już nakładał but, podskakując na jednej nodze.

- Nie, masz tu co robić. Powiedz mi tylko, dokąd mam iść.

Szakal wyszczerzył zęby w uśmiechu i rzucił but na podłogę.

- Dobra. Będzie ci potrzebne światło. - Otworzył szufladę w kredensie, poszperał w niej i wyciągnął długą srebrzystą latarkę. - Niecałe dziesięć metrów od tylnych drzwi jest wejście do piwnicy.

Do pochyłych drzwi prowadziła ścieżka. Jocelyn pociągnęła za skórzany uchwyt. Wpadające do środka słońce oświetliło wąskie schodki wykute w kamieniu. Doszła do wniosku, że Szakal musiał wykuwać je ręcznie, dzień po dniu, zagłębiając się z mozołem w litą skałę. No tak, czekając, aż brat wyjdzie z więzienia, miał dużo wolnego czasu. To dobrze, że go nie zmarnował, że nie zabiła go chandra.

Kiedy zeszła do piwnicy, nad jej głową zamknęły się drzwi. Nie mogła ich otworzyć, nie wiedziała jak. Pograżona w ciemności, pstryknęła przełącznikiem latarki. I nic, latarka nie świeciła. Kiedy ruszyła po schodkach na górę, błysnęło światło. Potrząsała latarką dopóty, dopóki nie wykrzesła z niej słabego żółtawego promyka.

Z tyłu piwnicy było niewielkie źródło przegrodzone kamieniami. W płytkim baseniku znalazła osełkę masła, koszyk jaj dziwnego kształtu i kamienny dzban ze szczelną pokrywką, przymocowaną drucianą klamrą. Otworzyła go i z wnętrza buchnął nieomylny zapach zakwasu. Uśmiechnęła się myśląc o Szakalu. A jakże, w piwnicy dojrzewał prawdziwy zakwas.

Zamknęła dzban i włożyła do kieszeni sześć jajek różnego kształtu. Prostując się, poświeciła latarką dookoła. Na przeciwległej ścianie wisiała półka. Stały na niej puszki z warzywami, marynowane buraki i ogórki, butelki francuskiego wina i szczelnie zamknięte słoje z jakimś złotawym płynem. Przeczytała etykiety na winie. Niektóre trunki były lepsze niż burgund, który tak zachwalał Rodney. A w słojach Szakal trzymał pewnie tę swoją nalewkę na kaktusie...

Weszła po schodkach, zamknęła drzwi i wróciła do kuchni, gdzie Szakal dokrawał więcej boczków. Juke znów wychynął z gniazda na dachu transportera, zlął po drabince i przyszedł na śniadanie. Ned zrezygnował z bujaka i znalazł sobie inne krzesło. Szakal podał Juke'owi szklany kubek z kawą i z wielką łyżką śmietanki. Najwyraźniej wiedział, co mały dziwny człowieczek pija. Juke mieszał kawę, kiwając się i nucąc pod nosem.

- Przyniosłam zakwas - powiedziała Jocelyn. - Mam nadzieję, że mnie nie skrzyczysz.

- A skąd! Uwielbiam oładki na zakwasie. Ten zakwas kupiłem w Nowym Orleanie, lata temu. Pamiętasz, Charlie, tę knajpę, gdzieśmy grywali? U Kalekiego Jacksona? Loach uśmiechnął się do nich z góry.

- Pamiętam. - Spojrzał na Jocelyn. - Jackson był jedynym kolorowym, który miał lokal na Bourbon Street. Kiedy przyjeżdżaliśmy do miasta, graliśmy u niego.

- Dawałem wtedy czadu - szepnął Juke spoglądając na ciemny płyn w kubku. - Czadu, czadu, czadu...

Szakał przeniósł wzrok na Jocelyn i kilka razy znacząco poruszył brwiami.

- Tak czy inaczej, to właśnie tam kupiłem ten zakwas, u Kalekiego Jacksona. Dziesięć, dwanaście lat temu. Targałem go z sobą po całym kraju, dosłownie wszędzie. Był ze mną nawet w Kanadzie. Wychodzą z niego najlepsze oładki pod słońcem. Głowę daję, że smaczniejszych w życiu nie jadłaś. - Nie wątpię.

- To śmieszne, co? Że tak nieistotna rzecz jak zakwas może być dla człowieka tak cholernie ważna.

- Dobry zakwas trudno dostać - zapewniła go Jocelyn.

Kiedy mieszala zakwas z jajkami, przyszła Gaby, a tuż za nią ojciec Paul. Kiedy ksiądz stanął przy kuchni i wyciągnął ręce, by je ogrzać, Jocelyn skinęła mu głową. Przechodząc koło Szakała, Gaby zmarszczyła nos.

- Wujku, śmierdzisz jak stary kozioł - orzekła dając mu kuksańca w bok.

- Kozły nie są takie złe-e-e-e-e - zabczał Szakał nie odwracając się od płyty.

Dziewczyna wyciągnęła się na ławce naprzeciwko sióstr Makai.

Szakał wziął małe sitko, napełnił kawą dwie filiżanki i powiedział: - Dzień dobry, ojcze. Jak się masz, Gaby.

- Czy wyście powariowali w nocy? - spytała dziewczyna. - Co tam robiliście? Prawie nie zmrużyłam oka.

- Właśnie, dlaczego tak hałasowaliście? - spytał ojciec Paul.

On też nie zauważył zamalowanych iluminatorów. Jocelyn zawsze zdumiewało to, że niewytrenowane oko może być tak ślepe. Albo tak wybiórcze.

- Jak to co, kochanie - odrzekła Ramona. - Przerabialiśmy to wojskowe szkaradztwo, ten transporter. Żeby można w nim było wygodniej podróżować. - Tak, tak, zmodyfikowaliśmy go - dodała Mona. - Nie mogę się doczekać, kiedy go sobie obejrzę - mruknęła Gaby znad filiżanki.

Jocelyn podeszła do pieca i otworzyła drzwiczki duchówki wbudowanej w jego górną część. Wstawiła do niej misę z ciastem, żeby urosło.

- Lepiej zostaw otwarte - poradził Szakal. - Jak jest za gorąco, drożdże mogą zdechnąć.

Podziękowała mu i odwróciła się z nadzieją, że nie widział, jak jest zirytowana. Nie nawykła do przyjmowania rad kulinarnych, zwłaszcza od mężczyzn.

Po trzecim kubku kawy rozmowa między Rodneyem a Chickiem stała się tak głośna, że słycać ją było w całej kuchni. Makai wciąż obsztorcowywał Ferrella za to, że nie zrobił zdjęć podczas zamieszania przed Tabernakulum w Salt Lake City. Jocelyn współczuła chudemu fotoreporterowi, który kiwając głową, słuchał szefa i raz po raz nerwowo przełykał ślinę. Ona też nie dałaby rady zrobić zdjęć, nawet gdyby wyjęła z plecaka swój mały aparat. Wszystko stało się tak nagle. Ta wrzawa, ten gwałtowny wybuch złości zgromadzonego tłumu. Ortodoksyjni mormoni klócili się z radykałami, babtyści posprzeczali się z grupką zakonnicek z St. Louis, które odbywały pielgrzymkę do świętych miejsc Ameryki. Na schodach przed Tabernakulum doszło do totalnej wojny na dogmaty. No a później do akcji wkroczył Loach. Kiedy na alejkę prowadzącą do świątyni wjechał transporter, kiedy ryknął silnikiem, kiedy zazgrzytał niczym pałająca zemstą śmieciara, Loach rzucił się w tłum jak rozwścieczona błyskawica. Przeprowadził tę akcję tak odważnie i brawurowo, że wbrew sobie - razem z pozostałymi członkami ekspedycji - dała się w to wszystko wciągnąć. I nie zdołałaby zrobić wtedy zdjęcia, tak samo jak nie zdołałaby później namalować obrazu przedstawiającego całe zajście. Po prostu tak nagłej burzy nie da się uwiecznić na papierze.

W gwarze rozmów Jocelyn zaczęła wykladać ciasto na gorącą patelnię, którą Szakal wysmarował smalcem z boczku. Wykladała je łyżką, małymi porcjami. Ciasto natychmiast puchło, pośrodku każdego oładka od razu ukazywały się małe pęcherzyki, więc przesunęła patelnię na mniej rozgrzaną część płyty. Juke obserwował Jocelyn z bujaka.

- Wstać i grzać - zaintonował śpiewnie. - Prażyć i smażyć. I czadu, i czadu...

W kuchni było pełno ludzi i spokój poranka prysnął. Panowała atmosfera, jaka towarzyszy grupie ludzi szykujących się do drogi, ludzi zdeterminowanych, których coś pogania. Szakal wykladał na talerze boczek, Jocelyn serwowała zbrązowiałe oładki. Na stole stał sół z miodem szałwiowym - używali go zamiast syropu - w maselnicy leżała zgrabna kostka masła. Chick jadł łapczywie, żarłocznie. Jadł, kiedy inni już skończyli i poszli się pakować. Szakal podsuwał mu talerze z resztkami, a chudy fotoreporter wymiatał wszystko do czysta. Zaimponował im swoimi nieograniczonymi możliwościami, zwłaszcza Rodneyowi, który wrócił do kuchni z przybornikiem do golenia.

- Mam nadzieję, że reszta tego boczku pojedzie z nami - powiedział. - Kto wie, może jak damy mu boczku, to nas żywcem nie zje.

Jeśli Juke w ogóle coś jadł, Jocelyn tego nie zauważyła. Bujał się na bujaku, sączył kawę ze śmietanką, a kiedy opróżnił kubek, wymknął się na dwór, żeby zapalić fajkę. Jocelyn i Szakal zmywali w milczeniu. Kiedy skończyli wycierać statki, Szakal podszedł do pieca i zamknął wszystkie szyby. Poszło trochę dymu, a później ryk płomieni pod płytą powoli ucichł.

- Dzięki za pomoc. Jak będziesz kiedyś potrzebowała roboty, od razu przyjeżdżaj. Albo jak zechcesz spuścić parę. Ot, choć na kilka tygodni. - Spuścić parę? - Pobyczyć się. Odpocząć. Nic nie robić.

- Dzięki, Szakal. Miło jest wiedzieć, że tu, na pustyni, jest oaza, gdzie można odpocząć. Pewnie będziesz teraz zajęty. Dokończę sama.

- Dobra. Fakt, muszę się trochę ogarnąć. Zobaczymy się przy transporterze. - Z butami w ręku potruchtał do wyjścia.

Cisza. Spokój. W zadymionej kuchni harcowały promyki słońca wpadające przez szpary. Jocelyn nie spieszyła się. Odszukała miejsce, gdzie Szakal trzymał czyste naczynia, przetarła zmywakiem blat stołu. Już kończyła, gdy nagle usłyszała na zewnątrz czyjś krzyk:

- Jezu Chryste! Spójrzcie tylko na to! No nie... Jocelyn uśmiechnęła się do siebie. Nareszcie. Zauważyli zamalowane iluminatory.

Kiedy uczestnicy wyprawy wreszcie się spakowali i wsiedli do transportera, kiedy maszyna ruszyła z warkotem w kierunku drogi, Jocelyn po raz pierwszy miała okazję dokładnie przyjrzeć się ich twarzom. Po szoku na widok dziwnego umeblowania i wystroju stalowego pudła, w którym mieli podróżować, nie było tu nic innego do roboty. Siostry Makai ozdobiły ściany i podłogę kabiny wszystkimi fintifluszkami, które z taką radością wyjmowały z wielkiego kufra: jedwabnymi szarfami, dywanikami, poduszkami, draperiami, wykładzinami, nawet świętymi obrazami. Ba, ozdobiły nawet sufit! Obniżyły go i wytłumiły flagą muzułmańskiego odłamu Sufi, która zwieszała się z rogów kabiny niczym olbrzymi baldachim wsparty na czterech słupach. Ale obejrzawszy to wszystko, człowiek był zmuszony patrzeć na twarze innych. Nie było sposobu, żeby tego uniknąć. Siedzenia - tapczaniki, leżanki i dywaniki - ustawiono wzdłuż ścian, tak że chcąc nie chcąc, pasażerowie spoczywali twarzą do owalnego stołu, na którym - co za kretynizm! - grzechotała kryształowa kula w drewnianej salaterce. I nawet jeśli patrzyło się na nią, wciąż widziało się twarze, tyle że skurczone i do góry nogami.

Dokładnie naprzeciwko Jocelyn siedziała chyba Ramona. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na buddyjskiej poduszce do medytacji i coś monotonicznie nuciała. Druga siostra wymachiwała trociczką, niczym dyrygent batutą. Rodney Makai w pół leżąc obok nich, marszczył czoło i przekrzywiał głowę to w lewo, to w prawo, przypatrując się poczynaniom ciotek. Kiedy tak razem siedzieli, łatwo w nich mogła odnaleźć rodzinne podobieństwo. Choć jedna była chuda, druga pulchna, choć on nosił wąsy, wszyscy troje mieli takie same szerokie czoła, długie europejskie nosy, a ich skóra - ten sam oliwkowy odcień. Mogli uchodzić za Cyganów próbujących czmychnąć z miasta w przebraniu.

Chick Ferrell siedział obok Rodneya. Obgryzał paznokcie i też marszczył czoło. Twarz miał drapieżną, był wyraźnie sfrustrowany i rozdrażniony jak ptak w stalowej klatce. Torba z bezużytecznym sprzętem fotograficznym leżała porzucona między jego nogami. No bo jak tu robić zdjęcia? Bez dziennego światła? Papuga w klatce bez drzwiczek chwiejącej się niebezpiecznie na stojaku sprawiała wrażenie równie poirytowanej jak fotoreporter. I ptak, i ptakopodobny dziennikarz milczeli posepnie przez całe kilometry.

Gaby siedziała obok Jocelyn, owinięta wełnianym szalikiem. Jocelyn nie widziała jej twarzy, ale mogła ją sobie wyobrazić. Malował się na niej wyraz całkowitego zniesmaczenia. Ojciec Paul znalazł sobie miejsce z tyłu kabiny. Jego anielskie czoło otaczała pomarańczowa aureola z pofalowanej zasłonki. Zawieszono ją, by zapewnić choć drobinę odosobnienia dla odważnych lub zdesperowanych, którzy chcieliby skorzystać z wielkiej dwudziestolitrowej bańki, przyspawanej do dziury w podłodze transportera. To stąd te łukowate błyskawice, pomyślała Jocelyn. Sądziła, że widziała je we śnie.

Długą cylindryczną kabinę zalewało niesamowite, pełne grozy światło, sączące się z górniczych lampek rozwieszonych przez siostry. Doprowadzili tu kable, ale coś nawaliło i elektryczność nie chciała płynąć. Mimo to atmosfera w kabinie była napięta, naładowana isticie elektryzującym podnieceniem. Doktor Jo zauważyła, że w tym szkarłatnym świetle wszyscy mają takie niewinne twarzyczki. Jak dzieci. Jak mali harcerze u progu wielkiej przygody.

Poczuła, że transporter dojeżdża do drogi i skręca. Przedtem była przekonana, że uda jej się określić kierunek jazdy, bez względu na to, czy ruszą w lewo, na południe, czy w prawo, na północ, ale teraz straciła pewność siebie. Maszyna chwiała się, kiwała i trzęsła tak mocno, że równie dobrze mogli zatoczyć wielkie koło. Tak, mogli jechać w stronę granicy kanadyjskiej albo meksykańskiej. Była pewna tylko jednego: dotarli na równą drogę.

Jedynka, dwójka, trójka - skrzynia biegów zazgrzytała i ryk silnika przeszedł w monotonny warkot. Wszyscy milczeli. Niedługo ktoś tę ciszę przerwie, pomyślała. Ale nie odezwał się nikt. Tylko silnik wciąż mruczał. Zamknęła oczy pamiętając o nic nie mówiącym uśmiechu na ustach. Ujrzała siebie jako spokojną i opanowaną absolwentkę szkoły w Vassar. Kobiętę profesjonalną, ubraną do wyjścia na zajęcia, taką, jaką będzie, kiedy przyjdzie jej prowadzić seminarium z antropologii. Ktoś się zaraz odezwie, pomyślała znowu.

Szum powietrza przeszedł w słaby, wysoki jęk. Już robiło się ciepiej. Czowała, jak pustynne słońce praży z nieba, jak rozgrzewa burty maszyny. Jedziemy na południe. Jeśli tak, za kilka godzin będzie tu jak w piecu. Nie dam rady, nie wytrzymam.

W końcu otworzyła oczy i głęboko odetchnęła. Z uśmiechem na twarzy spojrzała na siostrę siedzącą najbliżej.

- Czy odmawiała pani jakąś modlitwę... - nie знаła jej imienia i nie pamiętała, czy w ogóle zostały sobie przedstawione - ...pani Makai?

Ramona zerknęła na nią i skinęła głową. W szkarłatnej poświacie twarz starszej damy była spokojna i biło z niej zadowolone skupienie.

- To mantra, moje dziecko - wyjaśniła skrupulatnie. - Sanskrycka inwokacja. Prosiłam ducha, żeby pobłogosławił naszą wyprawę i chronił nas od pułapek Maya. "Om mani padmi hum, Om mani padmi hum...". Jestem, jestem świadoma, jestem błogością. Dał mi ją sam Swami Denanda, kiedy w dwudziestym ósmym objeżdżał Amerykę. Cudowny człowiek, po prostu cudowny. Nauczyciel świata.

- Nie wiedziałam, że studiowała pani również nauki hinduskie - powiedziała Jocelyn. - Doskonale znała tę dzieciinną modlitwę, ale nie chciała spirytystce przerywać.

- Wszystkie religie opierają się na prawdzie - kontynuowała Ramona. - Lecz do jedności prowadzi wiele dróg. Religie hinduskie należą do najstarszych. Wiele z tego, co zawiera Święta Księga Sekretnych Doktryn, wywodzi się bezpośrednio z sanskrytu. Wiesz, że Jezus studiował w Indiach? Tak, i to bardzo długo.

- Nie, nie wiedziałam - odrzekła doktor Jo z nadzieją, że nie położyła zbyt wielkiego nacisku na słowo "wiedziałam". Nikt nigdy nie udowodnił tej religijnej bzdury ani też nie odnalazł księgi z tak zwanymi Sekretnymi Doktrynami. - A jak on się tam dostał w tych czasach?

- Istniały szlaki handlowe! - wtrąciła piskliwie Mona. - Tak jest, szlaki handlowe. Jezus nauczył się wszystkiego od hinduskich uczniów Buddy.

- Nic podobnego! - warknęła Ramona. - Uczył się u Eseńczyków z Egiptu. To tam dostał święte mapy.

- Czy naprawdę istnieją mapy podróży Jezusa? - spytała doktor Kain udając szczere akademickie zainteresowanie.

- Helena Bławatska rozważa ten problem bardzo szczegółowo. Otóż madame twierdzi, że...

- Ramona! - przerwała jej gwałtownie Mona. - Nie zapominaj o przysiędze! Przepraszam panią, pani doktor, ale moja siostra nie może dyskutować o tych sprawach. Zanim zdradzi się takie sekrety osobom nie wtajemniczonym, trzeba odbyć wiele bardzo mozolnych ćwiczeń. A tego stopnia duchowej inicjacji Ramona jeszcze nie osiągnęła. - Ależ naturalnie, nie śmiałabym...

- Bzdury! Pani doktor, otóż musi pani wiedzieć, że zaliczyłam więcej stopni duchowej inicjacji, niż ta stara kura ma piór!

- A jak je zaliczyłaś, kochanie? Chadzając na zebrania towarzystw astrologii starożytnej? Uczestnicząc w ichniejszych rytuałach? Czy też gapiąc się jak głupia w tę swoją szklaną kulę do krykieta? - W takiej kryształowej kuli można skupić cały kosmos! - wykrzyknęła Ramona. - Poza tym, to zajęcie znacznie lepsze niż szukanie ziarenka złotego piasku na bezkresnej plaży. A gapiąc się na tryliony gwiazd na niebie, to właśnie robicie. Wy wszyscy. Ty i tobie podobni. - Gapisz się w tę kulę jak sroka w gnat! - A ty w gwiazdy, jak nietoperz!

- Gwiazdy to mikrokosmos. Droga Mleczna to Wielka Aleja, kochanie.

- Tak samo jak kryształowa kula. Tylko że w kuli wszystko jest zmniejszone, dzięki czemu obserwacje są efektywniejsze. Ja Mleczną Drogę mogę zabrać z sobą, siostrzyczko. Niczym pudełko czekoladek z obrazkiem człowieka trzymającego pudełko czekoladek z obrazkiem człowieka... - Makrokosmos! - wychrypiąła z uporem Mona. - Mikrokosmos! - upierała się Ramona.

- Marconi! - stwierdziła rozważnie papuga. Wszyscy się roześmiali. Wszyscy z wyjątkiem Rodneya.

- Jeśli o mnie chodzi, nazwałbym to mydleniem oczu naiwniakom - powiedział. Spojrzał na Jocelyn. Spotkali się wzrokiem. - Słyszę te bzdury od lat, pani doktor. Wszystko bez ładu i składu. One po prostu uwielbiają tę dziwną abrakadabrę i maskaradę.

- Rada maska! - zawtórował mu Juke. - Rada maska! Siostry zachichotały, zasłaniając dłońmi usta. Jocelyn musiała przyznać, że mimo wszystko były kobietami dobrodusznymi. Ale z tego ich siostrzeńca to szydercza świnią.

- Widzę, że nie wierzy pan w świat duchów, panie Makai? - spytała.

- Powiedziałbym tak, pani doktor - Jocelyn wyczuła, że Rodney próbuje naśladować Johna Garfielda. - Wierzę w to, co zobaczę na własne oczy. Nie mam cierpliwości na spekulacje i nie obchodzi mnie, jakie duchy tłuką się w przeróżnych "eterach", kto dał Jezusowi mapy czy dokąd to Jezus zawędrował. Jestem empirystą i człowiekiem interesu.

- Rozumiem. A co człowiek interesu robi na takiej wyprawie jak ta? - spytała uprzejmie; miała nadzieję odprężyć się w roli reporterki przeprowadzającej wywiad.

- Jestem też dziennikarzem. A tę imprezę, bez względu na to, dokąd zajedziemy i jak się to wszystko skończy, można dobrze sprzedać w prasie. Jeśli znajdziemy coś, co podtrzyma alibi Loacha, będę miał sensację na pierwszą stronę. Jak nic nie znajdziemy, ptaszek wróci do klatki, a to wiadomość na co najmniej drugą stronę. Chwyta pani? O ile tylko pstrykniemy kilka dobrych zdjęć i wypichcimy parę linijek w miarę porządnego tekstu, wyjdę na swoje. Jeśli o mnie chodzi, to pudło może wylądować nawet w tunelu miłości w wesołym miasteczku na Coney Island. Mam to gdzieś, bo z tego też można co nieco wycisnąć.

- Ale zdjęcia by nie wyszły - mruknął posępnie Chick. - Za słabe światło.

Rodney nachylił się do Jocelyn, zasłonił usta dłonią i udając, że powierza jej najgłębszy sekret, szepnął: - Ten przyglup zapomniał flesza. - Poganiałeś mnie!

- Gapowaty dureń! Myślałem, że jesteś fotoreporterem, a ty nie zrobiłeś nawet jednego zdjęcia tym zwariowanym mormonom. Ani jednego!

- Nie zaciągnąłem się jako korespondent wojenny. Jestem fotoreporterem sportowym, więc po co mi flesz? Do fotografowania sobotniego meczu futbolowego?

- Uważasz, że tutaj jest kiepskie światło, tak? No to poczekaj, aż zejdziemy na dno tej dziury. I co wtedy zrobisz, palancie? Będziesz sobie przyświecał zapalkami?

- W najbliższym mieście kupię trochę proszku magnezjowego.

- W najbliższym mieście? W jakim mieście? Słyszysz, jak zasuwamy? Twoim zdaniem, zbliżamy się do jakiegoś miasta?

Rzeczywiście, od pewnego czasu pod kołami transportera śpiewała monotonicznie szosa - była pusta.

- Głowę daję, że w ogóle nie będziemy przejeżdżać przez miasto.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli i wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z zewnątrz.

- Może da się skupić światło tych latarni? - mruknął ponuro fotoreporter.

Rodney tylko prychnął i udał, że się masturbuje. Kiedy zza małych drzwi prowadzących do szoferki wychynęła głowa Szakala, Jocelyn poczuła ulgę. - No i jak? Wygodnie? - zawołał.

Przyniósł pancernika. Trzymał go za uchwyt na grzbiecie, jak kulę do kręgli. Wszedł do kabiny, zamknął drzwiczki i od razu posunął do Jocelyn.

- Jak ci się podoba nowy wystrój wnętrza? - spytał z uśmiechem, siadając koło niej.
- Pięknie tu teraz, co? - Bardzo - odrzekła.

Szakal przyjrzał się jej uważniej i szeroki uśmiech na jego twarzy zgasł.

- Mówiąc szczerze, wyglądasz tak, jakbyś się ze mną nie zgadzała. - Przepraszam. Trochę boli mnie głowa.

Szakal wyciągnął bez ostrzeżenia rękę i dotknął jej szyi. Jocelyn zeszywniała. Dłoń miał twardą jak skorupa zwierzęcia, które trzymał na kolanach.

- Moja panno, jesteś spięta jak cuma liniowca transoceanicznego. Potrzebny ci masaż. - Nie, proszę, nic mi nie jest!

- No pewnie. - Postawił pancernika na podłogę i znów bez najmniejszego ostrzeżenia, ze zwinnością małpy wskoczył na oparcie sofy za Jocelyn. - Stary Szakal ci pomoże.

- Czy mógłby pan najpierw zdjąć buty? - poprosiła Mona. - Ten pokrowiec ma ponad dwieście lat. Tkął go hinduski mistrz z muzułmańskiego odłamu Sufi.

- Ależ z przyjemnością - odrzekł Szakal. I balansując na oparciu, zrzucił znoszone buciory.

Ku zdumieniu Mony w skarpetkach było pełno dziur, a wystające przez dziury paznokcie wyglądały równie niebezpiecznie jak buty z czubkami obitymi stalą.

- Gdyby zechciał pan zdjąć skarpetki, jestem pewna, że Ramona zgodziłaby się je panu zacerować - zaproponowała Mona.

- Tak jest - potwierdziła Ramona. - Być może nie dorównuję siostrze stopniem wtajemniczenia duchowego, ale ceruję po mistrzowsku.

Szakal zdjął skarpetki i przykucnął za Jocelyn. Nie widziała go, ale przed oczyma wyobraźni stanęły jej obrazy, jakie widziała w rzymskich grotach - diabły otchłani. Na szyi poczuła jego palce.

- Zobaczmy, czy uda nam się tę napiętą cumę trochę rozluźnić.

Zaczął masować jej szyję i plecy. Ręce miał twarde i silne niczym stalowe narzędzia, ale jednocześnie łagodne. Wbrew sobie poczuła, że się odpręża. Oczy miała zamknięte, kiwała rytmicznie głową.

- Domyślam się, że to ty jesteś właściwym odkrywcą tej słynnej jaskini - zagadnęła.

- Znalazłem wejście, dziurę w ziemi, zgadza się. Ale to Charlie odszukał korytarz prowadzący do groty z malowidłami. - Dużo tam tych korytarzy?

- Od groma. To prawdziwy labirynt tuneli, niskich przesmyków i występów. Albo krążysz w kółko, albo idziesz donikąd, bo większość z nich tam prowadzi. Charlie wytyczył prawidłowe przejście i zapisał wszystko w swojej księdze. - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Twierdzi, że do tej świętej groty z malowidłami zaprowadził go duch unoszący się przed nim w postaci małego złotego ptaka. Naturalnie ja nic takiego nie widziałem.

- O właśnie - wymamrotała jedna z siostr - Przewodnicy duchowi mogą unosić się w powietrzu, ale najczęściej po prostu zawisają nad ziemią.

Jocelyn nie otworzyła oczu, żeby sprawdzić, czy to Mona wprowadziła to delikatne rozróżnienie czy Ramona. Odchyliła mocniej głowę i napała karkiem na silne ręce Szakala. - Jak do tego wejścia trafiłeś?

- Szukałem złota - odrzekł. - Łaziłem z przetakiem do przemywania piasku i szukałem żyły. Tak właśnie spędzałem czas, kiedy Charlie i Juke byli na wojnie.

- Juke był na wojnie? Tak, zastanawiałam się, czy jest ofiarą tych strasznych czasów...

- On i Charlie przeżyli atak gazowy we Francji. Gaz podziałał na Juke'a znacznie bardziej, zwłaszcza na jego głowę. Zresztą jeśli o to chodzi, on zawsze był trochę... niestabilny psychicznie. - Znałeś go przedtem? - No jasne. Występował z nami. - Występował? Gdzie?

- W Niezwykłościach Tego Świata. - Szakal przesunął rękę w dół pleców i ugniał mięśnie Jocelyn jak miękkie ciasto. - Gaby też z nami była, prawda, dziecinko? Gaby udawała, że śpi. - Mieliśmy taki mały cyrk. - Cyrk?

- Cyrk. Występowaliśmy w wesołych miasteczkach, na karnawałach, gdzie się dało. - Szakal zadarł głowę i popatrzył na sufit, gdzie w gnieździe na dachu siedział Juke. - Tak, stary Juke wszędzie nam towarzyszył. Nawet po powrocie z Francji pomagał przy ustawianiu namiotu i grał w orkiestrze. Przez jakiś czas występował ze swoim starym numerem, ale nie był już tak dobry jak przedtem. - Szkoda. Szakal wzruszył ramionami.

- Był trochę stuknięty, jeszcze zanim poszedł na wojnę. Prawdę mówiąc, ludzie uważali, że jest takim ekscentrycznym artystą. Ktoś kiedyś powiedział, że Juke jest bardzo "utalentowany". - Ekscentrycznym artystą? Trudno w to uwierzyć.

- Nie, dlaczego. Gdzie przebiega granica między ekscentryzmem i szaleństwem? Bo ja nie wiem. On i Charlie zawsze trzymali się razem. Z tego, co słyszę, w Salt Lake City nie nawalił, co? Jocelyn nie chciała o tym mówić. Jeszcze nie teraz. - I razem się zaciągnęli?

- W 1917, mniej więcej o tej porze roku. Twierdzili, że pcha ich do tego patriotyzm, ale jeśli chcesz wiedzieć, to myślę, że pragnęli zaznać chwały jankesów w Europie. Tak, sława i chwała. Charlie zawsze do tego wzdychał. - Nie chciałeś się do nich przyłączyć?

- Dzie tam. Rzadko się do kogoś przyłączam. Zresztą ich ciągnął patriotyzm, mnie złoto. Złoto cenię sobie bardziej niż chwałę. Potem okazało się, że i oni, i ja kiepsko na tym wyszliśmy. Charlie i Juke nie zdobyli chwały i wrócili z chorymi płucami. Ja zamiast złota znalazłem dziurę w ziemi.

- Za to bardzo interesującą dziurę - odrzekła.

Nagle przypomniał jej się sen z ostatniej nocy i stwierdziła, że kobieta ze snu, ta z rogiem, była bardzo podobna do płaskorzeźby, którą widziała w wapiennej grocie w Lausell. Doszła do wniosku, że nie czas teraz o tym myśleć.

- I mówisz, że Juke żył kiedyś zupełnie normalnie? Że mógł normalnie funkcjonować w społeczeństwie? Szakal roześmiał się.

- No jasne. Nawet po wojnie. Zważywszy co przeszedł, funkcjonował naprawdę nieźle. Do chwili, kiedy wyszła ta cholerna sprawa z jaskinią. O tak Juke niezgorzej sobie radził.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała. - Z jakim numerem występował?

- Juke? - Szakal zachichotał. - Jakby ci to... To bardzo trudno opisać...

Małe drzwiczki prowadzące do szoferki otworzyły się i do pogrążonej w półmroku kabiny wpadła smuga jaskrawego światła. Jocelyn otworzyła oczy i szybko obróciła głowę z nadzieją, że zobaczy choć fragment okolicy, przez którą przejeżdżali. Ale światło ją oślepiło. Kiedy wzrok przywykł do nowych warunków, w progu ujrzała sylwetkę doktora Loacha. Loach pochylił się sztywno, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwiczki.

- Co ty wyprawiasz, Szakal? - spytał. - Udajesz małpę? Bawisz publiczność?

- Przeprowadzałem małą terapię, Charlie - odrzekł Szakal i zwinnie zeskoczył z tapczanu. - Zawsze miałem delikatne ręce. Co ty na to, Jo?

- Muszę przyznać, że ból głowy chyba ustąpił - odpowiedziała zdając sobie sprawę, że mówi prawdę. - A ręce masz o wiele... hmm...

- Delikatniejsze, niż wyglądają? - dokończył ze śmiechem. Spojrzał na swoje rozczapierzone dłonie. - Zrogowaciałe, co? Podrapane, blizna na bliźnie. Zawsze lubiłem grzebać w ziemi. W przeciwieństwie do mojego braciszka, któremu uczciwy brud nigdy pod

pazury nie zalazł. Spójrz na niego. Sześć lat w pudle i wciąż ma wymanikiowane paznokcie. Loach schował za plecami swoje wielkie białe ręce.

- Panie doktorze, rozmawialiśmy z pańskim bratem o tej jaskini. Może zechciałby pan nam zdradzić, co nas tam czeka? Czego możemy się spodziewać? I co pan chce dzięki tej wyprawie osiągnąć?

- Pani doktor, muszę przyznać, że jestem trochę zaskoczony. Nie spodziewałem się, że usłyszę te pytania właśnie od pani, od archeologa badającego pradzieje naszej cywilizacji. Jestem pewien, że podobnie jak ja, szanuje pani wszelkie odkrycia naukowe, prawda?

- Nie czaruj, Loach - rzucił Rodney. - Próbujesz wymigać się od odpowiedzi. Jesteś jak kot, który jeszcze nie zjadł kanarka, ale który ma takie plany. No, Loach, zdradź nam kilka szczegółów. Na co możemy w najlepszym wypadku liczyć?

- Właśnie, Loach - zawtórował mu Chick. - Trochę szczegółów. Zapuszkowałeś nas tutaj jak szprotki, więc nie możemy nikomu zdradzić twoich tajemnic. Dokąd jedziemy? Kiedy będziemy przejeżdżali przez jakieś miasto ze sklepem fotograficznym?

- Obawiam się, że przez miasto nie będziemy już przejeżdżali, panie Ferrell - odrzekł Loach. - Salt Lake City było ostatnim przystankiem, gdzie mógł pan nabyć niezbędny sprzęt.

- A nie mówiłem, dupku? - Rodney dźgnął Chicka łokciem.

- No to może będziemy mijali jakieś małe miasteczko z drogerią? - lamentował fotoreporter. - Przecież w każdej dziurze jest drogeria. Sam zrobię ten proszek, sam...

- Nie zatrzymamy się w żadnym miasteczku, panie Ferrell, nawet w najmniejszym - odparł Loach nie bez współczucia. - Zamknąć was w tym stalowym pudle, żebyście nie widzieli okolicy, a w mieście wypuścić? Jaki w tym sens? - A benzyna?

- Mamy dwa zbiorniki po dwieście sześćdziesiąt cztery litry w każdym. Napełniliśmy je w Moab.

- No a co z prowiantem i piciem? - zaniepokoił się Rodney. - I ze spaniem?

- Będziemy gotować sami. Mamy odpowiedni sprzęt - odparł z dumą Szakal. - A propos. Zaraz zacznę przygotowywać kanapki.

- Mamy też maty i śpiwory do spania - dodał jego brat. - Oraz zapas wody do picia i mycia się. Nie wspominając już o skrzynkach wina, które załadował pan w Kalifornii.

- No dobra, a jeśli przyciśnie nas nagła potrzeba? Jeśli będziemy musieli sobie ulżyć? I to natychmiast? - Po to zainstalowaliśmy z tyłu W. C. - objaśnił Szakal. - Jest tam pokrywa i wszystko co trzeba. Zmajstrowałem ten kibełek osobiście.

- Jest na pewno superwygodny, ale trochę odbieглиśmy od tematu, prawda? - spytał Rodney. - Pytaliśmy pana, na co możemy tam liczyć, Loach. Wiemy, na co pan liczy. Na to, że nie wróci pan do pudła. To oczywiste i jak najbardziej zrozumiałe. Ale nie o to nam chodzi. Chodzi o nas, o nasze nadzieje. Jeśli okaże się, że malowidła w pańskiej jaskini są autentyczne, o ile w ogóle tę jaskinię znajdziemy, to co z tego będzie miał szary Amerykanin? Czy to kolejny grób Tutenchamona?

- Właśnie. - Chick otworzył notesik i szykował się do robienia notatek. - Ta pańska jaskinia. Na ile można ją porównać z odkryciem... na przykład tych skamielin nad Morzem Martwym?

Jocelyn zdawało się, że w kącikach poważnych ust Loacha dostrzega leciutki uśmiezek, ale w głosie teozofa nie było najmniejszej iskiej humoru.

- Nad Morzem Martwym znaleziono zwoje pergaminu, panie Ferrell, nie skamieliny. Ale myślę, że to bardzo dobre porównanie. Nasze odkrycie może mieć równie doniosłe znaczenie. Jeśli uda się nam znaleźć klucz do rozwiązania zagadki symboli ze ściany mojej jaskini, otworzymy nim drzwi do wielu tajemnic z przeszłości naszego kontynentu. Może znajdziemy tam wskazówki, dzięki którym rozszyfrujemy pismo Majów, piktogramy Indian z plemienia Hopi...

Loach powiódł wzrokiem po kręgu słuchaczy i ruchem głowy wskazał ołtarz, ustawiony przez Monę i Ramonę pośrodku kabiny. Kryształowej kuli już na nim nie było (Ramona używała jej jako grzybka do cerowania skarpetek Szakala), ale w stojaku wciąż paliło się kadzidło. W strużkach dymu połyskiwały złote litery wymalowane na blacie.

- Kto wie, może odszukamy tam praźródło naszego alfabetu? - dodał i zamilkł na chwilę. W kabinie zaległa cisza. Monotonnie warczał silnik. - Nie wymiguję się, panie Makai, myślałem o tej wyprawie przez sześć lat. A sześćioletnie przemyślenia niełatwo streścić w jednej krótkiej odpowiedzi. Chwilę pocierał palcami brew. Kiedy podniósł głowę i znów się odezwał, mówił innym rytmem, a jego głos miał inne natężenie. Był o ton niższy i ledwo słyszalny poprzez warkot silnika.

- Od najdawniejszych czasów, od zarania dziejów ludzkości, wciąż zadajemy sobie te same pytania. Dokąd zmierzamy? Co tam zastaniemy? Być może naszym przeznaczeniem jest właśnie to, że te pytania zadajemy? Że w ogóle możemy je zadawać? Tego nie wiem. Ale wiem, że ciągle poszukiwanie jest tym, co odróżnia nas od zwierząt niższych gatunków.

- Fakt, kiepsko przy nich wyglądamy - przerwał mu szeptem Szakal, mrugając znacząco do Jocelyn.

- Kiepsko, kiepsko - prychnął Rodney. - Gadka- szmatka, mydlenie oczu.

- Zamilcz, Rodney! - Ramona ścisnęła mocniej skarpetkę z kryształową kulą i grzotnęła siostrzeńca w kolano. - Pozwól doktorowi mówić. Loach kontynuował wywód.

- Jeśli moje analizy symboli z tej jaskini są poprawne, to ludzie, którzy je malowali, kimkolwiek byli, mieli dostęp do symboli wielu znacznie lepszych systemów spirytystycznych. Niewykluczone, że znali je wszystkie. Ostatnie stwierdzenie zwróciło uwagę księdza.

- Chcesz powiedzieć, że autorzy tych malunków zwiedzili cały świat, a potem dotarli tutaj? Gaby parsknęła śmiechem.

- Otóż to! Objechali cały świat, a potem utknęli na tym zadupiu, żeby sobie trochę pomalować? Dla mnie bomba! Ich pytania Loacha nie zakłopotaly.

- Istnieje coś jeszcze bardziej zdumiewającego - odrzekł. - Będąc w jaskini, wziąłem próbki farby. Zniosłem je do chemika. Zbadał je i stwierdził, że zawarty w nich pigment jest starszy niż jakikolwiek materiał porównawczy znaleziony w Iraku, Persji czy w Egipcie.

- Popatrzył po ich twarzach. - Niewykluczone, że ta farba pochodzi sprzed dziesiątków tysięcy lat.

Szakał zaczął nagle kaszleć i prychać. Jocelyn poklepała go po plecach. - Dać ci wody? - spytała. Szakał zapanował nad niespodziewanym atakiem.

- Nie, nic mi nie jest. Ale chyba przejdę do szoferki, żeby łyknąć parę haustów świeżego powietrza. Jak dla mnie, trochę tu za duszno.

Wstał i wyszedł z kabiny. Oczy wszystkich pasażerów spoczęły na Loachu. Odsunął stojak z trociczką i usiadł za stołem. Komiczny atak kaszlu Szakala nie zbił go z pantałyku. Przeciwnie, Jocelyn zauważyła, że przydał głosowi Loacha autentyczności. Pomyślała: kto wie, może odstawiają ten numer już od lat, od dzieciństwa - Loach przemawia w tym swoim afektowanym stylu, a Szakał gdzieś w kącie chrząka i prycha. Jak Sancho Pansa ukryty za plecami Don Kichota.

Jak tylko Szakał zamknął za sobą drzwiczki, ojciec Paul wrócił do tematu.

- Charles, ale jak to możliwe? Na Boga, symbole najstarszych religii w Nowym Świecie? Nie przerabialiśmy tego na żadnym seminarium.

- Niestety, ojcze. Studia religioznawcze organizowane przez Kościół katolicki nie są zbyt... że tak powiem, urozmaicone. Watykan zabrania wygłaszania poglądów okultystycznych albo określanych mianem herezji, które dzisiaj uznajemy za dziedziny nauki. Jak wicie, studiowałem owe nauki i...

- Do rzeczy, Loach - warknął Rodney. - Wiemy, że masz doktorat z teozofii. W co właściwie gramy? O jaką stawkę? Ile można wygrać?

- Do rzeczy, panie Makai? Bardzo dobrze. Pozwoli pan, że zadam mu pytanie. Czy słyszał pan kiedyś o archiwum Akashy?

- Nigdy w życiu. To znowu jakaś... Loach nie pozwolił mu dokończyć.

- Legenda mówi, że gdzieś we wszechświecie istnieje wielka biblioteka, w której zgromadzono archiwa wszystkich zdarzeń, jakie miały miejsce w czasie jako takim. To coś w rodzaju kroniki opisującej dzieje od najzamierchlejszej przeszłości do odległej, bardzo odległej przyszłości.

- Chce pan powiedzieć, że jakiś Siuks czy Indianin z plemienia Cherokeezów zdobył to archiwum i przytargał je do tej pańskiej jaskini? Bzdety. Loach zachichotał.

- Nie, niezupełnie to miałem na myśli. To archiwum nie ma postaci materialnej, panie Makai. Może jest w niebie? Może przechowują je stare, mądre anioły z wielkimi księgami, ubrane w długie powiewne szaty? Może okrywa je tajemnica naszych własnych komórek mózgowych? Ale wiemy, że istnieje, bo wskazują na to całe stulecia badań naukowych, bo w ich trakcie natrafiliśmy na niezliczone dowody. Katalogi zawierające różne, a jednak podobne dane spirytystyczne, artystyczne i naukowe, katalogi rozrzucone po całym świecie, pochodzące z różnych okresów. To główne archiwum istnieje i ci nieliczni, którzy umieją wprowadzić się w stan wyższej świadomości, potrafią do niego dotrzeć. A ja? Chociaż dzięki wieloletnim studiom wzbogaciłem intuicję i wyostrzyłem zdolność samoobserwacji, nie zdołałem tych sfer przeniknąć. Ale raz poczułem ich bliskość. W tej jaskini, stojąc przed malowidłami, poczułem, że przenoszę się w... w inny wymiar. To było tak, jakbym...

Zmarszczył brwi, złościąc w powietrzu kształt myśli. Wszyscy patrzyli zafascynowani.

- ... jakby jaskinia nie zawierała wiedzy jako takiej, jakby nie była zwierciadłem przeszłości, kroniką zaginionych cywilizacji. I wtedy zrozumiałem, że te malowidła nie są wiedzą, tylko drogą do inicjacji. Pewien irlandzki poeta, Yeats, ma teorię dotyczącą symboli: kiedy ogląda się je w odpowiedniej scenerii, mogą służyć jako klucz do ukrytych części ludzkiego umysłu, do uniwersalnego stanu świadomości, do samego Boga! Moja teoria głosi, że wiele tysięcy lat temu ta jaskinia gościła starożytnych mistrzów. Mistrzowie ci posiadli tak wielką moc postrzegania przeszłości i przyszłości, że byli w stanie prześledzić cały rozwój gatunku ludzkiego. To tłumaczyłoby fakt, że malowidła pochodzą z tak różnych czasów i zawierają symbole tak sprzecznych z sobą wierzeń. Zostawili te znaki nam, byśmy mogli rozewrzeć drzwi umysłów i wypełnić nasze duchowe przeznaczenie: odkryć, dokąd zmierzamy. Być może nawet zyskać kontrolę nad losem, który nas tam pcha.

Teraz już rozumiecie, dlaczego rzeczą tak ważną jest, żeby te potężne moce nie wpadły w ręce złych ludzi. Teraz już rozumiecie, dlaczego musiałem... - Zająknął się, spuścił wzrok. - Dlaczego musiałem zrobić to, co zrobiłem.

Wszyscy milczeli. Nagle Jocelyn uświadomiła sobie ze zdumieniem, że ten potok słów otępił jej umysł. Że znów dała się zagadać, że oto znów dała się w to wciągnąć, jak pozostali.

- Przepraszam. - Loach wstał szybko od stolika. Musicie mi wybaczyć. Nie przywykłem do tak długich wypowiedzi.

Ruszył bez słowa w stronę drzwiczek i zniknął tam, skąd przyszedł. Jocelyn pomyślała, że sprawiał wrażenie człowieka prawdziwie wstrząśniętego. Ale natychmiast przypomniała sobie, że pozory mylą.

Reszta dnia nie przyniosła żadnych istotnych wydarzeń. Gości z szoferki też już nie mieli. Kiedy transporter gwałtownie wyhamował, doktor Kain pierwsza ruszyła do wyjścia. Wielkie podwójne drzwi z tyłu maszyny rozwarły się na oścież, jedwabna zasłonka wydeła się jak balon, odsłaniając prowizoryczny sedes i zobaczyli bezbrzeżną prerię. Przed drzwiami stał już Ned ze skrzynką zastępującą schodki. Kiedy po nich schodziła, nadbiegł Szakal i podał jej rękę.

- Witamy tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, czyli nigdzie - rzucił z uśmiechem. - Czy to już... Gdzie jesteśmy? - spytała.

- Nigdzie, Jo. - Nie spuszczać z niej wzroku, przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego. - To tylko przystanek.

Za Jocelyn zeszły siostry Makai, potem Chick Rodney poruszył się niespokojnie i wstał chwiejnie ze sterty miękkich kolorowych poduszek. Gaby już nie spała. Potrząsała za ramię drzemiącego ojca Paula. Nagle Jocelyn zeszywniała. Z daleka, od strony szosy, dobiegł ją jakiś dziwny odgłos. Ktoś głośno posapywał. Posapywanie oddalało się jednostajnym rytmem: Hu! hu! ha! Hu! hu! ha! - Co to? - To tylko Juke. - Brzmi jak jakiś szyfr - skonstatowała.

- Pewnie gada morsem do księżycy - powiedziała Gaby.

Rzeczywiście, chociaż do zachodu słońca było jeszcze daleko, wstał już jasny księżyc w trzeciej kwadrze.

Otworzyły się boczne drzwi i z szoferki wysiadł doktor Loach.

- Tu rozbijemy obóz - oznajmił. - Wszyscy musimy trochę odpocząć. Rozległ się chóralny okrzyk aprobaty. - Chwała Bogu - mruknęła Gaby. - Nie pora! Nie pora! - dodała papuga.

Chłodne powietrze omywające twarz Jocelyn tak ją oszołomiło, że poczuła się słabo. Zamknęła oczy i wsparta o burtę transportera, z wolna dochodziła do siebie. Z brzucha maszyny wysiadali pozostali członkowie wyprawy. Przeciągali się i potykali.

- Słońce zaraz zajdzie - skostatował Rodney. - Chyba stanął mi zegarek.

Kiedy puls wrócił do normy, Jocelyn mogła wreszcie zebrać myśli. Wszyscy poruszali się żwawo, jakby chcieli zrekompensować sobie godziny zamknięcia w stalowym pudle. Ned biegał to tu, to tam i zbierał z ziemi wszystko, co nadawało się do rozpalenia ogniska. Doktor Loach i Szakal zdejmowali z dachu transportera sprzęt niezbędny do rozbicia obozu. Siostry Makai rozkładały koce i rozpakowywały prowiant. Jocelyn odeszła na bok, stanęła i obracając się wolno, uważnie obserwowała horyzont.

- I co tam widzisz? - spytał Szakal. - Rozpoznajesz coś charakterystycznego?

- Nie - odrzekła. - Możemy być wszędzie. Otwarta preria, bezchmurne niebo, księżyc i gwiazdy.

- Polaris - powiedział wskazując gwiazdę grubym paluchem. Przeszedł ją dreszcz. - Tak, Gwiazda Północna. Zawsze ją widać.

- Muszę pomóc Nedowi przy ognisku. Przynieść ci coś? Wygląda na to, że kielich czegoś mocniejszego dobrze ci zrobi.

Wziął ją za łokieć i poprowadził w stronę kręgu twarzy skupionych wokół potrzaskującego ognia. Siostry przesunęły się odrobinę, żeby zrobić jej miejsce. Mona podała Jocelyn paczkę solanek. - Hors d'oeuvres - szepnęła.

Jo wzięła herbatniki i podziękowała. Wbrew sobie czuła, że tworzy się między nimi rodzinna więź. Jadła spoglądając w ciemniejące niebo. Gwiazda Północna. Wciąż świeciła, dodawała otuchy. Jocelyn westchnęła i wyciągnęła nogi w kierunku ogniska.

Nadeszli doktor Loach i Ned. Rozmawiali i śmiali się z czegoś.

- Na kawę trzeba jeszcze trochę poczekać - oznajmił Szakal. - Potem będzie kolacja. Jocelyn podała herbatniki Loachowi, Loach Nedowi.

- Proszę siadać, panie doktorze - powiedziała. Wszyscy ścieśnili się, żeby zrobić miejsce.

Wbrew temu, czego się można było spodziewać, pasażerowie transportera nie sprawiali wrażenia połamanych czy zeszywniałych. Godziny zamknięcia w rozchwianym stalowym cylindrze oszołomiły ich, byli wypluci. Tak samo jak Jocelyn. Kanapki z tuńczykiem, które rozdawał Szakal, już dawno zniknęły. Podróżni siedzieli w milczeniu, patrząc na coraz większy ogień. Szakal rozpakował już przybory kuchenne i właśnie

rozwijał z papieru wąski błyszczący nóż, zamocowany uprzednio na komicznie długiej rączce patelni. Nucąc wesoło pod nosem, zaczął go ostrzyć na osełce.

Wydawało się, że nawet Rodney Makai ma dobry humor. Wyszedł z transportera z czterema butelkami wina. W prawej ręce ścisnął szyjki butelek z winem czerwonym, w lewej z białym.

- Decyduj, szefie - zawołał do Szakala. - Co podamy do kolacji? Czerwone czy białe? Cabernet czy Chardonnay?

- Czerwone - odrzekł Szakal. - W samą porę, bo kolacja właśnie nadchodzi. - Wyciągnął rękę i wskazał nożem w stronę szosy i zachodzącego słońca.

Wszyscy obrócili głowy. Znowu dobiegł ich ten niesamowity posapujący odgłos. Przez porosty i szalwiec zmierzał ku nim wielki garb z posplatanych części jakiegoś zwierzęcia. Rogi dyndały, oczy błyszczały, przednie łapy obijały się bezwładnie o pierś. Skonsternowana Jocelyn gwałtownie wciągnęła powietrze. Wyglądało to tak, jakby z jej porannego koszmaru uciekł jeden z potworów, jakby zmienił się w jakieś upiorne półzwierzę. Potwór stanął tuż za kręgiem oszołomionych ludzi, rzucając na nich długi cień. I stał tak, posapując, pohukując, chwiejąc się i stękając.

- Antylopa - oznajmił z dumą Szakal. - Najlepsze mięso na świecie. Steki z młodej antylopy, wykrojone z grubszego końca polędwicy. Pycha. Panie Makai, ten młody burgund będzie jak znalazł!

Juke zrzucił antylopę na ziemię. Upadła jak wielka sflaczała kukła.

- Dobry Boże - szepnął zadziwiony ksiądz. - Skąd to pan wytrzasnął?

- Juke? Nie, to nie Juke - wyjaśnił Szakal. - To Ned. Ned wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dla mnie to pestka - wytłumaczył dostrzegając pytające spojrzenia. - Szakal mówi: "Patrz! Antylopa!", więc trochę pohalsowałem, no i babuch. Jak na wojnie. Strzał w dziesiątkę. Babuch i załatwione. - Przejechałeś ją?! - wykrztusił Rodney. Twarz Neda rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Dziee tam. Po prostu trochę ją zmiękczyłem. I zanim Jocelyn uświadomiła sobie, co robi, już klepała się po udach, już śmiała się z innymi, tak jak nie śmiała się od wieków. I coś sobie przypomniała. Przypomniała sobie starą prawdę, która przez te wszystkie lata spędzone w samotności, przez lata unikania towarzystwa głupców, gdzieś jej umknęła:

Chociaż człowieka irytują, chociaż mu dokuczają i chociaż go dławią, głupcy mogą być bardzo zabawni.

7. Polowanie na lisa i poślizg... Juke śpiewa...

Przez nagą pustynię stanu Utah żeglował biały DeSoto. W samochodzie, z jedną ręką na kierownicy, z łokciem drugiej wystawionym za okno, siedział tęgi mężczyzna w ubrudzonej koszuli. Przechylił się w lewo i wyjął z kieszeni czerwoną chusteczkę do nosa. Nie odrywając wzroku od pojazdu sunącego niecały kilometr przed nim, otarł pot z czoła i z górnej wargi.

Zmniejszył gaz. Za bardzo się do nich zbliżył. Może go już zauważyli? Może chcą go zmylić? Bo po co jechaliby prawie trzysta kilometrów na południe, potem zawracali na północ, w stronę granicy z Wyoming, a jeszcze potem skręcali na zachód, jakby kierowali się do Idaho?

Nawet jeśli go zauważyli, niczego to nie zmieniało. Powziął silne postanowienie, że jak będzie trzeba, pojedzie za tym pudłem choćby do samego piekła i z powrotem. Nie obchodziło go, czy to, co pisali w gazetach o tej mistycznej jaskini, jest prawdą czy nie. Bez względu na to, jak jest, jaskinia tworzyła szkaradną fałdę na idealnie gładkiej tkaninie filozofii jego ludu i trzeba tę fałdę rozprasować. Jeśli nie ukształtujesz historii, historia ukształtuje ciebie, a historia, którą właśnie kształtowali, dowodziła, że tylko rasa białych jest inteligentna na tyle, by pogłębić stan ludzkiej świadomości. Owszem, na przestrzeni dziejów inne rasy też zademonstrowały swoją potęgę, ale to były tylko anormalne zaburzenia. Niczym audycje nielegalnych stacji radiowych nadających z buszu, stacji, które pracowały na falach emitowanych przez samego Boga albo nawet przez jakiegoś jeszcze mroczniejszego, jeszcze bardziej obcego producenta. I chociaż nadawane przez nie wiadomości mogły być jasne i dokładne jak tabliczka mnożenia, audycja była jednym wielkim kłamstwem, już u samego źródła.

Toczyła się wojna. Potężne, ujarzmione od stuleci siły zaczynały się burzyć, chcąc pograżyć w mroku nowy wiek. Myśl, że tu, w Utah czy w Wyoming, istnieje jaskinia z arcydziełami starożytnych kultur, była czystym bluźnierstwem, nawet jeśli owe arcydzieła są autentyczne. Bo bardzo często autentyczność stoi w sprzeczności z prawdą. Weźmy choćby tego faceta, Scopesa, i te jego małe skamieliny. Czy kości kilku zdechłych małp mogą przekreślić chwałę narastającą od całych stuleci? Nie, parę kulfoniastych bazgrołów wymalowanych w skalnej dziurze nie zdyskredytuje pism Josepha Smitha. Ale takie bazgroły mogą zasiać ziarno niepokoju, to wystarczy. Dlatego trzeba je zniszczyć. Autentyczne czy nie, to skaza, którą należy usunąć.

Przypomniała mu się mowa, jaką wygłosił przed dwoma dniami do członków Zakonu Ochrony Czystości Rasowej. "Jest czas na rozważania i refleksje - mówił

wymachując zdjęciami z gazety z Reno. - Czas na planowanie i wnikliwe badania. Ale ten czas minął, moi przyjaciele. Kiedy Diabeł ucieka, kiedy grozi nam straszliwa powódź, pora na czyn. I ta pora właśnie nadeszła. Trzeba powstać i uderzyć we wrogów anioła Moroniego, mściciela Josepha Smitha. Musimy tych wrogów ścigać aż do ich legowiska, do źródła trucizny, które tam bije, i zniszczyć to źródło, zetrzeć je z powierzchni ziemi.”

Ale wróg był chytry, umiał się wyślizgiwać. W Salt Lake City omal mu nie uciekli. Tak, kiedy już uciekali, uciekali szybko, musiał to przyznać. Na szczęście samochód zostawił na parkingu dla “Vip-ów” i ruszył w pościg, nim transporter zniknął mu z oczu. Krzyknął do paru chłopaków, żeby jechali za nim, ale oni byli zbyt oszołomieni niespodziewanym manewrem transportera, by sensownie zareagować. Z trasy od czasu do czasu do nich dzwonił, ale jechał sam. Trzy razy wróg mu uciekł, tak przynajmniej początkowo myślał. Sprawdzał wtedy drogi wylotowe z miasta, pytał ludzi i zawsze odnajdywał zgubiony ślad. Trafiał bez pudła, bo nie było drugiego takiego pojazdu jak transporter Loacha.

Śledził ich aż do tej wynaturzonej nory koło Moab i spał w samochodzie, który zaparkował na chłostanym wiatrem wzgórzu, skąd mógł obserwować ich ruchy. A ostatnią noc spędził za wielkim przydrożnym plakatem reklamującym sok pomarańczowy, kilkaset metrów od ich ogniska. Kiedy pojechali dalej, on ruszył za nimi, ale w baku powoli wysychało. Wskaźnik mówił, że zbiornik jest prawie pusty. Zatankował w Green River, ale już na samym wstępie zużył jedną trzecią benzyny, żeby ich doścignąć. Nic to. Wkrótce muszą się gdzieś zatrzymać, żeby nabrać paliwa, wziąć zapas wody i prowiantu. Jak tylko się zatrzymają, szybko zadzwoni do Świętych w Salt Lake City. Chłopcy go dopędzą, w Parkeville albo w Buffalo Wash. Kiedy będzie ich siła, powstrzymają herezję, jaką te diabły chcą rozpętać. Raz na zawsze.

O ile diabły w ogóle potrzebują paliwa!

Ned Blue prowadził jak w transie. Siedział za kierownicą i spoglądał przez równinę na szare góry przed nimi. Obok niego siedział Szakał, wspierając się plecami o przepierzenie dzielące szoferkę od kabiny pasażerskiej. Obok Szakała - Loach z głową zwróconą w stronę bocznego okienka. Ręce złożył na kolanach i nie odzywał się od ponad godziny. Nedowi to nie przeszkadzało. Chociaż doktor nie patrzył przed siebie, znał tu każde skrzyżowanie, każdy zakręt i w odpowiednim momencie wydawał polecenia.

Kiedy transporter zaczął piąć się po długim podejździe u podnóża gór, Ned usłyszał lekką zmianę w pracy silnika. Zerknął we wsteczne lusterko. Tak, znów ten biały wóz. Wrócił. Ned myślał, że facet za kierownicą dał za wygraną, bo nie widział samochodu od

dwóch godzin. To chyba nowiuiteńki DeSoto. Kogo dzisiaj stać na nowy luksusowy samochód?

Kogoś, kto może poświęcić kilka dni na śledzenie bandy zwariowanych poszukiwaczy przygód i czarnego kierowcy, dumiał. Kogoś niebezpiecznego.

Niebo przed nimi było błękitne i czyste, ale od południowego zachodu nadciągały zwaliste czarne chmury, jakby zwabione tu przez ten biały samochód. Przy odrobinie szczęścia mogli tych facetów zgubić, ale jak zgubić złą pogodę? Od burzy uciec nie tak łatwo, zwłaszcza o tej porze roku.

Znów zerknął we wsteczne lusterko. Czarna szosa wiała się po lśniącej niczym szkło ziemi jak długachny wąż, a u góry lusterka, tam, gdzie powinien widnieć gadzi łeb, jechał biały DeSoto.

Ujrzawszy przed sobą skrzyżowanie, Ned trochę zwolnił. Przy drodze stała tablica z napisem "Parkeville" 807km. Popatrzył na Loacha.

- W prawo, Ned - powiedział doktor nie otwierając oczu.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome, warkot silnika coraz głośniejszy. Szosa pełzła w górę licznymi zakolami i meandrami. Transporter przechylał się i pojękiwał. - Wytrzyma? - spytał Loach.

- Nic jej nie będzie, szefie - odrzekł Ned. - Z taką maszyną nie ma kłopotów. Niech mi pan wierzy.

Na szczycie skalistej grani Ned znów spojrzął w lusterko. DeSoto pokonywał meandry podjazdu, a za nim pełzły przez pustkowie całe kilometry asfaltowego węża. - Ned - powiedział nagle Loach - dodaj gazu. - Słucham? - spytał zdumiony kierowca.

- Przyspiesz - powtórzył Loach i tym razem w jego głosie zabrzmiała ostra nutka wojskowego rozkazu. Odszkodzimy od niego. Ned uśmiechnął się. - Też go pan obserwuje?

- Od Smithville. Szakal, obudź się. Szakal wciągnął głęboko powietrze. - Już nie śpię, Charlie. Co się dzieje?

- Właśnie zamierzamy wykołować naszego pana Boyle'a. Szybciej, Ned. O ile mnie pamięć nie myli, jakieś półtora kilometra stąd przy drodze powinna stać taka wielka tablica. "Zapłatą za grzech jest śmierć." Zaparkuj za nią. Niech psy pędzą dalej. - Psami się nie martwię, szefie - odrzekł Murzyn. - Ale po chmurach widać, że przed zmrokiem dopadnie nas tęgi szkwał.

- Wszystko w swoim czasie, Ned. Teraz rozprawimy się z panem Boyle'em. Przygotujcie się. Został w tyle...

Ned zdał sobie sprawę, że doktor cały czas wbija wzrok w odchyloną szybkę okna, która spełniała rolę bocznego lusterka. Tak jest, to jak prawdziwe polowanie na lisa! Zobaczmy więc, jak ten wielki lis sobie poradzi.

Skręcił. Transporter przetoczył się z warkotem przez porośnięty zielskim wał i rozrzucając po drodze skalne odłamki i żwir, zmierzał w stronę rogu olbrzymiej, rozchwianej tablicy reklamowej. W ostatniej chwili obrócił się niemal w miejscu i wbił pyskiem w kłęb wędrujących chwastów, które się za nią zabarykadowały. Ned wyłączył silnik, maszyna zadrżała i osiadła na suchym zielsku jak w gnieździe. Ciszę zakłócały tylko wściekle wrzaski zza małych drzwiczek w przepierzeniu - to pasażerowie domagali się wyjaśnień. Wkrótce przez szpary w tablicy reklamowej mignął im biały DeSoto. Minął ich i popędził dalej. Bracia uśmiechnęli się do siebie. Pasażerowie protestowali coraz głośniej. Ned siedział nieruchomo, czekając na dalsze rozkazy. - Za nim, Ned - warknął nagle Loach.

- Słucham? - Ned znów nie zrozumiał, o co szefowi chodzi.

- Usiądź mu na ogonie, na tym jego tłustym tyłku. Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

- Oto prawdziwy duch walki! - wykrzyknął Szakal klasnąwszy w dłonie. - Nareszcie gadasz do rzeczy, Charlie!

Ned uruchomił silnik. Transporter przekopał się przez skłębione zielsko, zjechał z wału, podskoczył przy wjeździe na szosę i zaczął nabierać szybkości. Kiedy dotarli na szczyt wzgórza, zobaczyli, że DeSoto przyspiesza i pędzi z rykiem przed siebie. Ned parsknął śmiechem.

- Ha! Ha! Pies myśli, że lis jest wciąż przed nim, że wciąż ucieka! - Ciekawe, czy się połapie - mruknął Loach.

- Po mojemu nie - odrzekł rozczarowany Szakal. Chyba będzie tak gnał aż do Kanady. Tak, to by było na tyle.

Samochód zniknął już za zakrętem. Myśleli, że na dobre, ale kilometr dalej ujrzeli go znowu. Stał na poboczu, z podniesioną maską. Spod maski wystawał potężny zad i nogi Boyle'a. Wyglądało to tak, jakby wóz go pożerał.

- Chwycił go aż po tyłek - powiedział Ned. - Zje go i rozbolą go cylindry.

- Zwolnij - rozkazał Loach. - Zjedź na pobocze i zaparkuj za nim.

Ned wcisnął hamulec i transporter znieruchomiał tuż za samochodem mormona. Nie zwracając uwagi na łomotanie dobiegające z kabiny, Ned, Loach i Szakal wysiedli z szoferki.

Kiedy ruszyli w stronę DeSoto, Boyle wychynął spod maski, wyprostował się i spojrzał na nich. W ogóle nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Uśmiechnął się, jakby ich oczekiwał, i pomachał ręką, w której ścisnął długi, dość paskudny śrubokręt. Z wnętrza transportera dochodziły stłumione krzyki, siedzący na dachu Juke wystawił głowę; sinawy człowieczek był w meloniku, który przytrzymało związane pod brodą sznurowadło. Pierwszy odezwał się Loach:

- Co za miła niespodzianka, panie Boyle. Nie miałem okazji podziękować panu za wspaniałą wycieczkę po tabernakulum.

Nie przestając się uśmiechać, Boyle uderzył śrubokrętem w otwartą dłoń. - Tak, o ile pamiętam, dość szybko uciekliście.

- Powiedzmy, że dość szybko odjechaliśmy - mówił dalej Loach. - Czyżby miał pan jakieś kłopoty? I to tutaj, na tym pustkowiu?

- Nie jestem pewien, panie doktorze. Silnik się trochę przegrzewa. - To pewnie pompa wodna - diagnozował Szakal. - Czasami nie wytrzymuje gwałtownych przyspieszeń.

- Albo przewód paliwowy - sugerował Ned. - Jak silnik jest rozgrzany szybką jazdą na szczyt wzgórza, nie wolno się bez powodu zatrzymywać, bo opary benzyny zablokują przewód paliwowy. Czy miał pan jakiś powód, żeby tak pędzić? Żeby zatrzymywać się na tym wzgórzu, panie Boyle? Boyle przyglądał mu się w milczeniu, a potem odrzekł:

- Niczego nie robię bez powodu, Jim. - Ponad ich ramionami popatrzył w stronę transportera. Zza rozgrzanych słońcem płyt maszyny wciąż dochodziło stłumione łomotanie. - Wygląda na to, że pańska trzódka trochę się w tym pudle niecierpliwi, Loach. Wrzeszczą i tłuką się tam jak potępieńcy. - Boyle, pogadajmy otwarcie - zaproponował Loach. - Mam dla pana propozycję. Wszystko wskazuje na to, że z jakichś powodów interesuje się pan naszą wyprawą. Wsiadł panu samochód, więc nie może pan już...

- Czyżby? - przerwał mu grubas, błyskając złotym zębem. - Skąd pan wie, że już nie mogę? Loach zignorował tę uwagę.

- ...jechać dalej. Nie możemy zostawić pana na tym pustkowiu. Dlatego zapraszam na pokład. - Na pokład tej łodzi podwodnej pełzającej po ziemi?

- Tak. Zamiast za nami jechać, niech się pan do nas przyłączy. Chce pan zobaczyć moją jaskinię, to oczywiście. I całkiem zrozumiałe. Ta grota może zawierać tajemnice niezwykle interesujące dla wyznawców pańskiej wiary. Niech pan z nami jedzie, niech pan przyłączy się do wyprawy i odkryje prawdę. Na twarzy Boyle'a malowało się rozbawienie.

- Prawdę, Loach? Prawdę odkrywam tutaj, na bożym świecie. - Postukał śrubokrętem w tylne okno samochodu, za którym leżała czarna książeczka. - "Bowiem

udowodnię im - zacytował grzmiącym głosem - że moja mądrość pokona występne knowania Szatana." Oto prawda Johna Smitha.

- Tak czy inaczej, podtrzymuję propozycję - odrzekł Loach. - Zaoszczędzi pan trochę pieniędzy na benzynie. I na telefonach - dodał.

- Właśnie, Boyle - wtrącił Szakal. - Chce pan dalej grzebać w silniku, czy przyłączy się pan do naszej rozwrzeszczanej trzódki?

Boyle powiódł wzrokiem po ich twarzach, potem wrzucił śrubokręt do bagażnika i zatrzasnął maskę.

- Jadę z wami - oznajmił. - I bardzo wam dziękuję. Tylko wezmę swoje rzeczy...

Przez tylne okno sięgnął po tobolek. Loach położył rękę na jego grubym pomarszczonym przedramieniu.

- W transporterze mamy wszystko, czego nam potrzeba, panie Boyle. Jesteśmy w pełni wyposażeni. Mamy nawet podwójne śpiwory...

Mormon spojrział na rękę Loacha.

- W takim razie wezmę tylko marynarkę - powiedział w końcu. Loach nie zabrał ręki.

- Za pozwoleniem, panie Boyle, my ją weźmiemy. Ned, weź marynarkę naszego gościa.

Murzyn wsunął rękę do kabiny, z przedniego siedzenia wziął wygniecioną marynarkę Boyle'a i zaczął obmacywać kieszenie. - Co to? - spytał wyjmując trzy metalowe tubki.

- Corona Coronas - odparł dumnie Boyle. - Kubańskie, najprzedniejszego gatunku. - Nie wiedziałem, że mormoni palą - rzucił Szakal.

- Bo nie palimy. Ale uważamy, że opieranie się pokusie czyhającej w zasięgu ręki wzmacnia charakter.

- To fakt - oznajmił Ned sprawdzając wewnętrzną kieszeń marynarki. - Jest jeszcze coś. - Wyciągnął z niej maleńką srebrzystą piersiówkę. Mormon wzruszył ramionami.

- Tutaj jest pełno węży - wyjaśnił. Wziął piersiówkę i pociągnął łyceczek. - Zawsze jestem przygotowany na każdą okoliczność. Jak skaut.

- Zaczynam to doceniać, panie Boyle - powiedział Loach. - A teraz ruszajmy, zanim pojawią się tu inni skauci.

Esportowali go do drzwi transportera. Loach szedł z lewej strony, Szakal z prawej, Ned z tyłu.

Loach otworzył podwójne drzwi. Pasażerowie walący pięściami w przepierzenie oddzielające kabinę od szoferki odwrócili się i dopadli wyjścia. Wszyscy mówili naraz. Teozof uciszył ich podniesieniem ręki. - Pamiętacie państwo pana Boyle'a z Salt Lake City? - spytał. - Postanowił zaszczyścić nas swoim towarzystwem i zostanie z nami do końca wyprawy. Jestem przekonany, że zrobicie wszystko, by poczuł się tu jak w domu.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, Loach, Szakal i Ned wepchnęli mormona do kabiny i już zamykali drzwi.

- Dokonalibyśmy bardziej oficjalnej prezentacji, ale trochę nam spieszno - rzucił Szakal do Jocelyn. - Niewykluczone, że ściga nas cały zastęp Boyle-skautów.

Drzwi się zatrzęsnęły. Mormon popatrzył z uśmiechem po zaskoczonych twarzach.

- Witam ponownie! Jest mi niezmiernie miło. Bóg mi świadkiem, że bardzo się cieszę. Ryknął silnik, transporter ożył, ruszyli. Boyle spojrzął na zamalowane iluminatory.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt - mówił chwiejąc się niebezpiecznie. - No bo któż by pomyślał. Taki ignorant jak ja w ekspresie zmierzającym do Sodomy i Gomory. - Kopnął kryształową kulę, która napatoczyła mu się pod nogi, wszedł głębiej do kabiny i rozejrzał się po wnętrzu zalanym szkarłatnym światłem. - Milutko tu. I świetny pomysł z tymi okienkami. Pewnie zamalowaliście je, żeby panie nie spiekły się na słońcu, tak? Racja, na tych szerokościach geograficznych słońce jest doprawdy paskudne. Ups! Znów te wyboje. Lepiej usiądźmy, zanim upadniemy.

Powiesił marynarkę na oparciu tapczana i runął na stertę miękkich poduszek, jak lew morski na falę.

- Nie zamierzałem się państwu narzucać, gdzieżbym śmiał, ale kiedy doktor Loach wystosował tak miłe zaproszenie... Cóż, nie mogłem przepuścić takiej okazji. W Salt Lake City nieczęsto trafiają się nam równie ekscytujące przygody. - Poklepał poduszkę leżącą obok. - Klapnij se, złotko, bo upadniesz.

- Chyba klapnę se gdzie indziej - odrzekła Gaby siadając na tapczanie naprzeciwko. - I proszę mnie tak nie nazywać. Niech mnie pan w ogóle nie nazywa.

Na niebie gromadziły się ciemne chmury. Kłębiły się i przepychały, żeby lepiej widzieć pojazd zmierzający ku nim po krętej szosie. Nieustannie rosły, a rosnąc gromadziły coraz większe zapasy lodowej amunicji. Między flankami zaczęły przemykać jaskrawe błyskawice, niczym łączniczki między oddziałami szykującymi się do boju. Pojazd był coraz bliżej. Obłoki uważnie go obserwowały.

Ned widział, że chmury ich obserwują. Słońce zniknęło za czarnym zwałem, góry pograżyły się w mroku. Kierowca wiedział, że niebo wkrótce przypuści atak. Miał nadzieję,

że zdąży przedtem pokonać przełęcz. Loach twierdził, że to już niedaleko: na szczyt wzgórza, potem zbochem w dół do skrzyżowania w kształcie litery T, a później droga będzie dużo lepsza, bez tyłu zakrętów i pętli, bez stromych skarp po obu stronach.

- A na tym skrzyżowaniu? - spytał. - Na wschód czy na zachód? Mam nadzieję, że nie na wschód. Wygląda na to, że tam szaleje prawdziwy sztorm. Loach studiował oprawioną w płótno księgę.

- Na to pytanie jeszcze nie znalazłem odpowiedzi - odrzekł ze zmarszczonym czołem. - Akurat w tym miejscu zadrżała mi ręka i pismo jest bardzo niewyraźne.

- Pewnie pisał pan to podczas burzy. - Spojrzał na Szakala. - A pan? Nie pamięta pan?

- Tu mnie masz, Ned. Wiem tylko jedno. Trzeba jak najszybciej pokonać to cholerne zbocze i skaliste siodło za nim, a potem stąd zmiatać, żeby jak najszybciej wyjechać z gór. Damy radę. Już prawie szczyt.

Ale kiedy dotarli na szczyt, stwierdzili, że chmury już tam na nich czekają, że kłębią się tuż nad ziemią w zdradliwej zasadzce. Nagle zagrzmiało. Zagrzmiało tak głośno, jakby piorun uderzył w szoferkę. Zbocze przed nimi było pokryte gradem, gradem tak wielkim jak golfowe piłeczki. Zabębniło w dach.

- Robimy postój, szefie? - wrzasnął Ned. Grad siekł jak karabin maszynowy i z trudem go usłyszeli. O Chryste, to bydlę zarzuca tyłkiem...

- Spokojnie, Ned! - odkrzyknął Loach. - Tylko nie hamuj, bo stracisz panowanie nad kierownicą!

- Zahamujesz i spadniemy prosto do piekła - dodał Szakal. - Po obu stronach szosy jest przepaść, dwieście metrów lotu w dół. Wrzuć niższy bieg, Ned! Niższy bieg i noga ze sprzęgła! Ned zdążył w ostatniej chwili.

- Tyle mogę! - wrzasnął. - Trzymajcie się! Ziuuuuu! Jak sanna w Omaha!

Szakal otworzył drzwiczki do kabiny pasażerskiej i krzyknął, żeby się trzymali. Nikt nie usłyszał ani słowa. Niebo rozpoczęło frontalny atak i odpaliło upiorną salwę. Sunęli zygzakiem w dół zbocza, a wokół szalał grad i ogłuszające wyładowania elektryczne. Jak podczas bitwy morskiej, pomyślał Ned. Detonacje, rozbłyśki wystrzałów, a tuż obok chichocze śmierć, czyhająca w głębinach za burtami. O Panie mój!

Grad siekł w dach, w maskę transportera, w burty, odbijał się od szosy i tłukł od spodu w podłogę. Mężczyźni przeklinali, kobiety krzyczały, ale choć usta miały szeroko otwarte, krzyku nie było słyhać. Ginał w szalejącej burzy, zagłuszały go grzmoty. Lodowe pociski stale zwiększały kaliber. Uderzały w szosę z taką siłą, że asfalt miejscami ustępował

i tworzyły się w nim szczeliny. Grad odbijał się rykoszetem od przedniej szyby i od zderzaków, bombardował burty transportera z taką siłą, jakby wystrzelono go z potężnych dział, ukrytych na zboczach przy drodze. Walił tak mocno, że kuloodporna szyba jednego z iluminatorów w końcu nie wytrzymała i pękła.

Ned zostawił maszynę samej sobie. Nie miał innego wyjścia, jak zaufać wiedzy i umiejętnościom inżynierów, którzy tę szosę zbudowali. Co jakiś czas niemal ocierali się o przydrożne barierki, o śmieszne, maleńkie zapory. Cóż znaczyły przy masie rozpędzonego transportera. Czasami lekko dodawał gazu, żeby utrzymać maszynę na kursie, jak łódź płynącą z falami przyływu. I wciąż sobie powtarzał, że wszystko się zaraz skończy, że ta jazda nie może trwać wiecznie, że gdzieś tam, na dole, musi być jakieś dno, że bywał już w gorszych opresjach. W końcu stwierdził, że zaraz zemdleje. Gradowe kule przeniknęły mu do czaszki i tłukły się w niej jak kamienie w blaszanej puszcze. Nie mógł tego wytrzymać. A bębnienie przybrało na sile. Atakowano ich, a ci, którzy przeprowadzali szturm, mieli rozkaz nie brać jeńców. Zmieść ich z powierzchni ziemi.

Kiedy lodowa nawałnica nieco zelżała, z kabiny pasażerskiej, poprzez jęklive zawodzenie trybów przekładni i łoskot siekącego gradu, dobiegł go jakiś odgłos. Brzmiało to jak śmiech.

Gaby też to usłyszała. Otworzyła oczy i stwierdziła, że śmieje się fotoreporter, Chick Ferrell. Zanosił się śmiechem, chichotał, jakby nie mógł przestać, jakby ten nie kontrolowany śmiech był częścią burzy i zaatakował mu głowę od środka, podczas gdy grad przypuszczał atak od zewnątrz. Kiedy na niego patrzyła, zauważyła wybitą szybkę. Dobre i to - powiedziała sobie. Nareszcie trochę świeżego powietrza. Może teraz da się tamtędy wyrzucić? Tu jest jak w bębnie oszalałego perkusisty.

Wyglądała przez iluminator pierwszy raz od chwili, gdy wyruszyli rano z Moab. Niewiele widziała. Szalejący cyklon nafaszerowany srebrzystym gradem, w oddali jakiś mroczny kształt. Krzaki? Może góry? To coś rozmywało się w zawierusze do tego stopnia, że nie odróżniała jednego od drugiego. Ktoś krzyknął. Gaby obróciła głowę. To Rodney. Zerwał się na równe nogi.

- Stać! Stójcie! - wrzasnął i runął na drzwi do szoferki. - Ten hałas! Zaraz oszaleję! Muszę wysiąść! Muszę!

W tym momencie podłoga transportera uciekła Gaby spod nóg, jak podłoga w windzie, po czym uniosła się do góry pod przerażającym kątem. Gaby musiała przytrzymać się zagłówka, żeby nie upaść na ojca Paula.

- Boże - szepnęła. - O Boże... - Spojrzała na księdza. Transporter w coś uderzył, podskoczył i cisnął nią pół metra w górę. Kiedy spadła, poczuła, że żołądek ma w gardle. I połknęła gumę do żucia. Od warkotu silnika i bębnienia siekącego gradu dzwoniło jej w uszach.

Transporterem zarzuciło. Ojciec Paul upadł na kolana Gaby i przytrzymał się ich, żeby nie spaść na podłogę zawaloną butelkami i puszkami. Między jego stopami utkwiała kryształowa kula. Nad pobojuwiskiem latała papuga. Trzepocząc skrzydłami, usiadła na lampie, po czym znów zerwała się do lotu, wrzeszcząc wniebogłosy i łopocząc skrzydłami.

Siostry Makai zapomniały na chwilę o dzielących je różnicach duchowych i obejmując się ramionami, leżały na podłodze jak mocujące się dzieci. Stolik, Budda i świece wyłądowały z tyłu kabiny, gdzie cisnął je podskakujący i chyboczący transporter.

- Zatrzymajcie się! Zatrzymajcie się! To nie okręt! Od burzy gradowej tak nie uciekniemy! - krzyknęła jedna z sióstr, przetoczywszy się na przeciwległą burtę kabiny.

Grad walił w stal jak miny z moździerzy podczas wielkiej wojny.

Po drugiej stronie przejścia między leżankami i tapczanami siedział w fotelu Chick. Kurczowo trzymał się podłokietników i szczękając zębami, próbował wyobrazić sobie nagłówki gazet z tego etapu wyprawy: "Tragiczny koniec ekspedycji Loacha! Śmierć słynnego reportera! - Wpadliśmy w poślizg! - zapiszczała Gaby. Usłyszała krzyk Neda:

- Nie utrzymam go, szefie! Droga się kończy! Gwałtowny, wywracający żołądek przechył. Transporter zsunął się z drogi, koła straciły oparcie i opadły z głośnym, zgrzytliwym chrzęstem. Z tyłu kabiny wszystko podskoczyło do góry - kufry, buty, konserwy, spizowy Budda - i spadło na podłogę. Owalny blat stolika do wrózenia zrykoszetował od ściany, grzmotnął w już i tak pękniętą szybę i utkwiał w iluminatorze. Do środka wpadła struga świeżego powietrza, a potem wszystko nagle znieruchomiało, ucichło. Transporter i burza, jednocześnie.

Błade popołudniowe światło wpadające do kabiny przez okaleczony iluminator wyłowilo z półmroku obraz zniszczenia. Jak przedtem siekący grad i burza, tak teraz ogłuszyła ich cisza. Ojciec Paul podtrzymywał prawą rękę. Spomiędzy palców sączył się strumyczek jasnoczerwonej krwi.

- Coś mnie kolnęło - powiedział w końcu.

Wszyscy na niego patrzyli, ale nikt się nie poruszył.

- Chyba papuga - dodał ksiądz. - Ale to tylko draśnięcie.

Gaby oderwała mu z koszuli pas materiału i obwiązała ranę. Ojciec Paul wykrzywił boleśnie twarz. - Mono, kochanie, gdzie jesteś? Nic ci się nie stało?

- Nie, moja droga, jestem cała i zdrowa. Leżę tutaj, pod draperią. Zza drzwiczek do szoferki wychynęła głowa Loacha. - Czy ktoś jest ranny? Chcę, żebyście się policzyli. - Z kim? - zapytała oszołomiona Mona.

- Muszę wiedzieć, czy wszyscy są cali. Gaby? Ramona, Mona? Doktor Kain?

Kobiety odpowiedziały bezładnym chórem. Loach wszedł do kabiny, przestąpił podstawę przenośnego ołtarza, kopnął poduszkę i jedwabne szarfy. - Ojczy? Makai? Ferrell? - Co się, do diabła, stało? - spytał Rodney.

- Natrafiliśmy na oblodzony fragment szosy. Nic panu nie jest?

- Chyba nadwerżyłem sobie nadgarstek - odrzekł poruszając lewą ręką. Loach ją obejrzał.

- Nie ma złamania, ale trochę spuchła. Obłożymy nadgarstek gradem.

- Nie macie tu apteczki?! Cholera, przecież to transporter do przewożenia rannych i nawet apteczki tu nie ma? - To ty go kupiłeś, Rodney - przypomniała mu Ramona. - Pewnie gdzieś jest, ale w tej chwili nie wiem gdzie - powiedział Loach. - To już wszyscy? Nie ma więcej rannych?

- Pan Boyle! - wykrzyknęła Mona. - Co się stało z panem Boyle'em?

- Boyle! - zawołał Loach. Zaczęli przeszukiwać pobojowisko na podłodze transportera. - Jesteś tu, Boyle?

- Tu jest jego but - powiedział Chick - ale nie ma w nim stopy.

- Boyle? - Loach przekopywał się przez wielką stertę stłamszonych poduszek i stos bagażu. Odpowiedział mu stłumiony jęk. - Tu jest. Pomóż mi, Szakał...

Teozof odsłonił głowę mormona. Boyle wyglądał jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

- Trochę sflaczał - stwierdziła Gaby. - Może pękł? Jak piłka, kiedy zwali się na nią cała zgraja futbolistów.

Loach rozluźnił Boyle'owi kołnierzyk i nachylił się nad nim. - Nie, jeszcze oddycha.

- Oddycha? - spytała Gaby. - Chyba raczej uchodzi z niego powietrze.

- Trzeba sprawdzić, czy nie ma urazów kręgosłupa - wtrąciła doktor Kain. - Jeśli ma, nie wolno go ruszać. Moglibyśmy zrobić mu jeszcze większą krzywdę.

- Nie, myślę, że po prostu stracił przytomność - odrzekł Loach i znów pochylił się nad mormonem. - Boyle, słyszysz mnie?

- No pewnie, że słyszę - odpowiedział grubas. Wrzeszczysz mi pan w ucho.

Boyle chciał wstać. W tej samej chwili transporter przechylił się do przodu i zatrzeszczał.

- Wszyscy wysiadać - rozkazał Loach. - Chick, pomóż nam podnieść Boyle'a. - Dajcie mu kielicha - zaproponował ojciec Paul.

- Dobry pomysł - stwierdził Rodney sięgając po piersiówkę.

- Cholernie dobry pomysł - zgodziła się Gaby. - Puście ją dookoła. Niech każdy sobie golnie. - Znalazła swoją cygarniczkę i poczuła, że wraca jej odwaga.

- Wysiadać! - powtórzył Loach. - Transporter się przechyla!

Ale przód maszyny osiadł i transporter znieruchomiał. Jego tył sterczał w górze. Drzwi były otwarte, ale tamtędy wyjść nie mogli, bo skacząc skręciliby sobie kark. Musieli wysiadać przez szoferkę. Jak tylko wszyscy znaleźli się na zewnątrz, transporter znów niebezpiecznie zatrzeszczał i wyprostował się ciężko. Wał usypany za poboczem drogi podpierał go dokładnie pośrodku i maszyna balansowała na nim jak dziecięca huśtawka: ani przednie, ani tylne koła nie dotykały ziemi. Pasażerowie znieruchomieli. Stali pośród topniejącego gradu i patrzyli, jak maska pojazdu wędruje to w górę, to w dół.

- Jezu, ale burdel - stwierdził Rodney. - Założę się, że Ferrell zostawił w kabinie cały sprzęt.

- Nie myślałem, że... - zaczął Chick, ale Makai mu przerwał.

- Fotoreporter, cholera. Zrobiłbym lepiej wynajmując rysownika.

- Spójrzcie na to wszystko - powiedział Szakal. - Hej! Niech ktoś sprawdzi dach. Tam jest Juke. Ciekawe, jak to zniósł. - Ja pójdę. - Ned ruszył do drabinki na burcie.

- Ostrożnie! - zawołał Szakal. - Obciążysz jedną stronę i to bydlę się przechyli.

- Zanim dokądkolwiek pójdziemy, musimy go ustawić na tylnych kołach - powiedział Boyle. - Potrzebny jakiś drąg. - Rozejrzał się podkasując rękawy na mięsistych przedramionach. - Będziemy musieli mocno naprzeć, wszyscy...

- Ned! - krzyknął Szakal. - Ściągnij tu Juke'a. Spróbujemy postawić transporter na tylnych kołach, żebyś mógł stąd wyjechać.

- Chwileczkę! - odkrzyknął kierowca. Buszował po tylnej części dachu, gdzie zamontowano bagażnik. - Nie ma go tu!

- Na pewno? - Loach wdrapał się na skarpę i pospieszył do otwartych na oścież drzwi, nad którymi stał Ned.

- Na pewno, szefie. Wygląda na to, że zerwało cały bagażnik. Szakal wszedł po drabince na dach.

- Zgadza się! - krzyknął - Juke'a nie ma. - Osłonił ręką oczy i spojrzał na wstęgę szosy pokrytej topniejącym lodem. - Chryste. To się mogło zdarzyć wszędzie, w każdym

punkcie tego piekielnego zbocza, od szczytu do podnóża. - Ruszył z powrotem do drabinki. - No to jazda. Musimy... Nie, zaczekajcie! Spójrzcie! Tam! - Wyciągnął rękę.

Popatrzyli w stronę zrytej koleinami skarpy. Na dole, przed transporterem, rósł gęsty osikowy zagajnik. Jedno z drzew było pochylone tak mocno, że niemal dotykało pokrytej gradem ziemi. Gałęzie przy wierzchołku były splątane i obciążone jakąś szarą bezkształtną masą. To coś wisiało między pożółkłymi liśćmi niczym olbrzymie gniazdo dzikich pszczół. - Na moje gwiazdy! - wykrzyknęła Mona.

- Twoje gwiazdy! - prychnęła Ramona. - Te twoje gwiazdy nigdy niczego nie przewidziały. A zwłaszcza czegoś takiego.

Szakal i Ned zeszli z dachu transportera i pospieszyli za resztą w dół zbocza. Teraz wszystko było jasne. Kiedy przód maszyny opadł, tył powędrował do góry i Juke wystrzelił w powietrze niczym akrobata z odskoczni. Wciąż tkwił w swoim brudnym śpiworze, a śpiwór w pokrowcu koloru khaki. Zwisające z pokrowca sznurki musiały się zaczepić o wierzchołek pierwszego napotkanego w locie drzewa, skutkiem czego obciążona tak wielką masą osika pochyliła się prawie do ziemi. Śpiwór zwiślał z niej, ciężki i nieruchomy.

- Pomóżcie mi - wysapał Loach. W takich sytuacjach działał niezwykle szybko; dopadł śpiwora przed innymi, ale nie mógł go dźwignąć, rozplątując jednocześnie linki. Pierwszy stanął przy nim ojciec Paul. - Żyje? - spytał załamując rękę. - Skąd mam, do diabła, wiedzieć? - warknął Loach. - Nawet nie wiem, z której strony jest głowa. Niech ksiądz tu chwyci i podniesie...

Nadbiegł Szakal. Ciężko dysząc, bez słowa odpiął nóż i rozpruł górną część śpiwora. Z wnętrza wysypała się lawina przeróżnych przedmiotów. Były tam konserwy wojskowe, manierka, cała kolekcja glinianych kubków... Wszystko tylko nie Juke.

- Tnij na dole - rozkazał Loach. - Może się tam udusić. Zanim Szakal zdążył rozciąć dolną część pokrowca, ze śpiwora wypadł kornet. Wypadł i zadzwonił cicho na gradowych kulkach. To zmniejszyło balast na tyle, że osika wyprostowała się nieco, jeszcze bardziej rozpruwając śpiwór. Z wnętrza wysunął się Juke, głową naprzód. Na szczęście sznurowadło nie puściło i wciąż był w meloniku, który zamortyzował uderzenie jak hełm. Odciążone drzewo natychmiast się wyprostowało. Na wierzchołku smętnie powiewał pusty śpiwór, niczym flaga pułku żebraków.

Doktor Kain ześlizgnęła się po warstwie gradu i dotknęła szyi Juke'a. Skórę miał lodowatą, twarz bardziej siną niż zwykle.

- Puls jest wyraźny - stwierdziła. - Połóżmy go pod drzewem. Tam nie ma gradu. - Czy nic mu nie jest? - spytały chórem siostry Makai.

- Żyje, ale nie umiem powiedzieć, czy ma całe kości. Będę musiała...

Nagle znieruchomiała. Wszyscy znieruchomieli. Bo oto Juke drgnął, poruszył się, poruszył się tak jakoś dziwnie. Przekręcił się na bok, dźwignął na kolana i zaczął wstawać - wolno, jak mechaniczna kukła z zardzewiałymi nogami. Powieki mu zatrzepotały, ale oczu nie otworzył. Kiedy się wreszcie wyprostował, szeroko rozłożył ramiona, jak aktor witający zgromadzoną publiczność. W nagłej ciszy zabrzmiał daleki grzmot burzy. Niczym aplauz z teatralnych balkonów. Wszyscy stali i patrzyli na małego człowieczka. I naraz usłyszeli cichutki, stłumiony dźwięk, dźwięk, który musieli uznać za głos, choć twarz Juke'a ani drgnęła. Głos na wół recytował, na wół śpiewał: Dawno temu Milion lat przed naszą erą Wszystko, co w życiu najlepsze

Mogłeś dostać za chęć szczerą...

Pasażerowie transportera stali jak zahipnotyzowani, nawet Boyle. Bo Juke dawał naprawdę niesamowite przedstawienie. Jego sine usta ani drgnęły. Zdawało się, że słowa dochodzą z jakiegoś miejsca poniżej gardła, słowa mechaniczne, chrapliwe i trzeszczące, jakby w jego piersi obracała się czarna płyta pod maleńką igłą. Lecz nikt nie doceniał Nieba zawsze niebieskiego Nikt nie szanował Księżyca co dzień nowego.

Liście osiki przestały drzeć. Zaległa głęboka cisza, od horyzonu po horyzont. A w tej ciszy słyhać było tylko cichutkie bezdźwięczne słowa: Dlatego postanowiono: Nie, chęci szczerzej nie dość Jeśli pragniesz czegoś Płać, choćby za nagą kość. Dlatego są burze Lecz odpędź strach, bo...

W końcu rozwarł zaczerwienione powieki. Ale oczy patrzyły w pustkę, w nicość, jak oczy lalki. Obrócił głowę w stronę słuchaczy. Ręce zaczęły mu podrygiwać w chropowatych, pantomimicznych gestach, wargi się poruszyły. Głos brzmiał teraz donośniej, przeszedł w piękny dźwięczny tenor, czysty jak oczyszczone przez burzę powietrze. Kiedy pada, to z nieba

Spadają złote pieniądze

Zamiast ciepłego chleba

Spadają złote pieniądze Wraz z deszczem majątek spada Na miasto całymi krociami

Więc pamiętaj, noś parasol do góry nogami A jak zbierzesz majątek Kup kwiaty i promyk słońca Pragniesz czegoś? Deszczu wyglądaj bez końca Więc jeśli w chmurach zagrmi Nie chowaj się za mnie Z nieba spadną pieniądze Dla ciebie

I dla mnie.

Szakał odezwał się pierwszy. Popatrzył na Jocelyn i poruszył znacząco brwiami.

- Teraz rozumiesz? - spytał. - Mówiłem, że to bardzo trudno opisać.

8. Siostry oczyszczają wyprawę... Loach i duchowy kompas...

Boyle obrywa w łeb...

Ześlizgujący się transporter wylądował na dnie stromego zbocza, w skalistej niecce gór uskokowych, na które wspinali się przez cały dzień. U podnóża, koło strumienia przecinającego dolinę, było skrzyżowanie. Sądząc po koleinach w ziemnym wale, transporter nie był pierwszym pojazdem, który wpadł w poślizg i zsunął się ze stromego zbocza prosto na osikowy zagajnik. A sądząc po wypalonych w trawie kręgach, rozrzuconych między zagajnikiem i strumieniem, członkowie wyprawy doktora Loacha nie byli pierwszymi, którzy tu obozowali.

Na przeciwległym brzegu strumienia, na zboczach z wapienia i drobnoziarnistego piaskowca, rosły poskręcane sosny i strzeliste, stożkowate świerki. Między nimi rosła dorodna wierzbówka, babka i ziele, które niegdyś służyło Indianom za tytoń. I drzewa, i krzewy rzucały na strumyk długie cienie.

Burza oddalała się od rozoranego oponami skrzyżowania. Ciemnoszare niebo przybrało kolor błękitno-kobaltowy. A na południowym wschodzie, nad górskimi graniami, wschodziła Wenus - szybko jak raca. Zza burzowych obłoków wychynęło słońce. Dolina wypełniła się ciepłym światłem.

Na ziemi lśnił grad - brylanty oprawione w beżową skałę. Górskie powietrze było tak suche, że gradowe kuleczki leżące koło nie zasznurowanych butów Juke'a błyskawicznie wyparowywały, dosłownie znikwały w oczach, bez najmniejszego śladu. Przed chwilą jeszcze błyszczały, chwilę później już ich nie było. Drogę na szczyt wzgórza owiewał ciepły wiatr. Roztopiał lód, szumiał w osikach i bawił się ich listkami jak tysiącami monet. Złocisty wierzch - orzeł. Srebrzysty spód - reszka.

Zahipnotyzowana występem Juke'a grupka podróżnych ożyła.

Boyle znów ruszył na poszukiwanie drąga. Znalazł grubą gałąź obdartą z kory i wepchnął ją pod przedni zderzak.

- Na wojnie musiałem to robić dzień w dzień. Dla takiego krzepkiego faceta jak ja to nic trudnego. Ale kiedy już go uniosę, trochę mi pomożecie. Trzeba go zepchnąć z wału. Jim, wskakuj za kierownicę i zapal silnik. Migiem się z tego wygrzebiemy. Więc kto mi pomoże? Szakal postąpił krok do przodu. - Ja. - Ja też - powiedział ojciec Paul. - To jest nas trzech - dodał Chick Ferrell. - My też pomożemy - odezwały się siostry Makai.

- Przestańcie bredzić - warknął stojący przy Szakalu Rodney. - Nadwerężycie te sflaczałe mięśnie i będzie kłopot. Mona Makai wsparła się rękami o biodra.

- Nie miałam na myśli mięśni - powiedziała. - Chodziło mi o siłę duchową.

Do grupki mężczyzn, których Boyle zebrał przy przednim zderzaku transportera, dołączył Loach. Rodney i Juke zostali na małej przecince i obserwowali poczynania kolegów. Ramona i Mona podeszły bliżej i stanęły twarzą do siebie. Zamknęły oczy, jednocześnie wyciągnęły przed siebie ręce z otwartymi dłońmi i zaczęły z cicha pomrukiwać. Ned wskoczył do szoferki i usiadł za kierownicą. Minę miał nietęgą.

Boyle, Szakał, ojciec Paul, Chick i Loach zajęli stanowiska przy chłodnicy. Silnik zaskoczył, Ned wychylił się przez okno i wrzasnął: - Teraz!

Boyle napał na drąg. Pozostali - na przedni zderzak. Maskę transportera podniosła się powoli, tylne koła dotknęły ziemi.

- Do kabiny, kobitki! - wystękał Boyle. - Ciężar jest teraz ważniejszy niż telekineza. Wszyscy do kabiny?

Rodney i Juke nie drgnęli z miejsca. Cztery kobiety pospieszyły do otwartych drzwi i pomagając sobie nawzajem przy wejściu na zderzak, wdrapały się do kabiny. Kiedy usiadły, Ned wrzucił ostrożnie wsteczny. - Dobra - stęknął Boyle. - Pchać!

Ned wcisnął pedał gazu. Silnik ryknął. Boyle znów napał na drąg, Szakał, ojciec Paul i Chick - na zderzak. Loach zaparł się plecami o chłodnicę i wsunął pod zderzak swoje długie palce. I pchnęli. Wielkie podwójne koła zawirowały jak szalone, plując gradem, bieżniki dotknęły jezdnii. Olbrzymia maszyna zaczęła sunąć po ziemnym wale w stronę skrzyżowania. Kiedy przednie koła podskoczyły na krawężniku i wjechały na asfalt, kobiety wydały radosny okrzyk. Z głębi pobojuwiska w kabinie zawtórował im wesoło Kronos.

Loach pchał transporter, dopóki maszyna się nie zatrzymała. Wtedy oparł się o ciemny metal i z trudem łowił oddech. Po drugiej stronie wału stał pochylony Chick. Z rękami na kolanach, ciężko dyszał. Boyle wspierał się na sosnowym drągu jak na kuli. Szakał leżał plackiem na ziemi. Patrzył w niebo, pogwizdywał i chichotał jak głupi.

U podnóża skarpy posapywał Rodney. Stał z ręką na krzyżach, jakby nadwyreżył sobie kręgosłup pomagając kolegom.

- Ten cholerny kręgosłup! - krzyknął. - Jak tylko chcę popracować fizycznie, od razu mi wysiada. Przy najmniejszym wysiłku.

Tylnymi drzwiami wypęzły z transportera Mona i Ramona. - Nic nie szkodzi, kochanie - odkrzyknęła Ramona. - Rozumiemy. Zawsze byłeś delikatnym dzieckiem.

- On? - prychnęła Mona. - Z niego zawsze był obibok i wałkoń. Kawał lenia. Palcem nigdy nie kiwnął.

Szakał ukląkł i wstał. Ned wrzucił jedynkę i powoli ruszył na wschód, do niewielkiej, zrytej koleinami zatoczki przy drodze. Tam zaparkował. Pasażerowie włączyli się między

pakunkami i rzeczami rozrzuconymi wśród drzew. Chick znalazł pudła z kliszami, Gaby zbierała paczki Chesterfieldów, które wysypały się z porozrywanych kartonów. Ramona wyrzuciła do góry rękę i krzyknęła: - Hurra! - W jej dłoni błyszczała kryształowa kula.

Loach i Jocelyn odprowadzili Juke'a do kabiny, pomogli mu wsiąść i ułożyli go wygodnie na tapczanie. Jocelyn zdjęła mu wkłęśnięty melonik i obejrzała jego siwą głowę.

- Chyba wszystko w porządku - orzekła. - Tak, nic tu nie widzę... - A w duchu dodała: oprócz małych ruchliwych mieszkańców tej zmierzwionej krainy.

Szakał oddalił się od grupy, stanął na środku skrzyżowania w kształcie litery T i rozważał trzy możliwości: na zachód, na wschód albo z powrotem. Ruszył na wschód, potem zawrócił i zacisnąwszy usta, ruszył na zachód.

Gaby przerwała na chwilę poszukiwania papierosów, spojrzała na niego i krzyknęła: - Co się stało, wujku? Zgubiłeś trop?

- Nie - odrzekł Szakał. - Zgubiłem tego przekłętego pancernika. Nie mam pojęcia, dokąd się to bydlę poturlało.

- No cóż, niech pan wraca - powiedział strapiiony ojciec Paul. - Jestem pewien, że jak uporządkujemy ten bałagan, to go znajdziemy.

- Właśnie, Szakał - zawtórował mu Loach - wracaj. Uprzątniemy skarpe i może rozbijemy obóz. Co ty na to?

- Dobra - odrzekł Szakał. Odgarnął z tyłu włosy i podrapał się w szyję. - Ale znasz mnie, Charlie. Jak coś zgubię, to mnie szlag trafia.

To stwierdzenie ożywiło Rodneya, który przyłączył się do Boyle'a, żeby pociągnąć łyk z piersiówki.

- Co? Zgubiliśmy się? Loach, do ciężkiej cholery, przecież mówiłeś, że twój brat ma węch myśliwskiego psa. Że jak raz gdzieś był, to zawsze potrafi tam wrócić. Myślę, że tego przesadziłeś...

- A wiesz, co ja myślę, Makai? - szepnął Boyle teatralnym szeptem. - Myślę, że chłopaczki zabłądzili, ot co. Zabłądzili i teraz mydlą nam oczy, żeby to ukryć.

- To prawda, Loach? - spytał Rodney. - Zgubiliście drogę?

- Niewykluczone, panie Makai - odrzekł Loach. - Ale tak czy inaczej, rozbijemy tu obóz.

Mona stanęła przy Loachu. Chciała zademonstrować, że darzy go całkowitym zaufaniem.

- Jeśli chcecie poznać moje zdanie w tej kwestii - powiedziała - to myślę, że pancernik pana Szakala niedługo się tu pokaże. Jak gwiazdy na niebie.

- Dobrze by było - stwierdził Boyle. - Wtedy nasz nawigator wiedziałby przynajmniej, gdzie jest północ.

Żeby zneutralizować jadowity sarkazm bijący z głosu grubego mormona, ojciec Paul odwrócił się nagle w stronę kobiet na skarpie i przyłożywszy dłonie do ust, zawołał:

- Rozbijamy oobóz! Oobóz! - Jak zastępowy skautów, do których tak ważna wiadomość jakimś cudem nie dotarła. - Musimy rozpalić duże ognisko. Podzielmy się na dwie grupy. Jedna będzie rozbijała obóz, druga zajmie się zbieraniem porozrzucanych rzeczy. No? Co wy na to?

- Jak na lato - odrzekła Gaby i opadła na stertę pościeli. - Ja będę w tej pierwszej.

Ramona podniosła laskę i zaczęła dźgać liście na wypadek, gdyby czyhały w nich węże. Mona przysiadła na torbie Juke'a i zbierała rzeczy leżące w zasięgu ręki: mapy, haki, młotki, karabinki, liny i namiotowe śledzie. Pakowała to wszystko do płóciennego wora. Ramona pospieszyła, żeby jej pomóc.

- Chwila! Zaczekajcie! - krzyknął Szakal. Podniósł worek, potrząsnął nim i wysypał jego zawartość na ziemię. Ostatni wytoczył się z wora pancernik. - Tuś mi, stara szelmo! Ciekawe, po co byłś Juke'owi potrzebny. Do ogrzewania nóg?

Teraz, kiedy pancernik się wreszcie znalazł, kiedy został odniesiony do transportera i oddany pod opiekę Juke'owi, Szakal był w stanie poświęcić się przygotowaniom do kolacji.

- Drewna! Dużo drewna! Za skrzyżowaniem, po lewej stronie, widziałem uschnięty cedr. Chodźcie wszyscy! Nasza przyszłość to kebab z antylopy!

Zjedli kolację, uprzątnęli statki, ale było jeszcze za wcześnie, żeby iść spać. Chociaż zapadła już noc, spokojna i pogodna, w ich uszach wciąż pobrzmiwały odgłosy burzy i gradobicia oraz zgrzytliwy hurkot towarzyszący kolizji z ziemnym wałem. Podróżni zwlekali. Siedzieli wokół ogniska na przegniłych osikowych palach, które Szakal znalazł przy nie dokończonym ogrodzeniu.

- Do spalenia się nie nadają - orzekł - za to ławeczki z nich pierwsza klasa.

Razem z ojcem Paulem zarzucili jeden z pali na ramiona - pal był sękaty, wielkości człowieka - i przynieśli go do ogniska. Loach i Ferrell przytargali drugi. - A cóż to za patyczki? - naśmiewał się z nich Boyle. - Wyglądają jak ołówki. Mój zadek jest zbyt obfity, żeby na takim czymś siadać.

Zszedł do parowu, a kiedy wrócił, niósł na ramieniu olbrzymi sosnowy kół, dwa razy większy niż ten, który służył mu za dźwignię do podniesienia transportera. Gdy go zrzucił na ziemię, buchnęła fontanna kurzu i snop iskier.

- Oto jak wygląda porządna ławka - powiedział o wiele za głośno.

Przy kolacji, w miarę upływu czasu oraz alkoholu z piersiówki, wymieszanego z winem Rodneya, Boyle stawał się coraz głośniejszy. Mrugnął do Gaby, która obserwowała go z rękami na biodrach, i klepnął dłonią w gładkie miejsce na sosnowym siedzisku, tuż koło swego potężnego zadka.

- Siadaj, złotko - powiedział odsłaniając zęby w mięsistym uśmiechu. - Nie gryzę.

- Ale ja gryzę - odparowała i usiadła na palu Szakala, obok Jocelyn. - I jeśli będzie mnie pan tak nazywał, pokażę panu, jak mocno. Mormon wybuchnął śmiechem.

- Prawdziwa lwica! - wykrzyknął i nalał sobie następną kubeczek burgunda.

- Chłonie pan wino jak gąbka, panie Boyle - stwierdziła Ramona. - Czyżby wszyscy mormoni tak pili?

- Ależ pani Makai! Nie zauważyła pani, że już dawno opuściliśmy stan Utah? - Klepnął się po udach. Z ogniska buchnęły iskry.

- Skąd pan wie, że to nie Utah? - spytał Chick wyciągając z kieszeni notatnik. - Dobrze pan zna tę okolicę?

- Nieźle, panie kolego. Spójrz pan tylko na ukształtowanie terenu. Głowę daję, że to Wyoming. Te szczyty na horyzoncie to pewnie góry Tetons. Nie wiem, gdzie wylądowaliśmy, ale tak, znam tę okolicę. I musicie wiedzieć, moi drodzy, że okolica to zdradliwa. - Nie rozumiem... - powiedział Chick.

- No pewnie, że pan nie rozumie. Dla pana topografia gór i miasta to jedno i to samo.

- Nasz pan Boyle jest w dobrym humorze - szepnął ojciec Paul do Loacha. Teozof siedział między księdzem i Nedom. Z bosymi nogami przy ogniu, był pogrążony w lekturze oprawionej w płótno księgi. - Jest zupełnie inny, niż myślałem - mówił dalej ojciec Paul. - To naprawdę zabawny człowiek. Loach tego nie skomentował, za to Ned mruknął: - Tak jest, bardzo zabawny.

- Makai, może byś pan odbił jeszcze jedną flaszkę tej diabelskiej krwi, co? Skoro już mamy tu obozować, poznajmy się lepiej, poopowiadajmy ciekawe historyjki, zaśpiewajmy coś, jak to przy ognisku. He? A Jim będzie nam akompaniował na harmonijce. Bo chyba grasz na harmonijce, Jim, co?

- Nie, proszę pana - skłamał Ned; w torbie miał prawie nowy instrument. - Przykro mi, ale nie gram.

- No to poopowiadajmy coś, coś o sobie - nalegał Boyle, spoglądając po twarzach współtowarzyszy podróży z obleśnym uśmiechem.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym nic o sobie nie opowiadać - odrzekła Ramona, cerując skarpetkę Loacha. - Pan też nie musi nic opowiadać. Mormon puścił to mimo uszu.

- Przecież mamy mnóstwo czasu, prawda? Poopowiadajmy o naszym życiu. - Spojrzał na teozofa. - No więc, Charlie? Co ty tak naprawdę w życiu zrobiłeś?

Loach go chyba nie słyszał. Obrócony bokiem do ogniska, uniósł księgę, żeby padał na nią blask ognia.

- W takim razie może ktoś inny? - upierał się mormon. - Założę się, że niektórzy z was mogą opowiedzieć coś naprawdę ciekawego.

- Zgoda, panie Boyle - powiedziała Jocelyn. - Ale zacznijmy od pana. Co pan robi? Gdzie pan pracuje? Bo nie wierzę, że jest pan tylko przewodnikiem i kiepskim detektywem.

Jej słowa zabrzmiały trochę za ostro, ale Jocelyn miała to gdzieś. Od chwili, kiedy prawie bez niczyjej pomocy dźwignął transporter i zepchnął go na drogę, ten wstrętny grubas ciągle im docinał.

- Moi? - spytał mormon zachwycony, że Jocelyn wykazała zainteresowanie jego osobą. - No cóż, robię cegły, pani doktor. Boyle'owie zawsze robili cegły. Mój brat robi cegły, mój syn też. Ojciec miał cegielnię w Cleveland, a dziadek robił cegły w starym kraju. Jak mówiłem, wyrób cegieł to specjalność mojej rodziny. I to od czasów Boyle'a Wielkiego. - Mrugnął do Jocelyn. - Wielkiego znaczy dużego. Powiadają, że brali grubego drąg, kładli go na kamieniu, do jednego końca przywiązywali byka, na drugim siadał mój pradziad i byk wędrował do góry.

- Niezłą bryczką pan jeździ, panie Boyle - zauważył Rodney. - Wyrób cegieł musi być bardzo lukratywnym zajęciem.

- Wyrób cegieł? Toż to prawdziwa mogiła. Moi znamienici przodkowie bankrutowali. Wszyscy. Im byli więksi, tym szybciej tracili wszystko, co mieli. Umierali jako żebracy, plując ceglany pyłem. Ale masz pan rację, Makai. Ten Boyle nieźle sobie poczynił. Ten Boyle ma forsy jak lodu, owszem.

Ku zdziwieniu wszystkich, następne pytanie zadał mormonowi Loach.

- W takim razie niech pan nam powie, jak to się stało, że nie podzielił pan losu przodków - rzucił nie odrywając wzroku od księgi.

Boyle posłał mu mięsisty uśmiech; nie zapomniał przy tym zademonstrować swego złotego zęba, który błysnął w ogniu jak klejnot.

- Jak? Jak to jak? Miałem wizję, Charlie. Tak samo jak ty, he? Tak jest, wielką, wspaniałą wizję. Taką, bez której w życiu ani rusz. Właściwie to nawet dwie wizje. -

Odchylił się i splótł ręce na karku. - Byłem wtedy w kompanii "C", we Francji. Stacjonowaliśmy w Pont a Mousson, w Lotaryngii, w takiej małej dziurze. Przeczesywaliśmy miasteczko. Ulica po ulicy. Straszna rzecz. Poświęciliśmy na to osiem dni, nie wspominając już o prawie osiemdziesięciu procentach stanu kompanii. Wszędzie wałały się trupy żabojadów, jankesów i szwabów. Wspaniałe życie, nie ma co. I wtedy, ósmego dnia, kiedy siedzieliśmy na gruzach i dochodziliśmy do siebie, zauważyłem cegły. Nie cegły jako takie, ale to, co je między sobą różniło. Zauważyłem, że cegły, jakich używali do budowy kościołów, są o niebo lepsze od tych, jakie znajdowałem w ruinach domów przeciętnych żabojadów. Nawet lepsze od tych, jakich używali do budowy wielkich gmachów użyteczności publicznej. Zaraz koło katedry była miejska biblioteka. To znaczy to, co z niej zostało, bo zrównali ją z ziemią, starli na proch. Cegły były zniszczone bardziej niż książki. Taniutkie cegły, ledwie wypalone. Zwróciłem też uwagę, że trupy księży wyglądają dużo lepiej niż trupy bibliotekarzy. Księża byli lepiej ubrani, lepiej odżywieni. I nagle mnie olśniło, nagle przejrzałem na oczy. I mówię sobie tak: o ile tylko uda mi się wyjść z tego cało, za Boga nie wrócę do Cleveland. Bo i po co? Żeby wdychać pył w cegielni tatusia? Harować jak wół, podczas gdy banda tych zarozumiałych przedsiębiorców budowlanych wyjeżdża co zimę na wyuczasy? I to gdzie, na Florydę, cholera! O nie, mówię sobie, nie wrócę, ten Boyle do Cleveland nie pojedzie. Ten Boyle pojedzie tam, gdzie cegły są święte, bo tak orzekł sam Bóg! - I pojechał pan do Utah - wtrąciła Jocelyn.

- Tak jest! - Obrócił się do niej. - Bystra z pani kobitka, jak na panią doktor. Tak jest, zapakowałem co się dało, resztę sprzedałem i przyjechałem do Salt Lake City. Tatuś został. Po prostu nie dał się namówić. Powiedział, że kogo jak kogo, ale świętych to on nie zniesie. Ostatnich czy pierwszych, wszystko jedno. Twierdził, że mormoni to nikt inny jak chytry synowie Abrahama, którzy mają chrapkę na kilka zoneczek. Klął i narzekał od chwili, kiedy sprzedałem dom, do chwili, kiedy zapakowałem swoją trzódkę do rodzinnego Forda. Mówił, że między mormonami nie mam najmniejszych szans, że z takiego żydowskiego cegielnika jak ja w ciągu roku zedrą ostatnią skarpetkę. Krakał, krakał i prawie wykrakał. Podczas pierwszego roku kilka razy splukaliśmy się z żoną do czysta. Tak jest, kielbasę kroiliśmy w plasterki tak cieniutkie, że aż przezroczyste. - Wyprostował się z szerokim uśmiechem. - I właśnie wtedy miałem drugą wizję, równie wspaniałą i odkrywczą, jak ta pierwsza. Jeśli nie możesz z nimi wygrać, przejdź na ich stronę. No i co na to powiesz, Charlie, mój chłopcze? Takiej wizji chyba jeszcze nie miałeś, he?

Loach zamknął księgę, wsuwając między kartki czerwono-czarną zakładkę. Wziął kij i mrużąc oczy w blasku pomarańczowych płomieni, zaczął dźgać płonące żagwie. Choć

Boyle rzucił mu jawne wyzwanie, nie podniósł wzroku, żeby stawić mormonowi czoło. Iskry szybowwały w górę i ginęły wśród osikowych liści. Za wałem szumiał i pluskał skalny strumyk. Boyle mówił dalej:

- Zostałem członkiem kościoła - wyjaśnił. - Zacząłem czytać Joe Smitha i wstąpiłem do kilku klubów. I wiecie co? Szczęście zaczęło mi sprzyjać. Za dnia pracowałem w cegielni, nocą w kościele. Wykupiłem nawet zbawienie dla Boyle'ów, którzy z tego świata odeszli; tamtej zimy tatuś opuścił Cleveland na wieki. Tak, zapłaciłem za zbawienie tych, którzy odeszli bez słowa Pana naszego, objawionego przez anioła Moroniego. Słyszeliście, że to praktykujemy? U nas to możliwe. Tak, możemy wykupić bilet do nieba dla drogich nam dusz. I niebawem, a trwało to krócej niż ta opowieść, moje przedsiębiorstwo stało się trzecią pod względem wielkości firmą w całym Utah i w Idaho. To nie byle co, zgarniałem sporo szmalu. Sześć lat temu mogłem wyjechać na zimowe wakacje. Na moje pierwsze zimowe wakacje. I pojechałem do Europy, do tego miasteczka, gdzie miałem pierwszą wizję. Firmę przekazałem synowi, wziąłem żonę, cztery córki i tyle zielonych, że odbudowali za nie i tę jezuicką katedrę, i ten drugi kościół, nie mam pojęcia jaki. Ba, zostawiłem im jeszcze tyle forsy, że odbudowali bibliotekę i kupili sobie największy księgozbiór w zachodniej Francji. - Westchnął. - No i tak. Oto historia życia człowieka, któremu się powiodło. Teraz twoja kolej, Charlie. Gdzie ty spędzałeś wakacje sześć lat temu?

- To benedyktyni - powiedział ojciec Paul. Podniósł wzrok. W jego okularach płonął ogień. - Słucham?

- To nazwa drugiego pod względem wielkości zakonu we Francji.

- Dziękuję, ojczulku - odrzekł Boyle. - Cieszę się, żeśmy to sobie wyjaśnili.

Nikt więcej się nie odezwał. Siedzieli wsłuchując się w szum strumyka i obserwowali szybujące iskry. Po chwili Boyle pokiwał paluchami u nóg, wziął głęboki oddech, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, usłyszeli głos Loacha. - Wspominał pan o złotym świcie.

Małeńkie oczka mormona rozszerzyły się. Nie takiej spodziewał się odpowiedzi.

- Złoty świt - powtórzył teozof. - Mówił pan o tym przedwczoraj, w tabernakulum, prawda? O nowym ładzie i o złotym świcie. - Możliwe. Dlaczego pan pyta? Co pan o tym wie?

- Niewiele. Tylko to, co zdołałem skompilować z kilku periodyków, które ojciec Paul dostarczał mi do więzienia. - Teraz z kolei Loach się uśmiechnął. - Moja wakacyjna biblioteka nie była tak bogata jak pańska. Naturalnie, znam prace Spare'a i Crowleya. -

Przeniósł wzrok na ojca Paula siedzącego obok. - Kiedy strażnik przyniósł mi "Magię", prosił, żebym zdradził mu tajemnicę przenikających się pierścieni. To go zawsze bardzo intrygowało.

Ojciec Paul i Jocelyn wybuchnęli śmiechem. Boyle nie uważał tego za śmieszne. - I co panu z tej kompilacji wyszło? - spytał.

- Och, tylko bardzo ogólny zarys, panie Boyle. Powiedziałbym, szkielet, na którym opiera się cała filozofia. Ale to wystarczy. Bo po szkielecie można rozpoznać zwierzę. - Czyżby? No to jakie to zwierzę, panie Loach?

- Ten sam stary smok, który czyhał za plecami rycerzy zakonu krzyżackiego. Za plecami templariuszy. Za Cagliostroami i za członkami Białego Braterstwa. O ile dobrze rozumiem, symbolem tej filozofii jest stary smok zachodniej cywilizacji.

Loach mówił głosem spokojnym, niemal pojednawczym, ale było jasne, że rzucał Boyle'owi rękawicę. Oczy wszystkich skupiły się na mormonie. Wszyscy czekali.

- A więc to smok, tak? - spytał. - Ale czym ten smok dokładnie jest?

- Chciwością i żądzą. Żądzą posiadania, władzy, nawet wiedzy. Żądza wiedzy to przecież kupiecki mistycyzm. Tak, panie Boyle, to ta sama okryta łuskami zmora, która ukrywa się pod sztandarami tradycji. A na jednym z tych sztandarów zwykle wypisuje się hasła czystości rasowej. A może źle pana zrozumiałem?

- Nie, dobrze mnie pan zrozumiał. - Boyle już się nie uśmiechał jak wielka dynia w dniu Wszystkich Świętych, już nie zaciągał jak człowiek bez wykształcenia. - Ale polemizowałbym z pańską charakterystyką.

- Spodziewałem się tego, panie Boyle - odparł Loach i zamilkł.

Przez parów przetoczył się stłumiony pomruk burzy. Jak spóźniona refleksja natury.

- Nie rozumie pan! - Mormon podniósł głos. - Nic pan nie rozumie! Nie jesteśmy rasistami! - zaprotestował. Może tradycjonalistami, tak, ale nie rasistami. Dzisiaj ludzkość żyje w mrocznych czasach, nurza się w błocie niewiedzy. Nowy ład próbuje ten mrok rozproszyć, nawiązując kontakt z mocami przeszłości, nowy ład chce ludzi oświecić. Ten kontakt jest jak linia telefoniczna między potęgą minioną a tą, która znów nastanie. Linia łącząca nas z przeszłością to nasza własna krew, doktorze Loach! I musi być czysta, rozumie pan? Kiedy rozmawia pan przez telefon, chce pan dobrze słyszeć, nie życzy pan sobie zakłóceń, prawda? Wie pan dużo o świecie duchów. Chyba nie chciałby pan rozmawiać z jakimś ważnym duchem ryzykując, że ktoś obcy założył na linii podsłuch. Tak

więc, żeby sygnał był czysty, żeby wyeliminować wszelkie zakłócenia, musimy mieć czystą krew! Loach nie odpowiedział.

Boyle pocierał dłońmi o uda, kiwał się - wpadał w coraz większą złość.

- Krew płynąca w innych, obcych liniach niesie inne sygnały. Obca krew, to obce przekazy. Mam rację, Jim? Wy macie swój świat, swoje duchy i wiecie, jak się z nimi kontaktować, tak? Robicie to za pomocą bębnów, woodoo i tak dalej. Chciałbyś, żeby mieszała się do tego banda obcych? Na pewno nie.

Skrepowany Ned wzruszył ramionami. Zaczynał żałować, że nie zagrał im na harmonijce. Boyle pochylił się do przodu. - A ty, Loach? Nie wierzysz w synów bożych? - Nie - odrzekł krótko teozof.

- Nie wierzysz w to, co mówi Biblia? Nie wierzysz w wybrany naród? W naród wybrany przez Boga?

- Niezupełnie - odrzekł Loach; nie patrząc na twarz mormona gorejącą po drugiej stronie ogniska. - No to w co, do diabła, wierzysz? Tym razem teozof odpowiedział bez chwili namysłu: - W pokera.

- W pokera?! - Boyle podciągnął nogi, jakby zamierzał wstać. Wciąż się uśmiechał, ale na jego szerokim pomarańczowym czole wykwitły zmarszczki głębokiego zawodu. - W karty?! - W pokera - powtórzył Loach. - Nie rozumiem.

- W zwyczajnego pokera, panie Boyle. W starą amerykańską pięciokartową grę. Bo w pokerze wszystkich obowiązują te same reguły. Bo trójka jest mocniejsza od pary, ful od strita, a joker zastępuje asy w stricie i dowolną kartę w kolorze. Tak, wierzę w pokera. W grze, w której wszyscy dostają tyle samo kart, nie obchodzi mnie, kto jest tatusiem mojego przeciwnika ani jaka krew płynie w jego żyłach. Oto, w co naprawdę wierzę, panie Boyle. W pokera.

- Słyszeliście, ludziska? - Mormon wyciągnął ręce w stronę oświetlonych płomieniami twarzy, chcąc zawładnąć publicznością. - Słyszeliście? Wasz przywódca wierzy w pokera! To karciarz! Wasz sławny przywódca jest zwykłym karciarzem! O rany, w tym pudle musiał chyba dostawać mocną kartę.

- Nieszczególnie. Owszem, dużo grywałem, ale rzadko kiedy bywałem lepszy od innych. Nawet ksiądz wygrywał ode mnie wszystkie Tootsie Rolls, prawda, ojczy? Nie, panie Boyle, nie jestem wspaniałym pokerzystą. Powiedziałem, że podziwiam reguły tej gry, tylko tyle.

- Ja powiem tylko tyle: mam nadzieję, że jest pan lepszym pokerzystą niż przewodnikiem. Bo myślę, że cała ta gadanina to sranie po ścianie. Bo dotarliśmy do

rozstajnych dróg, a pan, panie Loach, nie ma zielonego pojęcia, którędy iść dalej. Ani pan, ani ten pański zwariowany braciszek.

- Boyle - warknął Szakal podnosząc się z pnia - na pańskim miejscu trzymałbym ten tłusty jezor na wodzy... Loach uspokoił go unosząc dłoń.

- W porządku, Szakal. Kto wie, może on ma rację. Wszyscy widzieliśmy, jak stałeś na drodze i drapałeś się w głowę. Ja też nie jestem pewien, dokąd teraz jechać. Ale wiem, że jeśli tylko zastosujemy odpowiednie środki i sposoby, kierunek dalszej jazdy zostanie nam objawiony. - Spojrzał na siostry Makai. - Prawda, moje panie?

- Prawda! - odpowiedziały głośno, choć raz całkowicie się z sobą zgadzając.

- Czyżby, Loach? A kto nam ten kierunek objawi? Ten, kto wyciągnie najstarszą kartę?

Loach przyglądał się chwilę rozwścieczonemu mormonowi, a potem przeniósł wzrok na Jocelyn.

- Pani doktor, przed kolacją widziałem, jak spoglądała pani na kompas. Czy mógłbym go pożyczyć? Boyle klepnął się po udach.

- Huhuuu! - zaryczał. - Kompas! Słyszysz, Makai? Kompas! Komu potrzebny kompas, do diabła? Mogę ci powiedzieć, gdzie jest północ. - Wskazał ręką wierzchołki osik. - Widzisz tę gwiazdę, Makai? Tam jest północ, tam jechaliśmy, kiedy twój czarny Barney Oldfield wpakował nas na skarpe.

- On nie jest moim Oldfieldem, Boyle - wyjaśnił stanowczo Rodney. - Gdyby nie mój kręgosłup, wylałbym go już w Moab i sam bym poprowadził. Ramona nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

- Nie tylko gwiazdy wywierają wpływ na ten świat, panie Boyle. - Jej siostra była zbyt pochłonięta pojedynkiem między mormonem a Loachem, żeby zauważyć przytyk.

- Pani doktor - powtórzył teozof - czy można prosić o kompas? A was, drogie siostry poproszę o wypożyczenie ołtarza, dobrze?

- Ależ oczywiście! - wykrzyknęła Mona wstając. Chodź, Douglasie. Na pewno uda się nam go jakoś złożyć.

- Przyniosę trociczki - oznajmiła Ramona ruszając za nimi. W jej ręku, niczym załadowana proca, dyndała obciążona kryształową kulą skarpetka.

- Hurr! - krzyknęła Gaby kreśląc w powietrzu małe kręgi cygarniczką. - Znowu będzie hokus-pokus!

- Ferrell, do ciężkiej cholery! - Rodney chlusnął na niego resztką wina. - Może byś się tak obudził i pstryknął kilka zdjęć, co?

Chick Ferrell otarł twarz i zaczął rozglądać się za trójnogiem. - Za mało światła - mruknął.

Ojciec Paul robił miejsce koło ogniska; wyglądało to tak, jakby przygotowywał ołtarz do udzielenia komunii. Ned wrzucił do ognia poskręcaną gałąź cedrową. Jocelyn znalazła kompas na dnie torebki, ale zanim zdążyła podać go Loachowi, teozof ruszył na bosaka w stronę transportera.

Jocelyn trochę ulżyło. Miała nadzieję, że krzątania zmniejszy napięcie i złagodzi narastającą swarliwość grubego mormona. Ale nie, kiedy obserwował, jak Szakal przymocowuje owalny blat do podstawy, jego oczy błyszczały jeszcze mocniej, jego uśmiech stał się jeszcze złośliwszy. Gdy siostry Makai zapaliły trociczki, gdy zaczęły chodzić wokół stolika i cicho mamrotać, wybuchnął głośnym śmiechem.

- Panie Boyle - ostrzegła go Ramona - proszę się nie śmiać z duchów. Mogą się na pana obrazić.

- Błagam o wybaczenie, szanowna pani. - Mormon zasłonił usta tłustą ręką, udając, że dławi w sobie szyderstwo. - Ale ja nie z duchów się śmieję.

Kiedy w jasnym kręgu ogniska pojawił się Loach, miał na nogach świeże skarpetki i niósł skrzynkę, której Ned używał jako schodków. Postawił ją w miejscu przygotowanym przez ojca Paula i usiadł na niej.

- Pani doktor, zechce pani położyć kompas pośrodku naszego ołtarza. Nie wolno mi go dotykać. Szakal? Możesz przysunąć ten pal trochę bliżej ognia? Moje panie?

Siostry Makai natychmiast wrzuciły trociczki do ogniska i usiadły na palu. Boyle zatarł ręce.

- A ja, Loach? Chcesz, żebym potasował? A może mam rozdawać?

- Chcę tylko jednego, panie Boyle. Żeby zachował pan ciszę. Czy potrafi pan to zrobić?

- Spróbuję się nie śmiać - szepnął mormon do Rodneya.

Rozległ się długi syk opadającej migawki aparatu fotograficznego Chicka, a potem zaległa cisza. Loach zamknął oczy i lekko odchylił głowę. Ogień oświetlał go od dołu.

- Zaczynamy. Proszę, żeby wszyscy wyobrazili sobie inną Gwiazdę Północną, gwiazdę, która świecić będzie promieniami naszej wspólnej podświadomości. Obserwujmy, jak płonie i wiruje. Niech wszyscy spróbują ją ujrzeć. Niechaj zapłonie nad miejscem, do którego zmierzamy.

- O, mała gwiazdka betlejemska... - zaczął Boyle, ale siostry uciszyły go sykiem. - Przecież to pan tam był, nie my - zauważył Chick. - Na co się przyda nasza podświadomość?

- Wszyscy tam byliśmy, panie Ferrell - odrzekł Loach nie poruszając głową. - Proszę się tylko skoncentrować. Niech pan wyobrazi sobie wejście do jaskini... samą jaskinię... skalną ścianę. Niech pan wyreguluje ostrość widzenia, jak w aparacie fotograficznym.

- No ale światło - mruknął gderliwie Chick. - Wciąż kiepskie...

Wszyscy znieruchomieli, nawet Boyle. Loach otworzył oczy i opuścił głowę. Kiedy spojrział na owalny stolik, oczy siedzących przy ognisku powędrowały za jego wzrokiem. Patrzyli na kompas.

- Już tu jest - oznajmił teozof. Odprężył się i skrzyżował nogi.

- Co już tu jest? - spytał Rodney. - Nic nie widzę. Niech cię szlag trafi, Loach. Mieli rację. Kawał z ciebie...

I nagle go zatkało. Igła kompasu zaczęła drżeć. Jocelyn poczuła, że ma gęsią skórę. No nie, tylko nie to, tylko nie to. Ale było za późno. Igła kompasu się odchyliła, wyraźnie odchyliła się w stronę bieguna, który Loach po prostu stworzył! Stworzył z niczego! Dosłownie z niczego! Odchyliła się na wschód, na zachód, znów na wschód, zatoczyła pełny krąg, zawahała się, zadrżała, wreszcie znieruchomiła wskazując dokładnie kierunek, w którym biegła jedna z odnóg drogi - na wschód. Loach popatrzył po ich twarzach i oznajmił: - Tam.

Igła wróciła do normalnego położenia i znów wskazywała gwiazdę świecącą między drzewami. Teozof odetchnął głęboko, wstał i się przeciągnął.

Twarz mormona zrobiła się jeszcze bardziej purpurowa. Boyle aż dygotał z wściekłości podsyconej alkoholem.

- Trudno nie zauważyć - warknął przez zaciśnięte zęby - że wasz ołtarzyk trochę się chwieje. Pozwólcie, że go naprawię... - Położył rękę na stole i blat fiknął do góry niczym olbrzymia pchełka. - Hops! Najmocniej przepraszam - rzucił złośliwie, podnosząc z ziemi drewniany blat. Szybko obejrzał go od spodu.

- Ależ panie Boyle! - wykrzyknęła Mona. - Czy sądzi pan, że stosowalibyśmy jakieś sztuczki? W takiej sytuacji?

Rozwścieczony mormon wciągnął głęboko powietrze i cisnął blat w ciemność, w stronę szumiącego strumyka. - Sprawdźmy jeszcze tę cholerną podstawę...

Szakal zerwał się na równe nogi. - Boyle!

I znów Loach uspokoił go unosząc rękę. Boyle oglądał podstawę trzymając ją wysoko nad ogniskiem. Jego nogi zaplątały się w suchą cedrową gałąź i stracił równowagę. Chwiał się i niebezpiecznie zataczał, jeszcze chwila, a wpadłby między żagwie. I w tym momencie zwolnił uścisk. Podstawa runęła prosto w ogień, wzniecając wielki snop iskier.

Mona krzyknęła. Ned przeskoczył zwinnie przez płomień i zręcznym kopnięciem uratował z ognia toczoną podstawę.

- Tak mi przykro, moje panie - powiedział mormon z nieznośnią szczerością. Podniósł do góry rękę, otworzył pulchne dłonie i obracał się tak to w stronę siostr, to w stronę Loacha. - Czy mi kiedykolwiek wybaczyście?

- Wątpię - odrzekła Mona. - Obawiam się, że nasz ołtarz został sprofanowany. Nie da się tego naprawić.

Członkowie wyprawy nie spuszczała z mormona oczu. Boyle wciąż się chwiał i zataczał. Był tak zły, że niemal widzieli, jak wściekłość paruje z jego brudnej marynarki. Próbował sprowokować Loacha wzrokiem, ale teozof uniknął jego spojrzenia, ponownie siadając na skrzynce. Loach podniósł z ziemi zakrzywiony patyk, dźgał nim żar i czekał, aż mormon się uspokoi. Boyle wciąż się chwiał i coś do siebie mruczał.

- Tak znakomicie poszło panu z kompasem, panie doktorze - powiedziała Mona - tak szybko go pan okiełznał. Czy mógłby pan to powtórzyć i okiełznać pana Boyle'a? Jest doprawdy w straszliwym stanie.

- Racja - poparł ją Chick. - Nie możemy pozwolić, żeby łąził tu przez całą noc jak pijany słoń w składzie porcelany. Mam tu trochę drogiego sprzętu. - Drogiego, ale bezużytecznego - burknął Rodney.

Boyle górował nad ogniskiem. Twarz wykrzywił mu straszny uśmiech.

- Polemizowałbym, pielgrzymie - warknął. - Nie ma tu żadnego składku porcelany i nie jestem pijany. Ta kapelka wina przy kolacji, którą we mnie wmusiłeś? Tyle to ja przy posiłku rozlewam. Roz-le-wam, kapujesz?

- Zauważyłem - odparł Rodney i odsunął się od swego nowego przyjaciela w stronę Neda, bo uznał, że bliskość Murzyna zapewni mu bezpieczeństwo.

- Ba! Gdybym tylko zechciał, mógłbym przepić was wszystkich. Wszyscy byście pospadali pod stół, tak jest. Okiełznać mnie? Mnie?! A czego by sobie pani życzyła, miła pani? Żeby doktor Loach spojrział na mnie złym okiem? Wytrzymałbym spojrzenie samego słońca, nie wspominając już o tym wymoczkowatym szarlatanie. Daj jeszcze wina, Makai!

- O Boże, nie! - zaprotestowała Ramona. - Ty kretynie, jeśli się zaraz nie uspokoisz, sama cię uspokoję!

- Tak? A jak? - spytał Boyle. - Zrobi pani małe hokuspokus? Zapali pani kadzidło? Srali muszki, będzie wiosna!

- Panie doktorze - błagała Ramona. - Czy nie może pan nic zrobić?

- No jasne! Dalej! Niech sławny doktor Loach pokaże nam kolejną sztuczkę! - Stał przed teozofem i szeroko rozstawił nogi. - No i co, doktoru? Masz jakąś sztuczkę na takiego wielkiego byka jak ja? Czy tylko jesteś mocny w gębie?

Nie przestając grzebać w ognisku, Loach podniósł z ziemi drugi patyk.

- Magnetyzm fizyczny i zwierzęcy niewiele się od siebie różnią, panie Boyle. To po prostu koncentracja energii. Jak ten ogień. Jeśli go rozproszyć, jeśli oddzielić ciepło od światła, natychmiast zgaśnie. Jedna szczapka będzie się tlić, lecz się nie zajmie. Ale dwie szczapki... - Złączył patyki, wyjął je z ogniska i wstał, patrząc mormonowi w oczy. - Dwie szczapki to początek ognia.

Podniósł patyczki w górę, zamieszał nimi przestrzeń pod gwiazdami i opuścił je, aż znalazły się o kilka centymetrów od nalanej gęby mormona.

- Gorąco i zimno - stwierdził rzeczowo. - Światło i mrok. Samotne skupiska energii, niezależne, mimo to zależne. Gdy są razem, tryskają energią. Gdy je rozdzielić, energia słabnie i... gasną.

Loach rzucił patyczki za siebie, jeden przez jedno ramię, drugi przez drugie. Poszybowały w ciemność. Boyle usiłował śledzić ogniste łuki rozcinające mrok. Zezował, opadła mu szczęka.

Kiedy w końcu zamrugął nieco przytomniej, stwierdził, że prawie wszyscy członkowie ekspedycji Loacha leżą już w śpiworach i śpią. Ogień z wolna dogasał, nad doliną wędrował cieniutki sierp księżyca, a on był związany.

9. Opuścić okręt...

- Ruszajmy z tą karawaną! - wrzasnął Rodney z kabiny transportera. Siedział tam i kipiał gniewem. Tego rodzaju przygody - pijani mormoni, ich wrzask i złorzeczenie, kompasy z poruszającymi się tajemniczo igłami, bałagan, prawdziwe pobojuwisko na podłodze - zawsze go złościły, chociaż tak naprawdę nigdy żadnej nie przeżył. W dwurzędowym garniturze i różowym krawacie było mu niewygodnie, siedział więc sztywno, a jednocześnie jakby sflaczał. Plecy bolały go jak wszyscy diabli. To przez ten wczorajszy dzień. Całe to zwariowane zamieszanie, tyle roboty. Koniec tego dobrego, zdecydował. Dzisiaj nie będzie nikomu pomagał. Bez względu na to, o co go poproszą. Zapłacił za jazdę tym przeklętym wozem cyrkowym, za jazdę, nie za to, żeby ten wóz pchać.

- Loach! - wrzasnął. - Ruszajmy wreszcie! Myślisz, że wszyscy ćwiczyliśmy cierpliwość siedząc w więzieniu? Otóż wiedz, że nie, nie wszyscy!

No i już. Wyrzucił z siebie to, co mu leżało na wątrobie. Powiedział, co czuje, i od razu mu ulżyło. Dojechać na miejsce, załatwić sprawę i wrócić do Los Angeles. Czas to pieniądz. Wyłącznie do tego się wszystko sprowadza.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął cygaro marki Biała Sowa. Przedostatnie. A co potem? Może wycyganic od Boyle'a jedno z tych kubańskich, którymi się tak zawsze chwali? Zahandlować z nim, skusić resztką bourbona? Ale cyrk. Siny Człowiek-Robot, dwie zawodzące ciotki i moczomorda z Salt Lake City.

Zapalił cygaro agatową zapalniczką, którą dostał kiedyś od przyjaciółki. Uśmiechnął się na wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy oświadczył, że się już dla niego nie nadaje. Nadał wtedy bardzo szykowny tekst.

- Przykro mi, chérie. - Dokładnie pamiętał, że tak wtedy powiedział. - Ale to już koniec. La fin. Fini la guerre.

Zapamiętał ten kawałek ze scenariusza, który kiedyś czytał, i czekał całe lata, żeby go wykorzystać. Nawet wymowę przećwiczył, a jakże! Z Pierrem Piedem, z takim pedałem ze Szwajcarii, który przekonał go, że będzie z niego wspaniały producent. Wytwórnia filmowa Makai. Chérie zrozumiała tylko, że "to już koniec", ale to wystarczyło. Rzuciła się na dyrektorski fotel w saloniku, klapnęła nań jak szmaciana kukła, a jej blond peruka spadła na podłogę niczym piłka do koszykówki. Tak, grała wtedy po mistrzowsku. Tak znakomicie, że prawie zmiękł i powiedział, że jeśli pójdzie do szkoły aktorskiej, to pozwoli jej zostać. Ale wszystko zepsuła, bo otworzyła te swoje usteczka i powiedziała, że z niego zepsuta, brudna świnia. Naturalnie, tego nie mógł jej wybaczyć, więc wyrzucił za drzwi jej

perukę i płaszcz i kazał się babce pospieszyć, bo inaczej doberman pożre dość istotne elementy jej stroju.

Wspomnienia go ukoili. Dzięki nim tania agatowa zapalniczka była coś warta. Siedział w zagraconym transporterze i obracał ją w dłoni. I niecierpliwił się, w głębi ducha pragnąc, żeby przyszedł tu któryś z członków wyprawy i objechał go za palenie w kabinie. Jakby się uparł, to by palił, a co tam. Niech diabli wezmą te przeklęte ciotki i resztę tych purytańskich czubków. Że też muszą mu towarzyszyć w drodze do świętej grotty. Do jakiej grotty? Do jakiejś nory, która według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie istnieje!

W kabinie przebywał z nim tylko Boyle. Był związany jak tłusty indyk i uśmiechał się jak najgrubszy idiota we wsi. Od wczorajszej rozprawy przy ognisku powiedział ze trzy słowa na krzyż. Tak, Loach załatwił go w samą porę. Musiał mu oddać sprawiedliwość: teozof miał znakomite wyczucie i wiedział, jak wszystko rozplanować.

- Loach! - wrzasnął znowu. - Jesteśmy spóźnieni! Do diabła, jakie wyczucie i planowanie? Ten facet nie wie, co to czas. Nie wie, ile jest wart, ile go ta zwłoka kosztuje. A po drodze muszą jeszcze znaleźć jakąś pralnię. Albo sklep z męską galanterią. Ciekawe, czy jest tu sklep. Tu? Gdzie tu? No, tu gdzieś, w okolicy. Jakby na dowód, że taka wizyta jest rzeczywiście potrzebna, odpadł mu jeden z guzików marynarki. Odpadł i potoczył się na imitację perskiego dywanu.

- Niech to szlag trafi! - wrzasnął. - Jedźmy już! Loach stojący z pozostałymi przed transporterem obrócił ku niemu głowę.

- O co chodzi, panie Makai? - zawołał przez tylne drzwi. - Pański głos zdradza zniecierpliwienie.

- Zniecierpliwienie? Ależ nie, Loach, skąd, wcale nie jestem zniecierpliwiony. Siedzę tu jak kretyn i znakomicie się bawię. Powoli, nie spiesz się pan. Co nawyk, to nawyk.

- Już prawie skończyliśmy, kochanie - odezwała się jedna z ciotek. - Już prawie wszystko załadowaliśmy. Uspokój się, mój drogi. Spokój jest cnotą.

- Nie przyjechałem tu, żeby zachować cnotę - mruknął Rodney do Boyle'a. Grubas tylko się uśmiechnął. Makai nie wiedział, czy mormon zrozumiał żart czy nie. - W drogę! - wrzasnął znowu w stronę zasłoniętych jedwabiem drzwi. - Gdzie ten czarnodupy kierowca, do cholery?! Ruszać się, ruszać się, ruszać się!

Jedwabna zasłonka rozsunała się nagle i do kabiny wszedł Loach. Zerknął na Boyle'a siedzącego na podłodze jak Budda, potem skoncentrował uwagę na Rodneyu.

- Dość tego, Makai. Kolor skóry człowieka nie ma nic wspólnego z jego sercem.

- Nic nie mówiłem o sercu - poprawił go Rodney, wypuszczając chmurę dymu. - Mówiłem o jego dupie.

Zanim zdążył cokolwiek dodać i wypuścić następny kłęb, Loach wyrwał mu cygaro z ust i wyrzucił je przez wybity iluminator. Twarz Rodneya poczerwieniała, wybałuszył oczy, jakby miał kłopoty z tarczycą, ale nie powiedział nic. Teozof nachylił się nad Boyle'em i sprawdził krępujące go więzy. - Jak się pan miewa, panie Boyle? - spytał.

- Jak nigdy w życiu, znakomicie - odparł mormon. - Tylko raz mnie lepiej związano, we Francji. - Na twarzy rozlał mu się lubieżny uśmiech. - No ale tam robili to fachowcy. Loach popatrzył na nich kręcąc głową. - Sam nie wiem, który z was gorszy.

- Ależ to oczywiste - odrzekł Boyle. - Ja. Makai jest amatorem. - Udawał, że zachowuje kamienny spokój, ale twarz miał czerwieńszą niż Rodney.

Loach wrócił do drzwi, rozsunął zasłonę, podwinął ją i zawołał:

- Uwaga, moi państwo! Lepiej ruszajmy w drogę, zanim jedna z tych petard wybuchnie. Ładować wszystko do środka. - Wszystko? - odkrzyknął Szakał.

- Wszystko, co potrzebne - powtórzył Loach stając w otwartych drzwiach, gotowy do przyjmowania ładunku. - Sprzęt, buty, hełmy, wszystko. To się odnosi również do ciebie, Juke.

- Zaraz, już - powiedział Juke, który właśnie miał zamiar wejść po drabince na dach. - Do kabiny - powtórzył Loach. - Natychmiast. - Musimy trochę poczekać. Nie mogę znaleźć fajki.

- Włóż, głupku! - krzyknął Rodney. - Loach i tak wyrzuciłby ją przez okno.

- Do kabiny - rzucił teozof do wszystkich. - Ale już. Ned, rozgrzej silnik.

Loach był w takim humorze, że nikt nie chciał się z nim spierać. Podróżni szybko zebrali swoje rzeczy i dołączyli do Rodneya i Boyle'a. Wreszcie w kabinie siedzieli już wszyscy oprócz Chicka Ferrella. Loach zawołał go, ale fotoreportera nigdzie nie było: ani przy wystygłym ognisku, ani przy strumieniu, gdzie się myli. Już miał zawołać ponownie, gdy usłyszał, jak ktoś klnie. Obszedł transporter i zobaczył Chicka. Ferrell klęczał i zaglądał pod brzuch maszyny. Jej wewnętrzne koło stało dokładnie na zmiażdżonej tekturowej walizeczce. I nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, teozof wybuchnął głośnym śmiechem. Ferrell gwałtownie obrócił głowę.

- Co w tym śmiesznego? - spytał głosem tak drżącym, jakby się miał zaraz rozpłakać. - Tam były zapasowe obiektywy i reszta sprzętu. Nic dziwnego, że nie mogłem jej wczoraj znaleźć. Nie śmiałyby się pan, gdyby to była pańska walizka.

- Ależ to jest moja walizka! - odrzekł Loach i zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem. - Pańska jest już dawno w kabinie. Niech pan to zostawi. Nie ma w niej nic oprócz starych więziennych łańców. Teraz i Ferrell wybuchnął śmiechem. - Wygląda identycznie jak moja!

- Tania, popularna tandeta - stwierdził Loach klepiąc go po ramieniu. - Chodźmy.

Kiedy nadeszło południe, jechali na wschód, jakby podróżowali tak od lat, i zjadali zimny kebab. Mona karmiła Boyle'a, niczym pani ulubionego pieska. Rodney nie chciał jeść resztek z kolacji i sączył wino. Ojciec Paul siedział koło Gaby i patrzył, jak dziewczyna je. W końcu powiedział: - Gaby, pożycz mi na chwilę swój but. - But?

- Tak. Chcę wybić obcasem resztki szkła z tego iluminatora. - Siedział dokładnie naprzeciwko okienka uszkodzonego podczas wypadku. - Chciałbym wpuścić tu trochę świeżego powietrza. I popatrzeć na krajobraz.

Wyjął z okienka ostry kawałek szkła. Transporter podskoczył na wyboju i ksiądz się skaleczył. Na opuszcze palca wskazującego wykwitła cieniutka linia, szybko wypełniająca się krwią. Zdrową ręką sięgnął do kieszeni po chusteczkę, ale znalazł w niej tylko kamień ze zniszczonego kielicha. - Gaby, możesz mi pożyczyć chusteczkę?

- Chce ksiądz but czy chusteczkę? - Zdjęła pantofelek i obróciła go obcasem w stronę duchownego.

Ojciec Paul spojrział na nią znad skaleczonego palca i zobaczył, że dziewczyna się uśmiecha. Podała mu bucik i ksiądz wybił obcasem resztki szyby. Stukanie usłyszał Juke i natychmiast mu odpowiedział, wystukując nogą swój własny rytm. Chick słuchał i próbował ułożyć z tego kilka sensownych taktów.

Kiedy ojciec Paul usunął resztki szkła, mógł wraz z Gaby oglądać przez iluminator prerię, drzewa i skały, które po drodze mijali. Przez okno wpadało do kabiny zimne powietrze, ale niebo było błękitne, nie skażone ani jedną chmurką.

- To niezwykła kraina - wymamrotał ssąc krwawiący palec. - Kiedyś mieszkałem w takiej okolicy. Szukałem azylu...

- Czego? - spytała Gaby. Wzięła go za nadgarstek i ściągnęła mu rękę na kolana. Swojej ręki nie zabrała. Jej dłoń spoczywała lekko na jego dłoni.

- Co ksiądz powiedział? Nie zrozumiałam, bo mówił ksiądz z palcem w buzi.

- Kiedyś szukałem "azyłu" i spędziłem dwa miesiące w podobnej okolicy - powtórzył ojciec Paul. - Było cudownie. - Co znaczy azylu?

- Azylu religijnego, odosobnienia, samotności. Żeby lepiej poznać samego siebie. Niemal zawsze praktykujemy to na takim pustkowiu. - Przeniósł wzrok na góry za oknem. - Przez prawie dwa miesiące do nikogo się nie odzywałem. - Co to człowiekowi daje?

- Trudno to wytłumaczyć. Spowalnia cię, wyhamowuje. Kiedy słyszysz śpiew ptaka, chce ci się płakać. To ostatni etap próby. Wtedy podejmujesz ostateczną decyzję i odpowiadasz sobie na pytanie, czy jesteś w stanie służyć Bogu i przyjąć święcenia kapłańskie. - Ja bym chyba nie mogła. - Milczeć przez dwa miesiące?

- Nie, tak w ogóle. Ani seksu, ani pieniędzy, zawsze ktoś ci mówi, co masz robić. O Boże! Ojciec Paul roześmiał się i znów włożył palec do ust.

- Doskonale cię rozumiem - odrzekł. - W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi. Ale ogólnie rzecz biorąc, jestem szczęśliwy. Moje życie ma swoje ograniczenia, ale jest spokojne. Na przykład, odpadają zobowiązania towarzyskie...

- Prawdziwy raj, co? - mruknęła. - To niech ksiądz tam sobie mieszka.

Twarz jej spochmurniała. Była na niego zła i nie wiedział dlaczego. Wolno przeniósł wzrok na okno.

Niektórzy zapadli w drzemkę. Rodney podciągnął nogi i właśnie układał się na materacu, który rozłożyli dla niego na podłodze, kiedy ku swemu zdumieniu zauważył, że sterta ubrań tuż obok poruszyła się i zakaszła.

- Juke'owi nic nie jest. - Sterta napuchła, pękła i wylał z niej Juke. - Potrzeba mu tylko kilku dymków i wszystko będzie dobrze. - Z wolna potarł skronie, rozmasowując je opuszkami palców - Przepraszam, panie Makai, ale wszystkich już pytałem. Czy nie widział pan przypadkiem takiej dużej starej fajki? Musi tu być. - Co? - Rodney przyłożył rękę do ucha. - Hę?

- Fajka, szukam fajki. Palę, jak pan. W tym zamieszaniu gdzieś ją zgubiłem.

- Powinien pan dziękować, że pan w ogóle żyje, a nie szukać głupiej fajki.

- No cóż, panie Makai - odparł Juke. - Można po prostu żyć, ale można też żyć i zażywać przyjemności. To różnica.

Rodney ściągnął usta i kiwnął głową. Ten siny czubek wcale nie był taki głupi, na jakiego wyglądał. - Jeśli o mnie chodzi, panie kolego - odrzekł - słowo "przyjemność" wypadło z mojego słownictwa z chwilą, kiedy wszedłem na pokład tego transportera. Przysięgam, że w życiu bym z wami nie pojechał, gdyby nie film, który zamierzam nakręcić. Bombowy, kasowy film. Jestem producentem, wiesz pan? Tam leży Ferrell, znasz go pan. Píše dla mnie scenariusz. Gdybym nie musiał go pilnować, siedziałbym teraz w Palm Springs i zażywał prawdziwych przyjemności. Nie masz pan przypadkiem jakiejś butelczyny? - Butelczyny? Czego?

- Whisky, wina, czegokolwiek. Mój baniaczek nagle wysechł. Myślę, że dobrał się do niego Boyle.

- Przykro mi, panie Makai. Ja nie piję, ja palę. - Juke zmarszczył brwi i pochylił się ku niemu. Był teraz tak blisko, że Rodney poczuł zapach potu i kurzu bijący z jego grubej wełnianej marynarki. - Nie ma powodu, żeby Juke nie mógł jechać na dachu. Juke nie jest kaleką.

- Absolutnie - zgodził się z nim Rodney. - Nie widzę żadnego powodu.

Miał ochotę przylać temu małemu impertynentowi i zmusić go do zachowania należytego dystansu, ale z drugiej strony dobrze było z kimś pogadać. Poza tym miał w rękawie atutowego asa.

- Wiesz pan - zaczął ostrożnie - niewykluczone, że widziałem, jak wrzucili tu coś, co mogło być fajką... Oczy Juke'a rozbliły.

- Widział pan? Naprawdę? Oddałbym wszystko, żeby tylko...

Rodney przyłożył palec do ust i pomacał ręką za tapczanem, gdzie po wypadku wrzucono mnóstwo gratów. Wydostał stamtąd zakrzywioną fajkę i przycisnął ją do piersi, żeby nikt z pasażerów jej nie zobaczył. Juke wyciągnął rękę.

- Hola hola, a co będę z tego miał? - drażnił się z nim Rodney, cofając rękę. - Powiedziałeś, że oddałbyś za nią wszystko. To znaczy, na przykład, co?

Juke zerwał się na równe nogi i szybki jak mała, pognał zagraconym przejściem w stronę szoferki. Przeskakiwał nad nogami śpiących i drzemących, zataczał się od burty do burty, w końcu dotarł do metalowego kufra, w którym wcześniej trzymali jedwabne szarfy i kryształową kulę. Rozejrzał się, podniósł wieko i prawie zniknął w przepastnym wnętrzu. Kiedy z niego wychynął, w swoich małych małych łapkach ścisnął sporawy słoik, napełniony kaktusową nalewką Szakala.

- Na całym świecie są tylko dwa takie - oświadczył wróciwszy do Rodneya. - Oto jeden z nich. Czy dobrze zrobiłem, panie Makai?

- Nigdy nie postąpiłeś lepiej, Juke - mruknął półgłosem Rodney i wyciągnął rękę.

- Hola hola - odrzekł Juke przestępując skocznie z nogi na nogę.

- A, tak. Jasne, oczywiście. Masz pan, trzymaj. Zabierz pan to obrzydlistwo. - Podał Juke'owi fajkę, a siny człowieczek wręczył mu słoik ze złocistym płynem.

Usadowili się w milczeniu. Rodney podważył pokrywkę niecierpliwymi palcami. Juke szperał po kieszeniach i obmacywał się, dopóki nie znalazł owalnego pudełeczka z rządową nalepką. Otworzył je, nabił fajkę, zapalił ją drżącymi rękami, pyknął i wydmuchał dym w czyste jak dotąd powietrze.

Rodney pociągnął łyk, skrzywił się, ale natychmiast poczuł się lepiej. Podniósł wzrok i spostrzegł, że z drugiego końca tapczanu patrzy na niego Chick. Makai uśmiechnął się łajdacko i wyciągnął słój w jego stronę. - Wiesz, że nie piję - burknął poirytowany Chick.

- Och, przepraszam cię, Ferrell. Zapomniałem o twojej słabostce. Serdecznie cię przepraszam. - Pociągnął wielki łyk. Fotoreporter odwrócił głowę.

Wystarczyło kilka haustów domowej nalewki Szakala i Rodney był gotów wyrzucić Ferrella przez wybite okienko. Czuł w sobie siłę i moc. Nalewka smakowała cudownie, a kręgosłup był jak nowy; raczej jak sparaliżowany, bo Makai przesadził z lekarstwem. Rozluźnił swój różowy krawat i z szerokim uśmiechem na twarzy opadł na boczne oparcie. Zauważył, że Juke też się uśmiecha i że ma zamknięte oczy. Kiedy je otworzył, patrzyły prosto w oczy Rodneya.

- Niech pan spróbuje tego - powiedział w geście dobrej woli.

Makai czuł się tak znakomicie, że przyjął poczęstunek. Naturalnie, fajka nie smakowała jak cygaro marki Biała Sowa, ale lepszy rydz niż nic. Wysuszała usta; to pewnie dlatego ten przygłup ją palił - żeby się nie ślinić. Roześmiał się ze swojego celnego dowcipu. To wszystko wydało mu się nagle tak zwariowane, że aż komiczne! Oto on, Rodney Makai, kopci tę wielką, obrzydliwą fajkę Juke'a jak parowóz! No cóż, pora na rewanż. Podał Juke'owi słój.

- Spróbuj tego - powiedział. - Ten stuknięty braciszek Loacha jest lepszym bimbrownikiem, niż na to wygląda.

- Czemu nie - odrzekł Juke i przechylił słój. Trochę nalewki ściekło mu po policzkach. Parsknął, ale tylko raz. Rodney odebrał mu słój.

- Nieźle jak na początkującego - stwierdził. I nagle uświadomił sobie, że cała ta wyprawa jest nie tylko najbardziej zwariowaną rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu zrobił, ale i najzabawniejszą. Ramiona zaczęły mu podskakiwać od tłumionego śmiechu. Doszedł do wniosku, że jego wspaniały film wcale nie musi być dreszczowcem, że równie dobrze może być komedią.

Roześmiał się na głos. Niech sobie myślą, co chcą. Juke zawtórował mu z zamkniętymi oczami. Jego śmiech przeszedł w rytmiczne poprychiwanie i pochrząkiwanie, układające się w coś, co przypominało melodię znanej jazzowej piosenki pod tytułem "Wsiądź do pociągu". Zaczął od partii saksofonu. Kiedy doszedł do solówki bębnów, zaczął klepać się ręką po nodze, a kontrabas naśladował palcem wskazującym lewej ręki - stukał nim w krtań i jednocześnie zwierzał i rozwierał wargi. W końcu połączył wszystko w jedną całość: poprychiwanie, poklepywanie i gardłowe postukiwanie.

Rodney patrzył na niego z rosnącym podziwem. Człowiek Orkiestra. Ten szajbus ma talent, nie było co do tego żadnych wątpliwości! Tak, poświęci mu fragment filmu. - Yeh! Yeh! - zakrzyknął i strzelił palcami.

- Tak jest! - zachęcał go Juke. - Bardzo dobrze! O to chodzi! Yeh, yeh, yeh!

- Ak, ak! - zawtórował im Kronos z rozhuśtanej klatki. - Ak, ak!

Zanim się spostrzegli, grali razem, grali nie gubiąc rytmu, jakby od lat tworzyli jeden zespół.

Jazzowe trio podziało na drzemiących pasażerów jak czary. Ożywili się. Chick wstał i wypuścił z klatki skrzeczącą papugę. Ptak latał po ciasnym wnętrzu i wrzeszczał swoje "Ak, ak!" idealnie do rytmu. W końcu usiadł na ramieniu Boyle'a i dał solówkę: gwizdał i wywodził głośne trele. Mormon miał wciąż związane ręce, więc usiłował odpędzić papugę głową, ale nic nie działo. Kiedy Gaby zaczęła się z tego śmiać, grubas jej zawtórował.

Mona wstała i zatańczyła w takt muzyki i w rytm rozkolebanego transportera: z zamkniętymi oczyma, kołysała biodrami i szurała odzianymi w pończochy nogami. Ramona sięgnęła do torby z okultystycznymi przyborami, znalazła w niej dwa kawałki rzeźbionej kości słoniowej i grzechotała nimi z wprawą zdradzającą wcześniejszą praktykę. Wszystkich pasażerów ogarnęło niewysłowione ciepło. Chick Ferrell pogwizdywał przez zęby. Ojciec Paul zdjął okulary, patrzył na Gaby i mrugał nieśmiało, jakby zbierając odwagę, żeby poprosić dziewczynę do następnego tańca.

Nawet Boyle dobrze się bawił. Związany, kiwał się z papugą na ramieniu w przód i w tył - Kronos dzielnie to znosił - niczym pulchny niemowlak w beciku. Nagle odrzucił do tyłu głowę i zaśpiewał:

Och, zabierzcie mnie na wschód od Suezu

Gdzie dobro jest jak zło Gdzie nie ma praw i przepisów Gdzie żyć może byle kto...

Ramona zachichotała jak podłotek. - A niech mnie, panie Boyle! - wykrzknęła. - Doprawdy, dziwne z pana stworzenie! - I zagrzechotała kośćmi o trzy kroki od niego. Mormon mrugnął do niej i zaśpiewał jeszcze głośniejsze:

Zabierzcie mnie do Mandalay,

Gdzie ryb latających raj, Gdzie świt wstaje jak bu-u-rza,

Z Chin przez zatokę, w to mi graj!

Przestał śpiewać tak nagle, jak zaczął, i spojrzął na ojca Paula, który wciąż wlepił wzrok w Gaby.

- Padre, ty stary skunksie katedralny, ty wężu podstępny, powiedz mi, padre, czy byłeś kiedy w Mandalay?

Zaskoczony niespodziewanym atakiem ksiądz wytrzeszczył oczy. Zaczerwienił się, odwrócił od Gaby i spuścił głowę. - Obawiam się, że nie, panie Boyle.

- Powinien ksiądz pozwolić sobie na ten luksus - radził mormon, szczerząc zęby jak krwiożerczy pirat. Wschód to najlepsze miejsce dla faceta, który musi sobie ulżyć. Znam taki lokal w porcie, przy dokach. Hu-huuuu! Są tam babki, które potrafią zawiązać sznurowadło bez pomocy rąk!

Księdzu odebrało mowę. Zaimprovizowany występ jazzowy zaczął wyraźnie kuleć.

- Tak, Mandalay to dla księdza idealne miejsce, padre. Bo widzę, że energia aż w księdzu kipi i że musi się ksiądz wyładować.

- Jak na mormona jest pan człowiekiem bardzo światowym, panie Boyle - zauważyła Jocelyn.

- Są mormoni i mormoni, pani doktor. Niektórzy chodzą w starych łachach, inni szyją sobie piżamy na miarę. Ot, choćby ja. W zeszłym roku uszyłem sobie piżamę w Hongkongu. - Uśmiechnął się do pozostałych. Więc posłuchajcie. Jeśli do Mandalay jedzie się, żeby sobie ulżyć, do Hongkongu, żeby sobie uszyć piżamę, wicie, dokąd powinien jechać ten obłąkany transporter?

Nikt mu nie odpowiedział. Juke przestał skatować i zamarł w oczekiwaniu.

- Do Tybetu. Byłem w Tybecie i mówię wam, mieszka tam sporo braciszków, którzy wiedzą, jak ulżyć ludzkiej duszy. Tak, padre, posłuchaj mojej rady i ruszaj w Himalaje, a ci buddyści wymasują ci duszyczkę na cacy. To lepsze niż telepanie się donikąd po północnym Wyoming. - Znów odrzucił do tyłu głowę i ryknął jeszcze głośniejszym głosem: - Zabierzcie mnie do Man-da-lay...

- Wystarczy, Boyle - przerwała mu Jocelyn, choć czuła, że mormon dopiero się rozgrzewa. Ucieszyła się, gdy przez drzwiczki w przepierzeniu wszedł do kabiny Loach. - Cóż to za hałasy? - spytał.

- Wspominamy stare przeboje - odrzekł Boyle. Chce się pan przyłączyć?

- Nie, dziękuję. - Podsunął Kronosowi palec i ptak zeskoczył z ramienia mormona. Loach posadził go na klatce i spojrzał na Juke'a leżącego obok Rodneya. - Widzę, że znakomicie się bawisz. Co jest grane, Juke? - Nic - odrzekł sinawy człowieczek ocierając usta.

- Jak to co? Muzyka - powiedział Rodney. - Czy to wbrew prawu ustanowionemu przez doktora Loacha? Śpiew i zabawa są fe?

- Wprost przeciwnie. Ale proponowałbym, żebyście poświęcili trochę czasu na przygotowania.

- Na przygotowania do czego, panie doktorze? - spytała Jocelyn.

- Do przedostatniego etapu wyprawy. Wkrótce będziemy musieli porzucić nasz środek transportu. Zabierz... - ...mnie do Mandalay! - ryknął gruby mormon.

- Przestań, Boyle! - rzucił Chick Ferrell z nagłą nerwowością. - Gdzie jesteśmy, Loach? Chyba że to wciąż tajemnica.

- O słodka tajemnico życia! - zaśpiewał Boyle. W końcu cię od-kry-łem...

- Zamknij gębę! - krzyknął Chick. - Albo ja ci ją zamknę. Mormon obrócił ku niemu swój potężny tors.

- Naprawdę, Ferrell? A jak zamierzasz to zrobić? - I nie czekając na odpowiedź, znów zaczął śpiewać: - Naprzód żołnierze Chrystusa...

Chick wyciągnął coś z kieszeni. Boyle gwałtownie urwał. Fotreporter trzymał w ręku szarą chusteczkę do nosa.

- Zaczekaj, Ferrell, chwileczkę... - Mormon cofał się przed nim jak przed jadowitym wężem. - Co to jest?

- Chusteczka do nosa - odrzekł Chick. - Moja jedyna chusteczka. Podkreślam, jedyna. Ale jeśli nie zamkniesz jadaczki, jestem gotów ją poświęcić. Mormon kłapnął zębami i zamilkł.

- Dziękuję, Chick - powiedział Loach. - Wracając do tematu. Może to tylko przewrażliwienie, może pobyt w zakładzie penitencjarnym sprawił, że stałem się człowiekiem zbyt ostrożnym, ale sądzę, że naszej wyprawie zagraża coraz większe niebezpieczeństwo. Rodney Makai nagle wytrzeźwiał.

- O czym pan, do diabła, gadasz? - warknął. - Jakie niebezpieczeństwo? Ten czarny Barney Oldfield w szoferce znów chce wpakować nas w przepaść? - Nie, panie Makai. Ktoś nas śledzi. Boyle wybuchnął śmiechem.

- To błazenada! Nie słuchajcie go, ludziska. Kto się kłownem urodził, ten... - Chick przysunął się do niego ze zwiniętą w kłębek chusteczką i mormon zamilkł.

- Jest pan pewien, doktorze? - spytała Jocelyn. - Ale jakim cudem? Krążyliśmy po tym pustkowiu, robiąc setki kilometrów. Jakim cudem ktoś nas wytropił? Zresztą kto? I dlaczego?

Loach nie odpowiedział. Opadł na kolano między Gaby a ojcem Paulem i zerknął w wybite okienko. Po chwili wstał i przywołał Jocelyn do iluminatora.

- Proszę spojrzeć na to urwisko, pani doktor. To jakieś siedem kilometrów stąd. Niedawno tamtędy przejeżdżaliśmy. Jocelyn przysunęła się do okienka i poczuła na twarzy silny podmuch wiatru. Po drugiej stronie głębokiego wąwozu porośniętego karłowatymi sosnami i czarną jagodą ujrzała cieniutką szarą linię pnącą się pod górę. Droga. I nagle zobaczyła na niej maleńką kropeczkę. Za nią następną i jeszcze następną. Pierwsza kropeczka była biała.

- DeSoto! - wykrzyknęła nie odrywając wzroku od szosy za parowem.

- Jaki DeSoto? - spytał Rodney. - Samochód Boyle'a?

Mormon znów zaczął śpiewać, ale Chick zagroził mu chusteczką i Boyle umilkł nie kończąc pierwszej zwrotki.

- Cztery... pięć... Naliczyłam sześć - oznajmiła Jocelyn i odsunęła się od iluminatora, żeby inni też mogli spojrzeć. - Szakal widział osiem - powiedział Loach. - Hieny! - sapnęła Ramona.

Jej siostra wysunęła przez okienko rękę i pogroziła prześladowcom obsypaną pierścionkami pięścią.

- Piraci! Panie doktorze, trzeba zawrócić, staranować ich i wdeptać tych parszywców w ziemię! Loach uśmiechnął się.

- Bardzo odważna myśl, Mono. Ale Szakal, Ned i ja opracowaliśmy lepszy plan. Wróciwszy do szoferki, teozof oznajmił: - Myślę, że załoga jest już przygotowana.

- Litości! - irytował się Ned. - Jakim cudem, skoro ja nie jestem? A przecież ze mnie weteran wojenny! Okrętu nie da się opuścić ot tak sobie. To trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć!

- Pewnie masz rację, Ned. Ale tę akcję musimy przeprowadzić bez próbnych alarmów. Ty musisz zrobić tylko jedno: dać czadu, kiedy uciekniemy. Szakal zachichotał.

- A chyba przyznasz, że to już przećwiczyliśmy, prawda?

- Boże, miej nas w opiece. Szkoda, że nie mogę wrócić do kotłowni. Nigdy nie chciałem być sternikiem.

- Dasz sobie radę, Ned - zapewniał go Loach. - Nie zdziwiłbym się, gdybyś dostał za ten manewr krzyż walecznych.

- Oczywiście pod warunkiem, że manewr wypali - dodał Szakal.

- Boże, Boże, mój Boże... - wymamrotał Ned i naciągnął na czoło swój mały biały kapelusik.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, gdy wtem Szakal zmrużył oczy i pochylił się do przedniej szyby. - Chyba widzę drogowskaz - powiedział.

Ned i Loach mogli go odczytać dopiero po przejechaniu kilometra. "Uwaga - droga jednopasmowa

Most nad Sulfer Creek 3 kilometry"

- Zaczynamy, Ned. Dorzuć węgla! - Loach otworzył drzwiczki w przepierzeniu i krzyknął: - Uwaga! Trzymajcie się i bądźcie gotowi. Do celu trzy kilometry.

Ned zredukował biegi i wcisnął gaz do deski. Olbrzymi silnik zawył na wysokich obrotach, maszyna skoczyła jak spięta ostrogami. Jechało się mu inaczej niż wtedy, kiedy zastawiali pułapkę na Boyle'a; tamta droga była równa, zakręty łagodne. I nie dało się tego porównać z jazdą po oblodzonym zboczu, kiedy hamował silnikiem. Ta droga była drogą typowo górską, z zakrętami co kilkaset metrów, a na każdym zakręcie stał znak ograniczenia prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę. Wrzucił dwójkę i tak trzymał, żeby za każdym razem nie zwalniać, a kiedy wychodzili na prostą, dawał po garach. Wielki transporter ryczał, trzeszczał, zostawiał za sobą kłęby sinawego dymu. Zanim ujrzeli przed sobą most, strzałka wskaźnika temperatury chybotąła na granicy czerwonego pola. - Wal prosto przez most, a potem ostro po hamulcach - warknął Loach. - Spróbuj zatrzymać się tak, żeby tyłek wystawał nad skarpą. - Tak jest, szefie - odrzekł słuźbiście Ned.

Zacząło go to wciągać. Kiedy przejechali most, kopnął pedał hamulca, szarpnął dźwignią hamulca ręcznego i z zablokowanymi kołami skręcił w lewo. Tyłem maszyny zarzuciło i transporter osiadł dokładnie tam, gdzie chcieli. Ned wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jak łodzią na dok, co?

Siła bezwładności cisnęła Loacha i Szakala na przednią szybę, a ludzi i rzeczy w kabinie - na przepierzenie. Ned i Szakal byli trochę oszołomieni, ale Loach natychmiast wstał, przestąpił nogi pólężącego brata i otworzył drzwiczki.

Rodney siedział na podłodze obok Juke'a, w chmurze dymu z resztek rządowej mikstury dla chorych na płuca.

- Wszyscy wysiadać! - wrzasnął teozof. - Szybko! Szybko!

Niemal natychmiast pchnięto tylne drzwi i pasażerowie wypadli na zewnątrz. Rodney podał Monie okulary. - Masz, nałóż, cioteńko.

- Są pęknięte, kochanie. Wszystko jest popękane, wyszczerbione, zniszczone. Och, Rodney, co się tu właściwie dzieje? Co nasz doktor chce zrobić?

- Gwarantuję, że ma jakiś plan. On zawsze ma jakiś plan. Z tym że plan niekoniecznie musi się nam podobać. - Cicho, skarbie.

- Chryste, przecież wyrzucili nas z transportera jak skrzynkę z kurczakami i zostawili samym sobie! Tak, już dawno powinniśmy na to wpaść. Ten przeklęty Loach to kawał drania, to kryminalista. On i ten jego braciszek. Para łajdaków. Kto mną tak potrząsa, do ciężkiej cholery?!

- Dość tego, panie Makai. Proszę wstać. Teraz musimy utrzymać dyscyplinę.

Loach przykucnął w cieniu skarpy i wbił wzrok w jej brzeg. Czekali pod drewnianym mostem. Obcasy grzęzły im w dnie wyschniętego potoku. Usłyszeli cichy pomruk i po deskach nad ich głowami przetoczyły się koła. Pomruk oddalał się, wreszcie ucichł zupełnie. Loach wstał i strącając rękami małą lawinę kamyczków, zaczął wdrapywać się na szczyt skarpy.

Pasażerowie transportera zostali na dole. Z zadartymi głowami, czekali w milczeniu. Ze szpar między deskami sypał się pył. Opadał na kapelusze, apaszki i szarfy. Loach odwrócił głowę. - Dobra, teraz.

Jego głos wypełnił pustkę. Wszystko zamarło. Pasażerowie zastygli w bezruchu. Nawet Boyle wstrzymał oddech.

- Jazda! - krzyknął teozof zsuwając się ze skarpy. Stał obok Juke'a. - Pilnuj Boyle'a. Pomóż mu wejść na wzgórze. Jeśli zacznie brykać, daj mu w łeb. A reszta pakować się!

Podniósł plecak, zarzucił go sobie na ramię i wziął jeszcze dwie puszkę z amunicją; objął je palcami tak jakoś niezgrabnie, ostrożnie, jakby były wysmarowane żywicą. Szakał już szedł, doktor Kain również, ale pozostali nie drgnęli z miejsca. Myśleli, że za chwilę znów usłyszą stłumiony warkot.

- No! Po to tu przyjechaliśmy! - krzyknął Loach. - Albo pójdziecie, albo zostanieie tu na zawsze!

Gniewny wybuch przywrócił ich do życia. Mona pomogła Ramonie. Ojciec Paul otrzepał kolana z pyłu. Chick szybko wyjął aparat, wykadrował Loacha między wspornikami mostu a zboczem skarpy, pstryknął zdjęcie i schował aparat do walizeczki. Każdy brał jakiś bagaż i ruszał za teozofem: Gaby, wolniejsza niż pozostali, chwilę zwlekała. Wsunęła rękę między krzewy i wyciągnęła torebkę z wypłowiałej skóry; musiała wypaść z transportera, jak cała reszta. Włożyła ją do plecaka i poszła za doktor Kain.

Loach dał znak, żeby podeszli bliżej. Zbili się w gromadkę. Teozof wskazał na bliski horyzont.

- Idziemy do tej grani. Tam są drzewa... schronienie. Chcę, żebyście szli szybko i nie zatrzymywali się, dopóki nie powiem. Choć starali się utrzymać szyk, szli bezładnie, jak

banda żołdaków, którzy nie umieją wyrównać kroku. Juke wypełnił rozkaz Loacha: chwycił Boyle'a za łokieć i prowadził go jak staruszkę. Wchodzili na zbocze, zmierzali do brzegu skarpy. Loach zwolnił, przepuścił ich przodem i klepnął Szakala w ramię.

- Prowadź - rzucił. - Na szczyt skarpy, potem między drzewa i krzewy. Żadnych przystanków, żadnego zrywania kwiatków czy robienia zdjęć.

Szakał kiwnął głową i roześmiał się cicho. Nagle spojrzął na ziemię i umilkł. - Charlie...

- Cholera jasna! - syknął Loach idąc za jego wzrokiem. - Nikomu nic nie mów. Nie ma sensu ich straszyć. I pogadaj z doktor Kain. Ona na pewno to zauważy.

Szakał poprawił szelki plecaka i uśmiechnął się dziwnie.

- Dobra, racja. Nawiązało się między nami coś w rodzaju porozumienia.

- A propos - spytał wesoło Loach. - Wzięliśmy amunicję?

- Nie wiem, sprawdźmy - odrzekł Szakał ze śmiechem. - Mamy kryształową kulę, trochę oleju w głowie, trochę sprytu. No i mamy pojemniki na amunicję, ale czy zabraliśmy amunicję jako taką? Wątpię.

Jocelyn spojrzała w stronę szczytu stromego wzgórza. Czowała się tak, jakby siedziała w przednim rzędzie kina. Zmierzali do krawędzi starego krateru, stąpając niezdarnie po jęczorach porowatych skał wulkanicznych. Przed sobą widziała plecy ludzi obciążonych plecakami, pakunkami i pudłami. Prowadził Szakał. Za nim szedł Boyle, teraz już uwolniony z więzów; targał najwięcej bagażu. Za mormonem szedł Chick, Rodney, Juke, Loach, siostry Makai i ojciec Paul. Nie widziała Gaby. Spojrzała przez ramię i zobaczyła ją kilka kroków dalej. Dziewczyna położyła torby na ziemię, trzymała się za brzuch i ciężko oddychała. Jocelyn podeszła do niej i mocno chwyciła ją za ramię. - Źle się czujesz?

- Nie, wszystko w porządku - odrzekła Gaby nadržabiając miną i głosem. - Mdli cię? Dziewczyna spojrzała na nią i twarz jej złagodniała. - Trochę. Ale zaraz mi przejdzie.

- Masz, weź to. - Jocelyn podała Gaby jedno ze swoich pudeł. - Jest mniejsze i lżejsze. Możesz iść dalej?

- Chyba tak. - Dziewczyna wzięła pudło i ramię w ramię ruszyły w górę zbocza.

W trakcie marszu Jocelyn obserwowała wzgórze i okolice. Czarne jęczory prastarej lawy. Drzewa, żywe i martwe. Surowa ziemia. Wszystko chce przetrwać, wszystko zмага się z losem, który każe tu żyć roślinom i zwierzętom. Doszła do wniosku, że są na pasie skał pochodzenia wulkanicznego, który ciągnie się na wschód od Oregonu i stanu Washington, docierając aż do Idaho i Montany. Odnotowywała w pamięci nazwy gatunków traw,

krzewów i drzew, zapamiętała kolor mchu na skałach. To chyba Idaho, myślała. Ale która jego część, nie wiedziała. Spróbuje ustalić to później, kiedy wyjmie z plecaka książki.

Gdy dotarli na szczyt wzgórza, w dali ujrzeli małą chatkę. Szakal przystanął i zaczął na maruderów. Wskazując chatkę powiedział: - To dobre miejsce na obozowisko.

Nagle z dołu, ze zbocza, dobiegł ich głośny szelest. Aż podskoczyli. Pancernik. Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak znika w skalnej dziurze. Szakal westchnął.

- Szkoda, że nie zabrałem pary. Przyjechalibyśmy tu za kilka lat i co byśmy zobaczyli? Pancerne wzgórze!

Śmiejąc się ruszyli w stronę domku. Był stary i zmurszały. Na poszarzałych deskach widniały ślady zwierzęcych pazurów. Nad otwartymi drzwiami wisiała tabliczka z ręcznie rzeźbionym napisem. Napis głosił: "Kuternoga". Mona pchnęła skrzypiące drzwi i zajrzała do środka. - Milutko tu. Nie będziemy musieli spać na zimnie.

- Wszyscy się nie zmieścimy - zauważyła Gaby. - Ciasno tam jak w wygodce.

- Ciekawe, kim był ten Kuternoga, myślała głośno Jocelyn. Mona i Ramona wymieniły znaczące spojrzenia.

- Trzeba pomóc przy rozbijaniu obozowiska i zająć się kolacją - oznajmiła Mona, raptownie zmieniając temat. - Spytam Douglasa, co mamy robić. - Pójdę z tobą - powiedziała Ramona.

Szakal budował małe ognisko, a Rodney leżał plackiem na rozłożonym śpiworze. Mona uklękła przy siostrzeńcu.

- Rodney ma chyba kłopoty. - Próbowała ułożyć go wygodniej.

- A kto ich nie ma? - prychnęła przechodząca obok Gaby. - Wujku, co na obiad? Szakal zachichotał.

- A co wolicie? Wieprzowinę z fasolą czy fasolę z wieprzowiną?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wybieram wieprzowinę z fasolą - rzuciła wesoło Jocelyn i dodała już całkiem poważnie: - Tamci mogą wrócić. Jesteś pewien, że nie zauważą nas z drogi?

- Nie, tutaj nas nie zauważą - odrzekł podając jej talerz.

Gaby spojrzała na gotowaną fasolę, zbladła i szybko odwróciła głowę. - Nie jestem głodna. Idę się przejść. - Gdzie ten mój braciszek? - spytał Szakal.

- Kiedy go ostatnio widziałam, siedział przed chatką i przeglądał jakieś dokumenty - odrzekła Mona.

Szakał poprosił, żeby się częstowali, gdyby mieli ochotę na więcej. On musiał omówić coś z doktorem. Odszedł od ogniska i przez chybotliwe cienie ruszył w stronę domku.

Loach siedział na poduszce. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, jak Indianin. Przy jego kolanie stała lampa naftowa, a przed nim leżały rozłożone mapy i papiery. - Co się dzieje? - spytał. - Nic takiego. Co czytasz?

- Takie tam broszurki o sztuce jaskiniowej. Uzupełniam wiadomości, można by powiedzieć. Szakał uniósł brwi i ściągnął w zamyśleniu usta.

- Rozumiem. Boisz się, że doktor Kain zacznie cię przyciskać i wypytywać o fakty? - Nie, tym się nie martwię.

- No to co cię gryzie? Chick cię niepokoi? - Szakał wybuchnął śmiechem.

- Nie - odrzekł Loach. - Z fotoreporterami umiem sobie radzić. - Boyle? - strzelał Szakał. Loach pokręcił głową i nie odpowiedział.

Szakał popatrzył na rozłożone papiery. W blasku lampy wyglądały jak pożółkłe dokumenty wydobyte z krypty archiwum.

- Widzę, że masz tu jakieś mapy - zauważył. - Martwisz się, że nie znajdziemy drogi do naszej groty? Nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów. - Nie - odparł Loach. - O to się nie martwię. - No to o co? O te ślady?

- Nie. Martwi mnie nasz Elektryczny Anioł. Po pierwsze, dziwnie się zachowuje. Sprawia wrażenie chorej. Po drugie, myślę, że zwędziła moją księgę.

10. Gaby czyta księgę... Ojciec Paul widzi światło...

Szakal siedział na skraju obozowiska i patrzył, jak członkowie wyprawy szykują się do snu. Na nocleg w chatce nie zdecydował się nikt. Syczeniu i potrzaskiwaniu ognia towarzyszyły szepty siostr Makai, które rozłożywszy maty, mościły się w śpiworach. Śpiwór Mony był trochę przyciasny, więc przewracała się z boku na bok niczym wielka ćma usiłująca wrócić do kokonu.

Rodney leżał skulony, a na jego lśniącej łysinie, z której zsunęły się starannie przylizane włosy, igrał blask ognia. Obok niego spał Boyle; siedział ze skrzyżowanymi nogami, przykryty derką. Głowę miał odrzuconą do tyłu, usta otwarte. Jeśli ten jego złoty ząb przyciągnie ćmy, pomyślał Szakal, Mona przepadła.

Legł na plecach i spojrzał na niebo. Lubił noc. W Moab, kiedy wysiadła prądnica, siadywał na dworze i patrzył w gwiazdy aż do świtu. Pomyślał o zwierzętach, które wypuścił na wolność. Zastanawiał się, jak sobie poradziły podczas pierwszej nocy na swobodzie - czyły się bezpieczniej w klatkach czy pod rozgwieżdżonym niebem? Podciągnął wyżej koc. Było chłodno. Nadciągała zima.

Jedyną osobą przy ognisku, która jeszcze nie ułożyła się do snu, była Gaby. Z twarzą zasłoniętą długimi włosami, grzebała w plecaku. Wtem podniosła wzrok, jakby wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Zobaczyła Szakala. Spotkali się oczyma, ale nie wytrzymała długo jego spojrzenia. Uległa i wsunęła się pod koce.

- Dobranoc, pchły na noc - mruknął Szakal i znieruchomiał.

Gaby przesuwiała palcami po chropowatym grzbiecie oprawionej w płótno księgi, ukrytej głęboko w plecaku. Wróciła pamięcią do dawnych czasów, kiedy jeszcze występowali. Loach trzymający księgę. Loach pochylony nad nią z ogryzkiem ołówka w rękę i piszący coś po spektaklu, kiedy cyrkowcy wrócili już do swoich wozów, a publiczność do domów.

Rozejrzała się. Ogień dogasał. Wstała i przeszła cicho przez obozowisko. Przystanęła koło sterty sprzętu i wzięła jeszcze jeden wełniany koc z demobilu. Zerknęła przez ramię i wrzuciła do torby karbidówkę Szakala.

Minęła chatkę i szybko poszła dalej. Pod jej stopami pękały z trzaskiem suche gałęzie, ale teraz nikt już Gaby nie widział. Odetchnęła głęboko. Po raz pierwszy od wielu dni mogła uciec od widoku i zapachu ludzi.

Wiatr postukiwał gałęziami drzew. Wydawały suchy, pusty odgłos. Usadowiła się na kocu, oparła plecami o wielki głaz, nogi okryła kocem z demobilu, po czym wyjęła karbidówkę i obejrzała ją. Przekręciła kurek otwierający dopływ wody, dokładnie tak, jak

demonstrował im Szakal, i chwilę odczekała. Kiedy usłyszała syk acetylenu, osłoniła dłonią lusterko i dotknęła palcem zębatego kółeczka; urządzenie przypominało jej starą turkusową zapalniczkę, którą kiedyś miała. Przekręciła je szybko, zgromadzony w pojemniku gaz cichutko pyknął i z otworka na dnie wklęsłego lusterka wytrysnął cieniutki niebieskawy płomyk, ostry jak nóż rozcinający mrok.

Ostrożnie ustawiła karbidówkę na głazie za plecami, jak lampę do czytania. Szeroko otwartą torbę położyła na sosnowych igłach obok koca. Najpierw wyjęła z niej pognieciony karton papierosów, a z kartonu wysupłała paczkę Chesterfieldów. Ostatnią. Otworzyła ją paznokciem kciuka. Cholera! Paznokciec był złamany. Ledwie tydzień temu robiła manicure, jeszcze dziś rano karton był pełny! Nie ma co, taka wycieczka może człowiekowi dać w kość... Wetknęła papierosa między wargi, potarła zapalną o złamany paznokciec. Wydmuchała dym i wsunęła się głębiej pod koc.

Nie widziała leżących wokół ogniska po drugiej stronie chatki, ale od czego jest wyobraźnia. Większość pewnie już śpi. Rodney - jak zabity. Gruby Boyle, związany i wykiwany, wciąż siedzi oparty o skrzynkę. Tak, to było naprawdę coś. Przechytrzyli liska chytruska. Jak kiedyś, jak za dawnych czasów.

W końcu wyciągnęła z torby księgę. Wciąż pachniała cyrkiem: trocinami, końskim łajnem, krezotem do impregnacji słupów i namiotowego płótna. Otworzyła ją powoli i przesunęła dłońmi po chłodnych stronicach. Chwycił ją strach, poczuła gwałtowne podniecenie i coś jeszcze. Zamknąć księgę? Nie, nie teraz - za późno. Sejf był otwarty, w rękach trzymała pieniądze, przestępstwo już się dokonało.

Szybko przerzucała kartki, zerkając pełnym winy wzrokiem to w ciemność, to na zapisane stronice. Nagle coś przykuło jej uwagę tak mocno, że aż drgnęła, jak ryba na haczyku. Rysunek ludzkiej stopy. Surowy szkic ołówkiem. Pochyliła się nad księgą. Jakiś napis, tuż pod rysunkiem. Przebiegła go wzrokiem i natychmiast przeczytała jeszcze raz. Przestała oddychać. Słyszała syk gazu w karbidówce, jego tajemniczy szept. Musnęła palcami powierzchnię papieru chcąc się przekonać, czy napis nie zniknie pod dotykiem. Dlaczego natrafiła na akurat tę stronę? Dlaczego akurat dzisiaj? Rozwarła księgę jeszcze bardziej i wtedy zobaczyła zakładkę: twardy, płaski czerwono-czarny przedmiot. Na jego końcach były wypisane litery "S" i "N" - dokładnie takie same jak na rysunku.

Przejrzała na oczy. Wspomnienia wyostrzyły się, ułożyły w zrozumiałą całość. Zobaczyła go jasno i wyraźnie. Jarmark. On stoi w tym swoim czarnym cylindrze i nabija frajerów w butelkę. Słyszała jego głos, widziała jego zwinne ręce. Wszyscy się na to

nabierali, zwłaszcza mama. Uwielbiała tę sztuczkę do samego końca, do chwili, kiedy musiała ich zostawić.

Zatrzasnęła księgę na płaskim magnesie i wybuchnęła gromkim śmiechem. Miała to gdzieś, czy ją tamci usłyszą, czy nie. Śmiała się do utraty tchu, aż krew uderzyła jej do głowy.

- Frajerzy! - wymamrotała. - My, my wszyscy! Głupi, naiwni frajerzy!

Z oczu puściły się jej łzy, a śmiech przeszedł w głośny szloch. Boże, jak nienawidziła płakać. Co za dzieciuch.

- Przestań! - powiedziała i usiadła prosto. - Cicho! Cicho bądź!

Stłumiła płacz i po chwili znów dobiegło ją przytulne syczenie gazowego płomyka w karbidówce. Nagle usłyszała coś jeszcze...

Ojciec Paul stał na skraju obozowiska zapinając spodnie. Miał nadzieję, że nikt go nie widzi. Bo niby dlaczego miałby go ktoś zauważyć? Odkąd zrzucił koloratkę, mało kto tak naprawdę zwracał na niego uwagę. W najlepszym wypadku był tylko nie rzucającym się w oczy księdzem, a bez duchownych szat stał się praktycznie niewidzialny. Jedyne Gaby czasami go zauważała, choć nie tak często, jak by tego pragnął.

Zastanawiał się, dokąd poszła. Pośród śpiących wokół ogniska nie widział jej. Ostatnio wyraźnie się w sobie zamknęła, wyalienowała. Zwłaszcza dziś wieczorem. To zupełnie obca dziewczyna, jakże inna od tej, która opatrywała mu skaleczoną rękę. To było takie miłe. Co się stało? Gdzie poszła spać? Czyżby przytrafiło jej się coś złego? W tych ciemnościach mogła upaść, mogła zrobić sobie krzywdę.

Przeszedł kilka kroków w jedną stronę, kilka w drugą. Chodził bez celu, deptając chrust. Dokąd mogła sama pójść? I dlaczego? Nagle przypomniał sobie, co sam przed chwilą robił, i spiekł raka. Przecież kobiety też mają potrzeby fizjologiczne, a takie potrzeby najlepiej zaspokajają się w samotności. Może powinien poczekać trochę dłużej.

Zawróciwszy do obozowiska, potknął się o kamień i uderzył głową o nisko rosnącą gałąź. W ciemności zawsze kiepsko widział, zwłaszcza bez okularów. Przystanął na chwilę, pocierając zadrapanie czoło. Nie chciał wracać do ogniska. Chciał porozmawiać z nią sam na sam, bez świadków. A jeśli odmówi? Odmowę zniesie, ale pośmiewiska zrobić z siebie nie da. Nie, tego by nie zniósł. Rodney rzuciłby jakąś szyderczą aluzję, Szakał zacząłby klepać się po kolanach i szczerzyć zęby w głupim uśmiechu, siostry Makai wznosiłyby modły do tych swoich zwariowanych bóstw. Nie, tak będzie lepiej. Gdyby ją tu spotkał, zaśmiałyby się, jak to ona, zażartowałyby, i byłoby po wszystkim. I mogliby wrócić razem do obozowiska.

Oparł się o pień drzewa i wdychał głęboko czyste nocne powietrze. Nad nim wirowały gwiazdy. Tu, na pustkowiu, czuł obecność żywego Chrystusa bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Gwiazdy były kwintesencją ducha prawdy, który płonął mu w piersi. To raj, to świątynia ziemskich rozkoszy. Dlaczego nigdy przedtem sobie tego nie uświadamiał? Te wszystkie lata spędzone w zamknięciu, te porosłe pleśnią dni. Żył jak w zjełczałym śnie. A przecież wystarczyło tylko wyjść, wystarczyło stanąć pod czystym niebem i oto widział Boga w każdym liście, w każdej gwiazdzie, w każdym oddechu. Bóg jest tu, pod otwartym niebem, tu świeci jego światło!

I rzeczywiście, w tej samej chwili je zobaczył! Kilkanaście kroków dalej, po prawej stronie, za pniami sosn i głazami - jasnoniebieski świetlisty punkcik, opromieniający oblicze samej Madonny! Och, dlaczego nie zabrał okularów! Oto ukazuje mu się najświętsze światło, a on zostawia okulary w śpiworze! Z drugiej strony, okulary to tylko zawada, jedna z wielu przeszkadzających człowiekowi. Odwracanie się plecami do natury jest grzechem. Cnotą jest iść przez życie bez sztucznych okowów. Bo droga cnoty jest zawsze świetlana. Mój Boże, mój dobry Boże! - Słucham? - spytała Gaby.

Ojciec Paul nabrał garść ziemi. Szedł, a ziemia przesypywała mu się przez palce.

- Ziemia - powiedział. - Niektórzy mówią, że jest brudna. Nie, ziemia jest czysta. Dzięki ci, Panie. Dzięki ci, że dałeś nam ziemię. - Dzięki - rzuciła Gaby.

Stał między świętymi drzewami, rękami muskał z nabożeństwem ich pnie. Osika. Pieścił dłońmi jej mlecznobiałą skórę, odrywał długie paski kory, zwinięte niczym poskręcany papier.

- Och, siostró - powiedział do drzewa. - Wszyscy jesteśmy dziećmi w ogrodzie Pana naszego. - A to na pewno - zgodziła się Gaby.

Czuł się czysty, pewny siebie jak nigdy w życiu. Szedł omywany przez mroczną magię przyrody.

- Tak - powiedział. - Ale sztukmistrz nigdy nie zdradza tajemnicy swoich sztuczek. Nie potrzeba więcej światła. To jest wystarczające. Jest doskonale, absolutnie doskonale.

- No, nie, trochę migocze, ale da się przy nim czytać. Wiatr poruszył gałęziami. Zagrzechotały jak kości świętych. Zimny sierp księżycy zwiślał nisko nad ziemią, niczym srebrne wahadło. Gaby spojrzała na przybysza.

- Padre, zawsze tak się skradasz w ciemności?

Ojciec Paul podszedł bliżej i zmrużył oczy w blasku karbidówki.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że się skradam - odrzekł. - Co tu robisz, jeśli wolno spytać?

- Nadrabiam zaległości w czytaniu. - Spomiędzy fałd sukienki wyciągnęła otwartą księgę, przysunęła ją do światła i zrobiła mu miejsce na kocu. - Proszę, niech ksiądz siada.

Ojciec Paul usadowił się na kocu z delikatnością jedwabnej szarfy z tajemnego kufra, był leciutki niczym światło gwiazd.

- Co porabiasz na tym pustkowiu? - spytał moszcząc się wygodniej.

- Mówiłam już, czytam. - Spojrzała na niego. - Pytanie, co ksiądz tu robi.

- Zobaczyłem światło i pomyślałem sobie, że sprawdzę, czy wszystko u ciebie w porządku.

- U mnie? Jak najbardziej, padre. Czuję się znakomicie, bombowo. - Jakby dla podkreślenia swych słów, położyła ręce na otwartej księdze. - Na pewno? - spytał. - Oczywiście. Dlaczego ksiądz pyta? - Dlaczego jesteś tu sama?

- Bo nikogo innego tu nie ma. Chyba musiałam trochę pomyśleć - dodała nieco łagodniej. Zawahała się. - I przeczytać to. - Wskazała księgę. - To twoja? - Skądże znowu! - odrzekła z urazą. Lekko wzruszył ramionami. - Nie miałem na myśli nic złego.

- Możliwe - mruknęła. - Ale on miał. W tej przeklętej księdze nie owija niczego w bawełnę, sukinsyn jeden! - Przerzuciła kilka kartek, aż natrafiła na miejsce zaznaczone płaskim magnesem. - Proszę! - wykrzyknęła podekscytowana. - Niech ksiądz tylko spojrzy!

Ojciec Paul spojrział. Jej szyję i twarz oblewał tak cudny rumieniec, że zakręciło mu się w głowie. Madre

- Ta cała moc, którą niby postrzegamy? To oszustwo, ojcze! - Złamanym paznokciem kciuka dźgnęła rysunek stopy w księdze. - Nie ma w tym ani krzty prawdy!

- Wiem, moja droga, wiem. - Drżącymi palcami otarł jej łzy. - Mimo to żyjemy.

- Tak, żyjemy, wędrujemy, dotarliśmy aż tutaj, do tego pustkowia! I nie mamy już dokąd iść! Podniósł wzrok.

- Czyż kiedykolwiek było inaczej? Nigdy. To zdumiewające.

- Zdumiewające?! Szlag by to! Niech ksiądz posłucha, do ciężkiej cholery. Co w tym zdumiewającego? Gównno. Jest tu nawet rysunek, który pokazuje, jak schować magnes w skarpetce. Ten przebiegły sukinsyn narysował go dziesięć lat temu! Dziesięć lat temu, na Boga!

- Uspokój się, moje dziecko. I nie wzywaj imienia Boga swego nadaremnie. To nie jego wina. Wina tkwi w nas.

- Nic nie rozumiesz, ojcze, nic bez okularów nie widzisz! Ja w niego wierzyłam! Wierzyłam w niego przez całe lata! A teraz okazuje się, że to zwykły oszust. - Wytarła nos w jego rękaw.

- Ciiicho, ciiicho. - Ojciec Paul poczuł, że budzi się w nim dusza księdza. - Nie wolno odwracać się do niego plecami. On jest tym prawdziwym. On jest jedynym prawdziwym światłem. Światłem bliższym i bardziej prawdziwym, niż nam się zdaje. - O słodki Jezu... - westchnęła Gaby.

Robiło się coraz chłodniej. Ojciec Paul otoczył ją ramieniem i przytulił. Jej skóra była jak błogosławieństwo pachnące pszenicą.

- Świątynia ziemskich rozkoszy - powiedział.

Próbowała uwolnić się z jego objęć, ale robiła to bez przekonania.

- Nic ksiądz nie rozumie! Musi mnie ksiądz wysłuchać! Musi ksiądz na to spojrzeć!

Ojciec Paul słuchał i patrzył. Widział delikatne pismo, słyszał szelest palców sunących po papierze. Tu i ówdzie mógł nawet odróżnić litery: wygięte "l", a może wielkie "L"? Nie miał pewności.

- Chwyta ksiądz? - mówiła dalej Gaby. - Rozumie ksiądz, że to czyste oszustwo? Ojciec Paul błędził wzrokiem po jej twarzy. - Pszenica - powiedział. - Słucham?

- Bróg pszenice osadzony liliami. Pieśń Salomona. Jako tkanica karmazynowa wargi twoje.

- Jasne, ale niech ksiądz posłucha. Tu chodzi nie tylko o ten numer, ale o wszystko, rozumie ksiądz? Chodzi nie tylko o jarmarczne występy, ale o cały ten pieprzony interes!

Zaprawdę, usta Madonny. Jak klejnoty, jak szlachetne kamienie. Ale nie, nie pierwszej wody. Drobniotkie zanieczyszczenia powodują, że klejnoty zyskują unikalny kolor; malarze twierdzą, że dzięki kropli czarnej farby dodanej do kilku litrów farby białej biel zyskuje na wyrazistości.

Jej włosy musnęły mu nos. Emanował z nich upojny, rozgrzewający zapach. Zrobił głęboki wdech, wdech pełen jej ciepła, jej ubrania, jej smaku.

- Wie ksiądz, co mnie wkurza? To, że ludzie są jak szczury. Wszyscy, bez wyjątku. Oczywiście, nie mam na myśli księdza. Wygodnie?

Niezdarnie dotykał ręką jej pleców. Pochyliła się. Głowa opadła mu do tyłu.

- Tak, dziękuję - odrzekł chrapliwie. - Wygodnie. Wygodniej niż kiedykolwiek w życiu.

Ale z drugiej strony przecież tak słabo siebie znał, tak niewiele wiedział o życiu. Był jak blaszana choinka świąteczna, był wystrojonym przedmiotem. Dotychczasowe życie... To tylko słowa na pergaminie. Dopiero teraz. Ten ruch, ten przyływ! Czuł się jak dziecko na rozkołysanej wodzie, czuł, że spada... i zawisa w przestrzeni.

I nagle uświadomił sobie, że ściska w ręku kamień z mszalnego kielicha. Jak się klejnot tam znalazł, tego nie wiedział. Ale spostrzegł, że siedząca przy nim kobieta znika, i poczuł, że kamień zaczyna pulsować. Tuż obok słyszał czyjś wolny oddech, oddech człowieka śpiącego, i nie wiedział, czy to on tak oddycha, czy ktoś inny. Czuł też łzy.

- Cholera, przepraszam księdza. Wszystko przez to, że to już czterdzieści dni. Przepraszam, nie cierpię płakać. Czterdzieści dni, szlag by to, i nic...

Słyszał jakieś głosy? Wyteżył słuch. Błękitnawe światelko zgasło. Był sam. Księżyc zaszedł, koce zniknęły. Nadciągał chłód bliskiego świtu. Ale nie było mu zimno. Niebieskie iskry wnikały głęboko w jego stare, suche kości. I nigdy stamtąd nie uleczą.

- Słowa, to tylko słowa - wyszeptał. - Nocne żmije, poranne modły. Zanim kogut trzy razy zapieje...

Gaby dostrzegła poświatę bijącą z dogasającego ogniska. Nic dla niej nie znaczyła. Nie kryło się za nią ani ciepło, ani ludzie, ani poczucie bezpieczeństwa. Obozowisko było dla niej jak sto innych miejsc, które przestały ją obchodzić. Z tyłu leżał ksiądz. Spał jak zabity. Szkoda, że nie umiem tak spać, pomyślała. Nic by mnie nie obudziło, nic. Nawet gdyby zrobiło się zimno, spałabym na siłę, spałabym i spała, nago czy w ubraniu, głodna czy najedzona. Zacisnęłabym powieki i dalej, niech wieje wiatr, niech zamarznię na kość. Miałabym to gdzieś. Ani bym drgnęła. Modliłabym się, żeby zaczął padać śnieg, żeby mnie czym prędzej zakrył. I kiedy by mnie w końcu znaleźli, spałabym pod śniegiem, świeża jak pstrąg na lodowym półmisku.

Zadrżała z chłodu i weszła między śpiących. Kocę rozesała jak najbliższej rozżarzonego kręgu ogniska.

11. Do jaskini, tłuszcz w ognisku, zniknięcie księdza...

Był wczesny ranek. Chick Ferrell siedział na pniu koło strumyka. Z otwartym notatnikiem na kolanach obserwował członków wyprawy Loacha śpiących wokół ogniska. W notatniku napisał:

Kłębuszki pary z oliwkowych kokonów. Sójki tańczące na rachitycznych sosnach. Zeskakują, myszkują między skałami. Niebo jak niepokojąca obietnica. Nie śpię od świtu, nie wiem dlaczego. Może ze szczęścia, że nie musimy już tłamsić się w transporterze? Może przez to górskie powietrze, które uderza do głowy jak wino? A może to niedaleka perspektywa osiągnięcia tak długo poszukiwanego celu - tajemnej jaskini? Może właśnie to tak na mnie działa? A może nie śpię po prostu dlatego, że Makai jeszcze śpi. Bez względu na przyczynę, czuję się przecudownie. Co za ranek! Nie, nawet jeśli ten pasożyt się zbudzi, to i tak mi go nie zepsuje.

W tej samej chwili okrągła gula tuż obok poruszyła się. Chick z zamierającym sercem pomyślał, że jego ołówek jest połączony z mózgiem Rodneya jakimś niewidzialnym przewodem, który uruchamia system alarmowy. Z otworu śpiwora wychynęła pulchna dłoń, potem nadgarstek ze złotym zegarkiem marki Bulova, jeszcze potem parówkowate przedramię. Przez kilka sekund ręka badała temperaturę powietrza, później zniknęła. Śpiwór zaczął się rozpinać.

- Dzień dobry, Makai - powiedział Ferrell. - Wspaniały ranek, prawda?

Milczenie. Chick widział tylko wijącą się bryłę mięsa i materiału, która próbowała usiąść. Makai był całkowicie ubrany. Całkowicie, łącznie z krawatem i pantoflami. Przed snem zdjął tylko getry. Znalazł je i natychmiast założył.

- Dla ciebie jestem pan Makai - mruknął w końcu, walcząc ze sznurowadłem. - A ranek wcale nie jest wspaniały, cholera. Lewa stopa spuchła mi jak bania.

Chick wstał i podszedł do Rodneya, zamykając notatnik.

- Brat Loacha ma zapasowe buty. Takie długie, z grubą podeszwą. Załóż je lepiej.

- Te buciory? Czy ja wyglądam na prostaka? Makai stał chwiejnie na chudych nogach, drapał się po wystającym brzuchu i rozglądał dookoła. Chick pomyślał, że Rodney przypomina beczkę z wodą osadzoną na kijach od szczotki. Wbrew sobie parsknął śmiechem.

Makai spojrział na Ferrella, jakby chciał go zmiażdżyć wzrokiem, i kilkoma niezdarnymi ruchami spróbował wygładzić fałdy na garniturze.

- A to co znowu, Ferrell? - warknął. - Przestań chichotać i chodź tu. Pomóż mi rozpaść duże ognisko.

Chick nie drgnął z miejsca. Głos Rodneya przeszedł w konspiracyjny szept.

- No dobra, w takim razie rozpal małe ognisko. Zrób to jak grzeczny chłopiec, to zdradzę ci pewną tajemnicę. - Tak? Jaka?

- Smakował ci ten pyszny boczek z miodu, który jadłeś w Moab? Smakował, bo obzerałeś się jak goryl. Jak na bystrego faceta przystało, zwinąłem resztę polcia. Mam go na dne plecaka. Posłuchaj, jeśli będziemy ostrożni, zdążymy go wciąć, zanim ci wariaci otworzą oczy. Co ty na to? Chick wzruszył ramionami. - Dobra, czemu nie.

Zszedł w dół zbocza i wrócił z naręczem drobnego chrustu.

Rodney kucnął przy tylnej ścianie chatki, koło sterty sprzętu, który tam złożyli, i dmuchał na kupkę suchej trawy. Usiłował to robić cichutko, krótkimi, regularnymi dmuchnięciami. Stojący za nim Chick widział, jak szwy jego spodni schodzą się i rozchodzą, niczym akordeonowy miech. Ferrell trochę się wstydził tego, co zamierzali zrobić, ale musiał przyznać, że polec boczku, który Makai rozwinął z papieru, jest bardzo mały - ledwo starczy na dwóch. Westchnął i ukląkł koło szefa.

- Teraz ty - rozkazał Rodney. - Ja daję boczek, więc przynajmniej rozpal ognisko. - Czemu nie - powtórzył Chick.

Dmuchał raz i drugi i po chwili z trawy popłynęła strużka żółtawego dymu, która zaczęła wic się i wspinać po ścianie chatki. Od podnóża skarpy powiał lekki wiatr i przyniósł z sobą stęchły zapach strumienia. Przypominało to odór gotowanej kapusty.

Dymny wąż urósł, zrobił się dłuższy i gorętszy. Kiedy Rodney wrócił z patelnią Szakala, gałęzie już płonęły. Makai wsunął czarną patelnię do ognia.

- Nie buzuj tak, wystarczy - szepnął. Wrzucił boczek na patelnię. - Trzymaj. Tylko żeby ci się nie przekręciła. Chyba sobie poradzisz, co?

Chick przyklęknął na jedno kolano i ujął długą rączkę. Rodney usiadł na zwiniętej drabince linowej i oparł się o popękaną ścianę chatki. Splótł palce na karku, zamknął oczy i wdychał zapach smażeniny.

- O rany, czujesz to? Sztuka przyrządzania wspaniałego boczku wcale nie polega na wędzeniu, kapujesz? Polega na odpowiednim przechowywaniu. Miód. To cały sekret. Wiesz, jak konserwowali faraonów w starożytnym Egipcie? Właśnie tak. Miodem. Wkładali ich do wielkich kamiennych grobowców i zalewali miodem. To dlatego te cmentarne hieny tak za tymi mumiami szalały. Smakosze uważali takie mięsko za największy delikates, a w kręgach kulinarnych jego cena była wprost niebotyczna.

Chick nie skomentował tej ciekawostki historycznej. Wpatrywał się w patelnię z coraz większym przerażeniem. Płomień buchał coraz wyżej, mięso coraz głośniej

skwierczało. Rodney powinien był je pociąć w plastry, jak Szakał w Moab, a przynajmniej odkroić pokrytą włoskami skórę. Teraz już nic nie mogli na to poradzić - boczek pływał zbyt głęboko we własnym tłuszczu. Najbardziej żałował tego, że nie zbudzili Szakala i że nie rozpalili ognia we właściwym miejscu, pośrodku obozowiska. Nie cierpiał robić niczego ukradkiem. Wiedział, że ma wilczy apetyt, znał swoją słabość, ale zaspokajać go ukradkiem? Nie. I nagle usłyszał swój własny głos:

- Makai, to ostatnia rzecz, jaką dla ciebie robię. Ostatnia. Nie jestem twoim pacholkiem.

- Słucham? - Rodney myślał, że górskie powietrze zniekształciło akustykę.

- Reportaż z jaskini. Wiem, że zamierzasz puścić go pod swoim nazwiskiem. To normalka. Ale poza właściwym reportażem zapisywałem i zapisuję własne spostrzeżenia. Chcę to opublikować jako dziennik z podróży. Pod moim własnym nazwiskiem, z własnymi zdjęciami. Wezmę do pomocy Roberta Flaherty'ego i to będzie mój film. Mój. Rodney nawet nie rozplótł palców na karku.

- Co ci jest, Ferrell? Może to ty dorwałeś się do mojego baniaczka? Ciesz się, że w ogóle masz jakąś robotę. Co w ciebie, do diabła, wstąpiło? Świeże powietrze, obozowisko i zapach smażonego boczku dają ci złudzenie wielkości?

Chick nie wiedział, co odpowiedzieć. Makai zawsze umiał go zagadać i otumanić. Poza tym, dym szczypał go w oczy. Mógł tylko odwrócić głowę, zacisnąć pięści, milczeć i płakać. Wokoło unosił się zapach boczku, ale Chick nie odczuwał głodu.

- Dajmy temu spokój - powiedział Rodney. - Podzielimy ten jaskiniowy placek, jak go upieczemy. Teraz zajmijmy się boczkiem, bo go przypalimy. Odlej trochę tłuszczu.

Boczek skwierczał niczym elektryczny wąż domagający się uwagi. Chick wydał z siebie pełne rezygnacji westchnienie i spojrzał na patelnię. Ale oczy wciąż mu łzawiły. Wstał, czubkiem buta zawadził o leżące obok gałęzie i się potknął.

Rodney przewidział, co się stanie. Przewidział, że wrodzona niezdarność może pchnąć Ferrella tylko w jedną stronę, że tylko jeden przedmiot może go do siebie przyciągnąć, niczym magnes żelazo. I rzeczywiście: Ferrell nastąpił na długi uchwyt patelni. Patelnia wystrzeliła w niebo jak z katapulty. Rodney próbował zrobić unik, ale było za późno. Z góry zaczął padać tłusty, połyskliwy deszcz. Krople, niczym małe bomby, eksplodowały na ścianie chatki, na pakunkach, na drabince linowej, a przede wszystkim na niezbyt praktycznym garniturze Rodneya. Kilka kropel upadło mu z płaskim na głowę w miejscu, gdzie włosy odsłaniały łysinę. Tylko kilka, ale to wystarczyło, żeby Makai zerwał się na równe nogi, żeby dziko ryknął i przypuścił szarżę na Ferrella. Ferrell wrzasnął i

zaczął uciekać. Rodney rwał za nim z chęcią mordy w oczach i wymachiwał dymiącą patelnią, jak Wiking toporem wojennym.

Pełna inwektyw i dość głośna pobudka postawiła na nogi śpiących przy wygasłym ognisku. Zanim Loach zdążył zrozumieć, co się stało, chatka już płonęła, zanim zdążyli usunąć stamtąd sprzęt, z domku Kuternogi została tylko kupka żaru. Szakal postanowił ugotować na nim śniadanie.

- Kasza i sorgo - oznajmił. - Nic specjalnego, ale nas pokrzepi. Mięsa nie ma, chyba że ktoś chce to.

Kopnął kawał spalonego boczku w stronę Rodneya i Chicka. Boczek potoczył się po igliwiu, jak piłka rzucona przez sędziego między dwie drużyny - macie, teraz o nią walczyć.

Podniecenie stopniowo mijało, wszyscy rozbudzili się na dobre. Loach i ojciec Paul podgrzewali wodę do golenia. Siostry Makai siedziały na błyszczącym głazie jak na tronie z obsydianu i szczotkowały swoje długie czarne włosy. Jocelyn i Gaby zeszły do strumienia, gdzie znalazły ustronne miejsce, żeby się umyć. Gaby zrzuciła ubranie i z księgą Loacha w rękach zanurzyła się w parującej wodzie aż po ramiona; trochę cuchnącej wody prysnęło na papier, ale miała to gdzieś.

Boyle - w końcu go rozwiązali - siedział na ziemi i pożerał całe góry papki przyrządzonej przez Szakala.

- Ostatnia uczta przed zejściem do jaskini, he? - rzucił do Loacha. - Ostatnia wieczerza, co? - Uśmiechnął się krzywo, żując nie dogotowaną kaszę.

- Nie - odrzekł Loach nakładając sobie porcję. - Do wejścia jest jeszcze pół dnia marszu. Ale w drodze będziemy musieli jeść konserwy.

- Wołowinka? - spytał Boyle. - Wspaniale. Prawdziwy żołnierz nigdy nie zdradzi puszkowanej wołowinki.

- Makai! - krzyknął Szakal do naburmuszonego wydawcy. - Lepiej zjedz trochę kaszy, bo inaczej ty i twój kumpel będziecie musieli zjeść to, co sami upichciliście.

Jocelyn i Gaby wróciły znad gorącego źródła. Jocelyn wyjęła z plecaka kartonową teczkę, rozłożyła jej zawartość na kamieniu i poskubując kaszę z talerza, przerzucała zapisane kartki. Gaby czytała księgę, najwyraźniej chcąc, żeby Loach to zauważył. Teozof ją zignorował.

- Czy to materiały na temat malarstwa jaskiniowego, pani doktor? - spytał podchodząc bliżej. - Pozwoli pani, że na to zerknę? Przyjrzała mu się uważnie. - Proszę, panie doktorze, pozwalam.

Jocelyn klęczała pośród rzeczy wyjętych ze skórzanej torby, którą zwykle woziła przy końskim siodle. Były tam mapy i wykresy, szkice podobne w stylu do malunków Indian z plemienia Anasazi i kartki zapisane drobnym, kształtnym pismem. Loach ukląkł przy niej.

- Powiem panu, co mnie intryguje, doktorze, i założę się, że nigdy by pan na to nie wpadł. Owszem, te malowidła wcale do siebie nie pasują, ale nie w tym rzecz. Nie chodzi mi również o rozbieżności geokulturowe, choć sporo ich tu wykryłam. Nie, panie doktorze, będę z panem całkiem szczerą. Oto, co mnie intryguje.

Znów wyjęła z plecaka teczkę, a z teczki - dużą żółtą kopertę. W kopercie znajdowało się mnóstwo powiększonych zdjęć. Na zdjęciach widniały fragmenty ściany w słynnej jaskini Loacha.

Jocelyn przerzucała fotografie, rozkładając je pośród innych papierów na ziemi. Wyraźnie czegoś szukała.

- Miałam trochę szczęścia i przysłali mi to z Waszyngtonu - powiedziała.

Pozostali członkowie wyprawy zauważyli, że coś się dzieje, i zaczęli podchodzić bliżej. Mona i Ramona związały włosy w kok i stanęły przy Jocelyn. Przytoczył się gruby Boyle. Szakal nałożył plecak i poprawił szelki. - Co tam masz, Jo? - spytał. - To? To nie to, czego szukałam - odrzekła Jocelyn - ale chyba wystarczy. To powiększenie lewego dolnego rogu fotografii zamieszczonej w prasie. - Uniosła ją do porannego słońca. - O ile moje wyliczenia są poprawne, zdjęcie zrobiono z aparatu umieszczonego jakieś pół metra nad dnem jaskini. Ma pan metr dziewięćdziesiąt czy metr dziewięćdziesiąt pięć, panie doktorze? - Metr dziewięćdziesiąt pięć - odrzekł Loach.

- Jak pan widzi, figura na tym zdjęciu jest figurą czysto symboliczną. Przypomina ozdobną literę "X" z zagiętymi ramionami i jest podobna do krzyża. To jeden z przykładów na to, że te malunki po prostu nie mają sensu. Symbole zupełnie do siebie nie pasują, nie pasują też do innych przykładów sztuki starożytnej Ameryki Północnej.

Nadszedł Juke z kubkiem kawy dla Jocelyn. Podziękowała mu z uśmiechem. Szybko upiła łyżeczek, postawiła kubek na ziemi i mówiła dalej:

- Malarstwo skalne Indian z plemienia Anasazi, choć bardzo rozwinięte, jest dość ograniczone tematycznie. Sprowadza się głównie do tematów antropomorficznych, zwierzęcych lub do wzorów totemicznych wykorzystujących oba tematy. Albo do zwykłych okręgów. Bardzo podobne wzory znaleziono w kurhanach w Ohio. Ale one nie są tak stare, mają nie więcej niż dziewięćset lat.

Położyła zdjęcie na ziemi, wzięła kopertę i zaczęła wyjmować z niej następne fotografie, jedną po drugiej. Każda była doskonałym jakościowo powiększeniem symbolu z jaskini Loacha. Labirynt, wąż, spirala, ludzka ręka. Zebrała je i ułożyła równiutko jak talie wielkich kart.

- Nie, panie doktorze, to nie symbole jako takie mnie intrygują. Intrygują mnie... mieszkańcy tej jaskini.

Wyjęła z koperty ostatnie dwa zdjęcia. Pierwsze było powiększeniem dwóch niewyraźnych i zamazanych, choć skądinąd znajomych plamek. Odłożyła je i pokazała mu drugą fotografię. Ta z kolei była powiększeniem plamki z poprzedniego zdjęcia, plamki znajdującej się po lewej stronie.

- To mi wygląda na rudawkę, panie doktorze. To taki nietoperz, nietoperz tropikalny. Dokładniej mówiąc, przedstawiciel gatunku *Artibeus aztecus*, aztecki nietoperz owocowy. Loach sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Jestem pod wrażeniem, pani doktor. Pani wiedza na temat tych latających ssaków jest doprawdy imponująca. Ale dlaczego to zdjęcie tak panią niepokoi? Jestem przekonany, że podczas prac badawczych natrafiła pani na nietoperze, zwłaszcza w jaskiniach.

- Właśnie, pani doktor - wtrącił Boyle. - Jeśli boi się pani nietoperzy, chyba musi pani znaleźć sobie inną pracę. Co za różnica, czy to jakaś aztecka mysz czy inny latający gzyzoń? Fakt, te tutaj są koszmarnie brzydkie, ale nietoperz to nietoperz.

Jocelyn obróciła głowę i chwilę mu się przyglądała, jakby nie mogąc zdecydować, czy ma do czynienia z przedstawicielem kultury orygniackiej młodszego paleolitu czy może z jego przodkiem.

- Polemizowałabym, panie Boyle. Nietoperze nie są brzydkie. I nie można tego sprowadzić do stwierdzenia, że "nietoperz to nietoperz", bo to wcale nie takie proste. Aztecki nietoperz owocowy zaaklimatyzował się w tropikach, panie Boyle. O ile dobrze interpretuję te niewyraźne zdjęcia, widzimy na nich przedstawicieli gatunku, który nie występuje na północ od półwyspu Jukatan. - Wyciągnęła rękę i wskazała ośnieżone szczyty wznoszące się nad odległą granią. - Powiedział pan wczoraj, że to góry Tetons. Albo kanadyjskie Góry Skaliste. Nietoperze tropikalne nie mogą tu żyć, panie Boyle. Nie dzisiaj. Tysiąc lat temu, może. Ale nie dzisiaj. - Jocelyn spojrzała na Loacha i wszyscy poszli za jej wzrokiem.

Loach wsunął ręce do kieszeni bryczesów, jak mały chłopiec. Przez chwilę wyglądało na to, że nie zamierza odpowiedzieć, gdy nagle przyznał:

- Fakt, i mnie to zawsze intrygowało. Te zamazane plamy. Bo nie pamiętam, żebym widział w jaskini jakiegokolwiek nietoperze. Nie, na pewno ich nie widziałem. A ty, Szakal?

- Ja też nie, ani jednego - odrzekł brat Loacha. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy Kuternoga ich nie dodał, czy czegoś tam nie podretuszował. Nienawidzę nietopetrzy i na pewno bym je zauważył. Bez względu na to, z jakiej szerokości geograficznej by pochodziły.

Wszyscy milczeli czekając na dalsze wyjaśnienia. Raptem usłyszeli czyjś głos. To była Gaby. Siedziała na lśniąącym obsydianowym głazie, kilka metrów od nich. Mokłą głowę pochylała nad księgą teozofa.

- "Reguła numer dwanaście - czytała na głos. - Zawsze odpowiadaj wymijająco. Niechaj frajerzy za ciebie odpowiedzą."

- Proszę, cię, kochanie, prowadzimy tutaj naukową dyskusję - uciszyła ją Ramona. Gaby pokręciła głową i zamilkła.

Jocelyn spakowała dokumenty do kartonowej teczki. Było oczywiste, że "naukowa dyskusja" dobiegła końca. Obserwatorzy rozchodzili się, żeby posprzątać po śniadaniu i przygotować się do dalszej drogi. Szakal klęczał na skraju obozowiska i dopinał plecak. Loach podszedł do niego, osłonił ręką oczy i spojrzał w stronę wystrzępionego zbocza wulkanu górującego nad nimi.

- Mówilem - powiedział półgębkiem. - Wiedziałem, że niepotrzebnie ściągnęliśmy tam te przeklęte nietoperze.

- Może spikną się z pancernikiem - mruknął szyderczo Szakal. - Wyjdą z tego latające pancerniczki. - Tropikalne - dodał Loach.

Kilka metrów dalej szedł Juke. W czarnym, lśniąącym meloniku - jak zwykle zabezpieczył go sznurowadłem - szedł wąską ścieżką wysypaną żwirem i pumeksem i śpiewał: - Och, ta noc nad rzeką Wabash...

Boyle zarzucił plecak na ramiona i przyłączył się do Juke'a: - Pola oddychają zapachem świeżo zżętego siana...

Wkrótce szli już wszyscy i wszyscy śpiewali, nawet Loach:

- Na jaworach nad brzegiem blask migoczących świec, daleee-ko stąd...

Ojciec Paul niepostrzeżenie odstał od grupy. Szedł na końcu. Humerał zwiślał mu z szyi jak wypłowiwały szalik. W rękach trzymał modlitewnik. Spomiędzy kartek wystawały sosnowe igły; wyglądały jak wykałaczkki. Zatrzymał się, ucałował książeczkę i wyciągnął rękę. Nikt tego nie zauważył.

- O, święta ziemi! O, próbo ze świętych najświętsza! Módlmy się. - Zamknął oczy i szedł przed siebie, dopóki nie upadł. Tego też nikt nie zauważył.

Ojciec Paul wstał i ruszył naprzód. Czytał i rozsiewał po drodze sosnowe igły.

- O, Panie, który jesteś z nami, który idziesz po kwiecistej łące. O, Chryste! Jesteś tu z nami. Idziesz w zgrzebnej koszuli, w skórzanych sandałach! Och, zaczekaj, Panie!

Gorączkowo kartkował modlitewnik, ale nie mógł w nim znaleźć nic, co przypominałoby słowa, jakie wypowiadał. Więc go wyrzucił. Książeczka poszybowała nad górami niczym święta gołębicą.

- O, Wszechmogący! Słyszałem cię w Moab, bo to przecież ty stukales. Wczoraj widziałem cię w górskim mroku. Więc teraz cię proszę: obdarz nas łaską, byśmy znaleźli twoje sanktuarium, i oczyść nas, byśmy mogli do niego zstąpić. Nie, nie oczyszczaj nas, jeno dodaj nam hartu ducha. Pozwól, byśmy ukończyli tę misję, o Wszechmogący. Chociaż stąpamy poprzez dolinę cienia doliny, daj nam chleba naszego powszedniego. Et cum spiritu tuo. Et cum...

Mona idąca przed nim powiedziała coś, co brzmiało jak "Amen".

Ojciec Paul ucałował kamień z mszalnego kielicha i poszedł dalej.

Szakal wysunął się ostatecznie przed Juke'a i prowadził grupę idąc krokiem długim i miarowym; był z nich najstarszy, mimo to najzdrowszy. Kilka metrów za nim szedł Loach. Nie odstawał od Szakala, choć brakowało mu tchu, choć w udach i w mięśniach brzucha czuł nieznośne napięcie. Podobnie jak Jocelyn Kain; chodzenie po górach nie było dla niej niczym nowym.

Pozostali członkowie wyprawy szli gęsiego, rzędem, który rozciągnął się prawie na dwieście metrów. Czasem ktoś kogoś wyprzedzał, czasem ktoś na chwilę przystawał, ale w sumie wędrowali dość szparko. Pewne siebie uśmiechy zniknęły - twarze ludzi były czerwone z wysiłku i złane potem. Wszyscy odczuwali skutki oddychania rozrzedzonym powietrzem i coraz częściej marzyli o odpoczynku. Wszyscy z wyjątkiem fotoreportera. Deszcz tłuszczu - jego własne dzieło - wyraźnie Chicka ożywił. Kiedy początkowy strach przed Rodneyem minął, Ferrell w głębi duszy stwierdził, że rozpiera go niewysłowiona radość. Był naładowany energią, po raz pierwszy od wielu lat przestało mu cieknąć z nosa. Pobiegł na czoło kolumny, pstryknął kilka zdjęć, szedł ze ścieżki i wdrapał się na zbocze, żeby zrobić zdjęcie z góry i zapisać coś w notatniku. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem widział wszystko z taką jasnością. Górskie powietrze było niczym wypolerowana soczewka niemieckiego obiektywu, bo zauważał po drodze najmniejszy kwiatek, najmniejszy kawałek wulkanicznej skały. Szczyty i przełęcze odległego łańcucha gór widział

równie wyraźnie, jak miniaturowe wysepki wyschłej na wiór roślinności trzeszczące pod stopami. Łachy śniegu leżące w załomach między czarnymi skałami wyglądały jak wzory matematyczne, wypisane kredą na olbrzymiej tablicy, a karłowate sosny między porośniętymi mchem głazami - jak ręce uniesione w ponurej modlitwie.

No i ludzie. Ludzie idący rozciągniętym szeregiem tworzyli karawanę pielgrzymów, byli niczym bezcenne klejnoty nanizane na sznureczek - śmieszni, lecz jednocześnie pełni szlachetnych intencji. Pierwszy raz ich takimi zobaczył. Na czele Szakal: z popielatymi włosami splecionymi w warkoczyk wyglądał jak traper z historycznej powieści. Za nim Loach: wysoki, ciemnowłosy i tajemniczy. Za Loachem siostry Makai: w długich do kostek spódnicach i w nowych skórzanych butach. Potem ten gruby posapujący mormon, Boyle - w przepoconej na wskroś marynarce, ale wciąż uśmiechnięty jak sprzedawca samochodów, który ma za chwilę dobić interesu. Dalej utykający Makai, w tych swoich eleganckich pantoflach i w obryzganym tłuszczem garniturze wyglądał tu jak Indianin z plemienia Hopi w Nowym Jorku, w świątku przyjęć i ugrzecznonych rozmów. I Jocelyn Kain, szczupła, opalona na brąz kobieta-archeolog. Za nią - ta różowitka i zmysłowa Gaby. Przedni towar.

Na samym końcu karawany szedł jezuita. Wyglądał trochę mizernie, ale jego biała gładka skóra zaczynała już czerwienić. Coś do siebie mamrotał, a uśmiech na jego twarzy zdradzał duchową radość.

Tylko jeden człowiek nie pasował Chickowi do ogólnego obrazu. Był nim Juke. Krótko odgrywał rolę pierwszego śpiewaka; chwiał się teraz i zataczał, w płucach świszczalo mu rozrzedzone powietrze, twarz miał jak z gliny. Bez względu na to, jak by go ustawić, mały człowieczek nie był kimś, kogo czytelnicy chcieliby oglądać na okładce "National Geographic". Chick robił wszystko, żeby tylko nie ujmować go w kadrze.

Wędrowali dalej. Im byli wyżej, im słońce schodziło niżej, tym częściej dobiegały Szakala odgłosy niezadowolenia. Początkowo narzekał głównie Rodney Makai, ale stopniowo zaraził wszystkich. Niewielu rzeczy Szakal szczerze nienawidził. Mógł je policzyć na palcach jednej ręki. I na pewno zacząłby od narzekania. Więc kiedy marudzenie przeszło w pojękiwanie, pojękiwanie w narzekanie, Szakal nie mógł tego znieść. Staął, odwrócił się i wrzasnął tak, że aż się przestraszyli:

- Słuchajcie, do ciężkiej cholery! Nikt nigdy nie mówił, że to będzie spacer! Jest ciężko i będzie jeszcze ciężiej, a kłapanie jadaczką niczego nie zmienia.

Poprawił szelki plecaka i ruszył naprzód. W tej samej chwili wszyscy usłyszeli głośne sapnięcie i straszliwy krzyk. Odwrócili się i zdążyli jeszcze zobaczyć, jak Rodney okręca się wokół własnej osi niczym wielki bąk i pada. Upadł na plecy, prosto na łachę

zeszłorocznego śniegu. Jedna noga mu się podwinęła i przygniatała ją ciężarem ciała. Tłuste plamy na marynarce i pękaty plecak sprawiały, że wyglądał jak przewrócony do góry nogami żółw.

- Cholera jasna! - wrzasnął. - Złamałem nogę! Niech ją szlag trafi, niech szlag trafi te przekłete góry, niech diabli wezmą was wszystkich!

Ojciec Paul idący na końcu kolumny wywrócił oczyma i przeżegnał się.

Szakał zawrócił, zbiegł skalistym szlakiem i nachylił się nad leżącym. - Złamana? - spytał.

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć?! Nie jestem doktorem, jestem producentem filmowym! - Może pan chodzić? - Pan też nie jesteś doktorem! Szakał podrapał się po brodzie. - Charlie, ten facet chce, żeby obejrzał go doktor.

- Prawdziwy doktor! Lekarz, do cholery! Zabierzcie mnie do szpitala. Dotarła do nich Jocelyn.

- Mogę spojrzeć? - spytała. - Opatrywałam wszystkie możliwe rany, od ugryzienia węża począwszy, na ranach postrzałowych skończywszy. Rodney przyjrzał się jej badawczo.

- Czy ja wiem... No dobra, doktor archeologii może być.

Jocelyn uciskała i wykręcała mu kostkę na wszystkie strony, a Rodney wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierali. W końcu wstała i zawyrokowała:

- Noga nie jest złamana. Najprawdopodobniej to tylko zwichnięcie. Musimy ją unieruchomić. - Jak to unieruchomić? - spytał Rodney.

Jocelyn rozchyliła mu marynarkę, z poszewki urwała kilka pasów materiału i obwiązała nimi zwichniętą kostkę. Kiedy go opatrywała, nadeszła Ramona.

- Jemu zawsze przytrafiają się takie rzeczy - powiedziała. - To jego karma. - Przeznaczenie! - zawołała Mona ze szlaku.

- Dajcie spokój tym psychicznym diagnozom - mruknął Rodney. - Wdepnąłem w jakąś dziurę, i tyle. Pytanie co teraz? Chyba nie mogę chodzić.

- Moglibyśmy wrócić na skraj lasu i poszukać gałęzi na nosze - zaproponowała Jocelyn. - Tylko co potem?

- Chatki już nie ma - przypomniał Rodneyowi Szakał. - Spaliliście ją z Ferrellem, pamięta pan? Jeśli wrócimy, zmarnujemy cały dzień i...

- Dzień?! Cholera jasna, to dzień jest ważniejszy od mojej nogi?! Przecież mogą mi ją uciąć!

Nastąpiła chwila ciszy, bo wszyscy - być może po raz pierwszy od początku wyprawy - uświadomili sobie, że mogą nie dotrzeć do celu, do jaskini. Zanim niepewność zdążyła ustąpić miejsca prawdziwemu niepokojowi, Boyle zrzucił plecak i oznajmił:

- Nie martwcie się. - Ruszył ku leżącemu. - Poniosę tego biedaka.

- Poważnie? - spytał Szakal; gest mormona wyraźnie mu zaimponował.

- Poważnie. Kiedyś wyniosłem dwóch rannych z ziemi niczyjej. Jednego na jednym ramieniu, drugiego na drugim. Pomóście mi go podnieść. Wezmę go na barana.

Wyraz twarzy Rodneya zmienił się gwałtownie. Cierpienie ustąpiło miejsca bezgranicznemu zdumieniu.

- Chyba pan żartuje. Nikt mnie nie będzie nosił na barana. - Jak pan sobie życzy. Rodney zbladł. - To znaczy?

- To znaczy, że nie możemy tu sterczeć cały dzień, nie ma czasu - wyjaśnił z uśmiechem Szakal. - Pan Boyle złożył panu pewną propozycję. Może pan z niej skorzystać albo nie. No więc?

- Daj spokój, Makai - namawiał go Boyle. - Impreza zaczyna się właśnie rozkręcać. Nie zaszedłem tak daleko tylko po to, żeby teraz wracać. Chcę tę jaskinię zobaczyć.

Zanim Rodney zdążył zaprotestować, Szakal i Jocelyn chwycili go pod pachy i ułożyli na plecach mormona. Boyle podskoczył i objął go za kolana.

- Jest pan leciutki jak piórko, panie Makai - stwierdził. - Trzymaj się pan szyi. Pobawimy się w konika, jak z tatusiem.

Rodney zaklął i zarzucił mu ręce na szyję. Mormon obrócił się i bez widocznego wysiłku ruszył pod górę. Kiedy dotarł do szlaku, zaczekał na Ramonę i pozostałych członków wyprawy. Wszyscy szczerze go podziwiali. Ciszę przerwał głośny trzask opadającej migawki.

- Ferrell, do cholery! Jak dasz to do prasy, choć jedno zdjęcie, to możesz szukać sobie pracy w innym mieście!

Boyle szedł takim samym krokiem jak przedtem, ale Szakal, dźwigający teraz plecak Rodneya, musiał zwolnić. Wspinali się coraz wyżej i wyżej. Powietrze było coraz rzadsze, roślinność bardziej skąpa. Nikt się nie uskarżał. Pokaz siły i wytrzymałości, jaki dawał Boyle, stanowił dla nich natchnienie i wzór do naśladowania. Mormon szedł jako trzeci, za Loachem, a pozostali sunęli w milczeniu za nim. Kiedy dotarli do skalnej półki przy kraterze starego wygasłego wulkanu, Szakal zarządził postój na posiłek.

Wędrowcy dobili do niego, ciężko dysząc, sapiąc, wciągając haustami rozrzedzone powietrze. Zrzucali plecaki i walili się na nie bez sił. Szakal rozdał konserwy, klucz i zaczęli

otwierać puszkę z wołowiną. Gaby omal nie zwymiotowała z obrzydzenia. - Nie tknę tego gówna.

- Rządowe pomyje - prychnął Rodney. - Może pan do nich przywykł, Loach, ale ja nie. - Może pan jeść, może pan nie jeść - odrzekł teozof. - Mam to gdzieś. - Złość bijąca z jego głosu zaskoczyła wszystkich.

- To takie miłe miejsce - zauważyła dyplomatycznie Mona. - Cudowny widok. Może zbudujemy szalę i zostawimy tu Rodneya, a sami pójdziemy dalej?

- Szalę? Z czego? - spytał Loach. - Z mchów i porostów?

- Przecież nie możemy oczekiwać, że pan Boyle będzie go niósł tam i z powrotem, prawda?

- Coś mi mówi, że zanim ruszymy z powrotem, pani siostrzeniec ozdrowieje. Rodney spojrzał na Loacha z nagłym respektem.

- Bezlitosny jesteś, Loach - stwierdził. - Zimny i bezlitosny.

- Do jaskini chyba już niedaleko, co? - rzucił spod drzewa Chick.

- Musi gdzieś tu być - odrzekł Szakal sadowiąc się ostrożnie na ziemi. - Ale nie pamiętam gdzie. - Szakal, zaczynam wątpić w twoją pamięć.

- Właśnie - wtrąciła Jocelyn. - Na tamtym skrzyżowaniu nie wiedziałeś, w którą stronę jechać.

- To przez te lata samotności, Jo. Teraz zbieram żniwo. A ty, Charlie? Ty też tu kiedyś byłeś.

- Może on nie chce znaleźć tej cholernej dziury - zaskamlał Rodney. - Może jej w ogóle nie ma.

- Jakaś dziura zawsze się znajdzie, Makai. Jedną już znalazłeś, prawda?

Czekali, aż Loach coś powie, ale on milczał i z rękami na biodrach spoglądał na wulkaniczne rumowisko. Wszyscy poczuli się tak jakoś dziwnie - wszyscy z wyjątkiem Boyle'a. Mormon wziął pozostawioną przez Gaby konserwę i jednym łykiem wychylił całą zawartość. Gaby tego nie skomentowała - znów przeglądała księgę. Loach zarzucił plecak na ramię i oznajmił, że pora ruszać. W tym samym momencie nadszedł ojciec Paul. Był w samym podkoszulku.

- Chryste, Paul - powiedział teozof. - Mało brakowało, a byśmy o tobie zapomnieli. Już jedliśmy... - Nie szkodzi, Charles. Nie jestem głodny. - Chcesz trochę odpocząć? - Nie, nie zmęczyłem się.

- Chłodno jest - zauważyła Gaby. - Zgubił księżkę koszulę...

- Nie martw się, Gabrielo, nic mi nie będzie. Nigdy nie czułem się lepiej.

- W takim razie ruszajmy - rzucił Szakal. - Te chmury wciąż się tu kręcą. Jakby za nami węszyły. To już listopad, moi państwo. Powinniśmy urządzać taką wycieczkę gdzie indziej, w cieplejszym klimacie.

Wyruszyli. Gaby szła teraz przed Loachem, z księgą w rękę. Teozof chwilę milczał, później powiedział:

- Martwię się o Paula. Wygląda na to, że stale coś gubi.

- Wszyscy coś gubimy - odrzekła nie odwracając głowy. Przewróciła kartkę, podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy Szakal jej nie usłyszy, i przeczytała na głos: - "Barnum się myli". Tak tu napisane. "To nieprawda, że co minutę rodzi się frajer. Rodzą się sami frajerzy. Wystarczy tylko odkryć, na jaki lep można ich złapać." Czy tylko to się dla ciebie liczyło, wujku? W takim razie niewykluczone, że Rodney ma rację. Zamilkła, więc spytała: - Jak to?

- Powiedział, że jesteś zimny, nieczuły i bezlitosny. Fakt, jesteś bardziej nieczuły, niż to sobie wyobrażałam. Nawet jak na superopanowanego magika. Po kilku krokach w zupełnej ciszy Loach powiedział: - Jest, jak jest. Płacisz i ryzykujesz.

Gaby wybuchnęła śmiechem, a Loach mówił dalej. Tylko głos mu się zmienił i był teraz jakiś dziwny.

- Poza tym, pisałem to bardzo, bardzo dawno temu. Wiesz, co się teraz dla mnie liczy?

- Co? - spytała, szczerze zaintrygowana tonem jego głosu. - Otwarte niebo. Tylko to.

- Czy to już niedaleko? - spytała Szakala jedna z sióstr. Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Nie to, żebym narzekała, ale nie wiedziałam, że będziemy iść cały dzień.

- Och, naprawdę? - szydziła druga. - Myślałam, że umiesz przewidywać przyszłość.

Nikt nie odwrócił głowy, żeby sprawdzić, która co powiedziała. Szakal milczał. - Nie irytuj się, Ramono - powiedziała Mona. - A niby dlaczego? - zawołał Rodney z pleców Boyle'a. - Wszyscy powinniśmy być wkurzeni. Nie pisałem się na wyprawę współczesnym Szlakiem Łez, do cholery! Boże, jak jak cierpię! - Chyba zapomniał, że dźwiga go Boyle. - Spójrzcie na mnie! Tylko na mnie spójrzcie! Głowa pokryta oparzelinami. Garnitur zniszczony, noga złamana...

- I cuchniesz pan jak wędzarnia w wytwórni boczku - wtrącił grzecznie mormon. - Czyż życie nie jest cudowne?

- Nie, wcale nie jest cudowne! Nie wspomniałem jeszcze o kręgosłupie. Kręgosłup mnie wykańcza. Poza tym, wygląda na to, że zabłądziliśmy! Tak jest, zabłądziliśmy w

drodze donikąd! Dlaczego tak się dałem nabrać? Boże, co za frajer ze mnie... - Co minutę jednego przybywa - zauważył Boyle.

- Częściej - poprawiła go ze śmiechem Gaby. Z drugiego końca polanki usłyszeli głos Chicka Ferrella: - Zaczekajcie! Coś znalazłem!

- Nareszcie - wysapały chórem siostry Makai.

Chick szybko ich dogonił.

- Nie, nie jaskinię. Wszedłem na zbocze, żeby was spanoramować, i wtedy coś zobaczyłem. Leżała na ziemi. Koszula ojca Paula. Nie miała kołnierzyka.

- Tylko to po nim zostało - mówił dalej Chick - Przeszukałem teleobiektywem całe zbocze, aż do szlaku. I nic, ani śladu.

Zapadła niezręczna cisza. Rodney zsunął się z pleców Boyle'a. Leżał ciężko dysząc i zasłaniał nadgarstkiem twarz przed jaskrawymi promieniami słońca.

- To chyba załatwia sprawę, co? - mruknął. - Ksiądz przepadł, my błądzimy, wyprawę do jaskini szlag trafił. Ładnie, bardzo ładnie. - Głos mu się załamał. Wyglądało na to, że zaraz zacznie płakać.

Zaczęli się schodzić. Czekali, aż coś się wydarzy. Siadali na chropowatych głazach, wyciągali nogi, masowali stopy. Chick pstrykał aparatem; najwięcej zdjęć zrobił leżącemu na plecach Rodneyowi.

- Czy nie powinniśmy wysłać kogoś na poszukiwania? - spytała w końcu Jocelyn. - Na szlaku go nie ma - przypomniał Chick. - Na pewno gdzieś zboczył, żeby trochę odpocząć - rzucił Szakał. Rano wyglądał jak sto nieszczęść.

- Czy może mu się przytrafić coś złego? - spytała jedna z sióstr. - Jest sam, biedaczyna.

- Czy ja wiem... Pełno tam grzechotników. No i może się spiec na tym słońcu. A jeśli dopadną nas te chmury, może to i owo sobie odmrozić. - Szakał pokręcił głową i zachichotał. - Nie, nic mu nie będzie, on ma sprzymierzeńca. Samego Boga.

- Ty też nie wiesz, co to litość, wujku - stwierdziła Gaby. W jej głosie nie było już złości. - Nie mógł daleko odejść - wtrąciła się Jocelyn.

- Tak czy inaczej, nie mamy wielkiego wyboru. - To Loach. Wydawało się, że jest tak samo zagubiony jak pozostali.

- Hej, panie doktorze! - zawołał Chick podnosząc aparat. - Czy mogę zrobić panu zdjęcie z koszulą ojca Paula? Loach posłał mu wściekłe spojrzenie.

- Nie chciałbym okazywać braku szacunku dla tych, co odeszli - tłumaczył się fotoreporter - ale jestem zawodowcem.

- Wspaniale - burknął Rodney. - On jest zawodowcem. Dopiero teraz.

Czekali. Nikt nie miał żadnego pomysłu. Jesienne słońce chyliło się ku wystrzępionemu horyzontowi. - Myślę, że to już blisko - powiedział Loach.

- Blisko czego? - sapnął Rodney. - Totalnej katastrofy? Będziemy chodzić po tym pustkowiu, aż jeden po drugim, nadzy, brudni i połamani, padniemy na pysk? Loach popatrzył na brata. - Rusz głową, Szakal. Musisz mieć jakiś pomysł. - Wystrzelałem się ze wszystkich.

Loach powoli zatoczył krąg. Jego długi cień padał na czarną, upstrzoną łachami śniegu skałę niczym cień wskaźnika w zegarze słonecznym.

- Może kilkoro z nas pójdzie dalej, żeby znaleźć wejście do jaskini, a kilkoro zostanie tutaj? - zaproponowała Jocelyn.

- Tak jest - zgodziła się Gaby. - I kilkoro z nas wróci cało, a kilkoro zwariuje.

- Nie - zdecydował teozof. - Lepiej trzymajmy się razem i ruszajmy dalej.

- Czy to rozsądne? - spytała Jocelyn. - Wszyscy jesteście wyczerpani.

- Zanim wrócimy do obozowiska, będzie już ciemno. Gdybyśmy znaleźli wejście do jaskini, moglibyśmy zejść i ...

- Teraz? - Zaniepokojony Chick opuścił aparat. - Za godzinę zapadnie zmrok.

- W jaskiniach zawsze panują ciemności, panie Ferrell. A w tej jest przynajmniej ciepło. Na pewno cieplej niż na zewnątrz. Ciepło doda nam sił.

- Loach - powiedział Boyle - gdybasz pan i gdybasz. Co nam po gdybaniu? Tym się nie najemy.

Kilkoro z nich pokiwało głowami, pozostali gapili się w ziemię. Jedyna konkretna propozycja padła z ust Rodneya: - Najlepiej zastrzelcie mnie, i już.

I milczeli tak, patrząc na Szakala i Loacha. Głos, który nagle usłyszeli, dobiegał z przodu, ze szczytu niewielkiego pagórka.

- Słupy chmur - mówił Juke. Stał wyprostowany, sztywny jakby kij połknął, i wyciągał przed siebie rękę; wyglądał jak metalowy kurek na dachu. - To mi przypomina pewną jaskinię. Pamiętasz, Charles? Nie tak dawno tu byliśmy...

12. Zejście...

- Ustawcie się. - Loach klasnął w dłonie. - Jedno za drugim, raz dwa. Sprawdzę wasze plecaki. Chick skrzywił się. - Nie jesteśmy uczniakami, Loach.

- Ferrell, twoje życie zależy od tego, co masz na plecach. A teraz stańcie gęsiego, a ja rzucę okiem na wasz ekwipunek.

Posłusznie stanęli w szeregu, tymczasem Loach sprawdzał szelki plecaków i zapasy karbidu. Po raz trzeci tłumaczył, jak ładować nim lampy. Gaby wspięła się na palce, żeby Loach mógł łatwiej obejrzeć hełm, i na chwilę spotkali się wzrokiem. Tajemnica, którą odkryła w jego notatkach, wciąż płonęła w jej oczach, ale Gaby się uśmiechała. Odwzajemnił ten uśmiech i podszedł do Jocelyn.

- Wszystko w porządku, pani doktor? - zapytał. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że kto jak kto, ale ona nie przegapiła niczego.

- W porządku - odparła. - Zawsze się trochę denerwuję przed zejściem. Wyobraźnia działa... - Szakał, masz tę latarkę? - Mhm. - Koce i środki pierwszej pomocy? - Mam wszystko, stary.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Boyle. - Skoro na dole ma być tak ciepło, jak mówiłeś, to po co nam koce?

- Zobaczysz - odparł Szakał, rozciągając usta w uśmiechu.

- Jak już będziemy na dole, pamiętajcie, żeby się trzymać blisko siebie - upominał Loach. - Jeden zaginiony uczestnik wyprawy naprawdę nam wystarczy.

- O ile Paul nie wrócił do obozu - zauważyła Gaby - idę o zakład, że nas tu znajdzie. Po moim zapachu. Chociaż wciąż jeszcze był dzień, na niebie jasno lśniły gwiazdy. Obłoki pary, wydobywające się nieregularnymi kłębami z jaskini, dziwnie rozpraszały światło niektórych gwiazd. Kiedy Szakał spuszczał w dół pieczary sznurkową drabinę, wszyscy milczeli.

- Nie sięga dna, Charlie - stwierdził, kołysząc nią na boki. - Ale chyba niewiele jej brakuje. Ma pięć metrów długości, a jeśli dobrze pamiętam, do dna brakowało ledwie metra.

- Musimy zaryzykować - powiedział Loach, wyprostowując plecy. - Nie możemy już dłużej czekać na Paula. Gaby ma rację. Najprawdopodobniej wrócił do obozu. Szlak jest wciąż dobrze widoczny. Rodney? - rzucił nie odwracając głowy. - Niewykluczone, że będziesz teraz musiał ubezpieczać nie tylko nas, ale i Paula. Poradzisz sobie?

- Chyba tak - odrzekł słabo. Siedział tam, gdzie go Boyle posadził, na stercie sprzętu, jak na gnieździe. - Chciałbym mieć trochę drewna na ognisko. Może ktoś z was mógłby...?

- Nie - uciął Chick. - Nie ma na to czasu. Masz dwa puchowe śpiwory.

- I pamiętaj, gdybyś usłyszał wołanie ojca Paula, machaj latarnią - dorzucił dziarsko Loach. - Nic ci się nie stanie.

- Nie zapłaczcie się tylko, jak mnie tu nie zastaniecie - mruknął Rodney. - Możecie mi wierzyć, nie uronię ani jednej łzy, jeśli nie ujrzę już nikogo z was.

- Dobra jest - zakończył Loach. - Kto schodzi pierwszy? Juke dotknął runda kapelusza, jakby salutując.

- Nigdy nie wrywaj się na ochotnika - powiedział i wystąpił z szeregu.

Ferrell szybko pstryknął mu zdjęcie i zaczął spieszenie gryzmolić w notesie. Mruczał pod nosem: - Pierwszy nieustraszony odkrywca gotów do zdradziecko trudnego zejścia: Emmet Juke, bohater wojenny i trębacz. Co za facet!

- Ferrell, podejdź no do mnie! - przerwał mu Rodney. Chick spojrzał na niego z irytacją.

- Zapomnij o tym stukniętym półgłówku. O kim ty piszesz? To historia o Loachu i o mnie. Nastaw dobrze uszu. No, chodźże bliżej, do ciężkiej cholery!

Chick wspinał się po skałkach do Rodneya; notes wetknął pod pachę.

- Posłuchaj mnie ty chudzielcu, dobrze mnie posłuchaj. Nie włącz do tej dziury, bo ktoś musi zostać tu, na górze, na wypadek, gdybyście mieli tam jakieś kłopoty. Na przykład gdyby ten szajbnięty braciszek chciał was wszystkich na dole załatwić. Pamiętasz to ogrodzenie w Moab? Przypominasz sobie, jak mówiłem, że zrobił je chyba jakiś wariat z siekierą? - Miałby nas wszystkich załatwić?

- Ano tak. Potem mógłby powiedzieć, że to był wypadek. Na pewno by coś wymyślił. Ktoś musi tu zostać, żeby w razie czego dać świadectwo prawdzie. Lepiej zostaw mi swój notes i zdjęcia, które do tej pory zrobiłeś. - Wolałbym tego nie robić.

- Posłuchaj, durniu. Przecież o to właśnie chodzi! To ty złazisz na dół, a ja zostaję. Co niby mam zrobić, jak coś ci się stanie? Chick popatrzył na swego pracodawcę.

- Wszystkie naświetlone płytki są w mojej torbie. W tej zaplamionej tłuszczem. Notes zabieram ze sobą.

Zanim Rodney zdążył zaprotestować, Chick już odszedł. Po drodze pisał: "R. L. Makai unieruchomiony. Pilnuje naszego bagażu".

Po drugiej stronie zastygłego języka lawy Szakal wybuchnął śmiechem i klepnął Juke'a w ramię. Mały człowieczek podszedł do jamy i wyprężył się na baczność. Loach pomógł mu przymocować karbidówkę do otoka kapelusza. Zapalił ją. Patrzył, jak zwrócona w górę, opromieniona niebieskim światłem twarz powoli, stopień po stopniu, osuwa się coraz niżej.

Juke znowu poczuł ciężar w piersi. Miał nadzieję, że wszelka zmiana wysokości, choćby zejście na dół jaskini, zmniejszy siłę, z jaką krew pulsowała mu w skroniach, ale myśli o szybkim wybawieniu prysły w momencie, kiedy poczuł ciepłe powietrze jaskini. Chemikalia! Siarkowodór! Siarkowodór i jeszcze coś, coś znacznie gorszego! Ścisnęło go w gardle. Tak, przypomniał sobie. Był tu już kiedyś! Tylko wtedy tak strasznie tu nie cuchnęło. Wyczuwał coś jeszcze, coś nowego i zdecydowanie obrzydliwszego niż smród zgniłych jaj - taki smród prosto z piekła, jak zaduch stęchłych Biblii. Wisiał wokół niego niby niewidoczny popiół, czuł go na skórze, ciążył mu niczym kurz opadający po wybuchu bomby. Wzdrygnął się i odzyskał zdolność ruchu.

Drugi był Loach. Schodził szybko. Zawisł na ostatnim szczeblu drabiny i stopą szukał dna jaskini. Opuścił się w martwą ciemność. Po chybotliwym zejściu, tym, co uderzyło go najbardziej, był silny odór. Pamiętał, że już na górze czuł zapach siarki ulatujący z głębi jaskini, ale ten smród na dole zupełnie go zaskoczył. Wyczuwał w nim jakiś nowy składnik, jakby ciemniejszy ton. Kucnąwszy na warstwie skalnych odłamków obserwował, jak Juke bawi się pudełkiem zapalek, niczym mały piroman. Przypomniał sobie, czym Juke zajmował się we Francji, w czym był najlepszy w świecie. No ale cóż... Komuż potrzebni są tacy jak on teraz, po wojnie? Komuż potrzebni są ludzie z głową pełną wybuchów i śmierci? Patrzył, jak mały Juke zapala zapalke, jak rzuca ją na ziemię. Zapalił następną i jeszcze następną, zapalał jedną po drugiej. Jak małe prawdy, rozjarzały się, płonęły, gasły.

Loach skierował się w stronę raz po raz rozświetlanej ciemności. - Jak się czujesz? - zapytał.

- Lepiej, Charles, lepiej. - Zapalił kolejną zapalke. Pamiętasz tego gościa, który wtedy z nami szedł? - Juke ani na moment nie odrywał oczu od ognia. - Wiesz, tego, którego tu nie ma. Tego kulawego. Jakże on się nazywał? Coś z piratami...

Kiedy Loach odpowiedział, ogień sparzył Juke'owi palce. - Kuternoga.

- O właśnie, Kuternoga... Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

Loach odwrócił wzrok od przyjaciela i spojrzał w górę, na poszarpane brzegi wejścia do skalnej jamy. Czekali tam na jego znak. Ale kiedy tak patrzył, odniósł wrażenie, że

grzeźnie w czarnym rumowisku jaskini. Sądził, że nauczył się już opanowywać to uczucie ćwiczeniami jogi. Jakie to poniżające, ten prymitywny strach... Odzierał człowieka z wszystkiego, czym stał się dzięki cywilizacji. Imponujący efekt tysięcy lat pracy nad sobą zniknął przy pierwszym skurczu żołądka. Szekspir i Bach przestawali istnieć. Pitagoras, Galileusz, Abraham Lincoln - wszyscy wymazani jednym ściśnięciem w brzuchu.

Nie czuł tego od czasu procesu. Wtedy też dał się zaskoczyć. Właściwie przez cały proces specjalnie się nie denerwował. Dopóki sędzia nie ogłosił wyroku, Loach nie brał poważnie pod uwagę tego, że mogą go wsadzić za kratki. A już na pewno nie na aż tak długo. Dwadzieścia lat! Dla niego miały wymiar nieskończoności.

Kiedy wreszcie trafił do swojej samotni w San Quentin, do "pochyłki", kiedy odzyskał zdolność jaśniejszego myślenia, poprzysiągł sobie, że już nigdy nie dopuści do tego, by obezwładnił go kiedyś taki dziki strach. Wiedza jest światłem, które pomaga w walce z ciemnym strachem. Mądrość. Potęga ducha nad marnością ciała. Długimi dniami i nocami, które nastąpiły po procesie, ćwiczył się w sztuce medytacji. Mógł sobie wbić szpilkę w udo i nawet nie mrugnąć powieką. Umiał wstrzymać oddech przez prawie dziesięć minut i zwolnić bicie serca. Potrafił całymi godzinami siedzieć sztywno wyprostowany, w pozycji kwiatu lotosu. Sądził, że jest w dobrej formie, a tu proszę, znowu go dopadło.

Przechylił głowę, tak że lampa oświetlała rumowisko pod stopami. To nic, to tylko grząskie dno jaskini i rozrzucone śmieci. Trochę nowych, trochę starych... Puszki, kartony, torebki, jakiś gruz i... O, Boże! Para butów ortopedycznych Beamanna, powykręcanych od starości! Beamann zostawił je tutaj, kiedy Szakał zmusił go do włożenia innych. Beamann chciał zrobić karierę. Nosił drogie, źle dopasowane ubrania o ogromnych mankietach i klapach. Gdyby nie sprzęt fotograficzny, z którym się nie rozstawał, można go było wziąć za kiepskiego gangstera. Musiał bardzo uważnie ustawiać trójnog i aparat, bo przecież sam był krzywy. Kuternoga. Nienawidził tego przezwiska. Wstydział się swojej ułomności. Kiedy robił zdjęcia u siebie w atelier, zawsze opierał się o duży zlew do wywoływania klisz, chował za nim chromą nogę i mówił, nie wyjmując papierosa z ust. - Co będę z tego miał? - spytał.

- Będziesz sławny - obiecywał Loach. - Zaczнеш dostawać zamówienia na portrety od członków rodzin królewskich, gwiazd filmowych, od prezydentów. Co tylko zechcesz.

- Raz chciałbym tego, raz tamtego... Ale teraz chcę wiedzieć, ile dostanę za tę robotę? Zazwyczaj nie szwendam się po jakichś dziurach.

Loach był idealnie opanowany. Nigdy nie tracił gruntu pod nogami. - Co powiesz na dziesięć dolców dziennie?

- Nie rozśmieszaj mnie - parsknął Beamann. - Lepiej spytaj mnie, co powiem na setkę.

- Nie mamy aż tak wypchanych kieszeni, Kuternoga, dobrze o tym wiesz.

- No dobra, jakoś się dogadamy. Proponuję procentowy udział w twoich zyskach. Co ty na to? Za każdym razem, jak sprzedasz moje zdjęcie, dostanę odpowiednią dolę. - Jaką? - Pięćdziesiąt procent.

- Niech będzie - niechętnie zgodził się Loach. - Ale jedno sobie zapamiętaj. Te pięćdziesiąt procent dostaniesz nie tylko za te twoje fotografie, ale i za kłódkę. - Kłódkę? Za jaką kłódkę?

- Na gębę, Beamann. Już ja cię znam. Potrafisz ją nieźle rozpuścić. To jest robota, o której nie wolno puścić pary gryziopiórkom. Lokalizacja jaskini ma być tajemnicą. Jasne? - Absolutnie, bez dwóch zdań - odparł Beamann.

- Musimy za wszelką cenę uchronić to miejsce przed wandalami i rabusiami.

- Pewnie, że tak - potaknął tamten niecierpliwie. - Obiecuję, nie pisnę słówka.

Loach powinien był wiedzieć, że Kuternoga obietnicy nie dotrzyma. W P. L. Beamannie nie było miejsca na prawdę. Nie miał na nią czasu. A prawda to czas, rozmyślał Loach. Czas! Czuł, jak jego ręce rozpalają się gorącem i - niepotrzebne - luźno zwisają po bokach. Patrzył na płonąca zapalkę w dłoni Juke'a. Małe prawdy. Zauważył, że Juke'owi została tylko jedna, ostatnia zapalka. Siny człowieczek odrzucił ją i spojrzał na Loacha. Oczy obu mężczyzn spotkały się, rozświetlone płomykami karbidowych lampek. Loach widział w źrenicach Juke'a swoje podwójne odbicie: bliźniacze odbicie małego mężczyzny w dwóch małych dziurkach. Usłyszał głos Juke'a. - Stary Kuternoga. Jak sądzisz, co on teraz porabia? Loach milczał. - To pewnie nie ma żadnego znaczenia, prawda?

- Pewnie nie - zgodził się doktor i podszedł do drabinki.

- Hej tam, Szakal! - krzyknął w górę. - Możesz ich spuszczać na dół!

Na górze, na skraju jaskini, Szakal cofnął się o krok i dwornie skłonił.

- Panie mają pierwszeństwo. - Wyciągnął ramię w stronę jamy.

Trzy kobiety zawahały się nad krawędzią. Gaby odstąpiła o krok, żeby zwalczyć treść, niczym aktorka przed wyjściem na scenę. Siostry trzymały się za ręce; spojrzały na siebie spokojnie i jak na komendę zerknęły w głąb czeluści.

- Idź pierwsza, Mona - powiedziała Ramona. - W takich sprawach jesteś lepsza ode mnie.

- Ramona! Przecież to ty byłaś zawsze ta wysportowana! Ramona uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie, kochanie. Na pewno nie. Przecież ty pierwsza nauczyłaś się jeździć na rowerze.

- Moje drogie panie! - przerwał im Szakal. - Nie mamy przed sobą całego dnia.

- Uwaga! Na litość boską, uwaga! - Gaby zrobiła krok naprzód; poprawiała jeszcze płócienną sakiewkę, którą przytroczyła sobie do paska sukienki. - Tylko sprawdzę, czy mam wszystko, co trzeba.

Nachyliła się nad krawędzią i zajrzała do jamy. Szakal klepnął ją w ramię.

- Tylko nie mów mi "mała" - ostrzegła i zaczęła schodzić po chwiejnej drabince.

Kiedy zdejmowała nogę z pierwszego szczebla, jej ręka ześlizgnęła się z tłustego sznura. Znów ten cholerny śmierdzący smalec, wylany przez tych dwóch kretynów! Zapach boczku wywoływał w niej mdłości. Zmusiła się do następnego ruchu, a gdy już myślała, że nie będzie w stanie zejść głębiej, na dole zobaczyła twarz Loacha. - Skacz! - rzucił.

Zagryzła dolną wargę i skoczyła. Snop światła karbidowej lampki przeniknął parującą ciemność. Obrzydlistwo! Uznała, że skoro ona może to znieść, staruszki też zniosą.

- Dalej, moje drogie ciecie! - krzyknęła w stronę wejścia. - Tak, słucham?

To głos Ramony. Odpowiedź padła z niewysoka. Starsza pani musiała już być w połowie drabiny.

- Co takiego, kochanie? - zapytała Mona; była tuż nad siostrą. - Jesteśmy. Nic się nie bój.

Chcąc to mieć jak najprędzej za sobą, reszta zeszła na dół bardzo szybko. Wreszcie utworzyli krąg światła i czekali na Szakala. Kiedy stanął na dnie jaskini, Loach puścił drabinkę, która zatańczyła w oparach groty.

Otulał ich ciepły odór siarki. Gaby wyobraziła sobie, że wszyscy sześcioro stoją na jedynej wyspie na świecie, a wokół nich nic tylko przestrzeń. Wystarczy jeden krok do tyłu i wpadnie w otchłań... - Jocelyn? - szepnęła. - Jestem tutaj, tuż obok.

Chick poklepał się po kieszeni spodni. Przez gruby materiał wyczuwał spiralny grzbiet notesu. Podobały mu się spodnie, w które wyposażono go na wyprawę. Jak wróci do domu, może sobie takie sprawi? Te spodnie dobrze wyjdą na czarno-białym zdjęciu, wywołanym na błyszczącym papierze. A może nawet poprosi, żeby ktoś wziął aparat i pstryknął mu fotkę? Będzie ujęcie: "Ferrell u celu".

- Pomóc ci, Ferrell? - Szakal patrzył, jak Chick poprawia skomplikowaną sieć pasków przytrzymujących sprzęt fotograficzny. - Nie, dziękuję. Już wszystko dobrze. Jestem gotowy.

- Ja też! - huknął Boyle, tupiąc i szczerząc się w uśmiechu.

Szakał przekrzywił kapelusz na głowie i spojrział z naganą na Boyle'a.

- Co się z tobą dzieje, Boyle? Ciągłe się wiercisz i skaczesz, jakbyś miał żabę w spodniach.

- Skąd wiesz, że nie mam? - odparł Boyle. Jedna Jocelyn coś w sobie dusiła. Podeszła do drabinki i zacisnęła rękę na ostatnim szczeblu.

- Słuchajcie - zaczęła. - Przyszło mi do głowy, że Makai sam sobie nie poradzi. Nie jest przyzwyczajony do obozowego życia i...

- Ależ, doktor Kain! - zawołał Szakał drwiąco. - Czy jako archeolog nie jest pani ciekawa tej ściany? Jocelyn wypuściła szczebel z dłoni. - Oczywiście, że tak. - Chyba się nie boisz? - zapytał z troską w głosie. - To nie to, co myślisz. Ale owszem, odczuwam lęk..

Szakał strzelił palcami.

- Ilekroć mówiłaś o tej grocie, wiedziałem, że coś jest nie tak. Ty się boisz jaskiń! To dlatego byłaś tak niewyraźna w naszym transporterze. Archeolog-grotolaz, który boi się jaskiń! Jak usłyszą o tym w "Explorers Club", będą mieć nieliczne miny!

Nie wytrzymała, musiała roześmiać się mu prosto w twarz.

- Człowieku, byłam w tylu jaskiniach i grotach, że nie zdążyłbyś ich zobaczyć do końca życia.

- No to co jest? - Szakał musiał zaspokoić wrodzoną ciekawość. Pomachał ręką, żeby rozproszyć kłęb pary, jaki między nimi zawisł. - Chodzi o zapach czy o gorąco? - Nie, nie o gorąco - odparła i znów się roześmiała. - Chodzi o ludzi. Jestem antropofobem. - Kim, przepraszam? - Wzruszyła ramionami.

- Cierpię na pewną chorobę. Boję się, kiedy wokół mnie kręcą się różni ludzie.

- To nie choroba - szepnął Szakał, przysuwając się bliżej. - To błogosławieństwo.

Loach przeciął komorę przedionka i podszedł do otworu w ścianie; pęknięcie w skale było wielkości człowieka. U góry buchały z niego kłęby pary, a szczerkowym podłożem wpływały doń strumyki wody ze stopionego śniegu. - Gotowi? - krzyknął w stronę grupy.

- Gotowi, nie gotowi, naprzód! - odkrzyknął Juke i pomaszerował za nim. Szakał uniósł ramię.

- Chwileczkę! Należałoby to chyba uczcić toastem, no nie?

Wyjął z plecaka dwie butelki nalewki na kaktusie i przyjrzał się uważnie najpierw jednej, potem drugiej. W ciemnym płynie rozpraszało się światło karbidowej lampki.

- Zaraz, zaraz. Ta butelka jest tylko w połowie pełna, no albo do połowy opróżniona, jak kto woli. Ktoś mi ją niezłe wydudlił. Wszystkie lampy zwróciły się w stronę Boyle'a.

Boyle potrząsnął głową.

- Nie. Jak zapewne pamiętacie, byłem całkowicie ubezwłasnowolniony. - Rodney, ty draniu! - ryknął Szakal w górę drabinki. - Pociągałeś sobie z mojego antała?

- Możecie mi wszyscy naskoczyć! - padło w odpowiedzi. Juke opuścił głowę.

- To ja pociągałem - przyznał się, choć nikt go o to nie pytał. - Owszem, nie bez pomocy Rodneya.

- Nie przejmuj się. Mamy jeszcze tyle, że na kolejkę wystarczy. Trzeba to wykończyć.

Szakal otworzył butelki i puścił je w obieg. Wszyscy pili w skupieniu. Kiedy jedna z niemal całkowicie już osuszonych butelek trafiła w jego rękę, uniósł ją wysoko i zawołał: - Za przygodę!

Rozległ się przytłumiony okrzyk umiarkowanej aprobaty, a z góry dobiegł ich słaby głos, sączący się przez kłęby pary:

- Zaczekajcie no chwilę! - To był Rodney. - Sądzę, że ktoś powinien tu jednak zostać.

Loach odstąpił od otworu w ścianie, w który właśnie miał zamiar wejść, wrócił do drabinki i krzyknął w stronę niewyraźnej, rozmazanej twarzy.

- Chcę ci podziękować, Makai! Za wszystko! Za sfinansowanie wyprawy, za dobre wino i miłe towarzystwo. A zwłaszcza za twoje niewzruszone wsparcie. Zawsze będziesz dla mnie świetlanym źródłem dalszej inspiracji! - Poczekać no chwilę! - wrzasnął głośniejszym głosem Rodney. - Co ja mam tu robić, kiedy będziecie na dole? - Siedź spokojnie, trzymaj się ciepło i śpiewaj! - Co znaczy śpiewaj? - To znaczy, żebyś wołał ojca Paula - wyjaśnił Szakal.

- Loach! - Rodney włożył głowę w czeluść otworu; udało mu się podpełznąć do krawędzi jamy. - A co będzie, jeśli nie wrócicie? Muszę wiedzieć, gdzie my, do cholery, jesteśmy!

- W Ameryce! - odkrzyknęła Jocelyn, nie bez odrobiny złośliwej satysfakcji. Zaczynała już się w to wszystko wczuwać. - I to ma być odpowiedź? W Ameryce, i już?

- Zgadza się. Mówiąc najogólniej w Ameryce - odparł Szakal. Wokół rozbrzmiał głośny śmiech.

- Bardzo to was bawi, wy dranie, co? No to posłuchajcie mnie teraz! Daję wam dwanaście godzin. Nie, nie dwanaście, osiem, niech to szlag! Osiem godzin, jedną noc! Jak tylko zacznie świtać, a mnie wydobrzeje noga, zabieram się stąd. Z powrotem do Los

Angeles. Jeśli chcecie, żeby mój film pokazał was w dobrym świetle, lepiej bądźcie tu na czas!

- Wołaj księdza! - przypomniała mu Gaby. Kiedy wzdłuż strumyczka wchodzili do skalnej szczeliny, usłyszeli zawodzenie Rodneya: - Ojczeeeeee...

13. Basen z korkiem...

Chick wszedł przez skalną szczelinę do przestronnego tunelu. Pod stopami chrzęścił mu piasek, a z obu stron miękkie załomy ścian rozpływały się w mroku. Po lewej ręce, u podnóża skały, szemrał drobny strumyczek, lecz płynął tak wąsko, że dwoje czy troje idących obok siebie ludzi swobodnie by się przy nim zmieściło. Nie jest tak źle, pomyślał. Co prawda kurz i smród zatykały mu nos, ale przynajmniej uwolnił się w końcu od tego rozgrymaszonego idioty, Rodneya. Właściwie to odkąd stracił formę i popadł w niełaskę, miał nieszczęście służyć u wielu głupich szefów, ale Makai niewątpliwie bił ich wszystkich na głowę. Teraz, gdy nie kręcił się już pod nogami, świat znów nabierał barw.

Tak, nabierał barw. Ta żartobliwa refleksja przywiodła mu na myśl kontury na kliszy fotograficznej wyłaniające się z płynu wywoływacza. Grota wydała mu się wielką ciemnią. Uczestnicy wyprawy - płytkami fotograficznymi, skąpanymi w chemicznym roztworze. Ponieważ zostali całkowicie zanurzeni, już za chwilę oczekiwał wyłaniających się obrazów, uchwyconych w chwili robienia zdjęcia. Ale tak naprawdę, to trzeba by ich wszystkich złapać od przodu, pomyślał. Dopiero wtedy oglądający odbierze tę specyficzną atmosferę.

- Proszę państwa! - Wszyscy gadali jak najęci. - Bardzo państwa proszę. Chciałbym jeszcze, u progu przygody, zrobić wam grupowe zdjęcie. Pozwólcie, że przejdę kilka kroków do przodu.

- Jasne, Ferrell - odparł Boyle cofając się, by Chick mógł się precyzyjnie. - Ale czy w tych ciemnościach będzie coś w ogóle widać? Pytanie Boyle'a było uszczypliwe. Chick żałował, że nie jest w stanie odpowiedzieć krótko i fachowo, ale ściany jaskini tłumili dźwięk.

- Mam taki plan. Każdy zdejmie kask, skieruje swoją lampkę na twarz i wytrwa przez chwilę nieruchomo. Sądzę, że to wystarczy, żeby doświetlić zdjęcie. Próbował ustawić ich w jakimś portretowym układzie, stłoczonych pod nawisem skalnym podziurkowanym jak czarny ser szwajcarski. Kazał Loachowi i jego bratu przykłęknąć na pierwszym planie, a między nimi usadził na plecaku Jocelyn.

- Proszę, żeby obie siostry stanęły z tyłu. Gaby, możesz ustawić się między nimi. Oprzyj się plecami o ścianę.

- Uaa! - jęknęła Gaby - Ta cholerna ściana jest ostra jak tarka.

- Lepiej trzymajmy język za zębami - upomniała ją Ramona. - Przeklinanie może wywołać złe duchy.

Gaby wywróciła oczami, ale nie odpowiedziała. Chick ustawił Boyle'a za Loachem; ogromna powierzchnia jego kombinezonu stanowiła dobre tło.

- A ty, Juke, tutaj, z drugiej strony pana Boyle'a. Proszę się nie ruszać...

Juke był zanadto rozemocjonowany, żeby trwać nieruchomo. Biegał po korytarzu jaskini jak skalna małpa i mruczał do siebie głosem, który przypominał pisk piły po metalu: - Kiedyś już tu byłem...

W końcu udało im się ściągnąć Juke'a na tyle blisko grupy, że Boyle mógł przerzucić wielkie ramię przez jego chude barki. Chick poprawił trójnog, umocował aparat i otworzył przesłone najszerszej, jak się dało. Pochylił głowę, żeby zajrzeć w wizjer. Zminiaturyzowane, odwrócone do góry nogami twarze, podświetlone niesamowitym światłem acetylenowych płomieni, wyglądały jak oblicza zbitych z tropu duchów. Uwagę Chicka przykuły zaskakujące oczy brata Loacha. Ze zdumieniem oderwał wzrok od wizjera, żeby upewnić się, czy to nie przywidzenie. Ale, nie, teraz też wyglądały tak samo - krwistoczerwone, takie, jakie można by ujrzeć w środku afrykańskiej nocy. Oczy szakala. Loach zorientował się, na co Ferrell patrzy, i powiedział z uśmiechem: - Teraz już wiesz, skąd się wzięło jego przezwisko.

Chick znów spojrział w wizjer i z żalem pomyślał, jak rzadko fotograf trafia na swoje własne zdjęcie. Czasem tylko niewyraźny cień na fotografii zdradza jego obecność, ale na tym właściwie koniec. Kiedy zdjęcia z tej wyprawy zostaną opublikowane, jego na nich nie będzie. Oczywiście, pod każdym z nich znajdzie się jego nazwisko, ale to nie to samo. Zupełnie tak, jakby już za życia był duchem.

Zresztą nazwisko pewnie przekręca, jak zwykle. Usiłował wyliczyć, jaki powinien być czas naświetlania. Ustawił za krótko - szczegóły przypadną w martwych ciemnościach. - Dobra... Tak trzymać!

Migawka otworzyła się dokładnie w chwili, kiedy podniecony Juke niecierpliwie odwrócił się w bok. Na tym zdjęciu Juke'a nie zobaczymy, pomyślał Chick słysząc pstryknięcie opadającej migawki. Chyba że jako rozmazaną plamę. I bardzo słusznie, skądinąd.

Zanim wszyscy rozeszli się łamiąc szyki, usłyszeli jakiś dźwięk. Taki sam głośny stukot, jaki rozbrzmiewał w ustroniu Szakala. Nie miał żadnego konkretnego źródła; odnieśli wrażenie, że dochodził ich po prostu z otaczających ścian. Wszyscy aż podskoczyli. Chick mało nie przewrócił aparatu. Jocelyn mimo woli głośno krzyknęła. Każdy znieruchomiał i czekał. Ale nic więcej nie usłyszeli.

- Dla mnie to brzmiało jak pomruk aprobaty - stwierdził Szakal. - Cóż to było, do cholery? - wyrzucił z siebie Boyle.

- Stary przyjaciel. Z czasów, kiedy ciebie na świecie jeszcze nie było - wyjaśnił Szakal. - Wszystko przez ciebie - szepnęła Ramona do Gaby. - Mówiłam ci, że przeklinanie sprowadzi złe duchy. Moim zdaniem, to był Peh Zahzoo. - Też coś! - prychnęła Gaby. Mona nie zgodziła się z siostrą:

- To nie żaden Peh Zahzoo! Uważam, że Gaby ma rację. Według mnie, to raczej Balis Loondree z Indonezji. Sama wiesz, jak ten łobuziak uwielbia przygody. Loach przemówił głośno, żeby uciszyć szum rozmów:

- Tracimy czas. Mamy przed sobą długi wieczór marszu. Ferrell, spakuj sprzęt. Szakal, dobrze pamiętasz drogę? Leć przodem razem z fotografem. Mona i Ramona, wy idźcie za nimi. Boyle, ty razem z Juke'em pójdziesz w następnej parze. Pani doktor i ja zamkniemy pochód.

- A co ze mną? - zapytała Gaby. - Mam być jak zawsze sama? Nie chcę.

- Chodź z nami, kochanie. - Mona ujęła Gaby pod łokieć. - Będziemy się wszyscy nawzajem pilnować.

Szakal zauważył nagły przestрах Jocelyn, kiedy to niewiadomo-co huknęło. Niemal dziecinne zatroskanie nie zniknęło z jej twarzy. Chciał już zapytać, czy duchów też się boi, ale po namyśle zrezygnował. Lepiej nie budzić licha, skonstatował.

Pierwsza część jaskini to była pestka, przypominał sobie po drodze - wysoka i szeroka, niczym kolejowy tunel. Ściany miały chropawą powierzchnię, jak szorstka zaprawa murarska. Porowaty kamień wchłaniał dźwięki, wyciszał tupot stóp, wsysał słowa, jak bibuła atrament.

Chick drobił szybko za Szakalem, pobrzękując sprzętem i co trochę przystawał, żeby coś zapisać w notesie. Szakal zerkał na niego raz po raz. Nic mu się w tym człowieku nie podobało. No, może tylko to, że potrafił jeść jak nikt... Zawsze podziwiał u ludzi dobry apetyt. Ale teraz, kiedy obserwował, jak Ferrell walczy dzielnie z nierównościami ścieżki, wlokąc z sobą płataninę aparatów, trójnog, plecak, niosąc ten przeklęty notes, nie mógł mu odmówić hartu ducha i uporów. W ciągu ostatnich kilku godzin na twarzy Chicka pojawiła się jakaś dzika zawziętość. Szakal przypomniał sobie złapanego w potrzask wilka, którego nakrył na odgryzaniu własnej łapy; zwierzę próbowało uwolnić się z sideł. Ściągnął wtedy wodze i nie schodząc z konia, stanął za drzewem, żeby stamtąd obserwować tego piekielnika. Wilk zwęszył go i wypatrzył - zobaczył Czerwonego Kapturka na koniu - a potem znów zabrał się do przegryzania łapy. Spomiędzy jego zaciśniętych szczęk nie

wydobył się nawet najmniejszy skowyt. Szakal widział jedynie zawziętość w wilczych ślepiach i słyszał miarowy chrzęst miażdżonej kłami kości. A kiedy nie mógł już dłużej patrzeć, położył temu kres strzałem ze swojej dwudziestki dwójki.

O ile dobrze pamiętał, niedługo dojdą do rozwidlenia tunelu, ale wystarczyło jedynie trzymać się strumienia. Z czasem inne do niego dołączą. Już je słyszał. Szumiały znacznie głośniej niż wtedy. Nie było to ciche ciurkanie, jakie zapamiętał. Strumień płynął gwałtownie, z głośnym szumem, jak mała rzeka spadająca kaskadą w dół z nowego otworu w sklepieniu. Może jakaś niedawna burza gradowa zasilila nie znane im podziemne rzeki?

Niedaleko uszli, gdy okazało się, że woda całkowicie zalała piaszczystą ścieżkę. Chwilami była ciepła i mętna, chwilami głęboka, rwąca i tak zimna, że bolały ich zanurzone kostki u nóg. Kiedy dotarli do suchego miejsca, Szakal usiadł na skalnym głazie, żeby poczekać na resztę.

- Coś ci powiem. O ile się bardzo nie mylę, to mamy dziś znacznie więcej wody, niż tu normalnie bywa - zagadał do fotografa. Była to najdłuższa wypowiedź Szakala, jaką Chick słyszał od czasu spotkania w Moab. - Droga jest, można powiedzieć, zalana. Będziemy musieli obejść strumień bokiem, po skałach, jak kozice, tuż pod ścianą. Chcesz, żebym wziął od ciebie część sprzętu?

- Nie, dziękuję - wysapał Chick. - Wszystko w porządku, dam sobie radę. Ruszajmy. Nie mogę się już doczekać. To jest to, o czym od dawna marzyłem.

- Będzie lepiej, jak zaczekam na resztę. Te dwie dojrzałe panienki nie mogą już biegać po skałach na podobieństwo takich rozochoczonych kozłów jak ty.

- Jak sobie chcesz. Ja idę - oznajmił Chick. Szakal odprowadził wzrokiem szczupłą sylwetkę mężczyzny, który brzęcząc sprzętem zniknął w ciemności, i potrząsnął głową.

Tymczasem z tyłu, w tunelu, Boyle przystanął, żeby otrzeć rękawem parę z twarzy. Za sobą, w ciemnym korytarzu, słyszał współbrzmiały z sykiem gazowych lamp, świszający oddech Juke'a. Ten świst... Boyle odwrócił się, żeby spojrzeć na drobnego, pomarszczonego człowieczka. Juke szedł podnosząc wysoko nogi, niczym kogut. Wpatrzony wprost przed siebie, maszerował jak dobrze nakręcona zabawka, która nie może się zatrzymać.

- Hej, kolego! O której to godzinie zaczęliśmy tę wycieczkę? Pamiętasz dokładnie?

Juke gwałtownie odwrócił głowę. W świetle lampki Boyle'a twarz małego człowieczka odcinała się od tła ciemnej skały. Boyle widział błękitne zabarwienie jego warg pod białym szczeciniastym wąsem. Wyglądało to tak, jakby Juke wypił atrament i oblizal usta niebieskim językiem. Boyle widział to już przedtem, w Europie.

- Puścili na niego gaz - mruknął do siebie. - I cało z tego nie uszedł... - Więc kiedy to się zaczęło?

Niebieskie wargi ściągnęły się w zamyśleniu. Juke wyteżał pamięć.

- Jeśli dobrze pamiętam, była pora na ragtime. Trzy - cztery. Dziewiętnasta dwadzieścia sześć. Tak jest, ragtime. Zgubiłem fajkę.

Boyle odczuł nagły przyływ serdecznych uczuć do tego małego człowieczka. Żałował, że nie może poczęstować go jednym ze swoich cygar w futerale, ale musiał zachować je na potem.

- Ja też tam byłem. Wie pan, o czym mówię... Na wojnie. Jakoś dotąd nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś pan ofiarą ataku gazowego.

- Cuchnie tu jak na wojnie - zauważył Juke. - Zgnilizną i kordytem. Strachem, odchodami i siarką. - Ano owszem, ma pan bezwzględna słuszność. A czym to się pan zajmował, jeśli wolno spytać? Wtedy, na wojnie.

- Och, robiło się różne rzeczy. Raz to, raz owo. Umiałem też nieźle dmuchnąć i wysadzać - powiedział łamiącym się głosem. - Dmuchać i wysadzać, dmuchać i wysadzać...

Ileż to zagadek jest na tym bożym świecie, pomyślał Boyle. A ten tu to kolejna z nich. Wysadzać? Jasne. Ale dmuchać? Co dmuchać? Pewnie jakiegoś kociaka. Uśmiechnął się pod nosem. W dodatku burasa-dachowca.

Ruszyli dalej. Minęli kolejny zakręt i wyszli wprost na Szakala, który stał razem z Gaby i siostrami. Ze szczeliny w skalnej ścianie tryskała woda, zalewając piaszczystą ścieżkę, po której dotąd tak łatwo się szło. Szakal tłumaczył starszym paniom, że dalsza część trasy może im nadwreżyć kolana.

- Pielgrzymi do Carcassonne nie potrzebowali żadnych udogodnień - oponowała Ramona. - Kobiety starsze niż ja szły na kolanach, czekając na cud. Jak śmiesz insynuować, że zbraknie mi sił!

W migotliwym świetle twarz leciwej pani gorzała wściekłością. Szakal cofał się w udawanym przestachu.

- Ona ma świętą rację, Douglasie - poparła siostrę Mona. - Naturalnie, że pójdziemy dalej, choćby nawet na brzuchu. Właśnie czuję, jak ogarnia mnie religijna ekstaza! Na takie oświadczenie Szakal opuścił ręce.

- Dobrze, moje panie, dobrze, już dobrze. Tylko nie mówcie potem, że was nie ostrzegałem. I pomału, na litość boską, idźcie pomału! Mimo waszego religijnego uniesienia ta ostra skała może was posiekać na kawałki.

Loach i Jocelyn usłyszeli podniesione głosy, zanim jeszcze ujrzeni, kto z kim rozmawia. Jocelyn zatrzymała się.

- Przepraszam. To chyba przez ten gwar - tłumaczyła. - Wydaje mi się, że słyszę setki ludzi.

- Moim zdaniem, dzielnie pani sobie radzi, pani doktor - uspokajał ją Loach.

- Wiem, że dla pana to absurdalne, żeby taki badacz jak ja... - Nonsens, pani doktor. Wszyscy się czegoś boimy. Spojrzała na wysokiego teozofa.

- Na mnie robi pan wrażenie człowieka nieustraszonego. Jeżeli zawdzięcza pan to studiom okultystycznym, chyba powinnam się nimi zainteresować.

- Proszę pani... - Opuścił wzrok. - Niech mi pani oszczędzi wstydu. Jocelyn nie odrywała od niego oczu.

- Nie chciałam pana zawstydząć. Zawsze wydaje się pan taki opanowany, taki pewny siebie.

Loach popatrzył na nią wnikliwie i spokojnie jak ktoś, kto spogląda na przetak do przemywania złotodajnego piasku w nadziei, że błysnie w nim drogocenna grudka.

- Przed sześcioma laty - zaczął wreszcie - stałem w sali sądowej w San Francisco i usłyszałem dwa słowa. Od tamtej pory cały czas musiałem żyć w strachu. - O czym pan mówi, doktorze? Jakie dwa słowa?

- Dwadzieścia... lat. Ten drań mówił jeszcze wiele innych rzeczy, ale usłyszałem tylko dwa słowa: dwadzieścia lat. I uderzenie młotka w drewnianą podkładkę. Jak takie głośne plaśnięcie. Brzmiało to mniej więcej tak.

Doskonale to naśladował, dźwięcznie odrywając język od podniebienia.

- Ten odgłos słyszałem w więzieniu przez całe sześć lat. Wszędzie, nawet w więziennym kubku. Odgłos upływającego czasu. Odgłos czasu, który mi systematycznie zabierali. Nawet teraz mrozi mi krew w żyłach. - Uśmiechnął się, a jego twarz przybrała dziwnie bezbronny wyraz. - Niech mi pani powie, doktor Kain, jest pani uczoną kobietą. Czy jest jakaś łacińska nazwa na strach przed czasem?

Ruszyli przed siebie. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie strumień rozlewał się szerzej, zobaczyli, że pozostali zakończyli już naradę i czepiając się ścian szli dalej. Tylko Szakal jeszcze na nich czekał. Oderwał wzrok od strumienia, spojrzał na Loacha i doktor Kain i wzruszył ramionami.

- Mokro, ale bezpiecznie - zwrócił się do Jocelyn, zapraszając ją gestem do wąskiego korytarza. Minęła go szybkim krokiem, żeby dołączyć do reszty grupy. Bracia zostali z tyłu. Stanęli blisko siebie.

- Słuchaj, Szakal - zaczął Loach, kiedy Jocelyn nie mogła już ich słyszeć. - Trochę się tu pozmieniało.

- Ty mi to mówisz! - parsknął Szakal. - Nie przypominam sobie, żeby było tu aż tyle wody. Tego smrodu też wtedy nie czułem. Może pomyliliśmy korytarze?

- Ten nam musi wystarczyć. Nie ma siły, żeby ich teraz powstrzymać. No a co zrobimy, jak się okaże, że idziemy dobrym korytarzem? Masz jakiś pomysł?

- Cholera, Charlie, nie wiem. - Szakal zachichotał. - Wiem tylko, że od dwudziestu lat nie miałem takiej tremy. Zupełnie jak za dawnych, dobrych lat, co? Ale sądzę, że zawsze możemy ogłosić klapę i zatrzeć na odwrót.

- Nie, Szakal, nie możemy. Musimy wszystko doprowadzić do końca. Od tego zależy moja przyszłość.

- Prawda - mruknął Szakal. - Ciągle zapominam. Przez chwilę stał zafrasowany i drapał się po brodzie. A potem kącik ust podjechał mu w górę w szelmowskim półśmiechu. - Nie dlatego, żebym chciał zmienić temat, Charlie, ale pozwól, że o coś cię zapytam, dobra? Jak ci się widzi ta cała doktor Kain?

- Pytasz, czy się na tym pozna? Do licha, Szakal, przecież to specjalistka...

- Nie, nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, czy cię rajcuje jako kobitka? Loach parsknął śmiechem.

- Wielki Boże! Jesteśmy w pół drogi do piekła, któreśmy sobie sami zgotowali, a tobie się zbiera na amory. Czy to trochę nie za późno?

- Za późno jak na takiego szakala? Coś ci powiem, Charlie. Nauczyłem się tego od zwierząt. Tak jest, od nikogo innego. Na to nigdy nie jest za późno, ot co.

- Douglasie Dean! - zakrzyknął Loach, kładąc dłoń na ramieniu brata. - Jestem jak najdalszy od tego, żeby ci mówić, co masz robić. Ale sam wiesz, jak jest. Ty jesteś starym włóczęgą, a ona wykładowczynią na uniwersytecie. Co tu dużo gadać. To jak związek octu z sodą.

- Że niby taki pienisto-wybuchowy? Świetnie. Wiedziałem, że to powiesz. - Szakal wyprostował plecy i wypiął pierś, uśmiechając się od ucha do ucha. - Ocet z sodą. Cie, cie... Weszli w wodę i ruszyli za resztą.

Mona i Ramona wspierały się wzajemnie, idąc przez wodę, która sięgała im kostek i spienionym strumieniem rwała dnem skalnego tunelu. Ostre skały poszarpały i rozdarły im sukienki. Kilka razy staruszki omal nie upadły i odrapały sobie kolana i łokcie. - Dacie radę, ciotunie? - spytała Gaby. - Oczywiście! - odparła Mona.

- Co prawda wyobrażałam sobie tę drogę trochę inaczej, ale za nic w świecie nie zrezygnowałabym z obejrzenia tego malowidła - dodała jej siostra.

- Ramono, zaczynasz mi trochę przypominać Rodneya. A co ty sobie właściwie wyobrażałaś? Że przyślą tu nam kolejkę, która nas pod tę świętą ścianę podwiezie?

- Naturalnie, że nie. Ale też nikt nie uprzedzał nas o istnieniu tych rwących podziemnych rzek. Nie przemokłam tak od naszego miesiąca miodowego!

- Ramono! Obiecałaś nigdy nie mówić o Niagarze. Samo wspomnienie tych wydarzeń może obudzić duchy i złe moce.

- Bzdurstwa! On miał zostać moim mężem! Moim, droga siostrze. I będę mówić o tym, o czym mam ochotę.

- Bardzo dobrze, kochanie - westchnęła Mona. - Wobec tego i ja jestem skłonna o tym porozmawiać. Powiadasz, że ta woda wzbudziła w tobie wspomnienia? Oczywiście wspomnienia znad wodospadu Niagara, prawda?

- Ależ naturalnie! Przypomina mi, że byłam przemoczona do suchej nitki, zziębnięta i zimna, że byłam rozgorączkowana i radosna, że na niego czekałam. Przypomina mi Edgara...

- Ramono! - Monę zatchnęło. - Coś podobnego! Radosna i rozgorączkowana? Wstydzilibyś się!

Obie panie przystanąły. Mona ostrożnie usiadła na ostrej skale. Ramona oparła się o ścianę, ciężko dysząc. Patrzyły na siebie.

- Niech wam tylko jajniki nie uderzą do głowy! - ostrzegła Gaby. Nie miała pojęcia, co zdarzyło się nad Niagarą, nie wiedziała też, kim był Edgar. Właściwie to wcale nie chciała wiedzieć. - Chodźcie, chodźcie, wszyscy na coś czekamy. - Minęła je z zaciśniętą szczęką, którą oplatał pasek przytrzymujący kask. - Biedactwo... - szepnęła Mona, kiedy Gaby zniknęła. - Zmieniła się - dodała Ramona.

- Ramono - zaczęła Mona. - Wracając do naszego miesiąca miodowego... Wiesz, że musimy kiedyś o tym porozmawiać. Dla nas obu niespodziewana utrata Edgara była niezwykle bolesna... - Po prostu poślizgnął się i wpadł do wodospadu - przerwała jej Ramona ze ściśniętym gardłem. - Ledwie osiem godzin minęło od ślubu...

- Nie chcę o tym rozmawiać! - krzyknęła gwałtownie Mona. - Przecież to ty... - Urwała i zamilkła wsłuchując się w szum wody. Zauważyła tańczące światła zbliżającego się Szakala i Loacha. - Tak czy owak - wróciła do tematu, kończąc rozmowę - przez trzydzieści pięć lat byłam absolutnie wierna. Pamięci kochanego Edgara.

- Ja też - odparła siostra i obie ruszyły w dalszą drogę. Przed nimi skalny korytarz ostro skręcał, a jego sklepienie znacznie się obniżyło. Strumień płynął wartko. Starsze damy maszerowały teraz po kolana w wodzie. - Ta woda tak cuchnie, że czuć ją na końcu świata.

- Śmierdzi trupozsem, ot co! Ohyda! - burknęła Mona, podciągając wyżej grubą podróżną spódnicę, ciężką od wilgoci.

Kiedy zrównali się z Chickiem, wszyscy byli mokrzy, pokaleczeni i zmordowani. Czekał na nich przy rozwidleniu tunelu. Główny korytarz skręcał w prawo, tymczasem strumień płynął z pluskiem lewą odnogą, która miała nie więcej niż metr wysokości.

- Jeśli te pradawne anioły, czy jak im tam, zlazły aż tutaj, żeby nabazgrolić coś na ścianie, to chyba nas nie lubią - powiedział Boyle, omiatając wzrokiem wymęczoną grupkę.

- Lubią, lubią - odezwał się Juke. - Byliśmy tu. Nic przeciwko nam nie mają. - Nie rozwinął szerzej myśli, tylko w ten swój koguci sposób zaczął przeskakiwać z jednej skalnej półki na drugą. Kiedy dołączyli do nich Szakal i Loach, Chick rzucił:

- Loach, o co tu chodzi, do cholery? Poszedłem do samego końca. - Wyciągnął ramię w kierunku prawej odnogi tunelu. - To ślepa uliczka. Nie ma tam nic oprócz kurzu. Nabrałeś nas!

- Spokojnie, Ferrell - osadził go Szakal, zanim Loach zdążył otworzyć usta. - Poszedłeś złą drogą. Do jaskini idzie się tędy - Pełną odcisków dłonią wskazał niski i wąski korytarzyk, gdzie zniknął strumień. - Tędy?! - krzyknął Boyle.

- Ha, ha! - roześmiała się Gaby - Utknie pan w tym tunelu, jak korek w szyjce butelki. Boyle parsknął śmiechem.

- Chce pani powiedzieć, że za duże brzuszysko sobie wyhodowałem? - zapytał Boyle i klepnął się po brzuchu.

Szakal wyciągnął z plecaka stary wełniany koc i zaczął go ciąć nożem na pasy. Pasy rozdzielił między wszystkich uczestników wyprawy. - Obwiążcie sobie kostki u rąk i kolana.

Po kolei schylali się i wchodzili do niskiego tunelu. Chodzenie na czworakach po ostrej skale było zadaniem niezwykle męczącym. Małe szczeliny w ścianie naprzemiennie opluwały pełzających to gorącą parą, to mroźnymi podmuchami wiatru; czasem powiało na nich świeżym śniegiem, czasem wyziewami gazu z trzewi planety.

- Panie wszechmogący! - jęczał Boyle. - Te gorące i zimne przeciągi! Czy to już piekło, czy tylko jakiś sen?

- Nikt się nie odezwał. Ci, którzy pełzali przed nim, nie mogli się odwrócić, żeby odpowiedzieć, ci zaś, którzy mieli przed sobą ubłocony, wielki zadek Boyle'a, nie słyszeli

pytania. Kiedy po nagłym uderzeniu kaskiem w sufit zgasła im karbidowa lampka, sapali, klęli, jęczeli i nerwowo wciągali w płuca powietrze.

Chociaż Szakal przygotował im ochronne poduszki z koca, przeżywali straszliwą mordęgę, ale odwrotu nie było. Jeśli któreś z nich zatrzymało się na zbyt długo, żeby odpocząć albo na nowo zapalić lampę, już po chwili karbidowy płomień następnego w szeregu osmalał mu tyłek. Musieli ślizgać się po podłożu lodowatego potoku, napotykając po drodze ostre skały, które niczym drobniutkie ząbki cięły skórę i ubrania. - Można by z tego robić świetne zapięcia do ubrania - mruknął Szakal, nie adresując tego do nikogo w szczególności. - Gdyby dało się to przyczepić do materiału.

Nagle skała gwałtownie opadła i strumień spływał teraz po stromej obsydianowej półce, gładkiej jak tafla czarnego lustra. Kiedy wyszli z niziutkiego korytarza, ujrzeli łagodną zjeżdżalnię.

- Wszystko w porządku - uspokajał Szakal. - Przed nami zjazd do galerii.

Zjechali po obsydianowej tafli na piaszczystą półkę, by wreszcie znaleźć się w olbrzymiej, rozbrzmiewającej echem wapiennej grocie.

Zmiana akustyki była równie zaskakująca, jak różnica w wielkości jaskini. Porowaty tunel w lawie pochłaniał wszelkie odgłosy niczym dźwiękoszczelny korek, przez co zdawało się, że ostre ściany są bliżej niż naprawdę. Schowane za ciemną mgłą, znacznie się oddaliły, uciekając poza zasięg światła małych lamp i dudniąc grzmiącą wielkością jak ogromna łaźnia rzymska. A kiedy wreszcie przestali się dziwić, usłyszeli jakiś nowy dźwięk.

- Cóż to, u licha, jest? - spytał Loach zduszonym głosem. - Nie pamiętam czegoś takiego.

- Ani ja - mruknął Szakal. - Olbrzym chłepczący zupę, nie? Tak to brzmi.

- I pachnie zupką, a jakże - dorzuciła Gaby z przekąsem. Nigdy, przenigdy się nie przyzna, jak bardzo ma tego dość. Skoro obie ciotki mogły przez całą drogę pełznąć na kolanach, skoro ani razu nie jęknęły, ona też nie będzie się skarżyć. - Zupa na szczurach, przybrana zgniłymi jajami i przyprawiona tlenkiem węgla. Ulubiona potrawa olbrzyma.

- Właśnie - burknął Chick - I nawet nie mogę go uwiecznić. Te przekłete lampy!

- Spokojnie, chwileczkę - pocieszał go Szakal, zdejmując kask - Można trochę oczyścić lusterko z sadzy To na pewno pomoże. - Wypolerował mankietem wklęsłe metalowe lusterko i założył kask na głowę. Pochylił się do przodu i wbił oczy w mrok.

- Jezu Chryste, Charlie! Spójrz tylko na to! Jest tu coś, czego przedtem na pewno nie było!

Kiedy pozostali uczestnicy wyprawy przyzwyczaili wzrok do ciemności, dostrzegli przed sobą olbrzymią jak boisko lśniącą gładź, miejscami rozjaśnioną blaskiem karbidowych lamp. - Jezioro!

Stanęli nad brzegiem wody. Na samej krawędzi jeziora zebrała się gruba, chrupka warstwa czegoś, co składało się z białych i czarnych kawałków, pożyczowanych cynobrem, niby zaschłą krwią. Chick dotknął tego czubkiem buta. Drobnny fragment chrupkiego kozucha odłamał się i wpadł do wody. - Wygląda jak śnieg, co nie? - zapytał.

- Jak taki tłusty, czarny, miejski śnieg, który leży w rowie od tygodnia - parsknął Szakal.

Chick spojrzał na niego z nagłą podejrzliwością. Szakal był niemal zadowolony z tego, że grot jest prawie po brzegi zalana brudną wodą. Jocelyn, zainteresowana zjawiskiem, podeszła do jeziora. Kucnęła obok Szakala i badawczo wpatrywała się w dziwne kruszywo.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Wygląda jak minerał, ale zapach ma organiczny. Co tu się mogło wsączyć, żeby dać taki efekt?

Śmierdziało wypalonymi racami, które zanurzono w terpentynie, i przypomniało Chickowi Święto Niepodległości, pewnego roku w Illinois... Dzieciaki otoczyły go kółkiem i wrzeszczały: "Cykor Ferrell! Cykor!" Wreszcie nie mogąc tego dłużej znieść, doprowadzony do ostateczności Chick chwycił racę, nim zdążył się dobrze zastanowić. Smród jaskini odświeżył to wspomnienie - zapach przypieczonej prochem skóry i spalonych włosów. Nie będzie już "Cykora Ferrella", pomyślał ponuro, nigdy.

Badając brzeg jeziora, natknął się na długi, gładki sosnowy pał, którego część wystawała z wody. Dokoła dostrzegł jeszcze kilkanaście podobnych, bezładnie rozrzuconych kłód. - Jakim cudem te bale się tu dostały? - spytał.

- Beamann zrobił z nich rusztowanie, z którego fotografował malowidło - odparł Loach. - Mielśmy niezłą przeprawę, żeby je tu ściągnąć - dodał Szakal.

- Obejrzyjmy malunki - zaproponował Chick. - Gdzie one są?

Przez chwilę stali w milczeniu i wsłuchiwali się w nieustający, siorbliwy bulgot.

- Powinny być naprzeciwko. Musimy obejść jezioro po głazach pod ścianami. Stara droga jest zalana. Mona i Ramona! Niech panie tu zostaną. My się tymczasem rozejrzemy.

- Dobrze, panie doktorze - odpowiedziała Ramona z ciemności. - Chwilkę tu sobie odpoczniemy. Dołączymy do was, kierując się w stronę waszych głosów.

- Tylko dźwięk i ani odrobiny światła - rozpaczal Chick. - Bez światła zdjęcia nic nie będą warte! Nic z nich nie wyjdzie! Nic!

- Tak się akurat składa, że mam ze sobą dodatkowe oświetlenie - oznajmił Szakal tonem człowieka, który kładzie na stół strita i rozbija bank.

- Co?! - Chick gwałtownie odwrócił się do niego. - Co takiego?!

- Powiedziałem, że mam światło. - Szakal wyciągnął z plecaka elektryczną latarkę. Było to masywne, kwadratowe czarne pudełko z błyszczącą tarczą reflektorka.

- Chryste Panie! Światło! Jak długo zamierzałeś to przede mną ukrywać? Zapal! Na litość boską, człowieku, natychmiast ją zapal!

Szakal przesunął włącznik i latarka błysnęła oślepiającym snopem światła, tańcząc od jednego zapierającego dech widoku do drugiego.

Wszyscy oniemieli zaskoczeni tym, co widzieli. Patrzyli z rozdziawionymi ustami, porażeni ogromem skalnej komory. Jaskinia i wąski tunel były tak bardzo różne, jak różne są noc i dzień. Z jeziora wystrzeliwały w górę olbrzymie kolumny płynnego kamienia. Ściany groty robiły wrażenie żywych, jak wnętrze wielkiego żołądka - śliskie, czerwono-fioletowe, pokryte mieniącym się śluzem. Nad nimi, niczym trzonowce, zwisały stalaktyty. - O, Boże! - sapnął Chick.

W ciągu sekundy wy dobył aparat. Wodząc obiektywem za przesuwanym się snopem światła, raz po raz pstrykał zdjęcia, jak gdyby każda chwila była na wagę złota. Fotografował niemal na oślep, to wielką skalną kopułę nad nimi, to otaczające ściany i mroczną tafłę jeziora, na której wirowały jakieś brązowe, bąblaste smugi.

- Świetnie, już się rozgrzałem - oznajmił radośnie. - Pokażcie mi teraz tę osławioną ścianę!

- Jest tam - powiedział Szakal, przesuwanym światłem latarki. - Ale obawiam się, że będziesz rozczarowany.

Snop światła odnalazł miejsce, z którego dochodził ssący bulgot, wypełniający im uszy. Na drugim końcu rozbrzmiewającej szumem groty wirował lśniący lej, wielki jak karuzela. Za lejem zaś, za tym roztańczonym wirem, widniała biała ściana. Opadała skosem w dół i była czysta, zupełnie czysta. Nad powierzchnię jeziora wystawało ledwie kilka namalowanych linii.

- Woda podniosła się i całkowicie zasłoniła malowidło - wyjaśnił Szakal.

Jak scena w wodewilu, rozmyślał Chick. Nareszcie jasno oświetlona, tylko że nic na niej nie ma. Wszedł na skałki zmierzając w stronę białej ściany i nagle poczuł w sobie straszliwą pustkę. Ta pustka i rozpacz rozsadały mu pierś, rozpacz i pustka tak ogromne jak ta olbrzymia pieczara. Zupełne zero! Przynajmniej dobrze, że Makai został na górze,

inaczej na pewno znalazłby jakiś powód, żeby całą winę zwalić na niego, na Chicka. Tak, na pewno by znalazł.

Kiedy wszedł w snop elektrycznej jasności, zobaczył na skale swój powiększony cień, podobny do sylwetki Errola Flynna; z tyłu zawadiacko wybrzuszała mu się peleryna. Wirujący lej usiłował ów cień w siebie wessać, jak w koszmarnym śnie. Na brzegach obracał się wolno, ku środkowi coraz szybciej i szybciej - szalał bulgoczącą i wirującą kipiela, która wchłaniała ochłapy brudnej piany.

- Cholera! - zaklął Chick. - Muszę coś sfotografować! Cokolwiek!

- Ferrell! - krzyknął Szakal. - Tylko spokojnie tam! Chick parł przed siebie, pokonując głazy wielkości samochodów-chłodni i olbrzymich Buicków. Znalazł przy ścianie płaską półkę, na którą zdołał wpełznąć. Oparty na dłoniach i kolanach, mógł zajrzeć pod linię wody.

- Tak, tak, Ferrell! - Loach stanął obok brata. Niech pan lepiej wraca! Przepadło!

- Nie! - odkrzyknął Ferrell. - Nic nie przepadło! Są tutaj! Całkiem wyraźnie widzę je przez wodę! Są piękne, skończenie piękne! Mój Boże...

Zdawało się, że za chwilę się rozplacze. Podpełził do samej krawędzi półki i wycelował aparat w wodę.

- Będę mógł zrobić zdjęcie! Woda jest tu całkiem przejrzysta. Szakal, proszę, niech pan podejdzie do mnie ze światłem! Chodźcie tu wszyscy. Niewiarygodne... Musicie to zobaczyć! Nie macie nawet pojęcia...

Szakal, z latarką w ręku, ruszył w stronę Chicka. Wtem poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

- Chwileczkę - zatrzymała go Jocelyn. - Nie po to czołgałam się tutaj na kolanach, żeby teraz nic nie zobaczyć.

Już teraz widziała coś, co przypominało jej zarys wielkiego rogu albo oka Horusa.

- Niech pan się pospieszy z tym światłem! Muszę to udokumentować. Przecież jestem zawodowym dziennikarzem.

Szakal miał co do tego pewne wątpliwości, ale porwany entuzjazmem Chicka, przyspieszył kroku, ciągnąc Jocelyn za sobą. Słyszał, że pozostali ruszają za nimi. Kiedy wspinali się na wielkie głazy, wirująca w jeziorze kipiela wyglądała jak paszcza potwora.

- Ferrell, niech pan spokojnie czeka! - Loach usiłował przekrzyczeć szum zasysanej wody. - Te malunki tkwią tu od tysięcy lat i na pewno dzisiaj nie znikną!

Przemarznięta do szpiku kości Gaby ruszyła za siostrami Makai. Ściana wciąż sprawiała na niej wrażenie pustej sceny. Gaby już od dawna czekała, aż kurtyna wreszcie

opadnie, wiedziała jednak, że musi wytrwać do końca ostatniego aktu. Miała tylko nadzieję, że to już niedługo. Zjadała ją ochota na prażoną kukurydzę.

- Nie wiem, co ten zwariowany reporter tam zobaczył - mruknęła do Mony, która przedzierała się przez wielkie kamienie obok niej. - Dla mnie to jest jak wanna, z której spuszczają wodę.

- Ojej! Chyba widzę czubek Bożego Oka! - wykrzyknęła Ramona. - Zupełnie jak na fotografii! Niesamowite!

- Rzeczywiście, niesamowite - zawtórowała jej Mona. - Nareszcie znalazłyśmy źródło... Spełniła się moja wizja. - Wcisnęły się na wąską skalną półkę. Na półce siedział Chick. - Będę to miał, wielki Boże! - mrucał pod nosem: - W końcu będę to miał! Dobra! Poświeć na dół. Dokładnie na te malowidła. Są wspaniałe. Po prostu wspaniałe!

W blasku latarki, pod lśniąca powierzchnią wody zaczęły się materializować różne kształty: zarysy zwierząt, symbole, patyczakowate, lekko falujące ludzkie figurki. Co chwilę pstrykała migawka. - Tak, ciągle się kręci, ale będę to miał. Chryste Panie! - I nagle zobaczył, jak coś przelatuje mu z sykiem przed wizjerem. Skwierczało jak boczek na patelni.

- Uważajcie! - krzyknął Szakal. - A niech cię szlag trafi, Boyle!

Chick odłożył aparat, żeby lepiej przyjrzeć się syczącemu przedmiotowi. To coś wyglądało jak pęk cygar, związanych białym skórzanym paskiem. Z jednego końca kiści wystawał lont, który napędzał ją niczym małą motorówkę.

- Odsuńcie się! Wszyscy! - krzyknął Boyle. - Niech spełni się woła Pana!

Chick patrzył, jak dynamit przepływa obok niego, jak z sykiem zatacza leniwą pętlę wokół tańczącego wiru. Ferrell zaczął ściągać buty. - Nie, Chick! Nie! - ryknął Loach.

Ale Chick nie miał przecież wyboru. Musiał spełnić swój zawodowy obowiązek. Był dziennikarzem z krwi i kości. Nie namyślając się ani sekundy, wskoczył do wody i już ścigał pakunek, już go okrążał, już go chwycił. I przy tym wcale się nie denerwował. Widywał już ładunki dynamitu. Ten miał długi lont, taki wystarczy co najmniej na minutę. Zostało mnóstwo czasu. Nie, za nic w świecie nie straci takiej okazji. Przecież ledwie zaczął pracować. Musi jeszcze zmienić obiektyw. I film. To oświetlenie... Zastosuje kliszę z wolniej działającymi emulsjami, z takimi, które lepiej i głębiej wchłaniają światło...

Zacisnął rękę na syczących laskach dynamitu dokładnie w chwili, kiedy prąd wody niósł go obok skalnej półki, z której bił snop światła elektrycznej latarki. Nie, w tamtą stronę odrzucić ładunku nie mógł. Tam trzymał cały sprzęt, tam stali koledzy. Nie zważał na dobiegające go krzyki, spokojnie leżał na wodzie i czekał, aż prąd zniesie go na drugą

stronę roztańczonego leja. Dopiero wtedy cisnął pakunkiem. Widział łukowaty snop drobnych iskierek spadających na czarne głązy. - Mam! Mam!

To ten mały człowieczek, to Juke. Niezły z niego gość. Na swój sposób całkiem odpowiedzialny zna się na swojej robocie. Jak prawdziwy zawodowiec. Przecież oni wszyscy - nie, żeby się nad tym specjalnie zastanawiał - na czymś się znali. Starsze panie umiały jęczeć i warczeć i wywoływać stukające po nocy duchy. A na przykład taki Szakal. Kto by pomyślał? Jak świetnie umie gotować. Nawet Loach... Teraz skoczył do wody. Klasyczny skok. Tak, Loach - dożywotni bohater. Na nim też można polegać...

Szakal wyszarpywał coś z plecaka Jocelyn. Zanim zdążyła zapytać, co robi, wyjął z niego długą linę i zawiązywał ją sobie w pasie.

- Szakal, nie możesz... - zaczęła. Loach wpadł w gardziel wiru. Wessała go jak chwilę przedtem Ferrella. - Już za późno... Szakal wcisnął jej w dłoń koniec liny.

- Ubezpieczaj mnie. Liczę na ciebie. - Potem zniknął w czarnej kipieli.

Jocelyn zapała się stopą o skałę. Lina napięła się. Gdzieś za plecami, w ciemnościach, wśród pisku kobiet usłyszała głos Juke'a. "Rozbrojone!" Dobiegł ją głośny trzask eksplodującego zapalnika. Nie mogła się odwrócić i wiedziała, że nikt z pozostałych nie zdąży dotrzeć na półkę, że nikt nie zdąży jej pomóc. Czowała ciężar Szakala. Był jak ogromna ryba na wędce, która szamocze się walcząc o życie. Jocelyn owinęła luźny koniec liny wokół pasa, zamknęła oczy i próbowała utrzymać potwora w ryzach. I właśnie w chwili, kiedy pomyślała, że nie da rady, że zaraz będzie musiała zwolnić uchwyt, poczuła, że ciężar gwałtownie zelżał. Otworzyła oczy przekonana, że lina po prostu pękła.

Tymczasem obok siebie ujrzała Boyle'a! Boyle jej pomagał!

- Pan?! Co pan robi? - krzyknęła usiłując wyrwać mu linę z rąk; miała wrażenie, że mocuje się z górą. - Pomagam! - odkrzyknął Boyle. - Przepraszam. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Klnę się na Boga, że nie chciałem...

Wybierał linę, przekładając na przemian dłonie z taką łatwością, że Jocelyn zwątpiła, czy na końcu sznura ktoś jeszcze jest. Nagle z czarnej kipieli wyprysnął Szakal. Trzymając nieprzytomnego brata za siedzenie bryczesów, ciągnął go za sobą w stronę czarnych skał. - Nie widziałem Ferrella - wykrztusił.

Boyle pomógł mu wciągnąć Loacha na gładką półkę. W migającym świetle lampki wysoka postać Loacha jakoś dziwnie zmaląła, a jego skóra jaśniała martwą bielą. Szakal nachylił się nad bratem i ugniatał mu klatkę, dopóki Loach nie zaczął krztusić się i kaszleć, z trudem łapiąc powietrze. Teozof zwinął się w kulkę. Teraz przypominał Jocelyn małe dziecko. Szakal podniósł wzrok. Spotkali się oczyma.

- Wygląda na to, że żyje - powiedział. Nagle przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać. -
Co to? Co to znów jest, do cholery?

Cisza. Szakal wstał i jeszcze raz zbiegł nad brzeg. Lej przestał szaleńczo tańczyć i
wsysać jezioro. Jak ręką odjął. Woda powoli uspokajała się, zataczając kilka małych kręgów
w miejscu, gdzie przed chwilą szalała czarna kipiela. Jocelyn wyprostowała się nad drżącą
postacią Loacha. Dobiegł ją ponury głos Szakala: - Zatkany. Ferrell zatkał odpływ.

14. Zagubieni w ciemności, odnalezieni w kwieciu...

Boyle otworzył oczy i spostrzegł, że znowu jest związany.

Loach wytrzepał z uszu wodę i szlam. Teraz znowu słyszał, ale stwierdził, że wokół panuje martwa cisza.

Kiedy Jocelyn uspokoiła się na tyle, by móc przywołać z pamięci obrazy tego, co się wydarzyło, przestała wierzyć, że cokolwiek widziała. Czy rzeczywiście dostrzegła jakieś malowidła? Czy rzeczywiście zauważyła coś, co wystającym nad wodę fragmentem przypominało wielkie oko? Czy naprawdę widziała, jak słaby człowiek staje się raptem na tyle mocarny, by umrzeć, a naznaczony piętnem zbrodni mężczyzna wystarczająco czysty, by podjąć próbę ratowania mu życia? Trudno było to wszystko spamiętać, a jeszcze trudniej w to uwierzyć. Co właściwie słyszała? Co widziała? Co tak naprawdę istniało? Szok, woda i nierówny oddech. Nie odzywał się nikt. Ciszę zakłócił Szakal. - Zgaś tę cholerną latarkę!

Jasne światło zapewniało przedtem swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Teraz było już niepotrzebne, nawet przeszkadzało. Zebrane wokoło twarze, częściowo oświetlone drgającymi płomykami karbidowych lamp, wyglądały jak maski; jaśniały tylko wówczas, gdy ktoś obracał głowę, by spojrzeć na sąsiada. Gdy nieruchomiały, widać było jedynie fragmenty ludzkich postaci: drżący policzek jednej z siostr, uniesioną do gardła rękę drugiej - "O, Boże", szeptała. - Bateria jest słaba. Jeszcze może się nam przydać - mruknął Szakal, by usprawiedliwić tak gwałtowny wybuch.

Jocelyn chciała dodać mu otuchy. Oparła rękę na jego ramieniu i powiedziała: - Masz rację. Nigdy nic nie wiadomo.

Gaby odczuła nagły przymus dotknięcia własnego brzucha. Masując go otwartą dłonią, nie zauważyła żadnych zmian. Ale nie oderwała ręki. Stwierdziła natomiast, że jest jej cokolwiek niedobrze, nie wspominając już o tym, że była bardzo zdezorientowana, niespokojna, dobita i spragniona, choć stała w kałuży wody. Kałuża pojawiła się nagle, nie wiadomo skąd.

- Nie chciałabym zakłócać tak miłej chwili, moi drodzy, ale sądzę, że woda się podnosi. - Weszła na większy głaz.

Loach już wstał. Odprowadzany blaskiem drżących lamp, zrobił kilka kroków w jedną, potem w drugą stronę. Woda zalewająca skałę odebrała światło płomieni, które na lśniącej powierzchni wyglądały jak tańczące demony. - Ona ma rację - potwierdził.

Wtedy rozmowy rozszumiały się jak leciutki wietrzyk. Ramona i Mona kręciły się nerwowo to tu, to tam, niby zdenerwowane kaczkami; mruczały coś o mocach, które przemieniają wszystko w skamieliny.

- Trzeba wracać - zdecydował Loach. - I to zaraz. Zwijamy obóz.

- Nie musiał wcale skakać po te laski dynamitu - stwierdził Juke. - Nie były obciążone. A skoro nie były obciążone, nie mogły zatonać. Skakałyby chwilę na wodzie, a potem trochę podzwoniłoby nam w uszach, i już. Niepotrzebnie skakał.

Nikt dotąd nie słyszał, żeby Juke wygłosił tak długą przemowę, w dodatku bez jednej powtórki.

- A co z tym grzechotnikiem? - zapytał Szakal, wzniesając nogą fontannę wody, która oblała kucającego Boyle'a. - Przeszukaliśmy go dokładnie. Wiemy, że już nie ma jadu. Te cztery laski, zapalnik i lont to chyba cała jego broń. - Co ty na to? - Loach zwrócił się do Boyle'a. - Możesz nam przyrzec, że nie będziesz próbował żadnych sztuczek?

- Jestem absolutnie pokojowo nastawiony, doktorze. Jak Bóg na niebie. Przysięgam. A tak swoją drogą, to bardzo mi zaimponowaliście. Jak to było tym razem, co? Jak mnie, do licha, spętaliście? Ktoś mnie zahipnotyzował? Gaby parsknęła śmiechem.

- Nie, ty głupku. Ramona walnęła cię od tyłu kryształową kulą w skarpacie. Tak samo jak przedtem.

Boyle zawtórował jej śmiechem i jednym ruchem ciała poderwał się na nogi. Odwrócił się plecami, żeby Szakal mógł przeciąć pęta.

- Mimo to wciąż jestem pod wrażeniem. Zresztą spuściłem już parę. Uwolnijcie mnie. Obiecuję, że będę grzeczny.

Loach skinął głową i Szakal rozciął więzy. Gdy wychodzili z jaskini, Gaby odwróciła głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na przybierającą wodę. - Jedno jest pewne, wujku Charlie - powiedziała. - Prawdziwy z ciebie bies na fotoreporterów.

Rozsądek pchał wszystkich w głąb wąskiego korytarza. Rozsądek i niepokój. Jak wtedy, kiedy człowiek nie ma przed sobą określonego kierunku, ale i tak prze naprzód, byleby tylko nie ogarnęło go jakieś przygnębiające uczucie, byleby nie osiadło na nim jak kurz. Szakal szedł pierwszy, inni ruszyli za nim. Jeden po drugim opadali na kolana. Własne ciała znów im zaczęły przeszkadzać. Mieli odrapane boki, poharatane kolana, obolałe ramiona i ręce. Znów sapali z wysiłku.

Wpełzanie do jaskini było trudne, ale przynajmniej ciekawe. Umysł oczekiwał cudownych niespodzianek - potworów, zagubionych miast, skarbów, strachów. W drodze powrotnej takie emocje im nie towarzyszyły. Sunęli przed siebie w milczeniu. Twarze

tonęły w ciemności i wszyscy wyglądali jak wielka krocząca stonoga, która przesuując się centymetr za centymetrem, odmierza ruchem każdą piędź mroku. Było im zimno, mokro i ciasno - odbierali te same wrażenia, jak jedno ciało. Ich dłonie odnajdowały szczeliny i skalne występy, których kurczowo się chwyciły. Śliskie podejścia, niepewne półki, chwilowy ciężar. Kawałki skały kruszyły się pod dotykiem. Wszyscy odczuwali ten sam strach: żeby tylko nie naprzeć na kamień zbyt mocno, żeby tylko nie ściągnąć go na siebie. Chcieli utrzymać rytm i kierunek. Powtórne wpełzanie w gardziel nieznanego wymazało z nich wszelką indywidualność. Tylko Gaby dostrzegła tkwiącą w nich świadomość, świadomość wspólną, bo przecież nie jej. Zresztą i tak nie ma w tym nic godnego uwagi, myślała. Raptem nadziała się twarzą na skurczoną postać Mony. - Słuchaj... - mruknęła Mona. - Słyszysz? Osadził je w miejscu jakiś dziwny trzeszczący szept.

- Jak zakłócenia radiowe - powiedziała Gaby, kiedy wydostały się z wąskiego korytarza.

Jakieś sto metrów przed sobą ujrzwały zamgloną postać z rozpostartymi ramionami.

- Coś podobnego! Toż to Rodney! Na końcu świata rozpoznam tego cherlaka! - Po co tu zszedł? - spytała Ramona.

- Może nietoperze go przygnały? - zastanawiała się Mona.

Postać stała nieruchomo. Dzielilo ich od niej już tylko kilka metrów, kiedy zorientowali się, że ten ktoś usiłuje wołać. Miał cienki, schrypnięty głos, który wydawał się znajomy. Nie rozróżniali słów. Mieli wrażenie, że stoi przed nimi ktoś, kto nie jest sobą. To szok.

- Rodney? - zawołała Mona. - To ty, kochanie? Postać drgnęła, jakby dopiero teraz zobaczyła przybyszów. Jej szeptane krzyki stały się bardziej wyteżone i niespokojne. - Co on mówi? - zapytała siostrę Ramona. - Nic nie rozumiem - odparła Mona. Grotę wypełnił głos Loacha: - Makai!

- Chyba jest w szoku - zauważyła Jocelyn. Otoczony aureolą światła wpadającego z wejścia do jaskini, Rodney zrobił krok w ich stronę. Żywo gestykulował rękami. - Makai! - powtórzył Loach.

- Ojcie... - wyskrzeczwał Rodney. Beładnie machał ramionami, jak ślepiec. - To ty ojcie, prawda?

- Wielkie nieba! On postradał zmysły! - krzyknęła Mona. - I głos - dodał Szakal. Rodney spojrzał na Loacha.

- Cieszę się, że cię widzę, ojcie - wyszeptał, jakby mówił coś w największym sekrecie. Gaby podeszła bliżej i stanęła tuż przed nim.

- Co się z tobą dzieje, do cholery? Gadasz zupełnie jak Juke! Z przodu usłyszeli zniekształcony echem głos Jocelyn:

- Uwaga! Niech wszyscy położą się płasko na ziemi!

Usłuchali. Przed karbidowym płomieniem Gaby nie było nikogo, choć wiedziała, że przecież tam są. Przekrzywiła lampę, tak żeby światło wpadało w głąb czarnego korytarza przed nimi. Coś stamtąd pędziło - jak haust powietrza tchawicą - coś żywego, coś huczało i łopotało. Skrzydła! I pęd powietrza. Czuli to na plecach i nogach. Większość z nich zacisnęła mocno powieki, ściągnęła usta i napięła mięśnie ciała, czekając, aż nawałnica minie.

Raz czy drugi Gaby próbowała unieść głowę, potem tylko ramię. Wciąż nadlatywały, całymi tysiącami. Skrzydlaty ruch przygważdżał ją do skały. Gdyby tego muskania, tego szorowania po ciele nie odbierała jako czegoś nad wyraz obrzydliwego, czułaby się jak na masażu.

Kiedy przetoczyła się po nich ostatnia fala, Mona czy Ramona mruknęła:

- Toż to najprawdziwsza ohyda! Cóż za wstrętne stworzenia! Dlaczego to robią?

- To tylko zwierzęta, kochanie - odparła siostra. Nie wiedzą, że to niegrzecznie. Gaby przewróciła się na plecy.

- Zdawało mi się, pani doktor - powiedział z uśmiechem Szakal - że twierdziłaś, jakoby takie właśnie osobniki nie mogły tu na dole żyć. - Fakt, to zadziwiające zjawisko - odparła Jocelyn.

Znów rozpoczęli wędrówkę na kolanach. Owionęło ich świeże powietrze. Jocelyn podniosła się i z radością głęboko odetchnęła.

Już widzieli poszarpany otwór wejściowy. Teraz raził ich z góry jasnym światłem. - Chyba już ranek - mruknął Szakal. - Ktoś tam stoi, czy to tylko skała? - spytała Gaby - Makai, dlaczego, do ciężkiej cholery, postanowiłeś... - zaczął Loach i nagle urwał.

Rodney wyciągał rękę w stronę jasności bijącej z otworu.

- Ścigają mnie, ojciec - wyszeptał. - Cieszę się, że ojca widzę. - Kto cię ściga?

- Niedźwiedzie - wydusił z siebie Rodney. - Niedźwiedzie, niedźwiedzie...

Gaby pokazywała coś ręką i zapytała podniesionym głosem:

- A to co takiego? - Maleńkie karbidowe płomyki obróciły się za jej wskazującym palcem. - Wygląda jak śnieg - zauważyła widząc drobne białe płatki, spływające w strumieniu światła.

- To nie śnieg - powiedziała Jocelyn i w tym momencie wszyscy zrozumieli, co to jest. - To pierze. Pierze z naszych śpiworów...

Dopiero wtedy usłyszeli pomruki, chrumkania, odgłosy uderzeń i tarposzenia. Niedźwiedzie. I niemal w tej samej chwili drabinka podskoczyła o dobry metr w górę. Szakal rzucił się susem, żeby jej dopaść, ale zanim skończył swoje "A niech to szlag!", drabinka znów podskoczyła, by tym razem zniknąć bez śladu. Wystrzeliła z jaskini jak wyrwany ząb.

- Czują zapach stopionego boczku - skostatowała Gaby. - Spojrzała na Rodneya. - Ty głupku. Rodney zaczął wywijać ramionami jak szaleniec.

- Wolałabyś, żeby dopadły mnie?! - krzyknął. Nikt się nie odezwał. Pytanie zawisło w powietrzu jak karbidowe płomyki w ciemności. Po długiej chwili Gaby powiedziała:

- Tak naprawdę, to rzecz w tym, co teraz zrobimy. Czy ktoś z was, moi genialni, ma jakiś pomysł? - Zglądała im w twarze, czekając na konkretną odpowiedź. - No więc, wujku Charlie?

- Słucham propozycji - odrzekł Loach. - Za nami coraz wyższa woda, przed nami dzikie bestie. Nawet gdybyśmy mogli dostać się na górę, choć przecież nie możemy, te zwierzęta nie obdarzyłyby nas przyjaźnią. Proszę, słucham propozycji - powtórzył.

Stał w stożku światła wpadającym z zewnątrz i, oszołomiony, spoglądał na zebranych.

- Że też musiałem tak się pospieszyć z tym moim dynamitem! - żałował Boyle.

- Dynamit jest - zauważył Juke. Wyciągnął cztery laski z wewnętrznej kieszeni marynarki, gdzie zwykle trzymał fajkę.

- Bez zapalnika żaden z nich pożytek, Juke - przypomniał koledze Loach. - Boyle, nie masz chyba przy sobie zapasowego zapalnika i lontu, co? - Obawiam się, że nie - odparł Boyle.

- Skoro nie przy sobie, to może w sobie? - warknął Szakal; nie był pewien, czy rozgrywkę z Boyle'em zakończył ostatecznie, dlatego trzymał dłoń na trzonku noża.

- Ślubowałem podjąć tylko jedną próbę - zapewnił Boyle. - Stąd tylko jeden ładunek. - Zatem dynamit jest zupełnie bezużyteczny, Juke - powiedział Loach. - Możesz go spokojnie wyrzucić.

- Nie, potrafię go wykorzystać - odrzekł sinawy człowieczek. - Znam sposób.

Loach i Szakal odwrócili się jak na komendę i spojrzeli na Juke'a. Czekali. - Karbid - wyjaśnił. Obaj mężczyźni zamrugali niespokojnie, ale oczy małego Juke'a były przytomne i opanowane - jak dawniej, jak... przed wojną. Szakal spojrział na brata, wzruszył ramionami, jakby mówił: "Niech się dzieje, co chce!", i mruknął: - Czadu! Czadu! Czadu!

- Och, miałam wizję, że ocalejemy - westchnęła Ramona.

- Nie miałaś żadnej wizji - sprowadziła ją na ziemię Mona. - Cicho bądź. To poważna sprawa. - Tak, tak, to nie przelewki, sprawa jest poważna - zgodziła się Gaby. - Ale ja tu zostaję. Nawet sama. Nie będę więcej zdzierać sobie kolan.

- Nie możesz tu zostać, kochanie - oponowała Ramona. - Te niedźwiedzie... - Tak, musimy się trzymać razem - dodała jej siostra.

- Jeżeli tu zostaniemy, wszyscy zamienimy się w padlinę dla nietoperzy - stwierdził Szakal.

Loach spojrział na laski dynamitu, które ścisnął w ręce. Podał je bratu, Szakal oddał ładunek Juke'owi.

- Wracamy - zarządził Loach. - Spróbujemy przebić się przez ścianę.

- Ale ja już nie mogę - jęknęła Gaby gasnącym głosem; zabrzmiało to jak ginąca w eterze transmisja z odległej stacji radiowej.

- Nie ma wyboru - odezwał się Juke. - Nie ma wyboru. - Chcę tylko spać - wymamrotała Gaby. - Sen musi trochę poczekać - stwierdziła Jocelyn. - Zaczynam mieć już dość tego cholernego korytarza - powiedział Szakal. Wyciągnął z plecaka pudełeczko z drobnymi czarnymi kamykami karbidu i przeliczył je. - Po jednym dla każdego - oświadczył. - Wyciągnijcie ręce.

Obszedł grupę, wrzucając do ręki każdego po jednym kawałku karbidu.

- Zostało nam jeszcze tyle, że wystarczy na zapalnik dla Juke'a. - Nie wiem, czy moje kolana wytrzymają kolejną przeprawę przez ten tunel - jęknęła Mona, przywiązując zimne i mokre ochraniacze.

- Drogi doktorze, czy rzeczywiście musimy się pchać przez ten okropny korytarz? - wsparła ją siostra. - Jeszcze raz?

Jakby w odpowiedzi, przebiegł obok nich Rodney. Przebiegł dzikim pędem i zniknął w tunelu jak jakiś nocny gad. Szakal podszedł szybko do ciemnej gardzieli.

- Obawiam się, droga pani, że najgorsze, co można teraz zrobić, to właśnie odłączyć się od grupy. Straciliśmy już... - Jego głos zginął w ciasnym korytarzu i członkowie wyprawy doktora Loacha, choć nader niechętnie, ruszyli śladem Szakala. Ta niechęć najpełniej nabrzmiała w Gaby. Dziewczyna wahała się. Stała u wejścia w ciemną czeluść, nerwowo tupiała stopą, trzymała się za brzuch.

Była w najwyższym stopniu zdeglustowana. Banda durniów, myślała. Kolana mi krwawią, mam odrapane dłonie, paznokcie połamane w drzazgi i w ogóle chce mi się rzygać.

- Ene, due, gówno, dupa, dziewięcioro głupków i kłopotów kupa - powiedziała.

Jakby w odpowiedzi, plecak podskoczył jej lekko na ramionach. To Juke odpiął paski i wyjął z niego jakieś akcesoria. Kiedy je zapiął, plecak był dużo lżejszy, i Gaby mogła swobodniej oddychać.

- Gdyby jeszcze było tu trochę powietrza - mruknęła. Juke klepnął ją w ramię.

- W tunelu odwracaj głowę na bok. Wtedy się lepiej oddycha.

- Dajcie mi chwileczkę odsapnąć. Zaraz was dogonię. Tylko chwileczkę.

- Chodź, chodź - namawiał Juke, potrząsając plecakiem Gaby. - Chodź, chodź. - Kucnął i wszedł do korytarza.

Dziewczyna ruszyła za nim. Długi robał, rozczłonkowany i zwichrowany, po raz trzeci zaczął pełznąć przed siebie.

Po raz trzeci zimno, mokro, boleśnie - pełno zadrapań, obić, siniaków. Rana nie może być otwierana w nieskończoność, bo rozpała się infekcją, wreszcie dochodzi do rzeczy nieodwracalnych. Ostatnią osobą, która coś powiedziała, był Boyle. O dziwo, zabrzmiało to optymistycznie.

- Trzeci raz jest zawsze czarodziejski, kochani. Zawsze czarodziejski.

Trzecia przeprawa była jedną wielką epopeją udręki i małych kroczków. Zimna woda obmywała ich pokancerowane dłonie i kolana. Cisza...

W końcu Gaby poczuła, że musi odpocząć. Bez względu na konsekwencje. Głowa natychmiast znalazła podporę na skalnej ścianie, pierś unosiła się miarowo, na twarzy malował się spokój. Karbidowa lampka syczała rzucając wątle światelko na niski, okrągławy sufit korytarza. Gaby spoglądała na porowate sklepienie z lawy. Marzyła? Nie, nie marzyła. Była tak wykończona, że nie miała już na to sił. Światło osłabło, lampka zaczęła się krztusić, płomień niespokojnie zamigotał. Gaby drgnęła. Kończyło się paliwo. Płomyk tańczył nerwowo, co raz przygasał, aż wreszcie, przy akompaniamencie głuchego pyknięcia, zgasł. Na dobre.

Gaby gwałtownie otworzyła powieki. I nie zobaczyła nic. Jak długo spała? Zupełna ciemność, głucha cisza. Usiłowała wyteńczyć wzrok, ale bez rezultatu.

- A niech to jasny szlag trafi! - zakłęła pod nosem. - Napiję się wody. Nie ma powodu do paniki. - Dźwięk własnego głosu sprawiał, że czuła się mniej samotna. Jednak po chwili żałowała, że pociągnęła łyk wody; żołądek wywracał się jej do góry nogami.

- Cóż - perswadowała sobie - jeśli chcesz ich dogonić, lepiej ruszaj, kochana. - Zaczęła sunąć na czworakach umilając drogę rozmową z samą sobą.

- Gaby, staruszeko, jesteś w marnej formie.

Roześmiała się. Nie usłyszała echa. Wokół panowała martwa cisza, pochłaniająca wszelkie dźwięki. Ten stłumiony śmiech przeraził Gaby najbardziej. - O Boże, naprawdę ze mną kiepsko...

Ale tym razem nie był to wcale żart. Chciała znaleźć się w łóżku, chciała naciągnąć kołdrę na głowę... I żeby ją ktoś przytulił! Była tu sama, mogła czuć i odczuwać do woli. Ale odczuwała tylko mdłości, chłód i samotność. Jak dziecko. Usiłowała wykrzesać z siebie coś na kształt śmiechu, chciała go usłyszeć.

- Dobra, dobra, za bardzo się boisz, żeby tutaj płakać. - Tak, to zabrzmiało jak trzeba. Proste stwierdzenie. Powoli zaczęła myśleć, jaki kierunek powinna obrać, jeśli chce odnaleźć resztę towarzystwa.

Zaczęła pełznąć przed siebie; jedną rękę wyciągała w przód, drugą opierała o ścianę. Czy to dzień? Pomyślała o Paulu. Zniknął gdzieś, odszedł. Być może oboje się zgubili, razem. Wyobraziła sobie, że na rozwidleniu korytarza skręca w niewłaściwą odnogę. A może... Może jestem do niego podobna? Błądzą w ciemnościach, wymacuję drogę...

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała w tunelu, był jej nierówny oddech. Nabrała głęboko powietrza i na chwilę wstrzymała oddech. Tak chyba musi być, jak się jest martwym, myślała.

- Hej! - wyrzuciła z siebie wraz z haustem powietrza. Nie usłyszała echa, dźwięk wniknął w porowaty bazalt.

- Loach! - powiedziała troszkę głośniejsze. Głos zamarł na przestrzeni dziesięciu, dwunastu metrów. - Loach! - wrzasnęła osłaniając usta dłońmi. - Jej piskliwy krzyk niósł z sobą rozpacz. - Chryste, drę się jak ta głupia papuga - stwierdziła.

Macała rękami po podłodze i ścianach tunelu, wczytywała się w skałę, jak w litery alfabetu Braille'a - czepiała się wklęsnięć, załomków, wybrzuszeń, wszystkiego. Dostrzegła, jak wiele zależy od dotyku. Ale teraz tunel stał się nijaki. Niemal całkiem gładki. Czyżby weszła w niewłaściwy korytarz? W złą odnogę? Przecież w tunelu powinna szumieć woda. A tu jej wcale nie było! Któż może wiedzieć, ile krętych szlaków, ile kilometrów nieznanymi przejść jest pod ziemią? Czowała się oszukana. Wystrychnięta na dudka. Głupia. I przestraszona.

Przypomniał się jej Loach i te jego śliskie, oszukańcze sztuczki. Wszystkich na nie nabrał, dokładnie wszystkich. I bez wątplenia zrobił to z Juke'em, ze swoim współnikiem. - No tak, a gdzie jest mój współnik? Dotknęła bazaltowej ściany i poklepała ją dłońmi. - Dobra. Ty będziesz moim współnikiem.

Zaczęła znów pełznąć przed siebie, tuż przy zakrzywionej ścianie. Przesuwała po niej dłońmi i rozmyślała o wodzie. Kiedy przestała ją słyszeć? Jak daleko zaszła, nim osłabła? Ile czasu spała? Czowała, jak węzeł zaciśnięty w brzuchu podchodzi jej do gardła. O Chryste, pomyślała, chyba się nie rozpłacziesz, co? Sądziłam, że tę sprawę już sobie omówiliśmy. Zatrzymała się na moment i otarła oczy rękawem. Żadnych łez. Przynajmniej tyle mogła zrobić.

Wciąż posuwała się naprzód. Kilkakrotnie wpadała na głazy. Raz nawet na kilka tak wielkich, że musiała obchodzić je po omacku, żeby znów dostać się do ściany. Wydumała sobie, że sufit musiał się w tym miejscu zawalić.

- Świetnie, sufit nie wytrzymał, głazy spadły do tunelu...

Serce waliło jej jak młotem, czowała, że ogarniają ją mdłości. To się nazywa alienacja. Jestem kruchą istotą ludzką w trzewiach ziemi... Zdana na pastwę odwiecznych sił przyrody, nic nie mogę zrobić... Sufit może mi zlecieć na kark i rozgnieść mnie jak mrówkę... Jestem tylko strzępkiem bezbronny, organiczny kłaczka.

- Gaby, staruszko - powiedziała do siebie pełnym głosem. - Nigdy w życiu nie byłaś bezbronnym strzępkiem. Wal śmiało do przodu.

Te słowa ją pokrzepiły, bo nie zostało jej już nic innego. Zachichotała.

- Mogę albo pogodzić się z losem i przyjąć do wiadomości, że jestem bezbronną istotą w obliczu surowego, amoralnego, zmechanizowanego i pogmatwanego wszechświata, albo mogę się załamać i rozbeczeć jak baba.

“Baba” - zadźwięczało wyraźnie. Nowy odgłos. Echo? Szybko podczołgała się do przodu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, krew pulsowała w rozharatanych palcach i kolanach, w głowie szumiało. Pełzanie na czworakach. Karnawał. Matka. Brzuch. Zaczęła szybciej przebierać rękami i nogami, coraz głośniejszą sapła.

Czubki palców jej prawej ręki były rozorane do żywego mięsa, stopy tętniły bólem. Co kilkaset kroków przystawała, nasłuchiwała, po czym gwałtownie przebierając rękami, z rozszalałym sercem znów pędziła przed siebie - naprzód, do jakiejś odmiany. I nagle silny powiew chłodnego powietrza. Ściana uciekła jej spod palców Gaby nic nie słyszała, nic nie widziała, ale to, że znalazła się w jakimś przestronnym miejscu, było bez wątpienia lepsze niż siedzenie w tym przeklętym tunelu. Niby wcale nie miała powodu, żeby odczuwać aż tak wielką ulgę, ale ją odczuwała. W takim miejscu mogła zrobić tylko jedną rzecz. Wyciągnęła się płasko na ziemi, wyjęła przedostatniego papierosa i sięgnęła po przedostatnią zapałkę. Tę ostatnią chciała zachować na rozświetlenie ciemności. Trzymała płonąca zapałkę najdłużej jak się dało, a potem podpaliła pudełko; kiedy zaczęło parzyć jej

palce, upuściła je na ziemię. Wyciągnęła z paczki ostatniego papierosa i puste opakowanie rzuciła na maleńkie ognisko.

Co dalej? Kiedy zajął się filtr, przypaliła nim ostatniego Chesterfielda. Tego ostatniego oszczędzała jak mogła. Znała kiedyś dziewczynę, która codziennie szmuglowała do szkoły jednego papierosa; to był Old Gold i przemycała go w majtkach. Twierdziła, że potrafi go palić przez całe dwadzieścia pięć minut. Chesterfield jest chyba dłuższy od Old Golda... Jasne, jeśli ktoś lubi smak palonego filtra. Zaśmiała się. Gdzieś w trakcie tego śmiechu poczuła, że jej głos zaczyna ją zewsząd otaczać... Osaczać. Zanim zdołała odetchnąć, dym na długą minutę zastygł jej w gardle. Postanowiła już nie chichotać. Śmiech źle na nią działał.

Obserwowała czerwony żar papierosa. Przygasał. Przed nią zamykała się ściana ciemności. Gdyby istniało coś, co chciałaby zanotować, mogła wyciągnąć ramię z dogasającym niedopałkiem i pisać na niej jak kredą. Cóż można w takiej sytuacji powiedzieć? Właśnie, co, skoro już o tym myśli? Że ciemno? Że jest samotna? Że w tej ciemności czuje się samotna? Że dopiero w ciemności odkryła, jak bardzo jest samotna? Filozofka, cholera jasna...

Skoro nie mogła odnaleźć się w świecie pełnym ludzi... W pełnym blasku słońca... Niby dlaczego miałyby się odnaleźć po ciemku? Poza tym, czy się odnajdzie czy nie, komuż, u licha, na tym zależy? Włazisz do tej przeklętej dziury zagubiony i samotny, wyłazisz z niej w takim samym stanie. I nikogo to nie obchodzi. Możliwe, że żaden człowiek nie jest samotną wyspą, myślała, ale baba, baaba, na pewno nią jest. "Baaba, baaba, baaa..." Szydercze echo wróciło, okrążyło ją i zniknęło w oddali.

I gulasty węzeł też wrócił. Zaciśnięty gdzieś w brzuchu. Nagle bez najmniejszego ostrzeżenia poczuła, że wzbiera w niej morze łez, które przepełniło oczy i gorącą kaskadą spłynęło po policzkach.

- Cholera! - zaklęła w przypiływie gwałtownej wściekłości, zde gustowana swoim zachowaniem. Usiłowała wciągnąć łzy z powrotem. No i proszę. Ta twarda, silna dziewczucha ślimaczy się jak mały dzidzius. - Cholera! - rzuciła pełnym głosem we wszechogarniającą ciemność, między kolejnym szlochem i westchnieniem.

I nagle z jej złością stało się coś bardzo dziwnego. Łzy nadal płynęły, ale Gaby nie czuła się już maleńkim przestraszonym dzieckiem. Raptem była kimś innym. Wyobraziła sobie maleńkie stworzonko, jeszcze bardziej niż ona samotne i bezradne w mroku. Każdy chce chociaż raz zaszaleć. Każdemu należy się działka w srebrnym blasku księżyca. Pełna

nikomu niepotrzebnego samowspółczucia, koła ból żalnym jękiem. "No, no... No, no..."
I szlochała. I rozumiała.

W tym zrozumieniu pojęła nareszcie, że jej ciało jeszcze żyje. Poczula się głodna, zziębnięta, słaba. Wstała i po raz pierwszy od bardzo wielu godzin ujrzała kolory. Dziwne, nienaturalne, wirujące błyski. Przykucnęła. Potem zachwiała się i zdała sobie sprawę, że te barwne wystrzały to zapowiedź omdlenia osłabionej kobiety. Opadła na kolana. Znow ją zemdlilo, co więcej, zaczynała słyszeć jakieś dziwne odgłosy. Jakies pykanie czy stukanie nad głową. Miała wrażenie, że pochwycił ją wirujący czarny lej. Nie wierzyła, że zdoła zachować przytomność. Stukanie nasiliło się. - Co to? - wyszeptała. - Kto to?

I zanim upadła na bok, coś runęło z sufitu i gruchnęło o ziemię nie dalej niż metr od niej. Obsypały ją skalne odłamki. Coś kaszlnęło. Dopiero wtedy dostrzegła w swoim delirium iskierkę światła - maleńką, romazaną, niemal niewidoczną, rozmytą w ciemności, ale podskakującą nad czymś, co mogło uchodzić za twarz. - Rad jestem, że cię widzę, dziecinko - powiedział.

Oparła policzek na jego piersi, zraszając łzami męską bluzę w kolorze khaki. Czula, jak dużą dłonią głaszcze jej zmierzwione włosy. - Ja też się cieszę, wujku. - Mów do mnie "dziadku" - odparł. - Dziadku? Ale jakim sposobem...?

- Przecież to proste - wyjaśnił. - To przez tę lawendową wodę toaletową. Wygrałem ją dla ciebie rzutem piłki baseballowej. W Omaha, na wiosnę w dwudziestym drugim. Pamiętasz? Miałaś dwanaście lat. - No pewnie, że pamiętam - skłamała chlapiąc.

15. Próba przeżycia...

Zanim Loach i Gaby dotarli do końca tunelu, już z daleka dostrzegli pozostałych uczestników wyprawy, zbitych w ciasną kupkę. Wszyscy skierowali płomień lamp na Juke'a. Loach wiedział, że Juke z Szakalem pracują nad ładunkiem, i to z pewnością lepszym od tego, który sam mógłby skonstruować. Nie spieszył się zatem. Powoli rozprostowywał przykurczone ciało i czekał, aż dogoni go Gaby. Płomyk w jej lampie ledwie się tlił; Loach podzielił się z dziewczyną resztką swojego karbidu, więc teraz oboje niewiele widzieli.

Przeciągnął się i zaczerpnął głęboko tchu. Ramiona trzymał z dala od boków. Nie chciał dotknąć szczypiącej skóry torsu. Oddał Gaby swoją płócienną kurtkę i teraz cały przód tułowia miał w ranach, zadrapaniach i jakichś wiszących strzępkach - jak siekane mięso.

Ani na chwilę nie opuszczała go ponura świadomość, że została w nim już tylko resztką sił, równie wątła, jak płomień karbidowej lampy. Nie chciał zmuszać mózgu do jakiegokolwiek pracy - niech sobie sam zdecyduje, o czym myśleć - w obawie, by nie skamieniał i nie rozłupał się na kawałeczki.

Czuł, że ogromna komora jaskini przytłacza go daleko bardziej niż ciasne ściany tunelu. Pojedyncze nietoperze wciąż kręciły mu się nad głową. Słyszał, jak ich kościste skrzydła młocą z szumem zimne powietrze; musiały zauważyć zmianę poziomu wody. Zwalczył w sobie uczucie, które podobnie jak jezioro narastało w nim ciemną falą. Zmuszał się, żeby stać prosto. W końcu miał pod opieką ludzi i musiał o nich dbać.

Małeńki płomyk jego lampy syczał w ciemności jak dziurawa opona, co pewien czas oświetlając śmigające w górze gacki. Czując zmianę w znajomym środowisku, zaczynały szaleć, piszczeć i, rozwścieczone, najwyraźniej szykowały atak.

Działania zewnętrzne odzwierciedlają to, co dzieje się wewnątrz, myślał. Nie daj zawładnąć swoim umysłem. Panuj nad sobą. Stwórz własny świat. Jeśli w więzieniu w ogóle zdobył jakąś umiejętność, niewątpliwie było nią ćwiczenie silnej woli. Boyle mógł sobie cytować Nietzschego ile dusza zapagnie, ale Loach znał tego filozofa z zupełnie innej strony. Od środka. Przez sześć lat mieszkał z Nietzschem na co dzień - te dziwaczne, wykoślawione zdania starego fryca będą tłukły mu się po głowie do końca życia. Zupełnie jak krążące nad nim nietoperze. Tutaj nic nie dzieliło wnętrza od tego co na zewnątrz, ani stalowe kraty, ani kamienne ściany. Tu był gabinet grozy albo jarmarczna beczka śmiechu. Na każdym zakręcie korytarza wisiały lustra, które odbijały od siebie wszelką myśl i odsyłały ją w drogę powrotną, żeby człowieka załamać czy też może rozśmieszyć. Zależy od

punktu widzenia. Najlepiej było skupić się na konkretnym, fizycznym zadaniu - ucześcić się następnej skały, podać komuś rękę, oszukać zmęczone. Nie, jego instynkt walki nie zamarł, i Loach mógł jeszcze zawalczyć. Ale te lustra osłabiały w nim siłę ducha. Nie mógł pozwolić, żeby złapały go jak rybę na haczyk.

Wreszcie przywołał z pamięci cytat, który zajął jego uwagę. Było to zdanie z "Tako rzecze Zaratustra": "Człowiek jest liną rozciągniętą między zwierzęciem a otchłanią". Loach wiedział, że można po niej przejść, przekładając broczące krwią ręce. Ludzie robili to już przed nim i wyciągali się z otchłani głębszych niż jego. Kiedy siedział w celi, powtarzał to sobie bez końca. I czytał, na okrągło czytał słowa, które umacniały w nim to przekonanie. Miał wrażenie, że czytane przez niego zdania ciągle zmagają się z tym, co sędzia rzucił mu w twarz, a co krążyło wokół niego uporczywiej niż nietoperze latające nad głową. Kuglarz, sztukmistrz, może... Tak, ale nie morderca. Co to, to nie! Jeśli w ogóle istniała jakaś ustalona zasada postępowania na jarmarku krętaczy, to właśnie ta: nie zabijaj, to psuje interesy.

Wcale nie chciał skrzywdzić Beamanna, tym bardziej zabić. Ale wszystko zdarzyło się tak szybko. "Atak szału." Tak, to najlepiej oddawało istotę rzeczy. Ten mały, kulawy człowieczek zaskoczył go swoim ultimatum, które Loach odebrał jak silny policzek. "Więcej forsy, Loach, albo pójdę z tym do gazet!" Już wcześniej o tym napomykał, ale teozof umiał się z nim dogadać. Zaczekaj kilka miesięcy, mówił, wszystko ładnie zaowocuje. A tu raptem Beamann wyskakuje na niego jak rabuś z ciemności. I to gdzie. W świątyni! Loach nie zdołał się powstrzymać. Złapał go za ramiona, jak małego chłopca. "Nie, rzecz jest już zbyt ważna dla zbyt wielu ludzi!" Potrzęsnał nim tylko raz i Beamann zwiśł mu w rękach jak kukła. Tak, tylko jeden raz nim potrzęsnał. Nie rozłupał mu czaszki, ani nie połamał żeber, jak pisała prasa. A to porównanie z psem... Loach nie rozumiał, dlaczego o tym wspomniał. Nie pomogło to ani jemu, ani jego zwolennikom. Cóż, kiedy chwycił Beamanna za kark, fotografik okazał się facetem mniejszym, niż się Loach spodziewał. Był taki drobny, taki kruchy...

Razem z Gaby dotarli wreszcie do końca tunelu i znów mogli stanąć na wyprostowanych nogach. Loach odpędził od siebie mroczne wspomnienia i skupił się na tym, co było ważne tu i teraz. Rachunki z Beamannem wyrówna przy okazji, przy innym stoliku. W tym rozdaniu musiał rozegrać nowe karty.

- Przeprowadziłem ją! - zawołał w stronę wianuszka świateł w głębi groty. - Całą i zdrową. A co u was, Szakal?

Szakał celowo nie skomentował zniknięcia Gaby. Wskazał przedmiot, który Juke tulił do piersi.

- Juke uważa, że skonstruował ładunek, który odetka spust w jeziorze.

- Jeśli to w ogóle wyjdzie nam na dobre - mruknął Boyle. - Marne szanse, że uda się nam znaleźć tę dziurę i spłynąć razem z wodą.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Loach wszedł w krąg karbidowych lamp, żeby obejrzeć ładunek. - No dobra, Juke, co my tu mamy?

- Bombę - odparł mały człowieczek. Wyciągnął przed siebie jakieś bardzo skomplikowane urządzenie.

Cztery laski dynamitu były nadal oplecione paskiem Boyle'a, jak starorzyski gzyms gipsem. Ale długi koniec białej skóry został podwójnie omotany wokół dwóch manierek po nalewce z kaktusa. Szerokie gardła naczyń nie były zatkane. Jedna z manierek była pusta, druga wypełniona wszystkimi odłamkami karbidu, jakie tylko udało się Szakałowi zebrać; zgarnął wszystkie prócz tych, które już płonęły w lampach.

Całe urządzenie Juke owinał szarfą, a w końcu szarfę umieścił kryształową kulę.

- To będzie kotwica - wyjaśniła Ramona rozmarzonym głosem. - Zresztą i tak jest już pęknięta...

- Więc tak - zaczął Juke. - Manierka z karbidem jest detonatorem. Nalejemy do środka ciepłej wody i zamkniemy ją nakrętką, szczelnie i szybko. Bardzo szybko. Acetylen zacznie wywierać na ścianki coraz większe ciśnienie, wreszcie rozsądzi naczynie. - Spojrzał na Loacha. - Hmm, nie wiem tylko, czy to wystarczy, żeby spowodować eksplozję trotylu. Drugą manierkę przywiązałem z boku, tak na wszelki wypadek. Da nam iskrę. - Iskrę? - zdziwił się Loach. - Co będzie tą iskrą? - Papieros - odparł Juke.

- Dlatego czekaliśmy na ciebie, kochanie - zwróciła się Mona do Gaby. - Musimy pożyczyć od ciebie papierosa. - A to świetnie, bo właśnie mi się skończyły.

- W Moab walały się dosłownie wszędzie - zauważyła Jocelyn. - Sprawdź dobrze jeszcze raz. Na pewno masz gdzieś jakiegoś wykrucha. - Hmm, rzeczywiście, podsunęłaś mi pewną myśl... - Gaby odeszła na bok. Kiedy się odwróciła, w rękę trzymała zmiętego Chesterfielda. - W szkole miałam koleżankę, która nauczyła mnie chować jednego na czarną godzinę. Miała na imię Rita. A może Darla?

- Nieważne - powiedział Szakał. - Zapal go i dawaj tutaj.

Gaby chciała zaciągnąć się głęboko - przecież to ostatni sztach - ale nie wiadomo dlaczego dym stracił swój powab. Podała papierosa Szakalowi. Wrzucił go do pustej manierki, filtrem do dołu. Chesterfield nadal dymił. - Dobrze. Teraz duży łyk wody.

- Ja to zrobię - zgłosił się Boyle. Leżał na brzegu coraz bardziej przybierającego jeziora, potem stanął nad manierką. Policzki miał wydęte.

- W porządku - uznał Juke. - Kto ma nakrętkę do manierki z karbidem? Szakal podniósł rękę. - Ja. - Dobra. Kto ma nakrętkę do tej z papierosem? - Ja - odpowiedziała Jocelyn. - Może włączyć latarkę, Charles? - Jasne - zgodził się Loach. - Też chciałbym to zobaczyć.

Wyciągnął wielką latarkę z plecaka Szakala i pstryknął przełącznikiem. Trójkąt światła rozcinający mrok jaskini przypominał kawałek ciasta wykrojony z tonącego w ciemności placka. Nietoperze przecinały tę jasność raz po raz; z ich mięsistych różowych pyszczków dobywały się piski. - Gotów pan, Boyle? - zapytał Juke. Boyle kiwnął głową. - Uhm... - mruknął. - Panie?

- Tak, Emmett - odparły chórem siostry. Wyglądały dużo bardziej świeżo niż cała reszta; najwyraźniej lata sprzeczek nieźle je zaprawiły do wszelkich trudów. - Pan Makai?

Głos Rodneya zakłął wszystkich jak drzazga w chropowatej desce. - Zostawiliście mnie na pożarcie niedźwiedzom! - Chyba uszkodził sobie którąś czakrę w dolnej części kręgosłupa - zawyrokowała Ramona. - Mówi, że zmiażdżyło mu krąg. Pan Boyle musiał go nieść prawie całą drogę. - Uhm... - mruknął Boyle. - Gotów, Charles? - Wygląda na to, że świetnie się sprawiłeś, staruszk.

- Teraz ktoś to musi rzucić. Ty zawsze byłeś dobry w baseballa. Przygotuj się... - Tak jest! - odparł Loach i zajął pozycję.

- Już? - zapytał Juke. Wszyscy skinęli głowami. Juke zwrócił się do Jocelyn: - Nakrętka. - Doktor Kain przykręciła nakrętkę z gumową uszczelką na szyjkę manierki, w której nadal dymił Chesterfield. - Juke spojrzał na Boyle'a. - Teraz!

Boyle wypuścił do drugiej manierki całą wodę z ust. Kupka szarych okruchów karbidu zaczęła się pieniać i dymić. - Nakrętka! - krzyknął Juke.

Szakal dokręcał ją drżącymi rękami. Kiedy skończył, Juke wręczył bombę Loachowi. - Rzucaj! - ponaglał. - Rzucaj, rzucaj!

I Loach rzucił. Kryształowa kula zatoczyła łukowatą orbitę, bomba błysnęła w smudze elektrycznego światła, torując sobie drogę wśród chmar nietoperzy. Wreszcie, wlokąc za sobą ogon pęcherzyków powietrza, zniknęła pod resztkami szumowin, które wessały Ferrella.

Wszyscy cofnęli się do obsydianowego przedsionka, skąd wypływał strumień. Skurczyli się w oczekiwaniu. W wielkiej jaskini zalegała cisza zakłócana jedynie szumem wody na skalnym brzegu i łopotem skrzydeł. Wychylili się w stronę dużej latarki, która wciąż rozświetlała mrok z miejsca, gdzie ją zostawili. Czekali na wybuch, który miał ich uwolnić albo unicestwić. Nasłuchiwali. Oczy mieli szeroko otwarte, jakby dzięki temu mogli lepiej słyszeć.

Nic, żadnego dźwięku. Tylko oszalałe musowanie strumienia wpadającego do jeziora. Latarka zaczynała przygasać. Boyle wydał z siebie bulgoczące prychnięcie; długo je w sobie tłumił. Potem następne - była to przygrywka do długiego ataku śmiechu. Lecz nagle śmiech zamarł mu w piersi. Głęboko pod powierzchnią jeziora mormon ujrzał jaskrawopomarańczowe światło. Fosforyzujący błysk wędrował do góry, przybrał kształt spłaszczonej bańki świetlnej, później wybrzuszył się i przeobraził w górę wody.

Wreszcie huknęło, lecz nie rozdzierającym uszy hukiem, jakiego się spodziewali, a wielkim beknięciem, takim bąblastym wzdęciami. Para trysnęła w górę jak fontanna z gejzera, a potem opadła niczym zmurszały grzyb. Fala wylała nad brzegi i przemoczyła zbitą grupkę uczestników wyprawy.

Gacki oszalały. Eksplozja uszkodziła ich radary i nietoperze gubiły się w ciemnościach. Zaczęły nerwowo latać we wszystkich kierunkach, rozbijając się o wapienne załomy i ściany i wpadać do wody jak strącone Fokkersy.

Z wolna ruch w powietrzu ustawał. Nietoperze znalazły sobie miejsce, gdzie mogły zawisnąć, albo spadały do wody, żeby utonąć. Oszołomieni i zmęczeni ludzie oderwali się od ściany. Nic z tego. Nadal byli rozbitkami na czarnej plaży - woda nie opadła nawet na centymetr.

Loach skierował dogasającą lampę na skalny brzeg, żeby sprawdzić morale swoich ludzi. Wszyscy wyglądali jak przedtem. Gaby przywarła do jego ramienia, ale nie wyczuł w niej paniki. - Nie udało się - stwierdziła.

- O wielki duchu, o królu niewidzialny, panie tego świata, usłysz nas w tej czarnej godzinie - zawodziła Mona.

- O ty, który jesteś przeznaczeniem - włączyła się Ramona, by siostra czasem jej nie prześcignęła. - Wybaw nas z rozpacz. Błagamy cię, podaj nam swą boską rękę!

I nic, żadnych rezultatów. Ale Szakal zauważył jakiś ruch na sklepieniu.

- Patrzcie! - zawołał. - Te cholerne nietoperze znowu zaczynają krążyć. Ciekawe, czy reagują tak samo jak psy przed trzęsieniem ziemi...

Rzeczywiście, działo się coś dziwnego. Nieuporządkowany tumult pod sufitem ustąpił miejsca zorganizowanemu, wirującemu ruchowi. Wyglądało to jak trąba powietrzna szykująca się do zejścia na ziemię. Woda też ruszyła i zaczęła układać się w olbrzymie falujące kręgi.

Jocelyn sądziła, że jak na jedną wyprawę speleologiczną dziwów wystarczy, ale musiała przyznać, że potęga wody i hipnotyczne wirowanie nietoperzy robiły wprost niesamowite wrażenie. Wydawało się, że jej kręgosłup też zaczął wirować i uciekać od niej coraz dalej i dalej, poszatkowany jak zimne zwłoki nieszczęsnego fotoreportera.

Z każdą chwilą krąg wirował coraz szybciej, wreszcie usłyszeli odgłos siorbania. Odgłos nasilał się. Nagle buchnęło na nich zimne powietrze - runęło z tunelu i uderzyło ich w plecy. Było świeże, czyste i ostre. Wyssało z jaskini odór stęchlizny, smród wody i nietoperzy, dym i parę.

Tafla jeziora zaczęła opadać. Obserwowali, jak się obniża - niczym kurtyna teatralna opadająca wspaniale ukazując zarysy kształtów i linii. Spod wody wynurzała się ściana.

Jocelyn odnosiła wrażenie, że z jednej strony wyrasta, z drugiej zaś rozpada się jej przed oczami. Podeszła bliżej opadającego ukośnie brzegu. Pierwszą rzeczą, jaką zdołała rozpoznać ponad wszelką wątpliwość, było oko. Stylizowane, wyrzeźbione w skale oko w kształcie migdała - od góry podmalowane lapisem, obrysowane czarną obwódką, wyraźnie odcinającą się od wapiennej skały. Patrzyła na nie z rozdziawionymi ustami. Znała ten rysunek - oko Horusa - ale nie przyjmowała do wiadomości tego, co przed sobą widzi. Jej mózg odmówił współpracy, jakby zatarły się w nim wszystkie trybiki. Ogarnęła spojrzeniem całą ścianę, od jednego końca do drugiego. Wchłaniała w siebie obrazy. Tak, kiedyś widziała coś, co przypominało jej te rysunki... Widziała to wiele, wiele razy. Ale nie we śnie. Ani przy pracy. Więc gdzie? Nagłe olśnienie uderzyło ją jak cegła, ciśnięta przez Krazy Kata.

Niedzielne komiksy!

Ten tańczący niedźwiedź z rogami i zwisającym penisem? Toż to czarodziej z "Les Trois Freres". Tylko dlaczego siedzi na nim Betty Boop!? A ten toporny myśliwy wypuszczający strzałę? Przecież taki sam malunek oglądała w Gasulla Gorge w Hiszpanii! Ale dlaczego jego strzała przebija michelinowego chłopka? Wyglądało to tak, jakby ktoś wymieszał rysunki z podręcznika do archeologii z postaciami z niedzielnych komiksów. Ściana była jednym wielkim, kosmicznym żartem, żartem-wędrówką przez wszystkie okresy historyczne. Epoka nakładała się na epokę, jak wymiociny zbiorowej podświadomości. Obrazy były przekonujące, znajome i zwariowane.

Wszystkie prócz ogromnego niebieskiego malowidła, dominującego w środkowej części ściany. Przywodziło na myśl wielkiego drapieżnego ptaka, który rozpostartymi skrzydłami broni - tak to wyglądało - wszystkiego, co narodziło się w obłąkanym gnieździe poniżej. Czy to orzeł? Przypomniała sobie werset starego hymnu swojego Kościoła: "Jak orlica piskłeta swe do lotu budzi, tak Bóg do czynu zachęca swych ludzi". Usiłowała odgrzebać w pamięci kult orła. Bezskutecznie. Nic takiego nie pamiętała. Może mi się tylko wydaje, myślała. Wszystko przez ten podmuch i to świństwo w powietrzu. Może mam halucynacje? Nie, nic podobnego. Jestem zupełnie zdrowa na ciele i umyśle. Mam zawroty głowy, ale to od tego, co widzę. Co za ordynarna, naiwna i absurdałna lipa! Przecież trudno to nawet nazwać oszustwem. Jak słowo honoru! I ktoś wyobrażał sobie, że coś takiego może mu ująć na sucho!? Odwróciła się, żeby spojrzeć Loachowi w oczy. Zdawało się, że oniemiał, tak samo jak ona. Albo nawet bardziej. Wtem równocześnie odwrócili wzrok, szukając innej twarzy. Ktoś zagwizdał jak smarkacz, który wie, że narozrabiał. - Tu, panie, jak w pokerze. Grasz, więc ryzykujesz. - Szakał wzruszył ramionami.

Znowu spojrzała na ścianę. Nad orłem widniały trzy litery, środkowa wyglądała jak duże "A". Olbrzymi ptak ukazywał się wszystkim w pełnej krasie; szumowina zebrana na wodzie opadała coraz niżej i obnażała go we wdzięcznym striptizie. Teraz dostrzegła, że orzeł w jednej łapie trzyma wiązkę błyskawic, w drugiej krzyż. Natomiast pod spodem widniał jakiś tajemniczy napis, niemal zupełnie pokryty rdzawym osadem i mocno już zniszczony. Boyle parsknął serdecznym śmiechem.

- To nie czerwonoskórzy malowali tę ścianę! - ryknął. Bez względu na to, czyjego był autorstwa, niebieski malunek wciąż przykuwał uwagę Jocelyn. Woda opadała wciąż niżej i niżej i odsłaniała dalsze litery. Doktor Kain zmrużyła powieki, by lepiej widzieć obłąający napis. Usiłowała poskładać go w słowa.

- "Speł...nia... my nasz..." - czytała wolno jak dziecko, które zaczęło sylabizować. - Nasz co? - dziwiła się.

- Nasz obowiązek, droga pani! - ryczał Boyle. - Za długo latała pani po dziczy. Dlatego nie umie pani rozpoznać emblematu Krajowej Administracji Odbudowy! To sęp Roosevelta!

Wybuchnęła śmiechem. Takiego samego orła widziała na podwórku Szakała. Takie same orły z hasłem nowego ładu powiewały we wszystkich witrynach sklepowych.

- Kto wie, może któregoś dnia ludzie okrzykną to ósmym cudem świata, Douglasie - powiedziała.

- Szkoda było dynamitu, ot co! - rzucił Boyle do Szakała. - Oho! Uwaga!

Kamienny obraz zaczął znikać. Znikał dosłownie na ich oczach - wpadł w dziurę odpływową i pochłaniał sam siebie. Zagarniał po drodze martwe nietoperze, jakieś odpadki, stare kubły po farbie, ostre odłamki skalne, a wszystko to wpadało w coraz szerszą gardziel. I nagle w wolnym od nietoperzy powietrzu zawisła topazowa nić.

Gaby ujrzała w niej nić życia i właśnie to cieniutkie pasemko przykuło jej uwagę. Choć mogła zaraz zginąć, myślała o tym z pewną ulgą - nie chciała, żeby ta nić pękła. Nie, tego by za nic nie zniosła. Nić była zbyt świetlista. Bez względu na to, czy Gaby otwierała czy też zamykała oczy, ciągle ją widziała - kruchą, pulsującą życiem nić, nić tak jej bliską. Nigdy nas nic nie rozdzieli, pomyślała. Jeśli musimy odejść tam, dokąd odchodzą martwi, wybierzemy się razem. Obiecuję ci. Czowała, jak ogarnia ją spokój. Kołysała się nucąc coś pod nosem, tymczasem gdzieś obok przesuwały się z narastającym łoskotem tony ziemi.

To, co nie mieściło się w kręgu światła karbidowych lamp, było większe, niż ktokolwiek z nich mógł sobie w ogóle wyobrazić. Ziejąca pustka jest pojęciem zbyt małym, żeby to coś ogarnąć. Każdy obraz, który powstawał przed ich oczyma, rykoszetował jak echo od kruszącego się sklepienia i zamieniał w indywidualną wersję nadziei - wolności, wiecznego trwania, pokoju, stanu poznania tego co niepoznawalne; jak na zminiaturyzowanym polu golfowym w Pasadenie, bardzo zresztą rentownym... Było tam wszystko - zawinięte w celofanową folię, spod której wyzierały wszelkie możliwe cuda. Widok ten kusił, zachęcał, przeistaczał się, obiecywał... Jak Baby Ruth na przedpołudniowym seansie "rozbieranego" filmu.

Żłobiona przez stulecia ciemność pękła i ustąpiła miejsca błękitno-żółtemu ciepłu. Ciekawość sprowokowała Gaby do otwarcia oczu. Między opadającymi pasmami cieni i półcieni zaczynała dostrzegać oblicze Boga. Uśmiechał się do nich z zalanego słońcem ganku. A na podjeździe stał samochód - biały DeSoto. Usługujący anioł w zielonej szacie wołał coś z boskiego ramienia. - W dolinę, Kipling!

- Tennyson! - skorygowała go podenerwowana Ramona. - Lord Alfred Tennyson!

To coś, co myśli, skonstatowała Gaby, przed chwilą myśleć przestało. - W samą porę, szefie. To nie Bóg przemówił. To był głos Neda.

Rozdział ostatni... w tonacji światła...

Wychodzili z przypadkowej i cudownej mieszanki geologicznych zjawisk: z miejsca, gdzie bazaltowy tunel stykał się z wapienną grota, i gdzie występowała silna aktywność geotermiczna.

Aktywność geotermiczna zaistniała jako pierwsza, a to dzięki warunkom niezbędnym do utworzenia fumaroli. Żeby bowiem gorąca para mogła wydobywać się spod

skał, pod warstwami powierzchniowymi muszą zalec wystarczająco zasobne pokłady płynnej magny. Niezbędne jest też podziemne źródło wody, które magma podgrzewa i wypycha w górę. Wreszcie muszą się także znaleźć kanały odprowadzające płynną skałę na powierzchnię ziemi. Kanały nie byle jakie, o ścianach mocnych i zdolnych wytrzymać ciśnienie dziesiątków tysięcy kilogramów na każdy centymetr kwadratowy, ciśnienie, jakie powstaje podczas wybuchu potężnego gejzera.

Podziemne zbiorniki zostały zasilone wodą z topniejących lodowców, tym samym wzbogacone różnymi minerałami, zdrapanymi w nieskończenie długim czasie formowania się skał. Ta mieszanka sączyła się przez szczeliny w porowatym wapieniu, który niczym cementarz na dnie nie istniejącego już oceanu był ostoją dla kolejnych warstw życia.

Ocean wysechł dawno temu, zaś pełen organicznych szczątków wapień został wypchnięty w górę dzięki niespokojnemu chrapnięciu matki ziemi, która pewnej nocy ucięła sobie drzemkę. Pęknięcia i szczeliny powstałe w zbitych wapiennych szczątkach dały im właściwą przepuszczalność. Topniejący lodowiec przeciskał się przez szpary i rył podziemną sieć jam w pokładach wapienia i dolomitu.

Z czasem woda powiększyła szczeliny, tworząc korytarze i galeryjki. Groty zaś powstały na skutek działań zarówno mechanicznych, jak i chemicznych i są wspaniałą ilustracją erozji tudzież korozji. Węglan wapniowy zawarty w skale nie chciał rozpuszczać się w wodzie z roztopionego śniegu, ale gdy podziałała nań woda bijąca spod skały - zawierała między innymi dwutlenek węgla - wytworzył się kwas węglowy. Otrzymany w wyniku reakcji chemicznej dwuwęglan wapniowy łatwo się rozpuszczał, a rozpuszczony i wypłukany, zostawiał po sobie wielkie groty. Pewna ilość dwuwęglanu przesączyła się przez skalne podłoże aż do magmy, z magmą zaś przywędrowały domieszki siarki, związków argonu, siarczanu barowego i pirytu.

Ten nektar podziemnego świata parował aż pod sklepienie jaskini, osiadał na nim i skapywał do ciemnych sadzawek w nieckach z wapiennego podłoża. Każda kropla zostawiała po sobie ślad i każda przyczyniała się do powstawania kamiennych sopli.

“Stalaktyt” ma swój grecki źródłosłów i oznacza “kropla po kropli”.

Z biegiem czasu sople wydłużały się, piryt zaś krystalizował, tworząc kubistyczne rzeźby z fałszywego złota, a siarczan barowy zakwitł, przybierając formy zwane “czerwoną amerykańską różą”. Na podłożu jaskini, pośród rosnących stalagmitów, każdorazowy wyсіk magmy zostawiał kwaśne roztwory minerałów. Kiedy roztwory stygły, rozpuszczone w nich minerały wytrącały się z nich jako pegmatyty. Z kolei z pegmatytów powstawały

gigantyczne kryształy kwarcu, turmalinu i kamieni szlachetnych. Tlen i aluminium zespołyły to wspaniałe tworzywo i skaziły je zanieczyszczeniami - atomy chromu zabarwiły je głęboką czerwienią rubinu, natomiast silikon z berylem nadał mu odcień szafiru.

Siarka osiadała na wszystkim co popadnie, niczym okrasa od samego Belzebuba.

To właśnie siarka i silikon, w połączeniu z pływającymi w bazaltowej pianie cząsteczkami pumeksu, uryną i sinojagodowymi bobkami nietoperzy, utworzyły cynobrowe spoiwo, które uszczelniło pęknięcia w skale, zabrudziło wodę szumowiną i zatkało odpływ jeziora. Powstał czop z guano.

Historia narodzin jaskini sięga daleko, daleko wstecz, i jest o wiele starsza niż tunel z wulkanicznej lawy, nie wspominając już o nietoperzach. Małeńki wulkan, wygasły jeszcze przed drugą epoką lodowcową, jakieś dziewięć tysięcy lat temu, został pewnej nocy wyrwany z drzemki zamieszanem, jakie robili jego pobratymcy na zachodzie i północnym zachodzie. Wulkan Lassen wypływał z siebie płonący bazalt, którego wielkie grudy spadały tysiące kilometrów dalej. Góra Świętej Heleny zabijała bawoły i spopielala Indian. Mazama unicestwił się sam w wielkim sobotnim fajerwerku, tak pięknym, że tony kurzu i dym powstały w trakcie wybuchu zaciemniły planetę na dobrych kilka dni. Dziura, jaką po sobie zostawił, stała się kolebką jeziora zwanego Crater Lake.

Nasz mały wulkan też chciał dołączyć do zabawy, ale nie miał sił i wystrzelił niemrawo, jak korek z butelki szampana. Ale to wystarczyło, żeby przerwać południowo-wschodnią krawędź starego krateru i wytoczyć okazały jezior lawy. Kocioł wystygł, lecz mała strużka lawy wciąż ściekała po łagodnym stoku, wynajdując na nim płataninę filigranowych kanalików. Największe z nich dotarły do zawalonego wejścia do wapiennej groty, a za jej ścianą lawa spłynęła w głąb, ku rdzeniowi, który ją zrodził.

Dzięki wydechom oparów podziemne ogrody kryształów i nakładające się na siebie warstwy osadów chemicznych nabrały diamentowego blasku. Górna warstwa gorącej bazaltowej rzeczki wystygła i stwardniała, ale pod nią wciąż płynęła lawa. Kiedy wreszcie wyciekła, zostawiła po sobie wulkaniczny tunel. Ruchy powierzchniowe przykryły tunel warstwami lessów, wielkimi odłamami skał rozerwanych przez lodowiec i naniesionymi deszczem piargami. W tym rumowisku zamieszkały najpierw mchy i porosty, później trawy i drobne krzewy. Wreszcie zapuściło w nim korzenie kilka wytrzymałych cedrów i karłowatych sosen, które trwały pośród wielkich głazów narzutowych. Wklęsły korytarz, w którym mieścił się tunel z lawy, wypełniły grube warstwy sosnowych igieł i w ten sposób ukryły jego istnienie. Dzięki wilgoci i grzybom igły uległy rozkładowi, a zmieszane z pyłem i popiołem, utworzyły warstwę gleby próchniczej. Dzisiaj tam, gdzie dawniej ściekała płynna

skała, kwitną wrzosa, a w poprzek starego koryta biegnie autostrada widokowa numer 268. Właściwie biegła, zanim jaskinia zaczęła się zapadać.

Nieskończona jasność, jaka wypełniła oczy, uszy i umysły speleologów, przez jakiś czas całkowicie zaprzętnęła ich uwagę. Nic innego nie miało znaczenia. Jaskinia otworzyła się na niebo i wszyscy pławili się w blasku bijącym ze świetlistej kopuły. Ciszę przerwał zachrypnięty głos:

- Niedźwiedzie, ojciec... Niech ojciec uważa na niedźwiedzie...

- Tak jest. Na pewno będę uważał - zapewnił Rodneya Ned.

- Hej tam, na pokładzie! - Boyle wszedł w krąg światła i dziarsko zsalutował czarnemu kierowcy - Cóż za wspaniały widok dla zmęczonych oczu! Czy to ty stoisz za sterem mej łodzi?

Ned uśmiechnął się patrząc na DeSoto zaparkowane ledwie metr od krawędzi zapadliska.

- Ta łódź rzeczywiście kiedyś do pana należała, panie Boyle - odparł. - Ale dobiliśmy targu.

- Nikomu nic się nie stało? - zawołał Loach, rozglądając się dokoła. - Wyprostował się i potoczył wzrokiem po twarzach zebranych. - Gaby, jak samopoczucie? - Boskie - odpowiedziała z udawaną wesołością. - Mona? Ramona? - indagował Loach. - Coś sobie zrobiłam w kolano - odparła Mona.

- Zaraz zobaczę - powiedział Szakal. - Odsuń się, Makai. - Ponieważ Rodney wciąż trzymał się kurczowo nóg Mony, Szakal musiał go odciągnąć siłą. Rozwiązał ochraniacz i uważnie obejrzał spuchnięty staw. - To tylko otarcie - uspokoił starszą panią. - Jak tylko stąd wyjdziemy, obłożymy stopę lodem. - Pani doktor? - pytał Loach. - Wszystko w porządku? - Och, tylko kilka otarć i zadrapań, nic poważnego. - Boyle?

- Po co pan pytasz? - zdziwił się tłuścioch. - Czuję się jak młody bóg. - Raczej jak tłuusty bóg - mruknęła Gaby.

- A jak tam nasz Rodney? - spytał teozof Ramonę, gdy Szakal zajmował się jej siostrą. - Sądzę, że kompletnie postradał zmysły - odparła. - Poza tym, chyba nic mu nie dolega. Wszyscy spojrzeli na kluchowatego mężczyznę.

- Niedźwiedzie, niedźwiedzie, niedźwiedzie... - wymruczał w odpowiedzi. - Zaczyna, jak kiedyś pan Juke - zauważyła Mona. - Czemu nie, proszę bardzo - oświadczył Juke.

- Jeśli wszyscy są cali i zdrowi, pora się zastanowić, jak stąd wyjdziemy Ned, gdyby udało ci się znaleźć nasz obóz, to jest tam lina...

- A po co szukać? Przecież stoję niemal dokładnie pośrodku obozowiska. Zaraz wracam - rzucił. Posadził papugę na tylnym siedzeniu DeSoto i zniknął z kręgu światła.

Loach usiadł na głazie koło Szakala, który odwijał drugi ochraniacz Mony.

- Wiesz, Szakal, te groty są jak labirynt ludzkich wnętrzości, cholera. Tyle się nałaziliśmy, nawspinaliśmy i naczłgaliśmy, i co? I zasłiśmy donikąd.

- Z mojego doświadczenia wynika - zaczął Szakal filozoficznie, badając kolano starszej pani - że jak by się człowiek nie kręcił, to i tak zawsze wyląduje w tym samym miejscu. Mona uśmiechnęła się słabo, pokonując ból.

- Mam nadzieję, naprawdę mam taką nadzieję. Mona wjeżdżała po linie dość wolno. Kiedy wreszcie dotarła na górę, wyciągnęły się ku niej czarne ramiona. Chwyciły ją mocno pod pachy i wyrwały z niebezpiecznej otchłani. Boyle wylazł z niej niewiele później. Jego wielkie cielsko przeturlało się nad krawędzią jamy, wierzgające stopy zniknęły.

- Uff! - westchnął Ned. - Nie byłem pewien, czy lina wytrzyma.

Szakal był ostatni w kolejce. Poklepał się po pasku, by sprawdzić, czy dobrze zabezpieczył fragment skały, który zdołał uratować z walącego się stalagmitu. Skała była szkarłatna i miała kształt serca. Kryształowe serce wszechświata! Co za atrakcyjny eksponat dla jego muzeum ciekawostek przyrodniczych w Moab!

A niech to! I znów anioły mnie wyratowały, myślał. Jaskrawe światło na powrót budziło jego zmysły. Wciąż, wszędzie gdzie spojrzał, widział fantastyczne zakrętasy, niesamowite formacje geologiczne i żółtą glinę okrywającą wszystko jak lukier. Oderwał wzrok od ziemi. Jocelyn dotarła już na górę, na brzeg jamy; po chwili zniknęła mu z pola widzenia. Była przemoczona do suchej nitki, a bezwładnie zwisające nogi miała usmarowane nawozem nietoperzy. Kobieta w moim typie, stwierdził w duchu po raz któryś z rzędu. Nagle poczuł, jak bardzo jest głodny. Myśl o jedzeniu przepełniła go radością.

- Hej, Jo! - zawołał. - Jak wrócimy do Moab, sprawdzę sidła, a potem przyrzadzę ci przepyszne hasen pfeffera. Jak zjesz, to zapomnisz, że w ogóle widziałeś tę norę!

Kiedy wciągnięto z jamy Szakala, znów posypały się pytania.

- Po pierwsze, Ned - indagował Boyle - chciałbym wiedzieć, jak wykołowałeś moich chłopaków.

- Nietrudno ich było wykiwać. Po prostu zaparkowałem w takim miłym, ciemnym i zarośniętym krzakami miejscu, zamknąłem się w środku i czekałem. Kiedy śliniąc się do pasa ujadali przy drzwiach i oknach, wyslizgnałem się przez dziurę, którą pan Szakal wyciął w podłodze. Nawet nie zauważyli, kiedy stamtąd drapnąłem. - Spojrzał na teozofa. -

Przykro mi, że musiałem opuścić statek, szefie. Ale wie pan co? Zaczynam czuć to wszystko w kościach. - Myślę, że to już fajrant, Ned - uspokoił go Loach.

Ned ogarnął wzrokiem nierówny krąg zebranych. Liczył w myślach. - Kogo brakuje?

- Ponieśliśmy jedną ofiarę, Ned - odparł Loach. Niewykluczone, że dwie. Straciliśmy pana Ferrella i ojca Paula.

- Ojczeee...! - ryknął Rodney, który nagle sobie o wszystkim przypomniał.

- Moim zdaniem, mamy na swoim koncie dwie i trzy czwarte ofiary - zauważył Szakal.

- Ferrell został na dole - ciągnął Loach, wskazując zawaaloną grotę. - Wspaniale się zachował. Byłbyś z niego dumny, Ned. Ojciec Paul... Nie wiem. Jest gdzieś w górach.

Szakal poszedł za jego wzrokiem i spojrzał na wystrzępione szczyty.

- Patrzcie! - krzyknął. Wyciągał rękę w stronę skalnych grani rysujących się na tle nieba. - Tamten szczyt, za naszym kraterem... Chyba coś widziałem. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku. - Tylko skały i drzewa - stwierdziła Gaby. - Teraz znowu, widzicie? Coś różowego...

- Daj spokój, Szakal. Na taką odległość nawet ty nie możesz nic zobaczyć. To jakieś piętnaście kilometrów stąd. - Kiedy naprawdę coś widziałem - upierał się Szakal. - Może górską owcę - podsunął Boyle. - Niewykluczone - ustąpił Szakal. - Dużo ich tu...

- To niedźwiedzie - skostatował Rodney Makai głosem pełnym refleksyjnej, niemal serdecznej zadumy. - To niedźwiedzie...

Ojciec Paul wchodził wolno na osłoneczniony wschodni stok. Szedł po osypującym się rumowisku i przy każdym kroku spod jego stóp spadała mała lawina kamyków. Był już prawie na szczycie. Jakieś trzydzieści metrów przed nim kończyły się górskie drzewa, za którymi spod rumowiska wyrastała skalna ściana, przechodząca w porośniętą trawą grań. Paul przystanął. Był nagi do pasa. Butów też już nie miał. Odwrócił się, żeby spojrzeć na drogę, którą przebył - wąski i kręty szlak, wiodący przez okruchy pumeksu.

Nad krawędzią skały zwisał stary, sękaty jałowiec i Paul chwycił za jego żyłaste korzenie, żeby podciągnąć się wyżej. Zawisł na nich i potoczył wzrokiem po górach. Odległe skaliste szczyty wyglądały jak pękające fale. Nagle wydało mu się, że gdzieś daleko słyszy dzwoneczki.

Jego krucyfiks znowu rozblęsnął światłem. Paul ściągnął go przez głowę i zawiesił na starej gałęzi.

Wznowił wspinaczkę i doszedł do najbardziej stromej części stoku. Kiedy wdrapał się na zieloną grań, na chwilę zastygł w bezruchu. Wiatr odgarnął mu z czoła jasne

kosmyki. Paul wetknął kciuki za pasek i spuścił szorty do kostek. Wyszedł z nich, potem rzucił je za siebie. Płynęły spiralnie w powietrzu, niesione w stronę zielonej doliny za granią.

I znów to usłyszał. To dzwoneczki, to na pewno dzwoneczki. Mnóstwo malutkich dzwoneczków, wiodących za sobą stadko trzymiesięcznych jagniąt i pasących się owiec. Nad stadem powiewały długie, czarne i lśniące włosy. Śpiewały. Ojciec Paul miał wrażenie, że rozpoznaje starokastylijską pieśń miłosną.

Epilog... szczęśliwe drogi...

Zima wstrzymywała się od natarcia tak długo, jak mogła. W końcu był już pierwszy listopada. Czas na prawdziwy szturm. Zastępy mroźnego arktycznego powietrza nadciągały w luźnym rozproszeniu. Napłynęły znad Aleutów, żeby poflirtować z prądem strumieniowym z Kalifornii Dolnej, który rozbudowywał się wzdłuż wybrzeża. Zjednoczyły siły. Front arktyczny, z racji starszeństwa i wielkości, przejął dowodzenie. Zwlekały jeszcze kilka godzin niedaleko Farallonów - żeby wymienić dane taktyczne, nabrać wilgoci i siły rozpędu - a potem, bez najmniejszego ostrzeżenia, przypuściły atak na drzemiący kontynent. Szturm zrujnował północną Kalifornię kilkunastometrowymi bałwanami i rozniósł Reno bagnietami z lodu. Colorado, Utah i południowe Idaho zostały zaatakowane przez burzę śnieżną, która w ciągu trzech godzin zasypała je dwunastocentymetrową warstwą śniegu. Burza przeniosła się na wielki płaskowyż, ustanawiając nie pobity dotąd rekord prędkości - sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę! Jej zwycięski marsz został powstrzymany efektem cieplarnianym nad Chicago.

Nawałnica zatrzymała się więc w Chicago, przegrupowała siły, zrzuciła jeszcze osiem centymetrów śniegu, po czym zaczęła ustępować pod wpływem rozbudowującego się klina wysokiego ciśnienia znad St. Louis. Wysokie ciśnienie przepędziło nawałnicę przez Indianę, Ohio i Pensylwanię, aż wreszcie zagnało ją do Nowego Jorku. Buffalo oberwało jako ostatnie w tej kampanii wojennej - zostało potraktowane drobnym ostrzałem gradowym i temperaturą $-10/0^{\circ}\text{C}$. Tak wyglądała wielka burza śniegowa lat trzydziestych. To paradoksalne, ale członkowie Stowarzyszenia znajdowali się wtedy tak daleko na północy, że główne uderzenie ich ominęło - burza otarła się o nich bokiem. Kiedy po przeżyciach w dusznej grocie wychodzili z parującej jamy, drobne ukłucia lodowych igieł potraktowali jak dobrodziejstwo. W gruncie rzeczy mieli dużo szczęścia - doświadczyli wielkiej przygody i ominęła ich zimowa nawałnica.

Szczęście dopisało też licznej rodzinie baskijskich pasterzy z doliny. Tego roku mogli wypasać owce o cały miesiąc dłużej niż zwykle; na ogół o tej porze ich stada już od

dawna przebywały w strzeżonych zagrodach. Mogło się zdawać, że babie lato będzie trwało bez końca. Ale minionej nocy pasterze wyczuli nadciągającą zmianę - czuli ją w zapachu sosen i podmuchach wiatru. Mogła nadejść jeszcze dzisiaj. Cała rodzina ruszyła w góry, żeby sprowadzić do zagród rozproszone na pastwiskach stada.

Nela, druga w kolejności córka najstarszego syna, zauważyła błysk krucyfiksów ojca Paula. I oniemiała. Tu, tak wysoko w górach, o tak późnej porze i tak daleko od siedzisk ludzkich ten błysk był czymś doprawdy niezwykłym. Jeszcze bardziej zdumiała się widząc szybujący na wietrze kawałek materiału, podobny białemu ptakowi, który zrywa się do lotu z bezlistnego drzewa.

Nela ofiarowała mu koźlą pelerynkę z kapturem, żeby osłonił ciało przed szpilkami lodu. Później poszerzyła ją w ramionach.

Nigdy nie odezwał się słowem, choć stwierdzili, że chyba rozumie łacinę. Nazwali go Le Retrouve, czyli "Odnaleziony". Następnej wiosny Nela powiła ich pierwsze dziecko, syna. Chłopiec miał oczy ojca, a na imię dali mu Jack.

Gaby urodziła córkę, też na wiosnę. Czasem mówiła do niej Ewa, czasem znów Jean. Żeby utrzymać swoją żarłoczną latorośl, podjęła pracę we Fresno jako asystentka jednego z dawnych studentów Jocelyn Kain, w dziale zaopatrującym laboratorium w materiały biologiczne. Mieszkała w pokoju nad laboratorium i odkładała pieniądze. W 1959 Ewa Jean ukończyła wydział lekarski na uniwersytecie kalifornijskim. Została pediatrą.

Dzięki wpływom Rodneya Juke został dźwiękowcem w Culver City. Za swoje osiągnięcia dostał trzy Oscary.

Rodney Makai przeprowadził się do opuszczonej posesji rodzinnej. Całymi latami mówiło się, że siedzi nad jakąś książką. Coraz rzadziej widywano go w miejscach publicznych. W 1941, w czasie zagranicznej wycieczki, zniknął. Rzekomo po to, żeby odszukać ciotki i wyciągnąć z nich pieniądze. Ciężarówkę, którą jechał, znaleziono w jeziorze w Czarnym Lesie. Jednak w roku 1964, w dniu śmierci doktora Loacha w Moab, w drzwiach starej podziemnej świątyni - w owym czasie sali prób zarośniętych muzyków - stanął jakiś okutany zawojami materiał człowiek. Krążył wokół budynku ponad tydzień. Kiedy muzycy zwolnili pomieszczenie, zajął ich miejsce. Świątynię poświęconą tajemnej jaskini Loacha można zwiedzać w czwartki i piątki między dwunastą w południe a siedemnastą oraz od dwudziestej pierwszej do północy. Cena jednego biletu wynosi trzy dolary, dla zakonnic wstęp wolny.

Późne lata trzydzieste i lata następne ujawniły, że zdolności spirytystyczne sióstr Makai miały ścisły związek z kolanem jednej i palcem u nogi drugiej. Uszkodzone kolano

Mony uniemożliwiało jej skuteczne uprawianie zawodu medium, tak więc jej klientela znacznie się skurczyła. Dając upust wynikającej z tego frustracji i rozgoryczeniu, publicznie ujawniła sekrety Ramony. Wychwytywanie przez siostrę sygnałów z zaświatów nazwała “obrzydliwym szalbierstwem”. Stwierdziła, że “Ramona robi tę sztuczkę zginając palec u nogi, co daje efekt stukania, podobnie jak strzelanie kostkami u rąk”. Z kolei Ramona obnażyła tajemnicę Mony. “Kolanem! Ona to robiła kolanem! A ponieważ od czasu, kiedy przeczłagała się po tej przeklętej jaskini, nie może już tego robić, rozsiewa o mnie te straszne pomówienia!” W poszukiwaniu nowych klientów siostry opuściły Amerykę i różnymi liniowcami popłynęły do Starego Świata. Resztę życia spędziły jeżdżąc po Europie, zawsze bacznie uważając, by nie trafić tam, gdzie już rozgościła się siostra. Zerwały ze sobą wszelki kontakt.

Umarły na wiosnę 1956 roku w amerykańskie święto sadzenia drzew, o zachodzie słońca. Dzieliły je dwa narody i tylko dziesięć minut różnicy między zgonem jednej i drugiej.

Po doświadczeniach w jaskini Boyle rozpedził swoich zwolenników z Salt Lake City i wrócił do baptyzmu, swego dawnego wyznania. Przeprowadził się z rodziną do Seattle i tam wyciął ogłoszenie z ostatniej strony magazynu “Fate” - “I ty możesz zostać radiowcem”. Podczas drugiej wojny światowej zasłynął jako kaznodzieja radiowy. Zanim jakiś reporter uwiecznił go na fotografii przed Seelbach Hotel w Louisville z czarną prostytutką, zdążył zarobić kilkanaście milionów dolarów.

Jocelyn Kain zmarła piętnastego października 1984 w wieku dziewięćdziesięciu lat. W 1955 roku, jako emerytowanemu profesorowi wydziału archeologii w Stanford, przyznano jej nagrodę Hoffmanna za prace badawcze w grotach Chaco Canyon przy ścianie z malowidłami Indian Anasazi.

Douglas Loach wrócił do Moab i z uporem rozbudowywał Muzeum Ciekawostek Przyrodniczych. Wzniósł skrzydło poświęcone Tajemniczej Jaskini, urządził stałą wystawę Kryształowego Serca Wszechświata, dobudował Korytarz Śmierci. Z biegiem czasu przy muzeum powstało wesołe miasteczko ze starym, antycznym wyposażeniem, które zyskało sobie międzynarodową sławę dzięki olbrzymiej kampanii reklamowej tysięcy wierszowanych haseł rozmieszczonych przy autostradach. Na Wschodnim Wybrzeżu do dziś sprzedaje się pewną nalewkę - “Wycieczkowy Napój Szakala”. Nalewka uchodzi za prawdziwy delikates.

Ned Blue rozwinął w sobie zainteresowanie ornitologią. Otworzył w Vallejo sklep z egzotycznymi ptakami i nazwał go “Ptaki jednej krwi”. Do Vallejo zjeżdżała się elita

hodowców ptaków z całego świata, żeby w sklepie Neda wymieniać doświadczenia i wiedzę. Ned też stał się w pewnym sensie rzadkim okazem. Mieszkańcy San Francisco widywali go co jakiś czas za kierownicą czarnej długiej limuzyny, z rozpartą po królewsku papugą na ramieniu.

Nie ma przekonujących dowodów na to, co się stało z Chickiem Ferrellem. Może wir wypluł go do podziemnego strumienia? Może strumień wyniósł go poza jaskinię, prosto pod nos kojotów czekających na smakowity posiłek? Może, rozdarty na wielkie kawały mięsa, po prostu się rozłożył? A może utknął w jakiejś skalnej szczelinie, leży sobie na plecach, szeroko rozwartymi oczyma wpatruje się w gwiazdy i pyta: “Jaki to dzisiaj dzień?”

O autorach

Robert Blucher wychował się w Redmond w stanie Oregon. Obecnie mieszka w Eugene z żoną Suzi i Iwanem Groźnym, błękitnym perskim kotem. Blucher grał na trąbce w San Francisco jako członek zespołu rockowego “Peter Cosmos and the Universal Quantifiers”. Później zajął się nauczaniem informatyki, filozofii i pisania sztuk teatralnych. Obecnie pracuje nad scenariuszem o pewnym szalbierzu i domorosłym psychoanalityku zarazem. Scenariusz ten stawia wyraźne pytanie: “Jeżeli mądry zagra głupiego, a głupi mądrego, co wtedy zrobi krytyk teatralny?”

Ben Bochner jest pisarzem i piosenkarzem. W 1987 roku wydał płytę długogrającą z własnymi piosenkami. Album nosi tytuł: “The Broken Place”. Pisze książkę o chodzeniu po drzewach na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, ostrożnie zatytułowaną “Last Stands” (“Ostatnie przyczółki”).

James Finley lata młodsze spędził w Spokane w stanie Washington. Po uzyskaniu dyplomu magistra sztuk pięknych z zakresu pisarstwa literackiego na uniwersytecie oregońskim i po krótkiej wycieczce po Nowej Anglii i Europie wrócił do ukochanego rodzinnego miasta, żeby ukończyć swoją pierwszą powieść - historię “miłości i cierpienia”, która rozgrywa się w niedużej społeczności północnego Idaho.

Jeff Forester studiował retorykę na Uniwersytecie Illinois, potem furgonetką objechał Stany “śladami tych, którzy odeszli”, a po drodze, żeby zarobić na chleb i na dalszą podróż, sprzedawał kanapki. Pracował na szkunerze spółki Martha's Vineyard, na farmie w zachodniej Wirginii, w kurorcie narciarskim w Montanie i ścinał drzewa w Masabe Iron Range. Cały czas pisał w notesie ogromnego formatu, który zamykał w furgonetce. Krótce zabawił też w Chicago, gdzie pisywał biuletyny związkowe, wyciągi

informacyjne i scenariusze zabaw kryminalnych na przyjęcia. Do Eugene w Oregonie ściągnął w prima aprilis.

Bennett Tracy Huffman urodził się w Pomonie w Kalifornii, w 1963. Ukończył trzyletnie studia na uniwersytecie Redlands - zdobył tytuł bakalaureusa nauk podstawowych - po czym wybrał się w podróż po Japonii (gdzie mieszkał przez rok), Syberii, Europie i Północnej Ameryce. W 1989 roku zrobił dyplom magisterski z literatury pięknej na uniwersytecie oregońskim w Eugene. Obecnie pracuje nad apokaliptyczną powieścią o pojawieniu się nowych szczepów między ocalonymi z pożogi.

Lynn Jeffress dorastała na oregońskim wybrzeżu w Waldport i uczęszczała na uniwersytet Gonzaga w stanie Washington. Stamtąd pojechała do Paryża. W 1981 zrobiła doktorat na uniwersytecie oregońskim w dziedzinie języków romańskich, a w 1988, po ukończeniu wydziału twórczości literackiej - specjalność pisarstwo literackie - uzyskała tytuł magistra sztuk pięknych. Napisała tomik opowiadań pod tytułem "I want to go home with the Armadillo". Mieszka w swoim rodzinnym mieście, gdzie w oparciu o doświadczenia wyniesione z zajęć z Keseyem naucza na kursach pisania scenariuszy i kręcenia filmów video; zorganizowała je w Oregon Course Community College. Jest redaktorką "Northwest Review" i współdyrektorką Moon Fish, pierwszego corocznego kursu letniego poświęconego sztukom pięknym; prowadzi go w Yachats w stanie Oregon. Obecnie pracuje nad scenariuszem, którego jest współautorką.

Ken Kesey urodził się w Oregonie, gdzie nadal mieszka. Ukończył studia na uniwersytecie oregońskim, później studiował w Stanford razem z Wallacem Stegnerem, Malcolmem Cowleyem, Richardem Snowcroftem i Frankiem O'Connorem. Jego pierwsza powieść, "Lot nad kukułczym gniazdem", została wydana w 1962 roku. Drugą, "Sometimes a Great Notion", opublikował w roku 1964. "Kesey's Garage Sale" jest bardzo osobistym literackim portretem autora i jego przyjaciół, z którymi przeżył wiele niezwykłych chwil w latach sześćdziesiątych. Jego trzecia powieść, "Skrzynka demona", ukazała się w 1987 roku.

Neil Lidstrom wychował się na farmie pod Prineville w dolinie Crooked River w środkowym Oregonie. Jego rodzice uprawiali pszenicę, ziemniaki i lucernę na stu sześćdziesięciu hektarach nawadnianych pól. Po pierwszym roku na uniwersytecie w Eugene Neil przeniósł się na uniwersytet stanowy w Corvallis, żeby studiować na wydziale inżynierskim. Później zmienił kierunek i zaczął studiować fizykę, by ostatecznie zrobić dyplom z matematyki. Przez rok uczęszczał na kurs dyplomowy pisarstwa na uniwersytecie w Houston, potem wrócił do domu, żeby się ożenić. Neil, jego żona Beth i jej ojciec, Norville, mieszkają w czerwonym domku na wzgórzu w Summit w stanie Oregon, a las

Starker zagląda im w kuchenne okna. Mają dwie kozy, czternastoletniego psa imieniem Lou i nieprzebraną liczbę kotów.

H. Highwater Powers wyrósł w podupadającym miasteczku włókienniczym w stanie Nowy Jork. Po ukończeniu szkoły średniej wsiadł w dalekobieżny autobus linii Greyhound i udał się do Kentucky, by tam zostać kaznodzieją. Gdzieś między Kentucky Wesleyan College a Wietnamem został fotoreporterem z tytułem magistra dziennikarstwa, wyniesionym z Uniwersytetu Southern Illinois. Pracował w nizinnych miastach Kentucky, Indiany i Illinois pisząc reportaże o węglu, kukurydzy i soi, za które zdobył kilka krajowych nagród. Ale chciał pisać literacką prozę. Pożyczył od przyjaciela kapelusz, spakował maszynę do pisania i przeniósł się do Eugene w Oregonie. Wydał wiele opowiadań w czasopiśmie o niedużym nakładzie, a obecnie uczy kompozycji utworów literackich w Central Oregon Community College w Bend.

Jane Sather urodziła się w Torrance w Kalifornii w 1962. Zaczęła pisać, kiedy skończyła dziesięć lat, w roku 1985 ukończyła naukę w kalifornijskim uniwersytecie stanowym w Long Beach jako bakalareus filologii angielskiej i pisarstwa. W 1989, na uniwersytecie w Eugene, otrzymała tytuł magistra. Ona i jej mąż, kompozytor Blake Hodgetts, mają jedną córkę, Angelicę, poczętą w okresie powstawania "Jaskiń".

Charles Varani urodził się w chłopskiej rodzinie w Detroit w 1955, a dwadzieścia dwa lata później ukończył Wayne State University. Przez sześć lat pracował jako policjant, później zajmował się spedycją leków, dostawą towarów, sprzedażą książek oraz nauczaniem. Ostatnio zatrudnił się jako łowca owadów. W 1989 roku zrobił dyplom magistra sztuk pięknych na uniwersytecie w Eugene i razem z żoną Sue i córką Kirą mieszka gdzieś w Ameryce. Pracuje nad powieścią komediową o upadku zachodniej cywilizacji. Meredith Wadley, teksanka w piątym pokoleniu - choć mieszka poza Teksasem - wychowywała się w rodzinie o wojskowych tradycjach. Od 1974 mieszka w Oregonie. Pracowała przy truskawkach, katalogowała dokumenty i pisała na maszynie, uczyła małych jeźdźców, jak trzymać się w siodle, a dzieci i młodzież - poprawnego pisania. Zwalczała też brudnicę nieparkę. Kiedy odkryła, że życie w kampusie uniwersyteckim jest daleko doskonalsze i zdrowsze od życia w bazie wojskowej, uzyskała najpierw tytuł bakalareusa historii, a później magistra pisarstwa literackiego. Teraz pracuje nad powieścią i zbiorem opowiadań, które zajmują się problemami rodzin wojskowych w czasach wojny wietnamskiej.

Lidia Yukman przestaje z wilkami. Mieszkanka Florydy, Teksasu, Bostonu, Waszyngtonu, obecnie Oregonu. O swoim życiu mówi, że “wyszłaby z tego niezła książka”. I może któregoś dnia wyjdzie.

Ken Zimmerman dorastał w wielu miejscach, w tym w Alabamie, Teksasie, Tajlandii, Turcji i San Francisco. Choć liczne pisma literackie publikowały jego wiersze, Ken ciągle marzy o tym, żeby zostać pisarzem.